

# Kazimierz

# Kalinowski

Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,  
Polski mój naród, polski  
Król i państwo.  
Tak nam Bóg  
Do krwi ostatniej żył  
my ducha,  
Aż się roz  
Krzyżacka za  
Twierdza  
Tak nam dopo

# Biały Orzeł

**Kazimierz Kalinowski**

# **BIAŁY ORZEŁ**

**Powieść fantastyczna**

## I.

Noc srebrzysta rozsnuwała powoli przedziwo blasków księżycowych po omszałych wiekową siwizną murach cichego Krakowa.

Pierwsza to była ciepła noc wiosenna, co tajemniczym tchnieniem cudu w jednej godzinie drzewa nagie po ogrodach w koronki obleka zielone i suche gałązki jabłoni obsypuje śniegiem białego kwiecia.

Ludzie spać poszli, jak gdyby się bali przyrodzie przeszkadzać, jak gdyby nikt nie chciał podpatrywać misteriów zmartwychwstawania...

Więc cisza rychło nastąpiła, cisza cmentarzy, na których na pozór śpi wszystko snem wiecznym pod pleśnią głazów grobowych, a jednak ze świtem budzi się na mogiłach życie bujne: wszak wśród zieleni soczystej kwiaty rozchylają tu kielichy o najżywszych barwach, a nad nimi precudne kołyszą się motyle i dziwnie pięknie śpiewają w zaroślach ptaki...

W taką ciszę zapadał Kraków nocą wiosenną, kiedy na szafiry nieba wypłynęła srebrzysta tarcza pełnego księżyca, niby pawęża skrzydlatego rycerza, bohaterskiego światłości przed mrokami obrońcy.

W stu krzyżach wieżyc kościelnych odbił się blask miesięczny, posrebrzył dachy, pozłocił szyby w oknach i po murach miejskich spłynął na fale wiślane.

Powlekła się wtedy rzeka łuską stalową, mieniającą się brylantami iskier, jak gdyby z wawelskiego wzgórza przeglądały się w nurtach zwierciadlanej wody całe hufce srebrzyste przedwiecznej husarii, w pancerze zbroić lśniących zakute, a schylające się wysokimi skrzydły z grzmotem pieśni przed bitwą — ni to zbóż ciężko kłóśnych łan, na wietrze słaniający się przed burzą, w mistycznym szumie chorału trwogi...

Spał Kraków w oną cichą noc wiosenną, kiedy nad szarzyzną jego murów sędziwych zastępy cieniów niewidzialnych, w eterze błękitnym snujących się tajemniczo, wygrywały pieśń przyszłości na strunach harf, utkanych z przędzy srebrzystej księżycowych promyków... Nie słyszał hymnu o złotym zaraniu jasnego jutra.

I zdało się w tej wielkiej ciszy nocnej, że w ukołysanym do snu Krakowie nikt nie czuwał, okrom trębacza hejnałowego na szczycie wieżycy Mariackiej, trzymającego dniem i nocą straż nad Wisłą.

Właśnie zbliżała się godzina północna, gdy obchodząc wszystkie okna swej podniebnej czatowni i wyglądając bacznie, zali gdzie nie gore w mieście, dostrzegł strażnik coś niezwykłego i wzrok w dal wyteżył zdumiony w stronę Woli.

Przez chwilę uganiał się oczyma po Błoniach za jakimś wielkim cieniem, krążącym nad murawą. Nie mógł pojąć, co by to być mogło, mimo że wzrok jego z góry, nawet poprzez mroki nocne, nawykł już od dawna łatwo rozróżniać dalekie przedmioty i tłumaczyć sobie dziwne zjawiska.

Tym razem widział rzecz nową, nieznaną. Miał wrażenie, że przypatruje się kręgom, które zatacza po nocy bujający swobodnie nad błoniem zielonym

ptak-olbrzym, o skrzydłach nieruchomo rozpiętych szeroko, a bielejących w blaskach poświaty księżycowej.

Strażnik przytknął do oczu szkła dalekonośne, lecz właśnie w tej samej chwili cień biały zniknął. Po czym coś w powietrzu załopotowało nad sąsiednią mogiłą Kościuszki i wydało mu się, że widzi tego samego ptaka olbrzymiego, jak zatacza koło nad sztandarem, tkwiącym w szczycie kopca. I znowu przepadł mu zupełnie.

Zaciekawiony trębacz nie odejmował szkła od oczu, śledząc dalej spojrzeniem to w tę, to w ową stronę, lecz już dokoła kopca nie mógł odnaleźć owych dziwnych skrzydeł białych.

Wzrok jego zatrzymał się na skąpanej w poświacie miesięcznej wieży Zygmuntońskiej na Wawelu.

Promień księżycy oparł się o pierś królewskiego orła i wysrebrzył go cudownie. Ledwie jednym oka mgnieniem objął to strażnik, gdy nagle ptak białoskrzydły oderwał się od murów Wawelu i runął w dół ku miastu.

Zniknął, gdy wtem zegary jeden po drugim walić zaczęły godzinę dwunastą, a hałaśliwe echa rozbitych dzwonów tłukły się z jękiem o szerniałe mury wiekowych gmachów, płosząc ciszę północną w uśpionym mieście.

Ocknął się strażnik.

— Przysięgłbym, że widział — mruknął do siebie w samotni swej czatowni pod niebotyczną iglicą dumnej wieży Mariackiej i ujął trąbę, by po kolei w cztery strony ziem polskich wychylony ze szczytu, wygrać swój hejnał cogodzinny.

Spiesznie jedno okno otworzył, trąbę przez nie wytknął nad miasto i z jego piersi, drżącej jeszcze od wzruszenia, popłynęła hen wzwyż i w dół a w dal — pierwsza zwrotka hejnałowej pobudki, tętniącej stalowymi dźwiękami puklerza wiary i nadziei, a rozplakanej rzewnymi echemi miłosnej tęsknicy serdecznej...

To jakby w kurzawie przez Rynek krakowski, o bruk podkówną dzwoniąca, w cwał pędziła sąsiadom na odsiecz pod Wiedeń — husaria nasza skrzydłata...

To jakby trąby heroldów Zygmuntowych powtarzały światu „hołd pruski”, albo rycerstwo Jagiełłowe, spod Grunwaldu wracające w znoju, śpiewało wielkie „hosanna”...

Skończył trębacz mariacki pierwszą z czterech zwrotek hejnału, szybko zatrasnął okienko, przeszedł do następnego i uchyliwszy je, przytknął ponownie do ust instrument, w którego blachach złotych zagrał promyk księżycowy.

Strażnik jął z duszy swojej śpiewać powtórnie pobudkę, aliści zaledwie parę dźwięków wyciągnął, urwał nagie w pół taktu, urwał raptownie i zamilkł całkiem.

\* \* \*

Właśnie na chwilę przedtem otwarła się ciężka brama dawnego pałacu Krzysztoforów i na Rynek wysypała się wesoło rozmawiająca gromadka mężczyzn. Uszedłszy tylko kilka kroków, przystanęli wszyscy na środku chodnika, zadziwieni nagłym urwaniem niedokończonego hejnału.

Mimo woli podnieśli naraz oczy ku szczytowej koronie wieży Mariackiej.

Krzyk wydarł się z ich piersi.

Jeden z drugim głowę coraz bardziej zadzierał w górę, oczom własnym nie dowierzając.

A zdumienie tak ich stropiło, że wrażeń swoich żaden przetopić nie umiał w pierwszej chwili na zwykłe słowa.

Zakrzyknęli i pomilkli, jako ten trębacz mariacki, w dzień i w noc czujnie z najwyższej wieży polskiej trzymający straż nad Wisłą.

To nie jemu jedynie przywidział się nad Krakowem krążący orzeł biały.

Zobaczyli go teraz wyraźnie przechodnie, co naraz przystanęli na Rynku i ponad nim wzrokiem wodzić zaczęli w osłupieniu. Olbrzymi ptak, niespodzianie przeraziwszy o północy trębacza, okrążył majestatycznie obie wieże Mariackiej świątyni, po czym z wysoka spłynął spokojnie nad posąg Mickiewicza, zatrzymał się tuż nad nim — i znów uniósł się z powrotem wyżej, przeleciał ponad Sukiennicami nad przeciwną połą Rynku i tu podle starej wieży ratuszowej miał się spuszczać na dół, gdy na odwachu wojskowym hałaśliwa komenda niemiecka wszczęła na ten widok wielki alarm.

Spłoszony tym biały ptak olbrzymi poderwał się zaraz, zanim zdążono przypatrzeć mu się z bliska i uleciał jeszcze wyżej, niżli wprzód bujał, skierował się ponad Bramę Floriańską i Barbakan i natychmiast zniknął z oczu gromadki ludzi, śledzących jego ruchy z Rynku.

Strażnik z wieży biegł za nim dalej ciekawym wzrokiem i stracił go dopiero w stronie mogiły Wandy i Bielan.

Mimo, że oświetlały go reflektory elektryczne z fortów, na których ruch powstał gorączkowy wśród nocy z powodu niespodziewanego zjawiska, niepodobna było dłużej śledzić niknącego na kresach widnokręgu białego ptaka-olbrzyma.

Przepadł wreszcie wszystkim koło Barana nad pasem pogranicznym, który przelatywał bardzo wysoko i szybko, nie zwróciwszy nawet uwagi niczyjej wśród straży tamtejszej, mimo że czuwała ona pilnie, nie odrywając wszakże wzroku od ziemi i nie upatrując przemytników w sferach podniebnych.

## II.

Już się w Polsce zieleniło, kiedy za Dźwiną trzymała jeszcze zima na dobre. Zwyczajnie tak bywało na Inflantach.

Aż naraz w tym roku słońce mocno przypiekło i w ciągu paru dni tak z pół śniegi spłukało, że się bydło na świeżą trawę wyganiać zaczęło co najmniej o jaki miesiąc wcześniej niż po inne lata.

I nie wiadomo było, kiedy drzewa stawały w liściach, bo ledwie gałęzie pękami nabrzmiały, już zieleń widok zasłaniała, cień dając nie do pogardzenia w skwar południowy.

Po sadach zasię to i na liście kwiat nie czekał, tak mu śpiesznie było zawieruchę śnieżną zluzować cudną zamiecią białych płatków jabłoni.

Chyba że znowu jaka wojna będzie — nie mogąc się dość nadziwić takiej wczesnej wiośnie w tych stronach, mówili sobie ludzie raz za razem w Liliszkach i wzdychali.

A może i będzie — jedni drugim przytakiwali, pewni, że i tak nie prędko się czego dowiedzą.

Boć żeby głos jaki dosłyszeć ze świata, to już nie lada sztuka być musiała w onym kącie deskami zabitym od reszty ludzkiego życia. Po kilkadziesiąt wiorst drogi trudnej i ciężkiej oddzielało Liliszki od poczty, miasteczka, kolei, od jakichkolwiek gościńców światowych...

A jednak żyli tu i ludzie, co wprzód z bliska na świat spoglądali, zanim się tak zakopali — daleko od życia...

Pośrodku ciągnącego się milami pustkowie, kupiły się tutaj trzy osady ludzkie nad brzegami rozległego jeziora.

Na południe od jego wód, dokąd spojrzeć najdalej, nic się nie dostrzeże, jak łąki i łąki. Ku północy przeciwnie, wszelki widok zasłaniają lasy gęste, różnorakie, a nie mające kresu, aż nad drugim znów jeziorem, do którego wszakże paromilowa droga wiedzie środkiem ciemnego boru.

Na wschód od jeziora, w szerokim jarze po obu brzegach drobnej rzeczki, rozsiadła się nieliczna osada tajemniczych „starowierów”, których cmentarzyk, zamknięty czworobokiem niziutkiego muru darniowanego i czterema kolumnami topolowymi, tuż nad samem zwierciadłem jeziora, zawodzi jęki przedziwne gęstwą swoich brzoź płaczących na mogiłkach, ile razy wiatr mocniej pociągnie od toni wodnej.

O wiele liczniejsza wioska Łotyszów po przeciwnej, zachodniej stronie jeziora, gnieździ się na skraju lasu.

Mimo ich chat mizernych i gospodarstw ubogich wspina się wyboista, rzadko kiedy wysychającymi bagnami pokieroszowana, droga na nieduży wzgórek, który wbił się klinem w głąb lasów nad północno zachodnią granicą wód jeziora.

Na samej górze, pod osłoną trzęsących wiecznie zielonymi brodami modrzewiów odwiecznych, sterczą staroświecką basztą mury niedużego dworu, zewsząd otoczonego sadami, w których stare jabłonie, od dołu pobielone, a całe dziwacznie powykręcane, straszą w „białe” noce jak upiory na tle zieleni.

Dwór pustką stoi i nic w nim sennej ciszy nie przerywa, chyba niekiedy nocą trzask jaki rozlega się w antycznym meblu lub w podłodze.

Jego pani zaledwie raz na lat kilka jawi się w tych pokojach na parodniową gościńcę, zbaczając z drogi wyjątkowo w podróży swej między jedną a drugą stolicą.

Toteż tu jeno w oficynie życie wre trochę przez rok cały w domu rządcy Leszka Starowolskiego i jego nielicznej zresztą rodziny, spokojnej jak całe Liliszki. Tutaj, podobnie jak i w kilkunastu budynkach mających coś wspólnego z dworem, a po stokach całego wzgórza porozrzucanych, nie słyhać innego

języka, jak tylko polski, mimo, że między ich mieszkańcami znalazłby i Litwina i Żmudzina.

Nie inaczej na plebanii, czy raczej w pustelni, schowanej w gąszczu leśnym, o kilkanaście minut od dworu, a przybudowanej z samych desek sosnowych do omszałej, paręset lat trwającej u progu borów kaplicy z modrzewiowego drzewa.

Własnoręcznie i bez niczyjej pomocy, bez względu na protesty swych parafian, dziedziczki i rządcy, sklecił sobie taką plebanię ksiądz Kazimierz Gajtys, Żmudzin, który tu pół życia przepędził, a pewnie dziś lat miał bez mała setkę, lubo czerstwością i pogodą mógł się mierzyć z najtęższymi z młodzieży wśród Łotyszów, do których w niedzielę miewał kazanie w ich języku, po skończeniu w kaplicy polskiego nabożeństwa „dla dworu”.

Od pewnego czasu już księdzu w przedziwnie pogodnym usposobieniu nie dorównywał nawet jego najlepszy przyjaciel, acz o parę krzyżyków od Żmudzina młodszy, leśnik w Liliszkach, Jan Kwaszewski, którego domek piętrowy w ogródku, oparty o ścianę lasów, a okna szczerzący na słońcem wyłożoną i kres wzgórza nad jeziorem stanowiącą polaną, był najbliższym sąsiadem plebanii.

Coś musiało żreć w sercu leśnika, bo stracił dawny humor, a chociaż nie pochyliły mu się zawsze młodzieńczo wyprostowane, bary wysokie i zdrowo rozrosłe, to jednak wąs siwy drzał mu często, a wzrok mgłą zachodził, skoro tylko spojrzał na krzątającą się po domu dorodną i ukochaną córę-jedynaczkę, której od dnia urodzin zastępować musiał i matkę.

Na mogile żony podparł dziś rankiem ślaniający się coraz bardziej krzyż stary, po czym przez cały dzień, gorącym słońcem wyłaczany, włóczył się po lasach, radując oczy wczesną a cudną zielenią. Kiedy nareszcie do domu przed wieczorem powrócił, witany przez córkę zapraszającą go do stołu, zapytał przede wszystkim:

— Nie ma listu?

— Jeszcze nie ma, ojczy...

Posmutniał i jadł niedużo, mimo że go Hanka prosiła. Pocałował ją w białe, od czerni włosów bladeścią piękną bijące czoło.

— Zjadaj sama, córuchno — rzekł i bębnił w zamyśleniu palcami po krawędzi stołu, jakby nie słysząc słów Hanki, która co chwila zagadywała czymś ojca, zmartwiona jego zmianą usposobienia.

A kiedy ją do kuchni odwołano, starzec wstał zaraz od stołu, przeciągnął się, ręce rozkrzyżował szeroko i potrząsnął głową, na której zachwiała się bujna, rozwiana czupryna śnieżnej białości.

Sięgnął leśnik w kąt izby po wiszący nad strzelbami róg i wyszedł z nim na ganeczek, sterczący na narożniku domu w górze tuż pod daszkiem, z bardzo rozległym widokiem i w głąb lasów i na obie wioski, wielką taflą jeziora rozdzielone, a zwłaszcza w dal bezkresną poprzez łąki na południe, kędy właśnie z Polski i ze świata wieści nadchodziły rzadkie, kędy okazja czasami przywoziła z poczty listy i gazety dla dworu, kędy mógł się trafić gość nieoczekiwany, a tak

dawno niewidziany w Liliszkach, wśród pustkowiec melancholijnej ziemi inflanckiej.

W toń fioletowych chmur zapadające słońce rzuciło od łuny pyłu złocistego na zachodzie ostatnie refleksy na ganeczek leśniczówki. Wietrzyk od strony jeziora rozdmuchał siwe włosy nad czołem starca o twarzy ogorzałej, z piersią szeroką, w szarej, czarno lamowanej kapocie, po kolana w cholewach. Przez chwilę leśnik krążył posępnym wzrokiem po całym widnokregu, jak gdyby wypatrując czego na próżno, po czym do ust, mlecznym wąsem okolonych, przytknął róg i wśród ciszy wielkiej zagrał...

Powietrze czyste, nienapełnione jeszcze oparami z jeziora, zadrgało między ziemią a niebem melodią Moniuszkowskiej „Pieśni Wieczornej”.

\* \* \*

I wypadła z pod lasu tęsknica serdeczna, co się w polskiej piersi rodzi i przez całe życie trwa na dnie duszy — niczym nieukożona.

Tęsknota wielka, w smętka nieogarniona, żalem nabrzmiała, bolesna tęsknota.

Nie pytaj — za czym i po czym...

Ona za krajem i za swoimi — gotowa zapłakać w kraju, wśród swoich...

Z ojczystych zagonów ona ci duszę wyrywa ku innym światom dalekim, rwie i gna w bajeczne krainy wyśnione, niesie duszę na skrzydłach marzeń i rojeń tęczowych do rajcu cudnego z legendy — za siódmą górę, za dziesiątą rzekę...

Na to spod rodzinnej wyciąga cię strzechy — by za morzami rychło szlochać za swojskim gniazdem i przez łzy wyglądać na szlaku podniebnym białych skrzydeł ptaka, który by cię do ojczyzny zaniósł z powrotem...

Wieczysta polska tęsknota!

O świcie wstaje z porannym kurów pianiem... I nie ma spokoju w upalne południe, nękana uporczywym brzęczeniem rojów pszczelnych nad miodem pachnącymi łany złotego na piaskach łubinu, nad wonnej koniczyny łakami przy strudze, pod czarną borów chłodnych ścianą...

Nie ma ukożenia, budzona pieśnią skowrończą nad pługiem siewcy-oracza, lub dzwonieniem kos i sierpów rozspiewanej w polu żeńców rzeszy, uznożonej a wesołej...

Spokoju nigdy nie zazna polska tęsknota!

Klekot bociani nad stawem, ryk powracającego z pastwisk bydła, żab rechoty o zmierzchu, świerszczyków mrużenie pacierzy, lub trel nagły, rozgłośny miłośnie rozspiewanego słowika — zatargają na dnie duszy strunę nieutulonego żalu...

Aż płaczem wybuchnie w przedwieczornej ciszy szarej godziny i łkać będzie serdecznie, jako te dzwony wiejskiego kościołka w bramie cmentarnej, nagle rozkołysane na „Anioł Pański”, a dzwoniące bez końca szklanymi paciorkami



rosy w srebrnych dzwoneczkach konwaliowych kiści na opuszczonych sierot mogiłkach...

Z ganku leśniczówki płynęła „Pieśń Wieczorna”, na Janowym rogu wygrywana, a jej echo tłukło się po lesie i wracało znowu, by skrzydłami nietoperza trzepotać się po ruinach murów baszty w starym dworze i zlatywać na fale jeziora coraz cichszym westchnieniem mar upiorowych.

Niósł się z piersi starego leśnika po łąkach dalekich, bezkresnych — żal szczery.

Róg chwycił z jego duszy to tchnienie rzewne, drgał nim długo, zanim je wyzionął na nieuchwytne mgiełki rosy łzawej, które między ziemią a niebem kołysały się jak ćmy niedostrzegalne w godzinie przedwieczornej.

Płacz rozwłóczył się po smętnych polach, ni to strzępy białe pajęczyny jesiennej, czepiające się cierni i ścierni i liści zeschniętych, pożółkłych.

Była w tym płaczu i tęsknota do dalekich stron rodzinnych. Była i tęsknota ojca, który dawno syna nie widział, nadziei swej i pociechy, a drży na myśl, że mógłby go już nie doczekać się wcale...

Był i żal nieziszczonych snów i marzeń najdroższych na przyszłość, pomieszany z bólem wspomnień przeszłości, minionej bezpowrotnie, a nie dającej się nigdy zapomnieć...

I tęsknota w tym była, nienazwana i niewysłowiona tęsknota, która duszy polskiej — na widok samotnie na rozległej, smutnej, mokrym jaskrem złoto podszytej łące inflanckiej, stojących brzoź białych, targanych bezlitośnie wichrem za włosy gałązek zielonych — każe załkać serdecznie i wśród szlochania nadśluchować, zali gdzie z dalekiej świata strony nie doleci od wsi polskiej śpiew fujarki pastuszej w rytmie swojskiego mazurka-krakowiaka.

\* \* \*

Taka była smętna pieśń wieczorna na rogu siwego leśnika. Grał on jeszcze, gdy w drzwiach ganku stanęła za jego plecami córka, i zasłuchana, a w myślach ojcowych społem zatopiona, wodziła wzrokiem hen, poza jeziorem liliszkowskim, daleko po smutnych łąkach bezbrzeżnych, po których wiatr w wieczornej ciszy nosił wieści z Polski.

Do zaszklonych łąz oczu szafirowych podniosło dziewczę rąbek białego fartuszka, drugą ręką usta sobie zatykając, by płacz stłumić we wnętrzu. Lecz roztkliwiona zanadto ściskającą za serce pieśnią, nie wstrzymała i głośno naraz wybuchła mimo woli.

A wtedy ojcu na głos jej szlochu róg od ust odpadł od razu, niedokończony śpiew przerwawszy u samego kresu. Lecz zanim się starzec ku dziecku odwrócić zdołał, jęknął nagle, za pierś chwycił się gwałtownie i ręką przyciskając serce, potoczył się w tył ku ścianie. Padł w objęcia córki, lecz nogi się pod nim załamały i starzec siwy zsunął się do stóp dziewczęcia.

### III.

Ogromny sad, który prawie dokoła otaczał staroświecki dwór lilizkowski, kąpał się w blaskach łuny jaskrawego zachodu słońca, kiedy panna Jadwiga Starowolska, znużona parogodzinnym ćwiczeniem Ballady Szopenowskiej, wstała od fortepianu i podeszła ku otwartemu, jakby latem, na ścieżaj oknu. Wzięła w ręce dużą, ciężką donicę z rozłożystą azalią w bogatym kwieciu szkarłatnym i odstawiła ją na bok, umieszczając na zwykłym jej miejscu w wysokim, trzeszczącym za każdym poruszeniem, koszu pod kwiaty, poczym jeszcze bardziej odgarnawszy firankę uchyloną, stanęła w oknie.

Owionął ją z sadu zapach kwitnącej jabłoni, więc się wygięła poza okienne ramy i zwisała połową ciała nad koroną drzewa, które płataniną drobnych a pokręconych gałązek, świeżo zaróżowionych, wspinało się tuż pod sam mur i do szyb, płonących złotym pożarem zachodu słońca, szczyrzyło blade swe płatki nowiutkich kwiatów — niby roześmiana przed zwierciadłem dziewczoja zdrowych zębów sznur biały.

Po dniu iście gorącym nagle rozwinęły się tysiące pączy, toteż na widok całego już sadu w cudnej bieli wydarł się mimowolny okrzyk zachwytu z piersi panny Jadwigi. Nie mogła dość nasycić wzroku uradowanego i przebiegała żywo swymi czarnymi oczyma po tym rozkoszonym ogrodzie z bajki, uśmiechając się co chwila do tego żywego u stóp swych obrazu, nad którym unosiła się kurzawa pyłu złocistego i dogasała powoli, by ustąpić nieuchwytnym dymom fioletowym, zasnuwającym białe drzewa zwiewną gazą melancholijnych welonów wieczoru...

Z daleka, znad jeziora, wietrzyk lekki wionął wilgotnym tchnieniem po wzgórzu, a wtedy wielki sad ukwiecony drgnął, jak kadzielnica zakołysana przed ołtarzem — i odetchnął głęboko, buchając ku otwartym oknom oparem czarownych zapachów.

Z rozkoszą napiła się dziewczyna tej woni upajającej, a wtedy jakby coś rozsadzało jej piersi; zerwała się z okna, chcąc zbiec do ogrodu.

Lecz szpilka z włosów, złapana przez firankę, wstrzymała ją nagle. Targnęła głową niecierpliwie, a wówczas rozsypały się po ramionach smukłej panienki bujną kaskadą piękne popielate włosy, wydzierając mocną falą resztę szpilek rogowych z kunsztownego upięcia.

Nie zważała jednak na to panna Jadwiga, i nie przystając dla poprawienia uczesania, ani nawet nie pozbierawszy grzebyków z podłogi, wybiegła co prędzej z pokoju przez otwarte drzwi werandy na ogród.

Poprzez gęste, szmaragdowe szpalery agrestów, biegła przed siebie po ścieżkach rozległego sadu, mijając w swej żywej niebieskiej sukience, szeregi niby martwych, podobnych do widm upiorowych, na tle zielonych trawników i krzaków — przedziwnie białych drzew, powyginanych już od ziemi w kształty fantastyczne i poplątanych z sobą nie tylko u góry siecią pokręconych gałązek, lecz i z dołu grubymi konarami trzymających się nawzajem w silnych a zimnych uściskach.

Schowało się już całkiem słońce za ławą lasów czarnych i na ogród zaczynał padać bardzo powoli szary zmierzch, który zorzą wieczorną z zachodniego nieba rozjaśniany długo, nie miał do północnej godziny dopuścić mroków ciemnych do zapanowania nad „białą” nocą, dopóki mu wczesna zorza poranna nie przyjdzie z pomocą od wschodniego nieba.

Więc się po sadzie snuły bladofioletowe welony, którymi otulały się białe drzew maryl, wiążąc się nimi za ramiona, lecz nie padał z nieba mrok, w którym przepadłby subtelny rysunek misternych koronek kwiatowych, porozwieszanych po gałązkach.

Błady róż jabłoni dało się jeszcze dobrze rozróżnić między przezrystą bielą gruszek, śliw i wiśni.

Tylko nie było komu plam barwnych rozeznawać w żywym obrazie, odkąd panienka zbiegła z okna oficyny.

Nikt z góry nie spoglądał już na sad bajeczny, po którym błękitna dziewczica w płaszczu długich, popielatych włosów przebiegała ścieżki — wszystkie po kolei — dysząc miłością...

Ręce przed siebie wyciągnęła ku kwiatom wonnym i w drodze całowała w uniesieniu wszystkie zwieszające się ku niej z koron drzewnych gałązki, śniegiem wiosny oprószone, niższe do piersi, wyższe do ust przytulając na okamgnienie w namiętnym ukochaniu...

Nagle przystanąło dziewczę na zakręcie i, przegiąwszy główkę, nadśluchiwało. Uśmiech rozradowania zaczął pierzchać z policzków różowych, a jak gdyby cień, przesunąwszy się po białym, wysokim czole, zasłonił mgłą zadumy czarne oczy.

To z daleka echo spod lasu nadniosło do dworskiego ogrodu pieśń wieczorną, na rogu smętnie wygrywaną.

Panna Jadwiga spoważniała, jak gdyby naraz ze zgiełku ulicy weszła za próg kościoła.

Zasłuchana w muzykę dalekiego rogu, zanuciła zrazu z cicha, wtórując staremu leśnikowi, po czym coraz głośniej rozśpiewała się pośrodku sadu wiśniowego, kapiącego melancholijnie deszczem białego kwiecia.

Woń balsamiczna, w pełną pierś wciągana, upajała ją coraz bardziej, nastrajając jeszcze miłośniej srebrzyste struny głosu dziewczyny, śpiewającej przy wtórze dalekiego echa rogu z leśniczówki.

Aliści zaledwie pieśń się podniosła nad korony wiśni białych, gdy w toń nastroju szarej godziny wpadł nagle dźwięk nieproszony.

— Wisienko! — rozległo się po ogromnym ogrodzie. — Wisienko! — dzwoniło po rosie, aż doleciało do wiśniowego sadu, nad którym drgał śpiew dziewczyny.

Usłyszała panna Jadwiga nawoływanie matki i zrozumiała, że ojciec powrócił na wieczerzę do domu. Więc zamilkła z żalem i pobiegła niechętnie w stronę murów dworu, odpowiadając matce po drodze.

Za chwilę panienka, kończąc upinać rozsypane włosy, pytała ojca, czy nie ma czego dla niej z poczty.

— A czego to się moja panna spodziewa — pytał rządcza lilizkowski, siadając do stołu. — Co dopiero mieliśmy pocztę, a ty byś już dzisiaj miała, widzę, ochotę na nową...

— Gazet wyglądam, proszę taty.

— Ee... nie uciekną nowiny. Miesiąc później czy tydzień wcześniej dowiesz się tego i owego, to, moja Wisiu, na jedno chyba wyjdzie...

— Kiedy bo widzi tatko... dzieją się teraz ciągle w świecie rzeczy wielkie, ludzkość przeżywa od pewnego czasu zdarzenia wprost epokowej doniosłości...

— Może, dziecko, może — potakiwał córce pan Leszek, nabierając sobie na talerz kisielu — a jednak popatrz, ja mężczyzną jestem, i wytrzymam jakoś cierpliwie bez wiadomości, czy Niemiec połknie Anglika lub też Anglik Niemca...

— Kiedy mnie o to wcale nie idzie, co się tam dzieje w polityce...

— A więc na tym ci tak gwałtem zależy, moja panno, żeby co prędzej wyczytać, gdzie tam znowu piorun spalił balon nad morzem, albo ilu nowych wariatów pokreśliło karki, latając na aeroplanach...

Panna Jadwiga zmilknęła, udając bardzo zajęta jedzeniem, lecz matce wydawało się właśnie, że córka prawie nic nie je na kolację, więc zaczęła nakładać na jej talerz, zagadując:

— Bez apetytu jesteś dziś, Wisienko, jedz no duszko więcej, jedz...

— Ho, ho... zobaczycie, jakem Starowolski, ile oni sobie jeszcze gnatów połamią... To trudno. Ptak ptakiem, a człowiek sobie człowiekiem. Nic nie poradzisz, moja panno...

Pani Maria przez ramię spojrzała na córki twarz chmurną i na męża podniosła wzrok błagalny.

— Daj pokój, Leszku...

— Ależ moja Maniu, przecież trudno, bym nie powiedział co myślę... No, a ja mówię tylko to, co widzę i nie myślę się, jakem Starowolski...

Panna milczała dalej zawzięcie, a wtedy matka odezwała się znowu do męża:

— Ja ci przyznaję, ale chyba dobrze mówi Wisienka, że my tutaj w Lilizkach siedzimy jak za piecem i za mało wiedzieć możemy, co się dzieje tam daleko, na prawdziwym świecie.

— Za mało, za mało... Przecież Wiśka sama czyta gazety i my czytamy i dowiadujemy się prędzej czy później o wszystkim... A żeby tam zaraz w tej samej godzinie czytać o jakim nieszczęściu, co się ledwie stało, jak to ma być teraz w Warszawie, tak wszystko na gorąco... ee! to może i niezdrowo, dalibóg, sam bym tak nie chciał żyć, jakem Starowolski...

Z buchającego parą samowara zaczęła pani rządczyni nalewać po kolei herbatę mężowi i córce, a pan Leszek, jak gdyby podrażniony milczeniem panienki, nie porzucił zaczętego tematu.

— Co to gadać... samoloty, a jakże, samoloty... Biedny nasz Kwaszewski, uważam, coraz bardziej musi się gryźć synem...

Różowe jagody na twarzy panny Jadwigi naraz zbieleły.

— Kiedy mu wczoraj, gazety dając, mówiłem o tych nowych katastrofach w powietrzu, to powiadam wam, wąsy tak drżały staremu, że mi go żal było, dalibóg...

Pani Starowska nie spuszczała wzroku z córki, dając poza jej plecami jakieś znaki mężowi, który jej błagania o zmianę tematu rozmowy przy stole nie chcąc zrozumieć, mówił:

— Pomyśleć tylko, że tu mogą tygodnie całe minąć, zanim by się dowiedział...

Na te słowa ojca, panienka nagle wstała od niedokończonej herbaty i odeszła daleko od stołu, udając, że szuka po wszystkich kątach chusteczki do nosa, a kiedy z powrotem siadała, była jeszcze bardziej niż przedtem blada i zgnębiona. Na szczekanie psów za oknami w tej chwili wstrząsnęła się na całym ciele, niby w febrze.

Nastąpiła chwila przykra ciężkiego milczenia w pokoju. Tylko samowar dyszał głośno, a pod oknami ujadanie psów stawało się nieznośne.

Wtem drzwi od sieni uchyliły się nagle i w progu zachwiała się postać męska. Wszyscy z miejsca zwrócili się ku drzwiom.

Stał w nich człowiek zziębnięty, oddychając ciężko.

— Proszę pana rządcy — mówił, dech z trudem chwytając — nasza panienka prosi prędko..

Coś jakby jęk stłumiony zagrało w piersi panny Jadwigi, która mimo woli wyrzuciła obie ręce przed siebie i tak na chwilę pozostała z tym gestem trwożliwego wyczekiwania...

— Co się u was stało — matka jej zawołała, ku drzwiom podchodząc sama.

— To nasz pan leśny... ja dobrze nie wiem... prosiła panienka... jakieś nieszczęście się przytrafiło naszemu panu leśnemu... Ksiądz już jest...

— Jezus Maria — krzyknęła rządczyni, podając kapelusz mężowi, który bez słowa już Ru sieni zmierzał.

Ostre jego kroki i dudnienie nóg bosych posłańca rozległy się w sieni i zmiękły. Psy naszczekiwały już inaczej, jakby tylko skacząc koło nóg swego pana. A w pokoju stołowym samowar zaczął naraz zawodzić jakieś smętne, rozpaczne pienia, pełne jęków i westchnień.

Dwie kobiety przez chwilę pozostały bez słowa, aż matka do panny Jadwigi odezwała się głosem smutnym:

— Biedna Hanka...

Zerwała się panienka na te słowa, jak gdyby ocknęła się z zamyślenia głębokiego, jak gdyby myśli jej w nagłym zmartwieniu krążyły dotąd gdzieś dalej i nagle przez słowa matki odwołane z daleka, zajęły się czymś innym, czymś bliższym...

— Hanka?... To ja, mamó, pobiegnę na leśniczówkę... pomóc jej będę przecież mogła w czymkolwiek...

— Czy tylko tatko nie będzie się gniewał, że tam może panience nie przystojnie...

— Ależ ja przecież tylko Hankę wyręcę w kuchni czy w domu... Do pana Jana pójść nie muszę, jeśli leży — perswadowała panna, zbierając się śpiesznie. — Ale co też mogło się stać staruszkowi, to dziwne, bo tuż przed wieczorem grał jeszcze na rogu... słyszałam z ogrodu...

Wtem z trzaskiem przeraźliwym pękło szkło u dużej lampy nad stołem wiszącej, a jednocześnie niedomknięte okienko od podwórza otwarło się z hałasem...

Krzyk matki zmieszał się z okrzykiem panienki, która co prędzej poskoczyła lampę zgasić.

Ogarnął je naraz półmrok, gdyż pokój stołowy, w przeciwieństwie do reszty mieszkania rządcy, był prawie ciemny i nieraz już przy obiedzie wymagał światła, oba okna bowiem zasłaniał tu stary mur wysokiej baszty, znajdujący się nie dalej, jak o kilka kroków.

Pani Starowska podeszła ku oknu i domknęła je lepiej.

— Może ty się dziecko inaczej ubierzesz, bo to jak gdyby się na burzę zanosilo po tym niezwykle gorącym dniu. Musiał się tam zerwać nagły wiatr, kiedy tak dmuchnął naraz na pokój.

— Ale to dziwne, że tym oknem wiatr szarpał, gdzie najzaczisniejszy zakątek podwórza u stóp baszty— wtrąciła panna, jak gdyby mówiąc do siebie.

Tymczasem matka wyszła do sąsiedniego pokoju i oknem wyjrzała na wolną przestrzeń.

— Nie ma obawy — zawołała — niebo całkiem bezchmurne, wieczór zupełnie pogodny...

— A jednak czasem... czy to nie wiesz, mamó... piorun pada nagle i z jasnego nieba...

Panienka oparła głowę o piersi matki, podnosząc jej rękę do ust dla ucałowania na odchodnym.

— Co tobie, Wisienko moja, czyś ty nie słaba... jakaś dziwna jesteś dzisiaj, nieswoja... Nie idź na leśniczówkę, zostań ze mną, dziecko...

To mówiąc, pociągnęła córkę ku staroświeckiej kanapie w rogu jadalni, lecz drogę im zaszła niespodzianie staruszcza, posuwająca się przez pokój — jak cień — cichutka w swoich miękkich pantoflach, w sukni czarnej, od której bladością mary odbijała twarz pożółkła, lecz bardzo piękna mimo stu zmarszczek podeszłego wieku, z przedziwnym wyrazem łagodnej dobroci, w aureoli drobnych loczków śmietankowego koloru siwizny, przysłoniętej na tyle głowy ażurowym czarnym czepeczkiem.

Była to pani Adela Molowa, córka szwoleżera napoleońskiego, a przed laty rezydentka na dworze lilizkowskim, dziś na łaskawym chlebie cichutko żyjąca w

swoim, antykami pamiątkowymi przepelnionym pokoiku na piętrze oficyny, tuż naprzeciw odwiecznej baszty.

Nie zawadzała ona nikomu na świecie, żadnych potrzeb osobistych nie miała, a jadła mniej od kurczęcia — jak sobie żartował pan Leszek. Dla wszystkich miała zawsze jednako życzliwy uśmiech w dużych, melancholijnych, szeroko jeszcze otwartych oczach, o barwie zbielejących bławatów.

Świat cały przytulałaby do kochającego swego serca — ta dziwnie spokojna, jakby z miniatURY, za pradziadów naszych malowanej, żywcem wycięta matrona, sama pełna rzewnego smutku i żalosej tęsknoty, ale pragnąca widzieć dokoła siebie wszystkich roześmianych szczęściem zadowolenia i starająca się nigdy nie zasmucać nikogo.

To też pani Starowolska i jej córka poznać nie mogły dobrej babuni — jak staruszczkę nazywano — gdy teraz nagle, a po swojemu cichutko, stanąwszy w półmroku stołowego pokoju przed niemi, rzekła:

— Ktoś umrze...

Struchlały obie kobiety.

— Ktoś umrze na pewno — powtórzyła pani Molowa z przekonaniem w głosie lekko drżącym, acz zawsze dziwnie melodyjnym i miłym. — W okrągłym oknie u szczytu baszty oderwała się przed chwilą od gzymsu nowa cegła i spadła ze świstem na sam dół... To już siódma cegła. A przecież za każdym razem ktoś z rodziny umierał... Wy nie pamiętacie... Zresztą już od trzynastu lat nie spadła ani jedna cegła... Lecz tym razem to już pewne, że ktoś z rodziny umrze...

— Ależ babuniu — chciały protestować młode kobiety.

— Nie próbujcie mnie przekonywać... To znak nieomylny. Może nie w domu, nie bójcie się, może gdzieś bardzo daleko... jak przed czterdziestu laty brat mój w samą wigilię Bożego Narodzenia umarł na Kamczatce...

— Przecież babunia już nikogo ze swoich nie ma dziś na świecie, a z naszych — perswadowała pani Maria — przecież my bliskiej rodziny nigdzie nie mamy...

W mrocznym pokoju nastąpiła cisza po tych słowach. Zegar w dębowej szafce nad kanapą tykał spokojnie, a na stole z samowara dobywały się resztki głosów, coraz niespokojniejsze, syczące, chrapliwe...

— Moja mamó — odezwała się po długiej chwili milczenia ogólnego panna Jadwiga głosem nad wiek jej poważnie brzmiącym — czy to tylko węzły pokrewieństwa i powinowactwa tworzą prawdziwie bliską rodzinę... W życiu się zdarza — zaczęła dalej, lecz zamilkła. A wraz z nią milczała matka i pani Molowa. I tylko w mroku tłukły się jakby skrzydła nietoperza — słowa cichej staruszki:

— Ktoś umrze...

#### IV.

Lasy lilizzkowskie dymiły złotą łuną od zachodu słońca, kiedy się po nich rozniosły echa pieśni wieczornej na Janowym rogu.

Blaski cudnego pożaru pogasły, jednak rychło w puszczy ogromnej i przepastnej mieszanego lasu liściastego, który poczynał się koło leśniczówki i rozciągał ku północy i wschodowi, a od kilku dni stroił się w coraz bogatsze okrycie o jasno zielonych odcieniach.

Dłużej za to płonęły ognie złote w czarnym, sosnowym borze, wysuniętym najbardziej na zachód od wzgórza dworskiego.

Pod chwiejącymi się na smukłych masztach wiechami wiecznie zielonego igliwia, drgały tu w żywicznym powietrzu śpiewne echa niedalekiej gędźby, ale je zagłuszało głośnie naszczekiwanie.

Na wydeptanej między sosnami ścieżynie harcowały dwa psy. Obok zgrabnej wyżlicy o długim i miękkim białym włosie, przypominającej wytwornymi ruchy delikatną panienkę dworską, rzucał się na wszystkie strony w skokach iście niedźwiedzich, olbrzymi, człowiekowi powyżej pasa sięgający „Leonhard”, niezwyklej maści kruczoczarnej, którego każde odezwanie się huczało grzmotem po głuszy leśnej.

Nie było w tej chwili nic groźnego w jego szczekaniu, miało ono bowiem objawiać właśnie dobry humor i uradowanie, z jakim co chwila przyskakiwał pies do swego pana i znów naprzód odbiegał, najczęściej zostawiając białą swą towarzyszkę przy nogach pana.

Był nim starzec chudy, wysoki, wyprostowany, w długiej burce ciemnej, a wieloletnim użyciem wytartej, z siwą głową bez okrycia, podniesioną w górę, jak u młodzieńca. Nogi były w sandałach, a w rękach nie niósł nawet kija, na którym mógłby się opierać w drodze. Zresztą twarz wygolona, ogorzała, wskazywała swą niezwykłą przy bielutkich włosach czerstwością, że w tej męskiej postaci starca musi być siły i zdrowia tyle, co w jego rówieśnikach — dębach stuletnich u bramy wjazdowej do dworu lilizzkowskiego. To ksiądz Kazimierz Gajtys.

Pleban lilizzkowski był rodem ze Żmudzi, ale duszą żył wiecznie nad Wisłą, mimo, że pierwszą połowę życia spędził na tułactwie po świecie, a przez drugą nie wychylił się ani razu ze swej pustelni leśnej pośrodku smutnej ziemi inflanckiej. Oprócz wzgórza dworskiego i wioski Łotyszów, dokąd śpieszył w obowiązkach kapłańskich i na każde zawołanie, i nieraz bez wzywania, nie bywał nigdy poza Lilizkami od pół wieku, chyba że w puszczy leśnej.

Teraz właśnie o przedwieczornej godzinie przechadzał się środkiem lasu, rozmawiając wesoło z psami.

Schylił się po szyszkę i cisnął nią daleko na dróżkę, niby kamykiem. Psy rzuciły się przed siebie, a biała wyżlica wyprzedziwszy czarnego towarzysza, przyniosła ucieszona szyszkę swemu panu.

— Bies, Bies... i ty się, bratku, nie wstydzisz — wołał ksiądz roześmiany — no, nie pozwól jej tym razem — i rzucił szyszkę powtórnie, a kiedy mu ją z



powrotem znowu wyżłicza odniosła wśród głośnego szczekania Biesa, ksiądz zaczął ją głaskać po głowie, mówiąc: — Grzeczna Mara, moja biedna Mara, nie ma się z kim pobawić, chciałaby sobie pobiegać, poskakać, prawda... A może byś ty chciała i polatać, co?... Poczekaj, pan Bolko przyjedzie, to cię weźmie na swego latawca i polecicie daleko, wysoko, pod niebo... Moja grzeczna Mara... ona rozumie... Przyjedzie pan Bolko? No powiedz.

A psina cieszyła się pieścizotami starca i szczekała w odpowiedzi, jak gdyby ten dźwięk „pan Bolko” mówił jej wiele.

Ksiądz rozejrzał się po niebie.

— Bies! — zawołał na psa, który odbiegł daleko przed siebie. — Wracaj... Już po zachodzie, chodźmy Pana Boga pochwalić i spać pójdziemy... Chodźcie, moje pieski, chodźcie...

Za chwile ksiądz Kazimierz wraz z Biesem i Marą znalazł się na samym skraju lasu, skąd rozciągała się wielka polana między leśniczówką a sadami otaczającymi mury dworu.

Tu, pod żywą ścianą sosen, oparta z jednego boku o grupę olch, tulących się do ramion wysokiego, prawie już spróchniałego krzyża na kopcu kurhanka, drugim bokiem ocierając się o rozłożystą koronę wiekowej lipy, z ołtarzykiem bardzo starym w dziupli, sterczała górnio i szeroko, z dębiny mocno zbudowana dzwonnica.

Trzy spore dzwony kołysały się na jej szczycie, pod dachem przypominającym kształtami staroświeckie wierzeje w pobliskich obejściach lotewskich, a okrytym wiechą przechylającej się właśnie na tę stronę pierwszej z brzegu lasu sosny.

W ścianie od polany miała dzwonnica w połowie wysokości drugi daszek, podobnego kroju, lecz znacznie mniejszy. Pod nim, u samej góry, przed największą śnieżycą czy ulewą rześistą dobrze osłonięte, wisiały prawie niedostrzegalne dla przechodnia, któryby się pod dzwonicę zapuścił, dwa na krzyż złożone i dawną rdzą pokryte pałasze, powyżej cztery pistolety, poniżej zaś ładownica i złamana we dwoje strzelba wojskowa.

Wszystko to miało barwę prawie jednaką, szerniałą, i tak było rdzą zjedzone, że dobrze trzeba by się wszystkiemu przypatrywać, chcąc szczegóły rozeznąć, zwłaszcza, że przedmioty te już mało co odbijały od ciemniejszego z czasem tła desek i że we wszystkich zakamarkach ozdobnego daszku pełno było gniazd ptasich...

Natomiast wyraźnie rzucały się w oczy, znacznie niżej wiszące obok siebie, dwa duże ryngrafy z grubej blachy, na których można było jeszcze rozróżnić kolory i rysunek wizerunków.

Na jednym była matka Boska Częstochowska, na drugim Najświętsza Panna Ostrobramska.

Obrazek wileński miał na blasze ślady granatu spod Somosierry, na jasnogórskim były blizny od cięć wojskowych pod Stoczkiem.

Pierwszy ocalił życie szwoleżerowi napoleońskiemu, którego córką była kapitanowa Adela Molowa, drugi pierś jej męża osłaniał od razów śmiertelnych w bitwach wojny roku 1830-go.

Do nich też obu należały rdzą dziś zjedzone na dzwonnicy pod lasem pałasz ułańskie, które tu pół wieku temu wraz z ryngrafami zawiesił, już jako weteran, kapitan Zygmunt Mol, rezydent na dworze lilizzkowskim.

Jego to postać stanęła wyraźnie w myślach ks. Kazimierza w chwili, gdy z psami u nóg przystanął teraz przed dzwonnica.

Dobrze pamiętał tego marsowatego ułana, po którym już lat trzydzieści nosiła pani Adela suknie wdowie, a który — jak nikt inny z najdalszych sąsiadów — gospodarował świetnie w Lilizkach.

Zaledwie lat kilka minęło od osiedlenia się Żmudzina w pustelni przy kaplicy leśnej, a nie było już na sto mil wokoło przyjaciół prawdziwszych, jak ksiądz z rządcą lilizzkowskim. Ale też nikt z tych, którzy wprzód z bliska pana Mola znali, nie byłby w nim poznał dawnego ułana, tak się w Zygmuncie inny zgoła człowiek zrodził pod wpływem Kazimierza. Żywo w pamięci wiekowego Żmudzina stanął w tej chwili rok sześćdziesiąty trzeci. Pierwsze wieści, jakie z Litwy i z Polski dobiegły tutaj do nich prawie niespodziewanie... Potem pierwsze listy o bitwach, o wielkich tragediach znajomych rodzin, o łzach i krwi... o żałobie narodowej...

Nikt w tym czasie nie poznawał w rezydencji dawnego ułana. On, który lata całe rwał się do pałacza, marzył wiecznie o nowej wojnie, wzdychał choćby do partyzantki po kniei — teraz, gdy pierwsze wieści przysły na Inflanty o jej wybuchu w różnych stronach i o tym, że się wszędzie gotuje rewolucja, byłby co prędzej na koń siadał i leciał setki mil do pożaru i od obozu do obozu biegłby po kolei — zaklinać wszystkich dowódców: „Do domu wracajcie! Broń złóżcie!”

Do nóg byłby padał młodziutkim partyzantom po lasach z fuzijką na plecach — on, stary ułan z pod Stoczka, Grochowa — i byłby ich błagał: „Nie bijcie wy się, krwi nie przelewajcie, ni sobie życia z żył nie dajcie toczyć!”...

On przecież w wielkim lochu pod basztą dworską przechowywał w ukryciu, w spuściźnie po przodkach dziedzica lilizzkowskiego, cztery staroświeckie, lecz niezwykle pod względem wojskowym choćby i dziś pożyteczne — armatki, o których lat dziesiątki marzył w ciszy, że kiedy godzina wybije, przemyci je ukradkiem do Polski i do obozu odda w godne ręce, sam się stawiając pod rozkazy dowódcy jako doświadczony żołnierz...

I oto kiedy pora właśnie nadeszła potrzeby, wyciągnął spiż spod baszty, lecz na to tylko, by za radą księdza Kazimierza, posłać stare działa do przetopienia na dzwony.

Wtedy to stanęła pod lasem, nieopodal kaplicy, dębowa dzwonnica, na której ułan-weteran swoją i teścia swego broń zawiesił na pastwę rdzy wiecznej, pod daszkiem niby lamusa schowaną — i do ściany dwa blaszane ryngrafy wiary i nadziei przymocował — a z wierzchołka dębowej wieży u progu kniei kazał

spiżowi, miast zniszczenie w boju — roznosić daleko kojącym dźwiękiem dzwonów chwałę Boga Miłości.

\* \* \*

Codziennym zwyczajem stanął pleban lilizkowski po przechadzce leśnej o wieczornej godzinie przed dzwonnica. Psy zaraz, jak gdyby nauczone, pokładły mu się spokojnie u nóg, a starzec wpatrzywszy się w ryngrafy rdzawe, trząsł siwą głową przez chwilę niemą... Wreszcie słowa modlitwy wybiegły z duszy na usta i uderzając o wieżę dębową, odzywały się głośno, a słuchała ich lipa sędziwa z ołtarzykiem w dziupli i olchy wiankiem krzyż otaczające i bór sosnowy ciemny i głuchy słuchał i szeptem ech-westchnień powtarzał obłokom, lecącym z nad smętnej ziemi inflanckiej w dalekie niebo...

— O Panno Przekzysta, która Jasnej bronisz Częstochowy i w Ostrej świecisz Bramie, wysłuchaj nas pielgrzymów...

...Bogarodzico, którą przodkowie nasi, świątyn z krzyżem Syna Twego broniąc przed zniewagą wyznawców księżycy, chwalili w polu szumem skrzydeł husarskich...

...Ty, coś rycerzom niemieckim krzyż noszącym, a żywotem bluźniącym Bogu, nie dała zwycięstwa pod Grunwaldem, a w ręce Kordeckich broń wkładałaś nadludzką do odparcia wroga Twojego — Szweda...

...Mario, Opiekunko konfederatów i legionistów, któraś na blachach poświęconych piersi dziadów i ojców naszych tak cudownie zasłaniała w bitwach krwawych od ciosów śmiertelnych... wysłuchaj nas pielgrzymów!

...Córo Dawidowego rodu, na Matkę Syna Bożego przez Pana wybrana z pośród umiłowanego ludu tułaczów izraelskich...

...Oto drugi naród przez Boga hojniej nad inne obdarzony i srożej nad inne doświadczany, naród wybrany, a na tułactwo wiekowe dla szczęścia ludzkości skazany, obrał sobie Ciebie, Panno Częstochowska, na swoją Królową...

...Wysłuchaj Ty nas, Dobra Matko, wysłuchaj słów pod krzyżami przydrożnymi z Męką Syna Twego modlących się pielgrzymów, których prorocy Pańscy a czciciele Twoi wiodą przez ciemne manowce tułactwa do ziemi obiecanej...

...Usłysz nas, Królowo! Syna Swego uproś w Niebiosach, by pielgrzymom zdrożonym a stęsknionym dał ujrzeć Ojczyznę...

\* \* \*

Cisza wielka zaległa po głośnej modlitwie starca chwiejącego siwą głową, nigdy nieokrytą, a dźwigającego w górę ramiona, jako ten krzyż pośrodku wianka olchowego pod borem sterczący ku niebu...

Powoli obszedł pleban-pustelnik szeroką wieżę dębową, omijając psy wylegające się dalej na murawie — i stanąwszy z przeciwnej strony, ujął w ręce sznury.

Jeden z trzech dzwonów na szczycie zakołysał się i jako przedtem z ganku leśniczówki — zerwała się teraz z pod boru druga pieśń wieczorna, inna, a nie mniej serdeczna w swej tęsknocie miłości pełnej, rzewna w swym żalu i smutku, dziwnie pomieszany z wiarą i nadzieją.

„Zdrowaś Mario” — śpiewał dzwon, wołając po wsi na „Anioł Pański”...

A pustelnik w sandałach, targając sznurem miarowo, szeptał z cicha: „Zdrowaś Polsko”... Za trzecim razem dzwon umiejętną ręką powstrzymany — ukoił się i uciszyło się z powrotem dokoła i w borze i na wielkiej polanie zielonej i w sadach białych przy drodze i w sąsiedniej Łotyszów osadzie... Tylko mgiełki białe, ledwie dostrzegalne, zaczęły podnosić się znad jeziora i wlatywać nad wzgórze dworskie ku zielonym ścianom kniei...

Ksiądz Kazimierz wyszedł spoza dzwonnicy, a w tej chwili Bies czarny i Mara biała dźwignęły się z przyzwyczajenia same z murawy i powlokły się za swoim panem i przyjacielem, który dróżką w głąb lasu zmierzał, wracając na spoczynek nocny, do swej pustelni przy kaplicy.

Aliści nie skrył się jeszcze w gęstwinie, gdy naraz przystanął i wpatrzył się uważnie w stronę leśniczówki, skąd poprzez polanę ktoś biegł pośpiesznie ku dzwonnicy. Psy już się niecierpliwiły, ale pleban nie ruszał się z miejsca przez chwilę, poczym z dróżki leśnej zawrócił w stronę leśniczówki, idąc naprzeciw biegnącego posłańca.

— A co tam, bratku — wołał, gdy ich już przestrzeń dzieliła nieduża — panicz przyjechał... pan Bolko jest... co bratku, gadaj!...

Psy zaszczekały parę razy od niechcenia, po czym ogonami machając, ucichły, witając się z przybyszem.

— Coś złego u was, Marcinku — mruknął ksiądz do parobka, ledwie ten do niego przypadł — miarkuję, bratku, po twojej minie...

— Nasz pan leśny zachorzał... panienka przysyła...

— Nie daj, Panie Boże, nie daj, Panie Boże — szeptał starzec do siebie, jakby nagle mocno strapiony.

— Leć no, Marcinku, do dworu... Ja tam do was idę żywo...

Poczym, gdy posłaniec odbiegał, pleban rękę położył na łbie ogromnego Biesa.

— Ty, bratku, wracaj sam do domu i kładź się spać...

A kiedy czarne psisko ze smutkiem spojrzało zaszkloną źrenicą w oczy starca, ten pogłaskał Biesa po łbie i jeszcze raz odezwał się doń głosem proszącym:

— Sam... sam do domu...

Czarny olbrzym wspiał się łapami na piersi wysokiego starca, liznął go w brodę i odszedł ze spuszczonego ogonem w ciemną toń boru.

— Mara ze mną — rzekł ksiądz do białej wyżlicy, która prawie ocierając się o jego kolano, szła tuż przy nodze swego pana, zmierzając ku leśniczówce.

— Nie daj, Panie Boże — szeptał co chwila do siebie, śpieszący do przyjaciela stary Żmudzin — jeszcze nie... Ojciec nasz... jeszcze nie tak rychło... Bądź wola Twoja...

## V.

Kiedy panna Jadwiga Starowska wychodziła z oficyny dworu, by pomóc Hance w potrzebie, działo się z nią coś dziwnego, z czego sama nie umiała sobie zdać sprawy.

Wszak śpieszno jej było na leśniczówkę, gdzie czuła się o każdej porze jak we własnym domu, gdzie każdy zakątek nie tylko nie był jej obcym, lecz niemniej miłym, jak byle drobiazg w jej różowym pokoiku panińskim... Śpieszno jej było do najlepszej przyjaciółki, by ją w nieszczęściu pocieszyć i wyręczyć w gospodarstwie; śpieszno było i do chorego ojca Hanki, sędziwy pan Jan był bowiem dla Wisi kimś bardzo drogim i bardzo bliskim... Więc co prędzej chciałaby się tam znaleźć w ślad za swoim ojcem.

A jednak ledwie próg przekroczyła, już się nie śpieszyła wcale, już byłąby chciała kilkakrotnie przedłużyć sobie drogę na leśniczówkę, byle móc jak najdłużej znajdować się w samotności, byle móc nie słyszeć pytań ojca i nie czuć spojrzeń troskliwych matki na swej twarzy...

Sam na sam zostać ze swymi myślami na dobrą chwilę... Zamknąć się w głębi duszy, a odetchnąć świeżym powietrzem, nie zamkniętym murami, które jej piersi przytłaczały, gniotły...

Kiedy za progiem minęła grupę modrzewi i szpalerem wielkich krzewów bzowych, całych w pęczach, doszła do trójkątnego gazonu ze studnią pod czeremchami, świeżo kwieciami wonnym ubielonymi, zapach silny w powietrzu wieczornym tak rozmarzył dziewczynę, że — zapominając niejako, dokąd i po co iść miała — przystanąła naraz przy studni i na chwilę jeszcze została tu pośrodku podwórza, dając się upajać i oszalać coraz bardziej tej woni duszącej, co na nią spływała z białych kiści kwiatnych i w duszę wsączała się powoli — niby krople narkotyku pozornie uspakajające, a drażniące zarazem...

— Tak samo pachniały wtedy — szepnęła do siebie panienka i obie ręce przycisnęła do piersi.

A potem dłoń wyciągnęła do najniższej na drzewie gałązki i zerwawszy białą kity, ustami do niej przywarła, szepcąc:

— Tutaj też pożegnaliśmy się w ostatni wieczór przed jego wyjazdem...

Ta myśl poderwała ją z miejsca, jak gdyby przypominając cel wyjścia z domu.

Przebiegła Jadwiga dziedziniec i dopiero dęby wiekowe minąwszy w bramie obejścia dworskiego, zwolniła kroku.

Znalazła się na wielkiej polanie puste, powleczonej dywanem bujnej trawy, przetykanym gwiazdkami stokroci. Tędy wiodła droga na leśniczówkę.

Dziewczyna, uszedłszy kilkanaście kroków po szarej ścieżynce, przerysowanej zieloną murawę, która perliła się teraz wieczorną rosą, przystanęła znowu, rozejrzała się dokoła i podniosła oczy w niebo. Oczyszczał się widnokrąg z chmur, które rozbiegły się od zachodu i przechodził powoli w coraz wyraźniejszy szafir. Zmierzchu nie było znać wcale, mimo że po słońcu nie było już ani śladu. Powietrze zrobiło się białoszare, można było przeto rozróżnić wszystko z daleka. Dziewczę rozglądało się dokoła — jak gdyby opóźniając chwilę, w której trzeba będzie znowu wyrzec się rozkoszy samotności. A tak dziwnie dobrze czuła się tutaj Jadwiga wśród pustki. Zdawało jej się, że może sobie do woli gwarzyć z własnymi myślami, które cisnęły się gromadą do głowy i do serca, jak do ręki ziarno sypiącej zlatuje się stado gołębi i napełnia przestrzeń gruchaniem i trzepotem skrzydeł.

Wisia widziała się na tej polanie zielonej, rozciągającej się na wzgórzu między knieją, sadami i jeziorem — przed wielu laty dzieckiem... Pustoty pełno było jeszcze w jej zabawie, której nie płoszyła nigdy zaduma późniejsza. Umiała Wiśka uganiać po tej łące jak chłopak, mając i za towarzysza zabaw zawsze tylko chłopaka.

Znacznie od niej starszy Bolko miał w dziewczuszcze najmilszego powiernika i przyjaciela najwierniejszego. We dwoje umieli nie tylko bawić się tak dziwnie przyjemnie, jak inne dzieci między sobą nie umiały, ale także marzyć głośno...

Ot tutaj, w tym samym miejscu, dużym z ziemi sterczącym głazem łatwo odznaczonym, urządzali sobie stację, z której Bolko wypuszczał okazałego — jak na własny wyrób chłopięcy — latawca, wspólnie z Wisią kolorowymi papierami oklejonego.

Nie było dla nich obojga rozrywki przyjemniejszej, której też umieli poświęcać z zadowoleniem zupełnym długie godziny przygotowań.

Była to zarazem prawdziwa namiętność młodego chłopaka, który na szkolnej łące, odbiegając jak najdalej od lekcji, przemyślał wiecznie nad coraz to inną konstrukcją „orła”, a kiedy tylko mógł już z teorii przejść do doświadczeń praktycznych na wakacjach w Liliszkach, poświęcał dosłownie całe dni bądź puszczaniu latawca, bądź też przerabianiu go na coraz to inny system, nikomu innemu nieznany. Z każdym zaś nowym pomysłem zwierzał się Wisi, która też zawsze była pierwszym świadkiem prób, klęsk i tryumfów „orła”.

— Tu na kamieniu stawałam — myślała w tej chwili panienska — brałam w ręce ogromnego latawca i trzymałam go tak, jak Bolko polecił. On zaś odbiegał daleko za sznurkiem w ręce, poczym wypuszczaliśmy „orła” w powietrze, a wiatr porywał go ku niebu, bardzo daleko i bardzo wysoko... A myśmy się cieszyli i smucili, że „orzeł” z rąk naszych ulatał i tylko papierową figurkę unosił z sobą, nie nas... Zazdrościliśmy tej laleczce, latającej z „orłem” pod obłokami... Bo myśmy pragnęli, by ten latawiec mógł nas zabrać z sobą w przestrzeń wolnego powietrza, by unosił nas ku słońcu...

Co za radość była, gdy nareszcie powiodło się Bolkowi skonstruować latawca zupełnie nowego i do powszechnie znanych studenckich systemów

niepodobnego, latawca, który zabierał z sobą dwie duże laleczki, z gliny na ten cel umyślnie ulepione. Po kilku katastrofach, lot udał się wybornie. Laleczki bez szwanku powróciły z podobłocznej podróży...

Aliści od tej chwili młodziutki wynalazca nie miał ani godziny spokoju. Myśl jego zaczęła w tym kierunku pracować dalej bez przerwy, a troski Bolka podzielała Wisia, ona jedna, którą chłopiec skryty wtajemniczył w szczegóły swego pomysłu.

Odtąd marzyli we dwoje nad tym, co począć, by „orzeł”, zamiast figurek glinianych — mógł ich samych unieść z ziemi ku niebu.

Następny model latawca był już trzy razy większy i obudził zajęcie powszechne wśród mieszkańców Liliszek. Był tak mocno z drzewa i drutu zbudowany, że mu najsilniejsza wichura nie mogła zrobić nic złego, a papier ustąpił w nim miejsca grubemu płótnu.

Babcia Molowa, podziwiając cudowność w pomysłach syna leśniczego, zrobiła z włóczki i z trocin drzewnych pudła naturalnej wielkości, którego „orzeł” Bolkowy porwał z ziemi łatwo i poniósł z wiatrem pod obłoki, gdzie latał z wronami pospołu przez godzinę. Wprawdzie latawiec powrócił spod nieba cały, ale zanim wylądował, wypuścił z siedzenia pudła, który ze znacznej wysokości spadł w toń jeziora.

Doświadczenia pouczyły wynalazcę — i na przyszłe wakacje „orzeł” Bolka bujał niemal co dzień nad cichymi Liliszkami już znowu w innych kształtach, a co najważniejsza, że nie na uwięzi.

Tym razem oprócz Wisi tajemnicę budowy przyrządu latającego poznał największy Bolka przyjaciel, ksiądz Kazimierz, który przyrzekł młodziukiemu wynalazcy, że jej nikomu sam nie powierzy. A dotrzymał jej tak skrupulatnie, że nie wyjawiał szczegółów urządzenia nawet ojcu Bolka, mimo, że z panem Janem nie miał pleban nigdy sekretów.

Czas mijał, a syn leśniczego poważniał coraz bardziej. Odtąd wolne chwile pobytu na Inflantach dzielił młodziutki studencik między długie rozmowy poufne bądź ze starym Żmudzinem w leśnej pustelni, bądź też z rozwijającą się cudnie z dziecięcego pęcza Wisienką — a długie rozmyślenia samotne nad nowym pomysłem latawca już nie dla zabawki.

Na przystojnej twarzy młodzieniaszka zasiewał się już zarost wczesny a bujny, mimo jasnego koloru włosów, kiedy Bolesław ferie szkolne spędziwszy na Wielkanoc w leśniczówce ojcowskiej, zdołał pierwszy raz zrozumieć i po imieniu nazwać przed samym sobą przywiązanie, jakie łączyło go z jedyną przyjaciółką i towarzyszką zabaw dziecięcych, z jedyną powiernicą rojeń i marzeń młodocianych.

Przed powrotem do Warszawy, żegnając się z Wisienką u studni pod pachnącymi w białych koronach kwiatnych czeremchami, pierwszy raz rozmawiał z dziewczyną głosem o jakimś zgoła innym, nieznanym im wprzód tonie. Tu wśród upajającej woni w ciepły wieczór wczesnej wiosny, padło

pierwsze „kocham” z ust studenta. A pierwsze wyznanie miłości związało się z niezwykłym przyrzeczeniem, wymówionym z dziwną mocą wiary młodzieńczej:

— Ale ci przysięgam, Wisienko, że moją nie zostaniesz, dopóki nie powiesz mi się ostatecznie zbudować latawca, na którym bezpiecznie moglibyśmy oboje ulecieć z ziemi w podróż powietrzną pod niebo, ku słońcu...

Od owej chwili uroczystej nieraz już zakwitały czeremchy i deszczem białych kropek zasypywały gazon zielony przy studni pośrodku dziedzińca dworskiego.

Młody pan Bolesław przyjeżdżał przez ten czas do Liliszek niemniej często, ale coraz krócej bawił na pustkowiu za Dźwiną, odkąd z Warszawy przeniósł się na szerszy świat — dla wyższych studiów.

Kształcił się odtąd w uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie i w politechnice polskiej we Lwowie, po czym pojechał do Zurychu. Ale nigdzie długo nie posiedział, niby duch niespokojny przenosił się z jednej do drugiej uczelni, ze Szwajcarii do Belgii, z Francji do Anglii, wszędzie jak gdyby czegoś szukając i odchodząc dalej niezaspokojony...

Zwierał się z tego stanu ducha w listach, które zrazu długie i częste, z czasem coraz krótsze i dla istotnego braku czasu coraz nawet rzadsze, przychodziły na Inflanty od młodego inżyniera to do uwielbianego ojca na leśniczówce, to znów do ukochanej Jadwigi w dworskiej oficynie, to wreszcie do sędziwego przyjaciela w leśnej pustelni.

Wiele radości nieciły często te listy z Zachodu w smętnym nastroju życia nad melancholijnym jeziorem liliszkowskim na dalekiej północy.

Ale niekiedy bezwzględny nietajeniem prawdy budziły listy Bolka trwogę, jak te białe od ziemi pomalowane drzewa w sadach dworskich, straszące po nocach upiornością kształtów fantastycznych.

To było wtedy, gdy śmiały technik odbywając praktyczny kurs aeronautyczny w Belgii, miał kilka fatalnych wypadków, lecz mimo to nie wahał się wcale narażać w dalszym ciągu życia, byle — jak pisał — żyć się całkowicie z żywiołem powietrznym, bez czego nie mógłby być pewnym, że mu się uda zapanować nad nim zwycięsko.

Wówczas to, kiedy dłużej z poczty nie można było niczego się doczekać, panna Jadwiga wychodziła z domu na parę godzin, by jej nikt nie widział, jak płakać pomagała wiecznie smętnym białym brzozom na pustkowiach bezludnych łąk intlanckich.

A kiedy sam, zamiast listu długo wyglądanego, zjawił się raz Bolko w Liliszkach, zdawało się kochającej dziewczynie, że go odzyskała cudownie zmartwychwstałego.

Tylko odtąd troska stała się nieustającą. Młody inżynier bowiem wyjawiał swej powiernicy tajemnicę ostatnią; oto zbudowawszy za granicą samolot własnego pomysłu, dokonywa z nim w odludnym ustroniu ciągłych prób latania, zmuszających wynalazcę do coraz to nowych zmian i ulepszeń w skomplikowanej maszynie.



Więc każdy dzień, każda chwila zagrażała odtąd życiu ukochanego mężczyzny, który odważał się na wszystko, nie słuchając przestróg niczyich.

Nie pomogłaby tu prośba nawet najdroższej dziewczyny. On musiał poświęcać się całą duszą wielkiej idei, dla której żył i do której tak wielką przywiązywał wagę, że byłby bez wahania życie dla jej zwycięstwa oddał, gdyby tego było niezbędnie potrzeba.

Ale miał w piersi swojej takie zapasy wiary i nadziei w tryumf swego wynalazku, a raczej szeregu odkryć i wynalazków, jakich dokonał w tej mierze dla tym pewniejszego a samodzielnego rozwiązania zagadki lotu ludzkiego, że zjawiwszy się osobiście w Liliszkach, zdołał wlać w serce Wisi prawie zupełne uspokojenie o swój los i przeświadczenie silne, że jemu pisano dokonać zbyt wielkiego dzieła — by miał paść w połowie drogi.

Toteż nie rozpaczała panienska, lubo Bolesław zabawił w domu tym razem krócej niż kiedykolwiek i załatwiwszy z ojcem bardzo ważne sprawy natury finansowej, odjeżdżał co prędzej z powrotem, pracować nad swoim samolotem.

Ale odkąd opuścił tym razem Liliszki, nie wrócił jeszcze i nie przyjeżdżał — mimo, że nigdy przedtem nie zdarzyło się, by przez czas tak długi nie odwiedzał ojcowego domu.

Toteż dziwili się wszyscy niemało temu, że Bolko nie zważa nawet na późny wiek ojca i nie korzysta z żadnej okazji świątecznej, by pocieszyć starca choćby parodniowymi odwiedzinami.

Łatwo więc było zrozumieć, dlaczego sędziwy leśniczy tracił powoli dawny swój humor i posmutniał na koniec ostatnimi czasy. Ani go córka rozerwać nie potrafiła, ani starszy przyjaciel — pleban — nie zdołał uspokoić co do losu syna, sam zresztą ciągle swego młodego ulubieńca wspominając z utęsknieniem serdecznym.

A cóż mówić dopiero o panie Jadwidze, która czytując pilnie w gazetach o częstych wypadkach nieszczęśliwych, a niejednokrotnie o katastrofach najtragiczniejszych na polu prób z najnowszymi wynalazkami w dziedzinie aeronautyki i awiacji, musiała mimo woli truchleć na myśl, że i jej Bolkowi mogło by się przydarzyć coś złego w razie nieudanego wzlotu.

Pożerała obecnie każdą wzmiankę w pismach codziennych i tygodniowych, jakie tylko do rąk jej tutaj dochodziły z dalekiego świata, o wszystkim, co dotyczyło rozwoju lotnictwa.

Rozumiała się na tym, zbyt blisko bowiem bywała wtajemniczana zawsze przez Bolesława w szczegóły techniczne jego pomysłów oraz wynalazków jego konkurentów głośniejszych.

Wyjątkowo jednak najmniej miała już pojęcia o jego ostatnim samolocie, o którym pisał jej Bolko, że dosiadając go w wycieczkach powietrznych, ma wrażenie, iż godzina jego tryumfu wybiła, ale o którym szczegółowo nic jej nie powiedział bliższego.

Próby odbywały się ciągle w największej tajemnicy i do prasy nie dostała się o samolocie polskiego inżyniera ani jedna jeszcze wzmianka.

Wiele zależało Bolesławowi na zupełnym zachowaniu tajemnicy. Jadwiga rozumiała go, podzielała jego zadowolenie z tego powodu, przyznawała bowiem słusność pobudkom, dla jakich taił się on do czasu ze swym wielkim wynalazkiem, a nie martwił się wcale pomysłami głośnych współzawodników, już chwilowo tryumfujących.

Aliści doznawała przecież przykrości, gdy tak ciągle czytała nowe nazwiska na niwie rozwoju lotnictwa.

Jakże czułaby się dumną, gdyby obok tamtych sław mogła zobaczyć na równi głośne, jeśli nie sławniejsze nazwisko umiłowanego Bolka.

W ostatnim czasie pragnęła tego już nie z samej próżności, lecz głównie dlatego, że gdyby wynalazek Bolesława był już w tej chwili znanym, miałyby przecież możliwość dowiadywać się niekiedy chociażby z gazet czegokolwiek o samym wynalazcy, który od dawna przyzwyczaił Liliszki do pozdrowień w kilku zwięzłych słowach zawartych, a pisywania listów dłuższych zaprzestał.

Co gorsza wszakże, od dłuższego czasu zupełnie ustały nadchodzić i takie od niego wiadomości. Bolek zamilkł całkiem. Z dnia na dzień czekano na próżno na słówko od niego i daremnie wyglądano jego przybycia. Toteż coraz częściej nachodziły Jadwigę chwile zwątpienia, w których biednej dziewczynie zdawało się, że musiało nieszczęście jakieś spotkać jej ukochanego. A kiedy dziś w progu pokoju stołowego stanął bosi posłaniec z leśniczówki, pierwszą myślą, jaka w jej duszy zaświtała, był lęk okropny, że to zła wieść nadeszła o Bolku...

Słowa parobka o zasłabnięciu leśniczego uspokoiły ją pod tym względem, lecz zgnębiły ogromnie. W ogóle dziewczyna czuła się tego wieczora tak rozdrażnioną i rozstrojoną, że w tej zupełnej samotności, jaka ją zewsząd owionęła na pustej polanie, zaznawała prawdziwego ukojenia.

Wspomnienie pierwszych prób z papierowymi latawcami — na widok sterzącego wśród murawy kamienia — podziałało od razu jak balsam na smutną duszę dziewczyny...

Wietrzyk znad jeziora powiał w tej chwili po polanie podleśnej, chłodząc rozognione skronie panny Jadwigi.

A kiedy mu knieja szumem odpowiedziała, wydało się dziewczynie, że w powietrzu słyszy skrzydła wielkiego ptaka, na którym nad jej głową leci Bolko i woła głośno, przypominając swoją z przed laty przysięgę:

— Ale moją nie zostaniesz, dopóki na moim latawcu nie wzlecimy znad ziemi pod niebo, ku słońcu...

## VI.

Wchodził stary Żmudzin na leśniczówkę, gdy naraz wron kilkanaście zerwało się z gniazd, czarnymi plamami odrzynających się od bładozielonego tła świeżego listowia drzew na skraju lasu. Wśród ciszy rozległy się wrzaski wroniego sejmku w powietrzu.

Mara podniosła swój długi, biały pyszczek od kolan plebana i przewracając oczyma, rozglądała się na wszystkie strony, skądkolwiek dolatywały krzyki ptasie.

Ksiądz Kazimierz machnął parę razy w powietrzu kościstą ręką i trzęsąc siwą głową, wołał głosem, w którym można by się było dosłuchać mowy zrozumiałej jednako dla ludzi, jak dla zwierząt, przedziwnej mowy miłości dla wszystkiego — co żyje.

— A cicho tam, czarne... a cicho... Co to za wrzaski... Nie słyszałyście to brzydale, że pan leśny chory... Mogłybyście krzyków nie wyprawiać... A ty się nie oglądaj, Maro, za nimi... Pójdź, psinko... No, cicho, czarne, nic mi tu nie wykraczecie...

Machnął ręką raz jeszcze, a w tej samej chwili wrony wszystkie, bijąc skrzydłami mocno, rzuciły się gromadą nad jezioro i po kolei zaczęły opadać na łączkę, zbiegającą po stoku wzgórza do wody.

Uciszyło się tedy z powrotem, gdy pleban otwierał sobie furtkę na podwórko leśniczówki. Ani jeden pies nie zaszczekał, a wyszło ich naraz sześć z różnych kątów na powitanie starca, który dla każdego znalazł inne a dobre słowo, pogłaskał każdego przyjaźnie jedną ręką, trzymając drugą na białym łbie Mary.

Jeden tylko, najmniejszy z wszystkich, nie machając jak tamte ogonem, witał się z plebanem obojętnie, ale warknął parę razy półgębkiem na Marę, wcale nie objawiając gościnności.

Schyłał się wysoki starzec do warczącego malca, by go udobruchać po swojemu, gdy wtem do ramienia przypadła mu niska a pękata kobiecina, z włosiem rzadkim i krótkim, robiącym wrażenie strun białych i czarnych na przemian ponapinanych na łysej głowie. Była to stara pomywaczka, serdecznie do tego domu od lat dawnych przywiązana, a bardzo biedna, bo od dziecka niemowa.

Całowała raz za razem księdza w ramię i łzami w oczach zielonawych błyskając, pokazywała mu na migi, że ich pan zachorował i że leży w pokoju na górze...

Za chwilę piął się pleban po wąskich schodkach z sionki między kuchnią i spiżarnią a pokojem stołowym na pięterko, gdzie nad całym domkiem górował jeden obszerny pokój, nieco niski, lecz zawsze jasny i słoneczny, bo zaopatrzony aż z trzech stron w okna i w ściętym narożniku nadto w szerokie drzwi okienne na ganeczek.

Pokój ten nie miał właściwie żadnego przeznaczenia praktycznego, a raczej służył na zebranie przy pogawędce gościom leśniczówki.

Na ścianach sterczało tu zewsząd mnóstwo rogów jelenich, między nimi zaś zwracały uwagę niektóre jako bardzo piękne okazy trofeów myśliwskich. Na jednej ścianie błyskała porozwieszana broń rozmaita, jakiej używają leśnicy, na drugiej, wśród kilkunastu dużych wypchanych ptaków, jaśniała ogromna klatka z liczną a hałaśliwą zwykle rodziną kanarków.

Tu i ówdzie, między jedną a drugą parą wspaniałych rogów, lub tuż nad głową znieruchomiłego w martwocie, a tak łudząco do żywych podobnego ptaka, spoglądała na gościa przez szkło, z czarnych lub połączanych ramek, twarz znajoma sławnego Polaka na żółtej litografii paryskiej.

Nieopodal drzwi od ganku, całą prawie ścianę zabierała ogromna kanapa, staroświecka, safianową, pięknie w drzewie rzeźbiona, której plecy szerokie sięgały bez mała pod samą powałę, a zakończone były ozdobną półką w galeryjce, spoza niej zaś złościł się długi szereg grzbietów oprawionych w płótno książek; wprawne oko rozpoznawało w nich od razu, że zawierały najcenniejsze dzieła piśmiennictwa polskiego w znanym wydaniu lipskim.

Gdzieindziej pod murem stały głębokie fotele lub taboreciki bez oparcia, albo krzeselka z niską poręczą, wszystkie do kanapy podobne obiciem, a tylko różniące się między sobą większym lub mniejszym wygnieceniem siedzenia.

Przeplatały je porozstawiane dokoła próżnego pośrodku pokoju stoliczki, w których zakochałby się zapewne zbieracz antyków. Nie było dwóch jednakich, a jeden ładniejszy był niż drugi. Znać było w nich robotę nie rzemieślnika, lecz amatora, który ślęczał nad byle drobiazgiem bez wątpienia przez długie miesiące.

Na stolikach rzucały się w oczy przybysza szkatułki i puzderka bardzo różnorodnej roboty i z rozmaitego materiału. Zwłaszcza zaś ładne były drobiazgi robione z szyszek, żołądzi, kory, kolców i tym podobnych rzeczy, których las dostarczał obficie staremu panu Janowi. On to bowiem przeważnie robił te cacka w długie godziny wieczorów zimowych, dla własnej przyjemności, dla wypoczynku i dla ułatwienia sobie samotnego przebywania z własnymi myślami...

Jakkolwiek towarzystwo ukochanej jedynaczki było dlań zawsze drogie i najmiłsze, to jednak umiał pan Jan przesiedzieć cały wieczór w milczeniu nad tego rodzaju robótką, przy tym samym stole, przy którym Hanka siedziała z igłą w ręce lub z książką.

Zarówno w domu jak w głębi kniei stary leśnik najchętniej zatapiał się w zamyśleniu, a lubo z twarzy jego bił wtedy smutek wielki, smutek pobojuwisk opuszczonych wśród bezkresnych stepów, to przecież właśnie w godzinach takiej samotnej i swobodnej zadumy, z której nic go nie odrywało do pilnego obowiązku, czuł się najlepiej.

Jedynie w towarzystwie księdza Kazimierza bywało mu równie dobrze.

Toteż coraz częściej od pewnego czasu zaglądał pan Jan do pustelni plebana w borze, a wówczas przepadał na bardzo długo.

Często też bywało ostatnimi czasy, że wiekowy Żmudzin, zaszedłszy do leśniczówki, nie zostawał jak dawniej na dole, w stołowym pokoju, gdzie rozmowy jego z ojcem musiała słuchać i Hanka, lecz przenosił się na górkę, a tu w safianowe fotele wsunięci, siadywali obaj po kilka godzin naprzeciwko siebie, gwarząc poufnie, prawie szeptem... I tylko Mara, której się czasami przykrzyło zbyt długie leżenie u nogi swego pana, objawami zniecierpliwienia zdołała niekiedy skrócić posiedzenie dwóch starców.

Z innym niż zwykle uczuciem wchodził jednak tym razem pleban z wąskich schodów do obszernego pokoju na pięterku.

Nogi, nigdy dotychczas nie odmawiające mu posłuszeństwa mimo wieku, drżały dziś niezwyczajnie ze wzruszenia, które malowało się i na pogodnej twarzy starca tym wyraźniej, im bardziej zbliżała się chwila spotkania oko w oko z chorym przyjacielem i powiernikiem.

A kiedy ujrzał go na kanapie, leżącego martwo — i córkę rozplakaną u jego stóp klęczącą, z ręką ojcowską przy drżących ustach — przystanął w drzwiach; nogi pod nim załamały się nagle...

Z trudem przyszło mu krok zrobić naprzód...

Lecz natychmiast moc ducha odzyskawszy na myśl o Hance, która potrzebuje przede wszystkim jego pociechy, wyprostował się Żmudzin, jako ten stary żołnierz odwykły od placu broni, wyprężył się naraz w wojskowej postawie na odgłos pobudki wojennej.

I ku safianowej kanapie posunął się pleban takim samym krokiem, pewnym i lekkim, młodzieńczym, jakim przed chwilą mierzył ścieżki leśne.

W oczach i w wyrazie twarzy już nikt nie wyczytałby nic więcej krom dobroci i miłości bez granic, która mu stale malowała na licach spokój i pogodę, a miejsca nie dawała ni na lęk, ni na chmurność zmiennych usposobień ludzkich.

Obie ręce przed siebie wyciągnął i złożywszy je na słaniającej się od szlochania główce Hance, sam ku niej skłonił siwą głowę i przylgnął wargami do rozpalonego czoła zrozpaczonej dziewczyny, jak gdyby pragnął tym pocałunkiem ojcowskim przelać z duszy swej w jej serce strwożone — nadzieję.

Wzrok Żmudzina utkwiał tymczasem w martwej twarzy leśniczego. Nic w niej nie drgało, jak gdyby wszystko zastygało powoli...

Podobnie i całe ciało leżało dziwnie sztywne na kanapie, tak, jak je ułożyła Hanka, przenosząc omdlałego ojca o dwa kroki z ganeczku.

Ubranie na piersiach i koło szyi porozrywała mu i porozpinała, by sobie ułatwić cucenie nieprzytomnego i jemu samemu ulżyć, bo jej się zdawało, że wszystko musi ojca ścisnąć i gniesć, dusić...

Toteż rozerwana koszula odsłaniała w tej chwili pierś leśniczego po samą gardziel.

Biała wyźlica, wsunawszy się cichutko do pokoju za nogą plebana, podeszła wprost od drzwi do chorego i wspiąwszy się lekko na łapach na kanapę, jęła na wszystkie strony obwąchiwać pana Jana. Wreszcie łeb swój wydłużony położyła mu na piersi, jak gdyby nad słuchując. Poczym po ciele obnażonym zaczęła lizać bez ustanku, delikatnie, powoli — jako pies liże sobie zranioną łapę...

Ani ksiądz ani Hanka nie odpędzali psa, w którym stary leśniczy wielkiego miał przyjaciela, podobnie jak syn jego, jak i córka. Trudno by było doprawdy określić, kogo z nich Mara uważała za swego pana, tak silnie była do nich czworga przywiązana, jak gdyby pleban z leśniczym i jego dziećmi jedną stanowili rodzinę i w jednym mieszkali domu.

Długą już chwilę wyżlica lizała pierś nieprzytomnego starca, nad którym zapłakana dziewczyna opowiadała Żmudzinowi, co się ojcu stało i jakich już środków daremnie używała — gdy wtem martwa ręka chorego drgnęła lekko, poczym dało się zauważyć przelotne ust skrzywienie, wreszcie coś jakby skurcz wstrząsnęło sterczącą z pod skóry gardziela...

Hanka do ojcowych nóg z powrotem przypadła z krzykiem radości — na widok pierwszych znaków życia w tym zmartwiałym, a tak drogim ciele...

W oku plebana błysnęła też otucha...

A wyżlica poczuwszy ruchy chorego, zadarła do góry spuszczone przedtem pod siebie ogon i machając białą kitą, co trochę pod brodę pana Jana liznąwszy, jakby z uciechy, wracała znowu ozorem czerwonym do piersi obnażonej i niby maścią odżywiającą smarowała skórę starca — pracowicie, wytrwale...

Chory ręką lewą ruszył parokrotnie, potem jak gdyby zdrętwiałe palce rozprostowywał, wreszcie sięgnął nimi ku swej piersi i przywarł dłonią do serca.

Hanka przemawiała do ojca najśłodsza mową pieśczęt miłości dziecięcej, lecz ojciec słów jej nie musiał jeszcze słyszeć.

Po dobrej wszakże chwili wargi się rozchyliły i usta otworzyły, jakby na znak pragnienia. Hanka żywo podała szklankę z wodą, którą wprzód przez zaciśnięte zęby próbowała ojcu wlać na darmo. Teraz przełknął ją z trudem, ale z widoczną chciwością.

A kiedy napił się powtórnie, całym ciałem wstrząsnął dreszcz,

— Zimno mu się robi — szepnął pleban, a Hanka co prędzej jęła ojca okrywać, poczym i drzwi od ganku chciała zamknąć, lecz ją ksiądz powstrzymał, zapewniając, że lepiej będzie zostawić mu prąd świeżego powietrza z dworu.

Nareszcie otwarły się oczy chorego, a wzrok znużony wodził spojrzenia dokoła, zrazu nie sprawiając wrażenia, by już przytomność powracała. Niebawem jednak oko zatrzymało się na twarzy Hanki i pozostało na niej dłużej.

— Zdaje się, że zmysły odzyskał — szepnął ksiądz nad uchem dziewczyny — uspokój się córuchno... zobaczysz, że rychło przyjdzie do siebie...

Wtem wargi pana Jana zaczęły drgać, zdawało się, że coś chce powiedzieć, a nie ma siły wydać z siebie głosu.

I znowu dziewczę zasypywało ojca pieśczętliwymi wyrazami, pytając czule i nadśluchując z przejęciem, zali nie usłyszy wyraźniejszego z ust jego słowa... na koniec przemówił. Usłyszeli oboje jedno tylko słowo, jedno pytanie:

— Przyjechał...?

Ścisnęło się serce Hanki nowym bólem. Co odpowiedzieć biednemu ojcu w takim stanie... Wzrok jej podniósł się na księdza Kazimierza i spotkał się z jego spojrzeniem. Porozumieli się od razu. Pleban nagle nachylił się ku przyjacielowi i głośno, z naciskiem powtórzył tuż nad nim dwukrotnie:

— Przyjedzie, bratku, przyjedzie...

A wówczas oczy pana Jana rozszerzyły się, wpatrzone w siwą głowę plebana. Poznały go. A jednocześnie cała twarz zadrgała, jak gdyby błyskawica uszczęśliwienia przeleciała przez nią z nagłą i ożywiła ją znienacka.

— Zrozumiał — szepnęła uradowana Hanka.

W pół godziny później pan Jan siedział już zupełnie przytomny na kanapie, oddychając ciężko, lecz mogąc z powrotem poruszać wszystkimi członkami. Wyglądał wszelako jak gdyby po ciężkiej chorobie. Nic nie mówił, tylko oczyma wodził od głowy Hanki do plebana i rządcy Starowolskiego, którzy stali przed nim strapieni, lubo starali się krzepić w nadziei Hanke.

Mocny odwar z ziół leśnych, przez niemowę przygotowany w kuchni, a wypity na gorąco, wzmocnił widocznie cały organizm chorego, któremu pot kroplami występował teraz na czoło.

— Do łóżka go trzeba położyć — radził rządcą, lecz pan Jan na to głową poruszył tak stanowczo, że go zrozumiano, iż opiera się tej myśli.

Wtedy Hanka prosiła go po kilka razy:

— Tutaj ojczulkowi pościelę na kanapie... nie będzie potrzeba na dół schodzić... dobrze? Ułożymy ojca, rozbierzemy, nakryjemy...

— Nie trzeba... nie — sprzeciwiał się stary, a kiedy jeszcze nalegano, odezwał się:

— Gorzej mi będzie... nie chcę... zostawcie tak...

Z dołu dano znać Hance, że Wisia przyszła jej pomóc, więc dziewczę zbiegło do niej co żywo. Wtedy leśniczy podniósł oczy na księdza, a ledwie ten pochylił się ku niemu, pan Jan szeptem zaczął mówić:

— Wiesz... to kula... obsunęła się naraz... po tylu latach... Teraz już po mnie...

Obruszył się Żmudzin

— Dajże pokój, braciszku... A któż to widział... Co też ty wygadujesz, kochanku... Gdzie tobie już... Wstyd po prostu! Jasiu kochany, mógłbyś mi być synem, a tobie się zdaje, że mnie uprzedzisz... Dajże pokój, braciszku...

— Już teraz po mnie — powtórzył pan Jan wyraźniej, lecz spokojnie. — To pójdzie prędko...

— Co za kula — zagadnął pan Starowolski księdza, nie mogąc zrozumieć, o czym mówi leśniczy.

Lecz w tej chwili pan Jan znowu się odezwał do plebana:

— To Bolko pisał?

Na te słowa wyzlica, która teraz leżała cichutko u stóp pana leśnego, z okiem czujnym, utkwionym w jego twarzy, zerwała się raptem i na pierś mu skoczyła, białymi łapami prawie obejmując za szyję.

— Mara — szepnął pan Jan, z trudem się uśmiechając i położył dłoń drżącą z osłabienia na miękkim jej włosie.

Pleban ujął psinę za łapy i ściągnął z piersi chorego, mówiąc z naciskiem, jak gdyby z wewnętrzznego przekonania:

— Przyjedzie Bolko, przyjedzie...

Pan Jan kiwał głową smutnie. Snadź domyślił się, że od syna wiadomości żadnej nie było i że go tak jedynie uspakajano tym zapewnieniem.

Po chwili zaś odezwał się głosem cichym, złamanym:

— Nie może przyjechać... Dał mi słowo, że nie przybędzie tutaj... dopóki nie będzie mógł... na latawcu swoim... przylecieć...

— Więc przyleci — podchwycił ksiądz Kazimierz

— Wierzysz... i ja chcę wierzyć — szeptał pan Jan coraz ciszej — ale już za późno... już ja go nie zobaczę... nie doczekam...

Nazajutrz w południowych godzinach na leśniczówce zebrała się cała gromadka lilizkowska. Z pokoju na piętrze, w fotelu najbliższej drzwi od ganku otwartych, siedział pan Jan — starszy o lat kilkanaście po jednej nocy.

Czuł się dziwnie spokojny i pokrzepiony po przyjęciu z rąk przyjaciela ostatnich Sakramentów, ale czuł mimo wszystko, że zbliża się kres jego życia.

Wzrok jego wybiegał co chwila poprzez ganeczek na dalekie łąki widne z leśniczówki i sięgał jak mógł najdalej. Poczym znużony wracał na pokój i wodził po twarzach otaczających go osób.

U nóg znowu leżała Mara.

Tuż przy fotelu klęczała z jednej strony Hanka, z drugiej Wisia. W progu ganku stał, o odrzwia oparty, wysoki pleban. Na fotelach siedzieli oboje Starowolscy z babcią Molową.

Pan Jan często rękę podnosił z poręczy głębokiego fotelu i kładł ją na głowę córki, głaskał po włosach, po czole i wpatrywał się w nią przeciągle, a kiedy łyzy mgłą zasłaniały mu spojrzenie, przenosił rękę na głowę Jadwigi i przesuwając palcami po jej włosach nad czołem, nowe łyzy połykał — jak gdyby z wyraźną myślą o synu... A wtedy za każdym razem wzrok jego wynosił się z pokoju, by dłużej błędzić daleko poza polaną wysłonecznioną, hen, za jeziorem lilizkowskim, po pustych a smętnych łąkach bezkresnych melancholijnej ziemi inflanckiej.

Ksiądz Kazimierz nachylił się nad chorym, pytając, czy się lepiej czuje. A wtedy leśniczy ujął go za rękę, mówiąc:

— Moi kochani, już z was nikt nie powstrzyma tego, co odchodzi... Pamiętasz, mówiłem ci raz, że mnie zapewniali naówczas lekarze... w Dreźnie i w Paryżu... jednako powiedzieli, iż ta kula może sobie spokojnie siedzieć do śmierci pod żebrem i nie będzie mi zawadzała... Ale kiedy się raz stamtąd obsunie... to będzie mój koniec...

Głowa pana Jana zwiśla po tych słowach na piersi, powieki opadły ciężko. Chory zasnął. Hanka po cichu wstała z klęczek i tuż przy fotelu stanęła, jak gdyby się lękała, że może nie dosłyszeć oddechu ojca. Odtąd każdy dech jego chwytiała uchem czułem... Sen całogodzinny pokrzepił siły starca. Kiedy oczy otwierał z powrotem, widocznie wzmocniony, otucha na nowo wstąpiła we wszystkich obecnych.

Ale pan Jan zaczął mówić po chwili z dawnym przeświadczeniem, że zbliża się jego ostatnia godzina.

— Zanim na zawsze opuszczę was wszystkich, którzyście mi byli przez tyle lat rodziną, mam jeszcze coś wyjawić ważnego, bez czego nie chciałbym spośród was odchodzić...



Hanka wybuchnęła płaczem głośnym, który wzruszył wszystkich.

— Uspokój się dziecko — mówił pan Jan do córki, tuląc jej głowę do swej piersi. — Pamiętaj, że dożyłem wieku, w którym najczęściej ojcowie rodzin śpią już w mogile... Dziękuj tedy Bogu za to, że ci dał sierotę nie zostać wśród świata obcego przed laty kilkunastu... Mogłem o wiele wcześniej pójść za matką... A kiedy dziś umrę, zostawię cię pod opieką tej całej naszej rodziny liliskowskiej... i zostawię cię już nie dzieckiem...

Słowa starca działały niezwykle kojąco. Hanka szlochać na głos ostała i tylko z cichym płaczem przyciskała czoło do kolan ojcowych.

— Nie rozpaczaj kochanie — wtrącił ksiądz Kazimierz, kładąc rękę na ramieniu Hanksi — bo nie wiesz, czy Pan nie po to wzywa niekiedy wcześniej ojców do siebie, by lepiej mogli dobrą radą z nieba prowadzić dzieci własne przez życie...

— Uspokój się, dziecko moje — zaczął znowu mówić sędziwy leśniczy — nie płaczcie po mnie — dodał szeptem cichszym, ze szczerem w głosie wzruszeniem, wodząc palcami po włosach Hanksi i Jadwigi, które dalej przy jego kolanach klęczały po obu stronach fotelu. Po chwili wzrok zwrócił na pokój. Wszyscy ocierali sobie z łez oczy.

— Po co mnie żałować... A wszakże duchem zostanę tu między wami... Nie wszystko do grobu schowacie, nie wszystko... Tymczasem wysłuchajcie mnie jeszcze, moi drodzy... i powtórzcie, co wam opowiem, synowi mojemu...

Na nowe wspomnienie Bolka głos się załamał staremu ojcu. Przerwał na chwilę. Widać było, jaka boleść rozpięła jego pierś chorą i żal bezmierny malowała na twarzy...

Milczenie trwało krótko, a w ciszy słychać było jeno miarowy chód staroświeckiego zegara i krótkie, stłumione głosy kanarków, uciszonych umyślnie zakryciem całej klatki. Wreszcie rychło zabrzmiał głos pana leśnego, jakiś wzmocniony już, a spokojny, pewny.

## VII.

— Nic nie wiecie o Kwaszewskich. Tyle wam tylko wiadomo, iż ja to nazwisko noszę i że go używają ze mną dzieci moje. Nie słyszeliście zresztą nic o tej rodzinie, nie wiecie nawet, czy inni prócz nas żyją gdzie i kto byli Bogoria-Kwaszewscy.

Dziękuję wam za to zaufanie ogromne, jakie sobie — nie wiem czym — wyrobiłem w was, a co stało się właśnie przyczyną, żeście mnie o nic nie pytali..

Podziwiam cię, mój Starowolski, ciebie, który tak wielką przywiązujesz wagę do szlachectwa, żeś nie próbował bliżej badać, kto zacy jest ten leśniczy, luboś nie wiedział nic o tym, kto go rodzi, ni skąd się wywodzi... A przecież tyś mi to sam powiedział, że... córce nie dałbyś za męża wyjść za nie-szlachcica... Jakem

Starowolski — wołałeś, pamiętam dobrze, tupiąc nogą w podłogę — nie pozwoliłbym nie-szlachcicowi staremu zabierać z domu jedynaczki...

Pociesz się, mój Leszku, żeś miał prawo być spokojny i ufać, bo cię zapewniam, iż Bogoria-Kwaszewscy to stara szlachta, prawdziwie bene nati...

Powiem wam cokolwiek o tym rodzie szlachetnym.

Za dawnej Rzeczypospolitej naszej piastowali przodkowie Kwaszewskich godności nie byle jakie i w Koronie i na Litwie, bo się rodzina rozdzieliła rychło i jedni na Mazowszu i w Małopolsce krzewili się szeroko, gdy drudzy wynieśli się kędyś za Niemen i ugrzęźli w kniei Jagiełłowej.

Aliści wcześniej niż żubry powymierali ci właśnie w puszczech litewskich gospodarujący i tylko po nich majątki ziemskie spieniężone odziedziczyli tamci Kwaszewscy znad Wisły.

Jeden z nich za ostatniego Sasa wstyd zrobił reszcie rodziny. Miał dwa duże majątki ziemskie w Krakowskiem. Naprzód mniejszy przepił, potem ostatni, znaczny, acz już nieco odłużony — przegrał w karty.

Nazajutrz rankiem, po całonocnej pijatyce, skoczył z brzegu w toń wiślaną i zginął marnie a bezdzietnie.

To był jedyny w całym rodzie wyjątek smutny. Ale hańbę tę z nazwiska Kwaszewskich zmyli do szczętu jego bracia, a zwłaszcza ich potomkowie.

Rodzina ta jednak, bardzo przedtem liczna, wymierała dziwnie prędko.

Pod koniec panowania króla Stanisława Augusta cały ród Kwaszewskich zmałał właściwie do jednego tylko domu w ziemi Warszawskiej. Był to dom wielce szanowny pana Kajetana, który gospodarował świetnie w rodzinnej wsi Porębie Kwaszewskiej, schowanej malowniczo między starymi lasami na samym brzegu Wisły.

Dwaj jego synowie w pobliżu siedzieli na dwóch niemniejszych majątkach: w Bogoryjce Stanisław, a Michał w Wólce Marjańskiej.

Kiedy pan Kajetan poległ pod Maciejowicami, młody pan Stanisław osiadł w Porębie, brata z Wólki ściągnął do Bogoryjki, a syna Tadeusza na gospodarstwo posłał do wóleckiego dworu.

Ale rychło pan Michał poszedł z kraju w świat szeroki i z legionami Dąbrowskiego przepadł bez wieści za górami, za morzami...

Tymczasem za orłami Napoleona pociągnął i pan Stanisław; z bitwy na bitwę szedł z kraju do kraju — porwany szaleńcem wojennym, jednemu synowi zostawiwszy gospodarkę w trzech majątkach.

I on do domu nie powrócił: pod Saragossą ranny ciężko, przeleżał w lazarecie cały czas oblężenia, aż ostatniego dnia, gdy buk dział zamilkł, zasnął snem wiecznym...

Kiedy wieść o jego śmierci nadeszła z Hiszpanii do Poręby, nie zastała już i syna. Pan Tadeusz bowiem służył już u boku księcia Józefa Poniatowskiego. Rychło do domu przyjechał na kilka dni, młodzieńką żonę odwiedzić i Wólkę Marjańską sprzedać na poczekaniu, a Bogoryjkę oddać w dzierżawę.

Ale sam już był w Porębie po raz ostatni przy zmysłach, gdyż niestety, całkiem nieprzytomnego, a prawie konającego, przywieziono go z raną śmiertelną w boku, z pola bitwy pod Raszynem.

Tej samej chwili, gdy go do dworu wnoszono krwią ociekającego, z twarzą niemal trupią, z zawartymi powiekami, żona młodego pana Tadeusza powiła pierworodnego syna.

Dano mu imię ojca-nieboszczyka i wychowano go również na żołnierza.

Matka gospodarowała w Porębie i Bogoryjce, gdy młodziutki ułan paradował w Warszawie w lśniącym ozdobami, barwnym mundurze podoficerskim, na Saskim Placu podczas przeglądu wojska przez wielkiego księcia Konstantego.

Kiedy zaś wybuchła rewolucja listopadowa, za zgodą matki, która Bogoryjkę spieniężyła, by na sprawy publiczne fundusze złożyć ochoczo, poleciał młody ułan na białym koniku ojcowskim w bój krwawy.

Pod Stoczkiem dosłużył się pan Tadeusz Bogoria-Kwaszewski stopnia kapitana, w olszynie grochowskiej dostał w nogę — kontuzję, a na pierś — krzyż *Virtuti Militari*...

Wrócił w objęcia matki do Poręby cichaczem w nocy, po ostatniej przegranej naszej, a pożegnawszy się czule, zniknął przed brzaskiem dnia z własnego dworu, opuścił wieś rodzinną wyjechał potajemnie z ojczyzny i zaczął tułacze życie na emigracji.

Kiedy znów po latach można było do kraju powrócić bezpiecznie, pośpieszył pan kapitan do Poręby, naglony listami matki, która beznadziejnie chora, lękała się serdecznie, zali nie przyjdzie jej umierać bez pobłogosławienia syna, jedyne go spadkobiercy ojcowizny i zarazem jedyne już naówczas z rodziny Kwaszewskich.

Zastał jeszcze pan Tadeusz matkę przy życiu, lecz ją wkrótce pochował obok mogiły ojcowskiej.

Samotnego dziedzica w Porębie zaczęto w sąsiedztwie zaraz swatać, nie chcąc mu pozwolić na starokawalerstwo, do którego z początku czuł nieco powołania. Toteż w jaki rok po pogrzebie matki tak już starsze swatki wciągnęły go w babiniec okoliczny, że naraz miał do wyboru aż cztery zakochane w nim panienki. Zawiść budził zresztą dziedzic z Poręby wszędzie, gdzie była córka na wydaniu, sam bowiem był w sile wieku i piękności męskiej, a rozporządzał niepodzielnie majątkiem ogromnym, w dwójnasób przez oszczędną i gospodarną matkę powiększonym. Wśród takich okoliczności można było przez palce patrzeć na słabszą stronę usposobienia pana kapitana, który miał humor bardzo nierówny i często z jowialnego wiarusa i miłego gawędziarza o anielskim sercu, przeistaczał się nagle w przykrego, zgryźliwego zrzędę — ile razy niestaremu weteranowi dokuczała w nodze kontuzja...

Niełatwo zatem szła sprawa zawołanym swatkom w sąsiedztwie z ożenieniem kapitana Bogorii z Poręby. Niespodziankę im sprawił nie lada. Kiedy bowiem cztery domy zastawiały nań sidła małżeńskie, wybrał sobie żonę w piątym, gdzie

tego nikt ani nie przeczuwał: wybrał sierotę biedną, z łaski wychowywaną od niechęcenia u dalekich jej krewnych.

Ze ślubem uporał się pośpiesznie, ale odkąd żonę w dom wprowadził — z miejsca zraził sobie całe sąsiedztwo okoliczne, niezadowolone z jego wyboru. Nic sobie z tego nie robił pan Tadeusz Kwaszewski. Zaczął odtąd z powrotem stronić od ludzi, zajęty namiętnie gospodarstwem i poświęcający wszystkim czas wolny żonie. Stało się to bowiem małżeństwo jak najszczęśliwsze, na prawdziwej miłości oparte i mogło być za wzór służyć okolicy, gdyby żyło z sąsiedztwem.

Niestety, pani Janina z woli Bożej nie długo była towarzyszką życia uwielbiającego ją kapitana. Smutno zrobiło się znowu w cichym dworze Poręby, kiedy po pogrzebie młodej dziedziczki — został w nim osamotniony pan Kwaszewski z synkiem-jedynakiem, zaledwie dziesięcioletnim Jankiem.

Stosunków z sąsiedztwem nie utrzymywał i nadal pan Tadeusz, a z bliskiej ni dalszej nawet rodziny nikogo już dosłownie przy życiu nie miał, więc się cały oddał wychowaniu syna i wykształceniu go w domu, gospodarstwo zaś coraz bardziej z rąk własnych wypuszczał, oddając je w mocne i godne zaufania dłonie rządcy.

Nic na tym majątek nie stracił, nawet jeszcze zyskał, na korzyść jedyne go już spadkobiercy, syna pana kapitana.

Miał to być ostatni z rodu Bogoria-Kwaszewskich...

Jak uważam — domyślcie się z mego opowiadania, że zacząłem teraz mówić już o sobie... Jan Kwaszewski, syn Tadeusza, urodzony w Porębie, w guberni warszawskiej... to ja, według wszelkich dokumentów... Ale chociaż papiery mam wszystkie w porządku, muszę was dziś z błędu wyprowadzić pod tym względem.

Z Kwaszewskich nikt już nie żyje.

Słyszysz, mój ty Starowolski... Za późno się dowiesz, że tak blisko przystawałeś przez tyle lat z nie-szlachcicem...

Ja nie jestem Kwaszewski... nie jesteśmy Bogoria-Kwaszewscy...

Posłuchajcie jeszcze, moi drodzy, a powiem wam, kim jestem...

Kiedy kapitan owdowiał, syna do szkół nie posyłał do Warszawy, lecz zaczął naukę w domu w Porębie. Janek w tym czasie właśnie znalazł sobie we wsi towarzysza zabaw chłopięcych w rówieśniku i imienniku spod strzechy włościańskiej.

Dziedzic nie sprzeciwiał się ani nie gniewał na syna za taki wybór.

Odtąd dwóch Janków nie tylko bawiło się zawsze razem, ale także obaj uczyli się we dworze razem pod kierunkiem pana kapitana, który na emigracji wykształcił się za granicą, uzupełniwszy nauki warszawskie, przeważnie w kierunku wojskowym wytężane poprzednio.

Rychło wielka przyjaźń sprzęgła syna dziedzica z synem chłopskim. A kapitan, który swego Janka kochał nad życie, tak bardzo przywiązał się do kolegi syna, że przy ich nauce nawet żadnych różnic nigdy nie robił między obu Jankami.

Dwaj młodzi przyjaciele pod okiem weterana dzień cały w pokojach i w rozległym parku dworskim spędziwszy na lekcjach i rozrywkach, rozstawali się tylko wieczorem, kiedy Jan Bogoria-Kwaszewski szedł spać w jednym z ojcem pokoju we dworze, a Jan Król biegł z powrotem do swej chaty rodzinnej, pod słomianą strzechę chłopską, pośrodku zagród wiejskich, by się nagadać z własnym ojcem i noc z nim sam na sam spędzić w niskiej izbie, skąd także dawno na mogiłki — w pobliżu grobowca dziedziczki — wyniesiono białą trumnę matki-gospodyni.

Łatwo zrozumieć, jaki wpływ miała przyjaźń dziedzicowego syna na całe życie chłopskiego dziecka. Ale niewątpliwie wpływ najsilniejszy wywarła nań owa przedziwna atmosfera, jaką dokoła siebie wytwarzał weteran z wojny roku 1831-go i emigrant, napojony w Paryżu ideami „Książ pielgrzymstwa polskiego”...

W pokoju sypialnym pana kapitana, gdzie nad łóżkiem, prostotą posłania przypominającym życie obozowe, wisiało — dokoła krzyża *Virtuti Militari* — całe uzbrojenie ułana spod Stoczka, kształtowały się młode, podatne dusze dwóch chłopaków. Najpiękniejsze życia godziny miały im w owym pokoju... A tej obywatelskiej miłości kraju, jaką chciał ich serca przepoić pan Tadeusz, nie nauczyłyby ich na pewne żadna szkoła... Mogę to mówić z przeświadczeniem, ja sam bowiem byłem owym Jankiem Królem.

I widzicie, że mi trudno mówić bez wzruszenia o tych tak strasznie dawnych, a tak sercu bliskich zawsze, najdroższych latach życia, spędzonych w młodocianym wieku w porębowym dworze...

Dwóch ojców miałem. Bo doprawdy doszło z latami do tego, że ojciec mego przyjaciela żadnych a żadnych nie robił już różnic między mną a swoim synem. Myśmy go obaj jednako nazywali ojcem, gdy on dla rozróżnienia między dwoma Jankami, wołał do mnie: „ty Królu pójdziesz teraz tam a tam”... do syna zaś: „a ty Chłopie skoczysz mi tam”...

Więc kiedy nawet rodzono ojca straciłem w dziesięć lat po matce — nie uczułem się sierotą. Został mi drugi przy życiu, a kochający tak serdecznie — jak ojciec kocha własne, nieprzybrane dziecko. Myśmy go nawzajem kochali obaj tak czule, że nie kłamię, iż na równi jeden jak drugi Janek bez namysłu rzuciłby się w razie potrzeby choćby w ogień, gdyby kapitanowi groziło niebezpieczeństwo... Rzec prosta, iż w takich okolicznościach żaden z nas nie miał przed tym ukochanym a najlepszym i wyrozumiałym ojcem żadnych tajemnic.

Nie mieliśmy ich nawet wówczas, gdy z chłopców przeradzając się w młodzieniaszków, dostaliśmy obok sypialni dziedzica osobny swój pokój na noc i na dzień (bo co do mnie, to po pogrzebie ojca swego przeniosłem się już do reszty do dworu z chaty, odstąpionej za radą przyjaciela najbiedniejszej we wsi rodzinie pogorzalców). Aż nadszedł czas, w którym zaczęliśmy się kryć z jedyną tajemnicą przed panem kapitanem.

Chociaż od wzięcia Warszawy minęło lat trzydzieści, weteran nic jeszcze nie stracił miny marsowej dawnego ułana. Czuł się niezwykle krzepko, mimo, że mu

nieraz w nodze dolegała pamiątka spod Grochowa. Bronią władał jak za młodu, bo się z nami w tym ćwiczył stale, a nawet w strategicznych wiadomościach nie zaniedbywał się teoretycznie, zawsze sprowadzając sobie odpowiednie wydawnictwa wojskowe. Nie dziw tedy, że do niego właśnie, jak w dym, zaszli emisariusze, pewni, że nie odmówi udziału w partyzantce, że nawet własny oddział przyrzeknie sformować. Niemalą więc niespodzianką stała się dla nich odpowiedź doświadczonego żołnierza, który ich jak uczniów wystrofował za to, że nie dość przygotowani porywają się z kijami na armaty.

Ale dla mnie i dla jego syna odmowa ta stanowcza a nieoczekiwana — stała się już klęską. Wszak żeśmy obaj od dawna nie marzyli o niczym innym, wszakżeśmy tylko na to czekali od pewnego czasu... Więc wtedy, gdyśmy jeno wezwania wyglądali z utęsknieniem, pewni, że we trzech ruszymy z miejsca — wiadomość, że ojciec nie pójdzie wcale, padła w nas obu gromem. Zanadtośmy starego kochali, by od razu wpaść na myśl, że bez jego wiedzy wykradniemy się sami z domu... A jednak, kiedy się ruch zaczął nagle w kraju, ledwie pierwsze wieści w ostatnich dniach stycznia nadeszły z Warszawy o wybuchu, nie potrafiliśmy usiedzieć spokojnie.

Wprawdzie nie mogliśmy słuszności nie przyznawać wszystkim poważnym argumentom, którymi ojciec zasypywał nas całymi godzinami, byle tylko przekonać nas, że zbyt znaczne braki w przygotowaniach muszą wpłynąć na niepowodzenie szalonego przedsięwzięcia, to jednak właśnie szalone słowa gorącej „Ody do młodości” mocniej nam do duszy przemawiały, niż zimne rachuby — i łatwo dawaliśmy się porywać szaleństwu, które ogarniało całą młodzież. Milcząco zgadzaliśmy się na surowy zakaz ojca, który wołał, że nikt z nas trzech nie pójdzie do obozu, ale poza plecami jego — pierwszy raz właśnie wtedy kryjąc się przed nim z jakąś tajemnicą — knuliśmy sprzysiężenie... Wystarczyła pierwsza okazja. Kapitan wieczorem pojechał sam do sąsiada, umocnić go również w oporze. Dość nam było zostać sam na sam we dworze, by potajemnie zamysły spełnić.

Ojciec powrócił po kilku godzinach, lecz w domu nie zastał już ani nas obu, ani broni nad łóżkiem, ani wreszcie pary siwków w stajni. Byłby zrozumiał i bez czytania listu zostawionego na stole...

A myśmy już wtedy byli daleko. Pamiętam jakby wczoraj tę noc zimową... Cały potem sześćdziesiąty trzeci już mi tak żywo nie stoi w pamięci, jak ta pierwsza noc... Śnieg tajał pod kopytem końskim. Księżyc drogę rozświetlał, dopóki umykaliśmy z Poręby. A potem las ciemny, tajemniczy w swej ciszy, jakiś straszny... Przywidywały się nam upiory zewsząd ku nam wypadające... A wtedy zwalnialiśmy biegu, nad słuchując lękliwie — i słyszeliśmy, jak się z wielkiego wzruszenia tłukły dwa serca w piersiach młodzieniaszków...

A potem na drugim końcu lasu ognie na biwakach... Obóz powstańców. Krótkie, grube kurtki, barankiem obszyte, burki szare na ramionach, wysokie buty, czapeczki rogate, pałasze, strzelby, pistolety, ładownice, jedne do drugich niepodobne, rozmaite, a przeważnie stare, wysłużone — acz prawie wszystkie w

rękach niedoświadczonych, nieużytych jeszcze — jako ten wielki płat amarantu, chwiejący się pośrodku ognisk na nowiutkim drzewcu i lśniący srebrzystym haftem...

I jeszcze mi w uszach dźwięczą słowa przysięgi, pod tym na wietrze fruującym w mrokach nocy zimowej sztandarem, wymawiane głośno przez mego przyjaciela, krwawym odbłaskiem ognisk oblanego, kiedy nas obu przyjął do swego oddziału dowódca, uradowany, że dostał dwóch żołnierzy od razu dobrze wyekwipowanych i w robieniu bronią wyćwiczonych.

Ale nasze przyjście do obozu stało się zgubą dla nowo tworzącego się oddziałku partyzantów. Oto po naszym śladzie trafił tu przed świtem jeszcze patrol nieprzyjacielski, a za nim cały szwadron konnicy. Zewsząd otoczyli nas niespodzianie wczesnym rankiem czterokrotnie większą siłą i zmusili do bitwy zartanej. Walka trwała krótko, lecz krwią zalała cały las ośnieżony. Kto nie padł trupem na miejscu, leżał ranny, a kto nie został na mokrej pościeli śnieżnej — poszedł w niewolę. Garść tylko drobna lepszego żołnierza przedarła się cudem przez szeregi jazdy nieprzyjacielskiej, rąbiąc na wszystkie strony pałaszami — i bez szwanku dostawszy się w miejsce bezpieczne, ocalała.

Ja wraz z Jankiem Kwaszewskim byłem właśnie w tej garstce. Przeżyliśmy pierwszą w życiu bitwę prawdziwą. Ale młodość nie dała nam spokoju. Wraz z kilku towarzyszami, na równie dzielnych jak nasze rumakach, zawróciliśmy jeszcze z drogi, chcąc znienacka napaść na pojący w stawie konie patrol nieprzyjacielski. Wszczął się nagły bój, w którym pięciu naszych zginęło. My z Jankiem we dwóch uratowaliśmy się ucieczką.

Pędzimy co koń wyskoczy, a tu w ślad za nami lecą kule... Raz, drugi świsnęło nam koło ucha... Uciekamy dalej, zbaczamy nagle pod lasem na bagna, chcąc zmylić pościg, gdy wtem mój Janek zsuwa się z konia... Przystaję z miejsca, rzucam się ku niemu, lecz niestety, nie mam już co ratować... Kulka, która przed chwilą świsnęła koło mnie, przeszła serce mego przyjaciela. Młody chłopiec bez jęku, bez jednego słowa — ducha wyzionął, zanim go w ramiona ująłem. Pogoń ustała w tej chwili i cisza zaległa wokoło. Zostałem sam z poległym.

Kiedy dziś wspominam ten straszny poranek, doprawdy sam podziwiam siebie, że nie oszalałem wtedy z rozpaczu... Co się ze mną działo — nie umiem wam wypowiedzieć. Wierzcie mi, że nigdy w życiu ni przedtem ni potem nie płakałem tak rzewnie, jak nad martwym ciałem biednego Janka pod lasem... ja żołnierz uzbrojony, szlochałem, jak dziewczyna... Z miejsca się nie ruszałem, nie wiedząc, co począć z sobą, a nade wszystko z drogim ciałem przyjaciela...

Przez cały dzień walczyłem z sobą, zanim się zdecydowałem stanąć przed oczyma ojca Janka. Sypał od południa przez długie godziny mokry śnieg ogromnymi płatami, zakrywając mi białym całunem zimnym a wilgotnym ciałem towarzysza. Ale gdy wśród tej śnieżycy zaczął jeszcze wcześniejszy zmrok zapadać, podniosłem trupa z ziemi co prędzej, lękając się śpiesznie ogarniającej mnie ciemności, przymocowałem z wielkim trudem do siodła na grzbiecie konia

kolegi i za uzdę powoli prowadząc krwią zbroczonego ohydnie jego siwka, dosiadłem swego, żeby z tym ciężarem żałobnym jechać po ciemku do Poręby. Domyślcie się, jaką miałem noc i ile razy w drodze musiałem na nowo przymocowywać do grzbietu końskiego zastygłe zwłoki Janka...

Daleko jednak było jeszcze do świtu, kiedy nie natrafiwszy wśród ohydnej śnieżycy na nikogo w ciągu podróży, przystanąłem we dwa konie przed gankiem dworu w Porębie. W sercu okiennicy w pokoju dziedzica spostrzegłem światło. Zrozumiałem. Stary zrozpaczony nie mógł do rana zasnąć... Nie, on się nie kładł. Rzenie siwoszów i wycie psów naszczekujących przeraźliwie, wypchnęło go z pokoju. Wybiegł na ganek. Rzucił się z krzykiem ku mnie, przeczuwając od razu coś złego. Oniemiałem. Drżący tuliłem się do jego piersi, nie mając siły ni odwagi wyznać, z czym przyjeżdżam... Kapitan poskoczył do drugiego siodła i po ciemku namacał wśród strasznej ciszy martwe ciało syna.

Jeden jęk tylko, krótki, ale okropny, trzewiami słuchacza targający jęk ojcowskiej piersi — opowiedział całą boleść jego nad zwłokami dziecka ukochanego. A potem już cicho, już jak gdyby spokojnie — ramiona rozwarł szeroko i do serca mnie przygarnął, tulił długo w milczeniu... Aż ocknął się dopiero, gdy służba ze światłem do nas przybiegła.

Wnieśliśmy na pokoje martwe ciało dziecka, które od lat kilkunastu cały dwór napełniało życiem. W jednej chwili zbiegła się służba z najdalszych kątów, rozbudzona, przerażona, płacząca... A wtedy dziedzic uprosił wszystkich, żeby poza dworską czeladź wiadomość o śmierci jego syna nie wydostała się na wieś.

Poczym sam jeszcze po ciemku pobiegł na plebanię, mnie zaś tymczasem kazał co prędzej pakować do wielkiej skrzyni wszelkie drobiazgi, znajdujące się w komodzie i w jednej z szaf, oraz papiery zapełniające głębokie szuflady starego biurka.

W zdumienie wprawiał mnie kamienny spokój, jaki bił od kapitana. Kiedy w dobrą godzinę powrócił od proboszcza, uściskał mnie serdecznie, długo trzymając moją głowę przy swojej piersi, potem podszedł do otomany, na środek stołowego pokoju wysuniętej, na której leżały zwłoki Janka, wpatrywał się w nie w głębokim milczeniu przez kilkanaście minut, przy świetle świec poustawianych tymczasem na stole i krzesłach, wreszcie widząc czeladź do obłoconego i krwią oblepionego ciała zbliżającą się z ciepłą wodą, odezwał się szeptem głośnym, tętniącym wzruszeniem, ale spokojnym, jak jego oblicze:

— Obmywać chcecie?... z czego, z tej krwi serdecznej... Niech się jej nie wstydzi, że z żył chłopięcych dał sobie już tyle utoczyć... A błoto, co doń przyklepło... toć to przecie ziemia, nie co innego, jak ona najdroższa ziemia... Za nią to... za nią!.. Nie tykajcie, ostawcie... Tak przystoi go pochować, jak poległ... wszak padł żołnierzem...

Zabrał mnie z sobą do swego pokoju, zamknął się ze mną sam na sam i słuchał z niemniejszym spokojem szczegółów opowiadania o naszej krótkiej a smutnej wyprawie wojennej. Ani słówka wyrzutu, wymówki nie usłyszałem z ust nieszczęśliwego ojca. Uściskał mnie tylko ponownie i zabrał się do szykowania



broni, amunicji i zapasów na długą z domu wyprawę. Około południa zabrawszy wypakowaną skrzynię na wóz, odjechał sam do sąsiada Kańskiego, który był właścicielem odkupionych dawniej od Kwaszewskich majątków: Bogoryjki i Wólki Marjańskiej. Teraz na oczekaniu sprzedał mu kapitan i rodziną Porębę, nie biorąc na razie jeszcze pieniędzy. Była to umowa warunkowa, spisana bez świadków na dwóch arkuszach papieru, z których jeden pan Tadeusz wziął z sobą, a drugi w Bogoryjce zostawił u Kańskiego, wraz z przywiezioną skrzynią.

Powróciwszy do Poręby, powierzył mi tę tajemnicę w kilku słowach, poczym zabrał się na nowo do przygotowań na wyprawę wojenną. Służba dokładnie wiedzieć nie miała o niczym, więc w małym jeno zakresie mogła nam pomagać.

Kiedy już wszyscy domownicy zasnęli w całym dworze, zjawił się proboszcz wraz z rządcą z folwarku pobliskiego. Zabawili z nami jaką godzinę w stołowym pokoju przy smutnym blasku świec żałobnych, poczym zamkniętą trumnę dębową wzięliśmy we czterech na ramiona. Przodem dźwigali jednakiego wzrostu, niżsi od nas ksiądz i rządcą, za nimi krok za krokiem podpieraliśmy ramionami trumnę w głowach, kapitan i ja, obaj wysocy. Wśród wycia psów szliśmy przez wieś o północy, przez nikogo nie spotkani, milczący, jak ta trumna zamknięta na naszych ramionach. W furtce cmentarza oczekiwał nas organista z grabarzem. Chcieli nam świecić w dalszej drodze, chcieli kogo z nas zluzować w niesieniu ciężaru, lecz nikt się nie dał zastąpić, a proboszcz mruknął:

— Trafimy i dalej po ciemku.

Wiatr trochę mroźniejszy po odwilży powionął od mogił, zaskrzypiały stare krzyże spróchniałe, zajęczały brzozy, a zdmuchnięte naraz z nieba chmury odsłoniły księżyc. Więc prawie jasno było przy smutnym obrzędzie nad otwartym świeżo grobem.

Pamiętam po dziś dzień ten szepty cichutko przez nas za proboszczem „Anioł Pański” wśród północnej ciszy i pamiętam ból i żal, który mi piersi ścisnął na widok znikającej pod grudami ziemi trumny ukochanego Janka... Mieliliśmy już mogiłę jego opuścić, kiedy kapitan naraz wyjął chustkę, sięgnął po sporą grudę skostniałej ziemi z grobu swego dziecka i zacisnąwszy węzełek, podał mi, mówiąc głosem bardziej drżącym niż w ciągu dnia:

— Schowaj, mój synu, a kiedy daleko od Poręby kiedyś umrę, wśród obcych i nie na swojej ziemi, albo jeśli mi przyjdzie paść tak, jak on legł w twoich oczach, pamiętaj dać mi do grobu na piersi tę odrobinę naszej ojczyzny...

Potem obeszliliśmy przy coraz jaśniejszym blasku miesięcznej lampy wszystkie groby rodziny Kwaszewskich. Dziedzic najdłużej modlił się na mogile żony, mnie wskazawszy w milczeniu grób wspólny moich rodziców. Zrozumiałem go. Tym gestem powiedział mi wszystko... Więc ukląknęłam z myślą, że nigdy już nie znajdę się na tym cmentarzyku... A potem jeszcze raz zbliżyłem się do mogiły Janka i dla siebie grudkę ziemi z niej zabrałem...

Dacie mi ją teraz do trumny, na pierś, gdy zastygnie, połóżcie... kochani... Ta garść prochu z mojej rodzinnej Poręby mieści się w rogatywce granatowej z barankiem... tam, tam za szkłem przechowywana... To w tej czapeczce poległ

Janek... Smutna, widzicie, pamiątka. A kapitan dobrze przeczuł, że z nas żaden już Poręby nie będzie oglądał za życia. Tej samej nocy jeszcze opuściliśmy dwór cichaczem we dwóch, dobrze uzbrojeni i zaopatrzeni. Nazajutrz stawiliśmy się do rozporządzenia przed dobrze Kwaszewskiemu znajomym członkiem rządu narodowego. Stary w stopniu majora poprowadził w lasy nowy oddziałek partyzantów, o których nic wprawdzie nie mówił, ale którymi z początku — jak widziałem — wstydził się weteran, mający pod komendą dosłownie same dzieci. Ja sam gołowąs, a jego adiutant, należałem do starszych między tą młodzieżą w fuzyjki i pałasze uzbrojoną, a uczącą się robić bronią dopiero w obozie, między jedną a drugą potyczką. Odbyliśmy wszakże całą aż do końca kampanię, jako major Bogoria i jego syn, dokazując doprawdy cudów waleczności w tak strasznie trudnych warunkach.

Ale dopiero po wszystkim, kiedy przegrana naszej sprawy nie ulegała wątpliwości, odezwał się do mnie major pierwszy raz od śmierci syna w ten sposób:

— Czyż mogło być inaczej... To darmo, jeżeli się tysiące dzieci z kijami wysyła na armaty, nie można oczekiwać niczego innego...

A powiedział mi to już nie w kraju, tylko w Dreźnie, kiedy przedostaliśmy się ukradkiem przez granicę i zdecydowało się iść na tułactwo. Tam odebraliśmy właśnie dużą sumę pieniężną od Kańskiego, całkowitą wartość Poręby, która teraz dopiero przechodziła bez odwołania na własność nowego dziedzica.

Tam również przysłał on nam skrzynię ze wszystkim, co przed wyjazdem spakowałem. Zabraliśmy to z sobą w dalszą drogę do Paryża, zatrzymawszy się w Dreźnie jedynie jeszcze dla porady u lekarzy w sprawie kuli, którą wpakowano mi w jednej z większych potyczek pod żebro tak zręcznie, że sobie tam ugrzęzła i nie miała ochoty wyleźć. Nie mylili się doktorzy, utrzymując, że bez szkody posiedzi ona we mnie lata długie... Pomyślcie, wszak to pół wieku, a kula w piersi nie zawadzała wcale... Aż dopiero wczoraj drgnęła, przesunęła się na inne miejsce i to jakieś takie wybrała, że bezkarnie leżeć tam nie może...

Ale ja nie rozpaczam z tego powodu, że muszę umierać... Żal mój ma inne pobudki. Bogu dzięki za to, że mi pozwolił jeszcze przed śmiercią wszystko wam powiedzieć, co miałem do wyznania. Zaraz wam powiem, co najważniejsze.

Otóż nie długo miałem majora za towarzysza na emigracji. Sam rychło zostałem w Paryżu, pochowawszy go tam, daleko od Poręby, z ziemią z grobu syna na piersi, na obcym cmentarzu, ale między mogiłami ziomek, obok grobu Kniaziewicza.

Przed śmiercią wręczył mi kwit z banku paryskiego, w którym złożony był cały jego majątek, przedstawiający sumę znaczną, ponieważ oprócz pieniędzy od Kańskiego za Porębę, trzymał tam Kwaszewski i całą gotówkę, jaką posiadał dawnymi czasy jeszcze przed sprzedażą wsi, a na emigracji wcale nie naruszaną, procenty bowiem aż nadto wystarczały nam obu na życie. Darowując mi swój majątek, major rzekł mi tylko tyle: „Użyj go dobrze...” Otóż w tym rzecz — czy go dobrze użyłem. Po śmierci mego dobroczyńcy, jakkolwiek stałem się

wyłącznym jego spadkobiercą, nie odmieniłem trybu życia, poświęcając wiele czasu wyższym studiom nad leśnictwem, do czego skłaniało mnie szczere zamiłowanie. Jednocześnie dawałem lekcje języka polskiego w domach starszych emigrantów, którzy nad Sekwaną siedzieli jeszcze od 31-go roku i zaczynali się już lękać o czystość mowy ojczystej swoich dzieci lub wnucząt, ocierających się na każdym kroku o społeczeństwo obce. W jednym z takich domów, gdzie prócz młodego chłopaka, mego ucznia, była i dorosła panienka, znalazłem sobie żonę.

Po ślubie zaczęliśmy oboje marzyć o porzuceniu paryskiego bruku i o przeniesieniu się na wieś, w lasy — gdyby można w Polsce... Wtedy to natknąłem się w „Hotelu Lambert” na dziedzica liliszkowskiego, nieboszczyka Wierdrojcia, który mi zaproponował rządy w swoich lasach na Inflantach. Bez zwłoki zdecydowaliśmy się wyjechać z Francji, chociaż nie miał to być powrót do rdzennej Polski. W parę miesięcy później osiedliśmy między wami... Nikt tutaj nie wiedział o mnie nic nadto, co mówiły moje papiery, a przyjechałem tu nie za swoim, lecz za paszportem nieboszczyka Janka, syna majora Kwaszewskiego. Nikt też nie przeczuwał, że skromny leśniczy w Liliszkach jest posiadaczem znacznego majątku. Nie zwierzałem się z tym przed nikim, sam zresztą wobec siebie uważając go zawsze poniekąd za depozyt. „Użyj go dobrze” — dźwięczało mi w uszach, ile razy myślałem o tym, co począć z majątkiem wygasłego rodu Kwaszewskich. Z początku chciałem go zaraz ofiarować na cele publiczne, ale gdy przyszło wybrać, nigdy nie mogłem się zdecydować. Więc pieniędzy z banku nie podniosłem, opuszczając Paryż. Zostały tam po moim osiedleniu się w Liliszkach i narastały ciągle.

Co pewien czas wznawiałem rozmyślenia nad tem, na co by ten fundusz przeznaczyć, zwłaszcza, że co trochę inne rodziły się w Polsce potrzeby, lecz postanowienie ostateczne odkładałem z roku na rok.

Tymczasem z mego Bolka wyrastał młodzieniec pełen nadziei. Zaczęło mi się tedy marzyć, czyby to nie on potrafił „dobrze użyć” majątku... Czekałem jeszcze, nic mu nie mówiąc o depozycie w Paryżu, lecz ani na chwilę nie żałując pieniędzy na jego wykształcenie. Od początku nie lekceważyłem jego prób i pomysłów na polu rozwiązania zagadki lotu ludzkiego, pobyt mój bowiem za młodu za granicą nauczył mnie, że takich rzeczy lekceważyć sobie nie wolno. Przeciwnie, zacząłem coraz więcej wagi do tego przywiązywać, zacząłem nawet ułatwiać mu sprawę, łożąc na ten cel grubsze pieniądze.

Wreszcie kiedy syn mój był już fachowo wykształcony w tej dziedzinie i mogłem mu zaufać, po naradzie z księdzem Kazimierzem, wtajemniczonym przeze mnie w sprawę spadku po Kwaszewskich, postanowiłem rozporządzać bez kredki majątkiem na cele wynalazków Bolka. Ksiądz Kazimierz uznał, że będę miał sumienie czyste, na to spadku używając, gdyż zdawało się nam obu, a Bolkowi trzeciemu, że na taki cel użyje go się „dobrze”. Wszyscy trzej, nauczeni za granicą zapatrywać się na takie rzeczy inaczej, niżby się je traktowało w ciasnych pojęciach swojskiego widnokręgu, nie przerażaliśmy się, że wynalazki

Bolka pochłaniają sumy olbrzymie, że na doświadczenia topnieją w jego rękach tysiące...

Ufaliśmy jemu zupełnie, więc nie mieliśmy obaw, by nieuczciwie rozrządził się tymi pieniędzmi. Nie zwątpiliśmy też do ostatka w niego, pewni, że na równi z innymi wielkimi wynalazcami, pracuje on z wiarą i z zapałem dla idei szczytnej. On nie wie, z jakiego źródła pochodzą te pieniądze, a mimo to przyrzekł mi, że dopóty nie zjawi się tutaj, dopóki nie będzie mógł do nas przylecieć na własnym samolocie. My jednak z księdzem plebanem wiemy obaj, żeśmy naruszyli — w moim pojęciu — depozyt i martwimy się, odkąd sprawa zaczyna się przewlekać, a w szczególności ja się tym gryzę okropnie, czy nie swoich pieniędzy, na sprawę publiczną właściwie przeznaczonych, użyło się „dobrze”...

Pojmuję to wszystko, co mi Bolko mówił o niebotyczności szlachetnej idei, jaką upatruje w wynalezieniu latawca dla ludzi, tak niezależnego od żywiołów i okoliczności, jakiego nie udało się wynaleźć jeszcze nikomu z obcych... Ja wierzę w to wszystko, co się jemu marzy... Dotychczas wierzyłem zresztą, jak wierzy pleban — i w to, że tym wynalazcą stanie się Polak, że będzie nim mój syn...

Ale kiedy tak długo Bolko przestał dawać o sobie wieści, zacząłem martwić się, czy i on sam nie zwątpił ostatecznie w siebie... Dziś zatem już sam nie wiem, czy mam jeszcze wierzyć, czy jeszcze mam czekać...

I lęk mnie bierze stanąć teraz na tamtym świecie oko w oko przed moim dobroczyńcą... Tak długo wahałem się, odwlekałem decyzję, bo mi się dawniej marzyło, że to może na jakie strategiczne cele przyjdzie mi kiedyś użyć wielkich funduszków... Potem jednak pod wpływem księdza Kazimierza zaniechałem zupełnie myśli podobnych. W czym innym zacząłem upatrywać zbawienie. Więc mi się zdawało, że na nic lepszego, jak na wynalazek Bolka nie powinienem przeznaczyć depozytu...

A tymczasem pieniądze poszły może w znacznej części na marne... I co odpowiem teraz majorowi Bogorii, gdy mnie spyta — czy „dobrze” użyłem oddanych mi pieniędzy... Nie doczekałem się końca, po którym mógłbym sądzić o wyniku wynalazku...

## VIII.

— Doczekałeś się, bratku... Nie wymawiaj Panu Bogu — odezwał się z progu ganku ksiądz Kazimierz, zniecka przerywając długie pana leśnego opowiadanie, któremu dotychczas towarzyszyło ogólne milczenie, nawet w tych chwilach, gdy chory starzec mówić ustawał i wypoczywał po trosze.

Pleban, o odrzwia oparty plecami, przez pół był w pokoju, a przez pół na ganku. Słuchał wprawdzie pilnie słów przyjaciela, jednocześnie jednak błędził wzrokiem prawie ciągle po pustych a smętnych łąkach bezkresnych melancholijnej ziemi inflanckiej, kędy właśnie pan Jan miał zwyczaj długo okiem

na południe wodzić z ganku swojej leśniczówki, wypatrując tędy nadchodzących, a rzadkich wieści z Polski i ze świata...

Coś tam Żmudzina zajęło teraz na dalekim widnokregu: nagle utkwiał bowiem spojrzenie w jeden punkt i nie odrywał go przez długą chwilę. Całym wiekiem życia jeszcze nie znużone, oko jego miało bystrość tak niezwykłą, że nie potrzebowało wyręczać się młodszymi. Toteż ksiądz nie wzywał i teraz nikogo, sam starając się rozpoznać — co widzi...

A wydawało mu się, że dojrzał na krańcu nieba obłoczek, dziwnie wiatrem pędzony. Obłok ten rósł w oczach, odrywał się od błękitu, spadał na ciemne morze niebiesko zielonawych w oddali łąk i pól, nurzał się w nim, jak łódź chwiejąca się na fali z wydętym szarym żaglem, poczym znowu się podrywał w górę i z powrotem po nieba lazurach sunął ku Liliszkom, coraz wyraźniej srebrzący się w słońcu...

Obejrzał się pleban raz i drugi za siebie na pokój, badając czy prócz niego nikt nie zauważył dziwnego zjawiska, lecz widząc wszystkich zasłuchanych w słowa leśniczego, wracał sam wyteżonym spojrzeniem na wysłonecznione pustkowie; a kiedy odnalazł w oddali wzmagającą się w drodze chmurę, już jej nie tracił z oka, ruchy śledząc pilnie, ale uważnie zarazem łowił uchem każdy wyraz opowiadania Jana.

Kiedy zaś właśnie z ust rozżalonego ojca zaczęły padać gorzkie słowa zwątpienia, przeciwnie, twarz plebana, smętkiem dziś wyjątkowo zasępiona, rozjaśniała się coraz bardziej błogim uśmiechem. Wreszcie kościste ręce sędziwego pustelnika splotły się na piersi i zacisnęły dłońmi jak do pacierza, wargi zadrgały niedosłyszalnym szepem dziękczynnej modlitwy, gdy oczy z pod brwi mlecznych uniosły się w górę, przesywając ekstatycznym spojrzeniem zasłony Bożego nieba, a jednocześnie ramionami wyzierającej przez oczy duszy rozradowanej obejmując olbrzymiego ptaka białego, który w przeczystym przestworze wybłękitnionym bujał wysoko, a chociaż teraz wzlatywał jeszcze wyżej, nie malał, ponieważ zbliżał się jak wichur ku Liliszkom, nie dostrzeżony jeszcze przez nikogo.

— Doczekałeś... — wydarło się wtedy prawie mimo woli z wezbranej uciechą piersi Żmudzina, a głośnie jego słowo — wśród jednostajnej muzyki omdlewającego już głosu chorego starca, rozległo się znienacka jak strzał w pokoju, budząc zasłuchaną gromadkę liliszkowskiej rodziny z zadumy, w jaką zapadała pod wpływem opowiadania przez Jana Króla historii rodu Bogoria-Kwaszewskich.

Zadrzał pan leśny, usłyszawszy przyjaciela, a oczy wszystkich podniosły się na wysoką, smukłą postać plebana, już nie plecami, lecz tyłem siwej głowy opierającą się teraz o odrzwia gankowe. Ta zadarta w górę głowa i te radością dźwięczące wyrazy plebana, poderwały z miejsca Hankę i Wisię, u nóg opowiadającego klęczące przy fotelu. Przeczyły raczej — niżli zrozumiały od razu. Rzuciły się więc na ganek, a inni za nimi ku oknom rozwartym od tej samej strony.

— Bolko! — zakrzyknęło naraz ust kilkoro, a na to biała Mara od nóg pana leśnego rzuciła się ku schodom jak oszalała i wypadła na polanę przed leśniczówką, kręcąc się w kółko w podskokach i bijąc puszystym ogonem, niby mewa skrzydłami w locie nadmorskim.

Hanka w ślad za wyciągniętą ku niebu ręką plebana, cisnąwszy jedno spojrzenie, cofnęła się z progu ganku i na piersi ojca padając, powtarzała łzami nabrzmiałym szeptem:

— Przyleciał... przyleciał...

Ręce chorego starca, trzęsąc się, chwyciły poręczy fotela, ale nogi nie znalazły w sobie dość władzy, by udźwignąć nagle osłabłe, a tak jeszcze wczoraj czerstwe ciało: opadało ono za każdym razem, mimo że leśniczy czynił wszelkie wysiłki, by wstać.

Wtedy oboje Starowolscy wypchnęli z tyłu ciężki fotel safianowy, wytaczając go wraz z Hanką na kółkach przez próg na ganek. Pokazano choremu wielką plamę ruchomą na niebie. Wzrok jego objął to zjawisko, a wtedy przez twarz, wraz z dwiema dużymi łzami z oczu, przemknęło się kilka wstrząśnień, które ją zaczęły ożywiać i rozpogadzać. Usta szeptały „Bolko”, a ręce rozcierały kolana... Ksiądz Kazimierz nachylił się nad nim, głowę jego ujął w obie ręce i całując ją z wzruszeniem serdecznym, mówił do starego druha raz za razem: „Doczekałeś...”

Wisienka rozpromieniona zbiegła na dół, a za nią pospieszyli też Starowolscy z babcią Molową i wszyscy wraz ze służbą, zewsząd pospołu z psiarnią, wybiegającą na ten alarm, wypatrywali z polany nadlatującego ptaka-olbrzyma.

Na górze, przy chorym, z Hanką i Żmudzinem została tylko pani Starowolska. Ale z każdą chwilą wyraźniejszy widok zbliżającego się ku nim tajemniczego latawca, wlewał teraz w zmartwiałe ciało chorego cudem wracające życie. Ręce tarły jeszcze przez chwilę kolana, po czym ponownie zaczęły opierać się o poręcze... Pan Jan próbował coraz raźniej wstać z fotela. Wreszcie ze słowami „Dotrzymał mi słowa...” stanął, wieszając się ręką o ramię Hanksi, a oblicze szczęściem niewymownym promienne zwracając w górę, w stronę nadlatującego syna.

— Zmartwi się Bolko, że zastanie ojca chorym — wtrąciła matka Wisi.

— To dobrze, że przynajmniej nie zobaczy cię od razu w fotelu — dorzucił pleban.

Co słysząc, pan Jan oparł się mocno o balustradę ganku, jak gdyby pragnął nie zasmucić syna, jak gdyby się starał przybrać wygląd jak najzdrowszy...

Tymczasem szybujący w podniebiu ptak olbrzymi zbliżył się już nad Liliszki i naraz, gwałtownie lot zniżając, opadł nad dziedziniec dworski; zdawało się, że omal nie zahaczył skrzydłami białymi o czeremchy nad studnią, lecz poderwał się zaraz, zakołował nad ośnieżonymi świeżym kwieciami sadami i zakręciwszy nagle od szczytu starej baszty, pomknął w stronę szpilkowego boru.

— Popatrz, bratku, popatrz — wołał pleban, ręką z ganku wskazując leśniczemu na krańcu polany wierzchołek dzwonnicy pod lasem.

W tej chwili właśnie biały samolot w ich oczach zarył się w zieleń, a jednocześnie odezwał się dzwon, zatargany gwałtownie.

— Co on robi... co on robi!...

Lecz ptak olbrzymi już znowu ku nim leciał, na wysokości kilkudziesięciu metrów ponad polaną zieloną, widny bardzo wyraźnie. Kształtem przypominał ogromnego orła, cały był w białym kolorze, skrzydła, szeroko rozpięte, pruły powietrze nieruchomo, przechylając się jedynie na zakrętach.

Właśnie te zręczne obroty latawca, podobnie jak podrywanie się gwałtowne ku górze, lub spadanie w dół nagle, dowodziły niesłychanego opanowania żywiołu, w którym człowiek, kierujący swoim mechanicznym ptakiem, musiał się czuć zupełnie pewnym i bezpiecznym.

Gromadka przyglądająca się z przed leśniczówki popisom Bolka w powietrzu nie miała już słów z podziwu i zachwytu, gdy wtem orzeł znalazłszy się nad jeziorem, przystanął naraz w miejscu na wysokości co najmniej sześciu piętér i stąd runął w przepaść... Śledziły go wszystkie oczy ciągle, więc niczyjej nie uszło to uwagi. Toteż zmieszały się krótkie okrzyki na ten widok i wszyscy dech w piersi zaparli — czekając...

Wszystko to trwało jak gdyby jedno okamgnienie. Poczym na jeziorze z pluskiem głośnym rozbiły się na wszystkie strony wielkie fale, a pośrodku spienionych kół wodnych sunęła majestatycznie łódź z wysoko w górę wzniesionymi, białymi żaglami... Oniemieli wszyscy, nie mogąc pojąć, co się stało; po prostu oczom własnym nie dowierzając, ten i ów wzrok odrywał od jeziora i szukał na próżno w powietrzu białego orła, to znów śledził statek na wodzie, niepodobny do tamtego, przed kilku sekundami jeszcze kołującego pod niebem ptaka.

Pleban na ganku wsunął rękę pod ramię pana Jana, a kiedy się do siebie przywarli, wydało się im obu, że jeden drugiego pyta, czy żałuje choćby grosza z wydanych na ten cel funduszków...

Aliści pomyśleć jeszcze nad tym nie mogli, gdy Bolko dalszym popisem wprowadził ich w nowe zdumienie. Oto sterczące ku górze żagle opadły naraz po obu stronach łodzi na wodę, przypominając pośrodku jeziora dawny wygląd orła o rozpiętych skrzydłach. Nawet nikt nie dostrzegł, kiedy znów oderwały się one z powrotem od rozpryskanego zwierciadła wody i unosząc się coraz wyżej, wzbijały w powietrze.

Wspaniałe koło zatoczywszy nad wioską i cmentarzem, orzeł wpadł teraz prosto przed leśniczówkę, zatrzymał się w przestrzeni wolnej, poczym jak skowronek wzlatać zaczął znad polany prościutko w górę, ku niebu... coraz to wyżej... wyżej... malejąc z każdą chwilą bardziej, aż prawie zniknął wszystkim z przed oczu, w szary punkcik zamieniony na błękicie. Z zapiętym oddechem wpatrywali się wszyscy w to widowisko, aż zauważyli, że punkcik, o parę tysięcy metrów od nich oddalony, rośnie znów z powrotem. W istocie, samolot opadał pośpiesznie tak samo w linii prostej z góry na dół...

Kiedy znalazł się już na wysokości co najdalej pięćdziesięciu metrów od ziemi i Wisia zwracała uwagę ojca na to, że nie może pojąć, jakim sposobem w maszynie Bolka nie słychać zupełnie turkotu motoru, który we wszelkich aeroplanach warczy dziesięć razy hałaśliwiej niż w samochodach, odezwał się z góry głos Bolka wyraźny, acz huczący jak przez trąbę:

— Witam wszystkich... witam!

U stóp wielkiego orła widać było teraz długą tubę w stronę leśniczówki wysuniętą. Poczym rura, szybko cofnięta, znikła z oczu patrzących, a w tej samej chwili skrzydła ogromnego ptaka zmieniły kształty; przedtem stale rozpięte sztywno, teraz wyduły się, nadając latawcowi na tle nieba odmienną sylwetę. Również i ruchy jego nie były już od tej chwili podobne do poprzednich.

Nie tylko bowiem zmienił Bolko nagle kierunek lotu i zamiast dalej spadać w linii pionowej w dół, jął szybować poziomo nad polaną w stronę dworu, ale zarazem lot jego nabrał odrębnego charakteru: dotychczas raczej ślizgał się po powietrzu, obecnie płynął w przestrzeni majestatycznie...

Kiedy jeszcze raz zaczął się tym sposobem oddalać od leśniczówki, żał się wszystkim zrobiło; już myśleli, że orzeł spadnie na polanę i ujrzą z bliska nareszcie tego tryumfatora, gdy on zaczynał nowy popis. Jego latawiec sprawiał teraz wrażenie wolnego balonu, niesionego wiatrem spokojnym przed siebie w dal i wzwyż... Aliści wiatr dął właśnie z przeciwnej strony i Bolko sterował widocznie przeciwko prądowi.

Przez kilkanaście minut następnych latał biały orzeł nad okolicą Liliszek niezmiernie wysoko w tej nowej swej postaci, chwilami prawie całkiem zniknął z horyzontu, to znowu wypływał niespodziewanie, na koniec zjawił się przed oczyma wyglądającej go z upragnieniem rodziny liliszkowskiej, po dawnemu prześlizgujący się po powietrzu, z szeroko a sztywnie rozpostartymi skrzydłami — i sponad lasu po linii ukośnej sunął z góry jak wichra, prędko a gładko, wprost przed furtkę leśniczówki.

Ani się nikt nie spostrzegł, jak wylądował na porzniętym w różne strony ścieżynkami trawniku pomiędzy obejściem leśniczówki, gdzie z ganku wyciągały się ku niemu ręce Hanki, ojca i plebana, a skupioną gromadką, z której wyrwała się Mara, a za nią Wisienka, rzucając się w stronę, ogromnego samolotu, ledwie ten lekko osiadł na trawie.

Niejako w piersi mechanicznego orła otwarły się drzwiczki, przez które z osobiwej kajuty, korkiem w środku wyłożonej, wyskoczył młody pan Bolesław, w dziwnym ubiorze ochronnym. W mig odpiął z głowy czapkę czy kapiszonik wraz z maską na twarz zachodzącą, ale nim mu to zawisło od karku na plecach, już Mara ze skowytem przeraźliwym rzuciła mu się na piersi, łapami sięgając aż na ramiona słusznego mężczyzny, który poprzez łeb białej psiny wyciągał ręce do nadbiegłej za nią Jadwisi.

Bez słowa objęli się oboje za szyje i trwali tak w serdecznym, wymownym uścisku przez kilka sekund, niepokojeni przez szalejącą z radości Marę, poczym Bolko, oderwawszy się od nich co żywo, poskoczył z powrotem do kołyszącego



się na wszystkie boki latawca i w kilku miejscach pospinał szybko łańcuszki, ustawiając w ten sposób cały przyrząd w miejscu nieruchomo. Wtedy dopiero obie ręce wznosił w górę w stronę ganku w ściętym narożniku leśniczówki, skąd wychylali się ku niemu i ojciec z siostrą i ksiądz z rządczynią.

— Jestem... jestem... — wołał ku nim głosem wzruszonym, śląc uśmiechy powitalne z twarzy radością promiennej.

Ale iść do nich jeszcze nie mógł na górę, tak go zewsząd inni obkoczyli na dole. Witał się z wszystkimi jak w gorączce, ściskając jednych po drugich — i babcię Molową i pana Leszka i córkę jego ponownie, ale opędzić się nie mógł innym bliskim i dalekim, nawet ledwie zapamiętanym z dawna, którzy cisnęli się doń, za nogi obejmując, rąk się czepiając.

Słów niczych już słyszeć nie można było zupełnie wśród ujadania całej psiarni, z którą służba poradzić sobie nie mogła, mimo że wszelkimi sposobami używała, by hałaśliwą sforę uciszyć.

Bolko witając się z panem Leszkiem, prosił rządcę, by ten się postarał, żeby mu nikt aparatu nie ruszał, a Starowski wziął to sobie zaraz bardzo do serca i jął wszystkich odpędzać od latawca, a przykazał jednemu z obecnych stróżów leśnych pilnować go bezustannie.

Tymczasem przedarł się Bolko nareszcie do domu i za chwilę tulił go w swych ramionach siwy ojciec, jakby całkiem uzdrowiony wielką niespodzianką, a tak zazdrośnie przyciskał odzyskanego syna do chorej piersi, że z trudem mogła Hanka przywitać się z bratem, z trudem mógł uścisnąć rozczulony do łez ksiądz Kazimierz swego młodego ulubieńca.

Spostrzegł Bolko zaraz po paru minutach, że zastał ojca poważnie chorego, lecz zdołano go z miejsca uspokoić, zwłaszcza, gdy pleban jął go zapewniać, że to on sam zawinił, długo nie dając o sobie żadnych wiadomości, skutkiem czego stary ojciec popadł w takie zmartwienie i zwątpienie, iż wreszcie rozchorował się wczoraj.

— Szczęściem, bratku, żeś już dziś do nas przyleciał — kończył pleban — bo do jutra byłby się twój staruszek do łóżka położył...

— Nie smuć go — przerwał pan Jan słowa plebana, siląc się na uśmiech, jakkolwiek czuł się znacznie wzmocniony widokiem Bolka i jego orła cudownego, ale poprzez ten uśmiech jego, jakby przez gazę welonów, dostrzegła Hanka żal tak smętny, rysujący się na obliczu ojcowym, że jej jak żywa stanęła znowu w myśli i przed oczyma straszna chwila wczorajszego wieczora, kiedy po bezbrzeżnie rzewnej pieśni na rogu myśliwskim wygranej, starzec niespodziewanie złamany, zsunął się do nóg córki...

Odtąd spojrzenie Hanki biegło co chwila od brata do twarzy ojca z tak wyraźnym w oku strapieniem, że matka Wisi szepnęła jej nad uchem — uważając by nikt nie dosłyszał:

— Bądź trochę pogodniejsza. Haneczko, bo się brat spostrzeże, że przed nim kryjecie coś gorszego... Popatrz przecież, jak wszyscy szczęśliwi...

W istocie, w zbiorową duszę tej gromadki wstąpiło jak gdyby nowe życie na widok bohatera, do którego ramion niejako przylgnęły fantastyczne skrzydła zdobywcy powietrza. Zdawało się, że na całe Liliszki padł szeroki promień jasności z białych skrzydeł orła, który przed chwilą rozkoszując się prawdziwą wolnością w podniebiu, bliżej był słońca — aniżeli wszyscy tamci, podnoszący teraz oczy na niego z czcią, ale i z dumą, że mają go między sobą...

Wobec radości z powodu tak tryumfalnego powrotu syna pierzchało smutne wrażenie, że z pośród nich po cichu odchodzi powoli ojciec...

Nikt mu się nie dziwił, że naglił Bolka do opowiedzenia szczegółów niesłychanej podróży podobłocznej, bo wszystkich jednocześnie paliła podobna ciekawość.

Jedna Hanka znalazła w tym okrutne potwierdzenie swoich złych przeczuć i myśli smętnych... Ojcu śpieszno wysłuchać z ust Bolka tego wszystkiego, co mu pozwoli umierać szczęśliwie, z zadowoleniem, że nie wahał się przyłożyć ręki do dzieła wielkiego i szczytnego, do wynalazku epokowego, który w osobie syna tryumfatora chwałą okryje cały jego naród... Śpieszno mu, bo widocznie czuje, że godziny życia już ma policzone ostatecznie i mógłby się niczego bliższego nie dowiedzieć przed śmiercią, jak bał się przedtem, że nawet nie doczeka się powrotu syna, nie ujrzy go gasnącymi oczyma...

To też łyzy ukradkiem połykała Hanka, widząc, jak chciwie chłonał każde słowo Bolka, gdy ten opowiadał po kolei całe dzieje rozwoju swego wynalazku.

\* \* \*

— ...A kiedy już poszczególne części mojego orła zostały wykończone w różnych fabrykach belgijskich, wynająłem ogromne łąki nad dużym stawem o kilka mil od Brukseli i tam wszystko sprowadziwszy, odciąłem się od świata zupełnie. Żywego człowieka nie było tam na przestrzeni kilku kilometrów kwadratowych, więc nikt mnie nie podglądał, nikt nie przeszkadzał...

Skończywszy budowę, zabrałem się do prób. Po jednorazowym wzlocie przekonałem się, że rozporządzam tak już pewną i bezpieczną maszyną do latania, jakiej nikt jeszcze nie wynalazł.

Nie chcę na razie nużyć ojca szczegółami natury technicznej, które i tak nikomu z was nie mogłyby sprawy wyjaśnić... Więc tyle wam tylko powiem, że mój latawiec nie jest bynajmniej jedną z tych maszyn, którymi w tej chwili już popisują się po świecie inni wynalazcy.

Cieszę się niezmiernie tym właśnie, że mój orzeł, jako dzieło polskiego inżyniera, przewyższa pod wielu względami wszystkie inne w tej dziedzinie pomysły. Dałem mu i nazwę „Biały Orzeł” i kształty dokładnie przypominające olbrzymiego białego orła — z rozmysłu — żeby wobec świata zadokumentować, iż jest to właśnie twór odrębny wyłącznie polskiego ducha.

Zapewne, że wyzyskałem tu wszelkie zdobycze najnowszej wiedzy i techniki i uwzględniłem wszelkie doświadczenia współczesnych awiatorów i aeronautów.

Ale na powstanie mego orla złożyło się właściwie dwadzieścia kilka rozmaitych moich własnych wynalazków. Po prostu przy budowie co trochę brakło mi czegoś potrzebnego i nie mogąc tego nigdzie dostać, musiałem sobie to wynaleźć.

Jakie są wreszcie tego wyniki — powiem krótko. Oto z każdego miejsca, chociażby tak ograniczonego, że tylko samolot mój zdoła pomieścić, mogę bez względu na warunki atmosferyczne oderwać się od razu od ziemi, czy też nawet od wody, i unieść w powietrze samodzielnie, dźwigając z sobą w razie potrzeby i dowolny ciężar. Mogę wlatywać w górę zarówno po linii ukośnej, jako też pionowej i tak samo posuwać się po powietrzu w dowolnym kierunku i z dowolną szybkością. Wysokość, do jakiej mógłbym dosięgać, jest niemal nieograniczona, podobnie jak chyżość, z jaką mogę pędzić; pod jednym i drugim względem już pobitem wszystkich współzawodników. Aliści nie w tym rzecz, ani w tym, że na zawołanie lądować mogę gdzie tylko zechcę...

Co najważniejsza, że do poruszania tej maszyny użyłem elektryczności, dzięki czemu podróż powietrzną uczyniłem po prostu idealną. A dalej, że znikło wszelkie niebezpieczeństwo, jakie ciągle grozi lotnikom na innych samolotach. Słyszycie tak często o tragicznych wypadkach. O mnie nie potrzebujecie się już lękać. Dziesięć razy mogłem do dziś dnia zginąć, ucząc się latać na balonach zwykłych i sterowych, a potem na biplanach i monoplanach wszelkich systemów francuskich i amerykańskich.

Ale skoro nie skręciłem karku, to już na pewno nic mi się nie stanie na moim białym orle. Zresztą mniejsza o mnie. Nikomu nic nie grozi, jeżeli w nim podróż podniebną odbędzie. W innych aparatach jedna śrubka może na śmierć narazić lotnika. Tu nie ma obawy o to, że nagle w chmurach motor wypowie posłuszeństwo i latawiec spadnie jak kamyczek na dół, rozbity w drzazgi, zamieniając żeglarsza powietrznego w martwą krwawą bryłę...

Tu przede wszystkim nie ma żadnych obaw już dla tego samego, że każdej chwili z aparatu cięższego od powietrza, w tym rodzaju jak wszelkie aeroplany, zamieniam w razie potrzeby swego orla w aerostat, w przyrząd lżejszy od powietrza — w rodzaju balonów... Widzieliście, jak skrzydła mego ptaka, zmieniając nagle zupełnie swoje sztywne kształty, wydeły się i jak przez kwadrans płynąłem niejako, w dowolnych kierunkach sterując, zamiast ślizgać się po powietrzu... Na ten czas skrzydła są wypełniane gazem...

Ale znowu za daleko zapędzam się w objaśnienia techniczne... Więc już wam nie będę tłumaczył, skąd tam pod niebem biorę potrzebny zapas wodoru, a zwrócę tylko uwagę, że do rozgrzania na ten cel zwykłego powietrza mam przecież do rozporządzenia rozgrzane gazy wylotowe motoru.

Zresztą, gdyby nawet — mimo że to jest niemożliwe — orzeł mój spadł nagle z góry na dół, jeszcze by się nie stało nic złego ani aparatowi ani człowiekowi. Jest w ten sposób zbudowany, że gdyby nawet — chociaż, powtarzam, dzięki mojemu systemowi, jest to wykluczone — zleciał z bardzo znacznej wysokości, nie może rozbić się tak, jak w razie najbliższego wypadku z innym aeroplanem.

Już sam materiał, z jakiego wszystko zostało wyrobione, chroni mego orła od roztrzaskania się o ziemię, a są to materiały w sposób nikomu jeszcze nieznanym powstałe, mieszaniny o niesłychanej trwałości i wytrzymałości.

Udało mi się mianowicie odkryć pewien minerał, (nazwałem go: „lil”), który tu zastosowałem, ale zwłaszcza mieszanina chemiczna, wynaleziona przeze mnie zaraz po tamtym odkryciu (nazwałem ją „kwasz”), ułatwiła mi dopiero zadanie.

Zastosowałem to wszystko nie tylko przy sporządzaniu aparatu, lecz nawet przy sfabrykowaniu odpowiedniego do wzlotu ubrania. To właśnie, co na mnie widzicie, to ochrona nie lada, nic mi się w tym nie stanie... nawet na pancerz przeciwko kulom wojskowym mogłoby to służyć znakomicie...

Ale wracając do możliwości katastrofy... To, gdyby latawiec cały spod chmur nagle zaczął lecieć, jak to się mówi — na łeb, na szyję, to o ziemię nie runie, jak kamień, ponieważ w tej samej chwili, gdyby aparat wypowiedział niespodziewanie posłuszeństwo, to znaczy, żebym nie ja sam kierował jego opadaniem w celu lądowania w dowolnym miejscu, orzeł zamienia się w rodzaj spadochronu, który opadnie powoli, lekko, na ląd czy na wodę, bez szwanku...

A widzieliście już sami, że z chwilą, gdy zlatuję w wodę, latawiec zamienia się od razu w łódź zagłową, która może przebywać rzeki i morze bez obawy.

Przed chwilą znowu przypatrywaliście się, jak orzeł ląduje... Chcecie wiedzieć, jakie ma się przy tym uczucie... Ot, jak gdyby się usiadło na kanapie o świetnych resorach...

Ale naturalnie jesteście ciekawsi wrażenia, jakiego doznaje się podczas lotu w powietrzu. Poczekajcie, nie od razu wszystko... Powoli opowiem i to i tamto. Przecież mam tyle do opowiadania. Umyślnie nawet nie pisałem, żeby ustnie zdawać sprawę... Chociaż i czas nie pozwalał.

Pomyślcie tylko, co to za praca była nad tym wszystkim, zwłaszcza, że ja się obchodzę bez usługi przy swoich robotach... To znaczy poszczególne drobiazgi, do orła potrzebne, robić kazałem w różnych fabrykach, w taki sposób, że nigdy nie mógł z tego nikt wiedzieć co robi i na jaki użytek. Ale najważniejsze rzeczy fabrykowałem sobie sam — już choćby dlatego, że, powtarzam, wszystko tu polega na moich własnych odkryciach i wynalazkach, których na razie nie mogłem przecież nikomu zdradzić.

A już przy montowaniu aparatu to mi właściwie nikogo nie potrzeba. Naturalnie, że tu właśnie, przy tym składaniu z drobiazgów całości, podpatrzył by jaki technik łatwo główny mój sekret. Lecz to pomijając, zapewniam was, że jeden człowiek, bez niczyjej pomocy, wybornie sobie wystarcza przy tej robocie. Dość wam powiedzieć, że kiedy już orzeł odbył z Belgii podróż koleją w pakach — pierwszą swą podróż nie powietrzną — to sam rozpakowałem go i zmontowałem w Krakowie...

Ależ bo wy jeszcze nic nie wiecie o mojej podróży... Przecież do was przyleciałem, nie przyjechałem... Tak, ojcze. Z Krakowa aż za Dźwinę... To znaczy, nie bezpośrednio, bo przerwy robiłem w drodze kilkakrotnie... Zresztą zaraz się dowiecie.

Otóż miałem zrazu zamiar w pakach przywieźć wszystko do Warszawy, tam złożyć aparat na nowo i stamtąd od razu tu przylecieć. Ale przed samą wysyłką pak z Belgii, przyszło mi na myśl, że może na rosyjskiej komorze zaczną mi oglądać podejrzliwie mego orła... zaczną bliżej mu się przypatrywać... Bo gdzieindziej mogłem sobie wyprosić nieproszonego gościa od zaglądania do moich śmieci... Ale tu co począć... Przecież żandarmowi nie powiem, że nie ma prawa przyglądania się z bliska szczegółom moich wynalazków, bo tym bardziej gotów by sobie wyobrazić, iż nie orła do latania wiozę, lecz co najmniej bomby...

To zdecydowało sprawę. Wysłałem wszystko do Krakowa. Przyjeżdżam sam z pakami. Z kolei jadę naprzód dorożką za miasto, na Czarną Wieś do znajomych, u których mieszkałem studentem. Nie mówię na co, lecz dopytuję się o jaki wolny plac w okolicy Błonia. Wskazują mi, wynajmuję z miejsca i tego samego dnia sprowadzam tam z kolei swoje paki. Plac duży, oparkaniony wysoko i zaopatrzone w sporą szopę.

W ciągu dnia udało mi się cały aparat zmontować na nowo, zanim jeszcze dowiedział się kto w mieście o pobycie w Krakowie maszyny do latania. Miałem zrazu zamiar poczekać do następnego dnia z próbą wzlotu. Ale znowu przypomniała mi się komora rosyjska, którą musiałbym przebywać za dnia i zwrócić na siebie uwagę straży pogranicznej. Więc nie namyślając się wiele, wybrałem się w podróż około północy, korzystając z pięknej pogody i bajecznego nastroju w blaskach pełni księżycowej.

Z Czarnej Wsi wyleciawszy nad Błonia, upewniłem się, że wszelkie aparaty wewnątrz i na zewnątrz orła działają prawidłowo, a że już w szopie na oparkanionym placu nie zostało nic z moich rzeczy, wszystko bowiem wzięłem z sobą do kajuty, nie miałem więc koniecznej potrzeby powracać i ruszyłem od razu w drogę.

Ach, cóż to było dla mnie dawniej, latać nad polami wsi i osad fabrycznych w Belgii... Teraz, pomyślcie tylko — wzniosłem się w powietrze, pierwszy raz oderwawszy się od ziemi polskiej, pierwszy raz dopiero wzleciałem ptakiem nad ojczyzną niwą, u stóp mając samych swoich, którym coś więcej powie widok tego ogromnego orła białego w wolnych przestrzeniach, aniżeli mówiłby obcym — zajętym jedynie myślą o tryumfach awiacji...

Ojcze, wiesz... nie mam dziś jeszcze pojęcia, jakie w życiu — dzięki twojej pomocy — odbywać będę podróże czarujące; nie wiem, może i poprzez oceany przyjdzie mi kiedyś lecieć o własnych siłach na drugą półkulę, w inne światy, a może nieodkryte pod biegunami lądy zdobywać... Ale już nigdy — zapewniam was — nie doznam wrażeń, jakie przeżyłem w tej swojej pierwszej nad Polską podróży.

Wyobraźcie sobie tę noc księżycową nad Krakowem... Nie, tego do śmierci nie zapomnę... Ja tam w powietrzu szalałem z radości, a w duszy mojej płakało coś jednocześnie z wielkiego wzruszenia, kiedym skrzydła białe nachylał spod nieba nad ten, pleśnią wieków powleczone, a tak święty dla nas relikwiarz, przy którym słyhać tętno kołyski naszego nowego życia...

Kiedy znad Kopca Kościuszki zleciałem nad Wisłę i znalazłem się wśród murów Wawelu, przypadłem do wieży Zygmuntowskiej, żeby swoim skrzydłem otrzeć się o srebrzystą pierś orła Jagiellońskiego i z kamiennych piór tego martwego znaku nabrać mocy tajemniczej do górnych i chmurnych lotów — na jakie dzisiaj świat już nie spogląda...

A potem ten Rynek krakowski, jakiego nie ma żadne miasto! Jeszcze go widzę w tej chwili — jak wtedy miałem go u stóp swoich w oną noc błękitną, widzę go z tym czworobokiem staroświeckich gmachów, z tym kościółkiem przedwiecznym św. Wójciecha i z tym czarnym ratuszem, spod którego w nastrojowej ciszy niemiecka komenda odzywa się hałaśliwie z odwachu wojskowego...

I te wielkie Sukiennice kazimierzowe pośrodku, po dziennej wrzawie pod arkadami, drzemiące nocą — wywarły wrażenie niby sarkofag tego króla-gospodarza stojący pomiędzy kamienicami potomków Wierzyńskich.

Wszystko jednak niczym jeszcze wobec hejnału z Mariackiej wieży — granego mi w locie tuż nad uchem... Ten hejnał cudny, który tak ukochałem za czasów studenckiego pobytu w Krakowie, wydał mi się już tym razem doprawdy jakąś muzyką zaziemską, kiedym się sam wzbił pod obłoki znad ziemi i kiedy mój orzeł biały okrążał w ciszy północnej koronę wieżyczek na szczycie strzelistym niebotycznej strażnicy Mariackiej nad Wisłą.

A prosto stamtąd zleciałem orłem białym nad laurem ukoronowaną głowę Mickiewicza i w duszy myśl pieściłem z rozkoszą, że tak pierwszy raz polski ptak królewski przed tym orłem-geniuszem skłonił się z czią należną, pierwszy raz Adam hołd odbierał od uskrzydłonego ziomka w locie...

Tak wzruszającego wrażenia, jak nad tym Rynkiem krakowskim, doznałem potem jeszcze tylko nad Jasną Górą i nad kolumną Zygmunta...

Świt ledwie budził skowronki w polach koło Częstochowy, kiedy mój orzeł, szczęśliwie minąwszy pogranicze, wolno koło zatoczył nad białą wysoką wieżą sterczącą nad klasztorem jasnogórskim, nad którym w naszych wspomnieniach krąży wiecznie duch Kordeckiego.

Z Częstochowy skierowałem się z powrotem nad Wisłę i odtąd przeważnie leciałem z jej biegiem.

Aliści naraz uczułem się tak znużony skutkiem niewyspania się w nocy a przeżywania ciągle silnych wrażeń, że bezzwłocznie postanowiłem wylądować dla wypoczynku. Spojrzałem z góry na uciekający mi spod stóp krajobraz i od razu wybrałem sobie idealne ustronie, dokąd też zwróciłem swego ptaka.

Wśród gęstych lasów, czerniejących na przestrzeni kilku kilometrów, świeciła młodą trawką spora polanka u zbiegu trzech dróg bitych, więc bez namysłu opadłem na to pustkowie, z myślą, że nigdzie lepiej nie będzie można wypaść się spokojnie.

Za chwilę w istocie spałem jak zabity. Sen pokrzepił mnie świetnie, ale jeszcze mi go wcale dość nie było, gdy po kilku godzinach budzą mnie dzwonki elektryczne. Mam bowiem takie urządzenie, że w razie, gdy się ktokolwiek

dotknie aparatu zamkniętego, dzwonki alarmują głośno, co mi właśnie pozwala spać wygodnie w kajucie na postoju w miejscu obcym.

Zrywam się tedy nagle rozbudzony i tuż przed oczyma spostrzegam jakąś urzędową czapkę, której właściciel perswaduje mi, że po tym lesie nie wolno ani chodzić ani jeździć, że to las rządowy, że mi grozi kara itd. Przepraszam go tedy z miejsca, tłumacząc się, że jestem tu obcym podróżnym i nie mogłem o tym wiedzieć... Jak to — powiada — kiedy przecież napisy są wszędzie... Ba, kiedy ja tych napisów nigdzie nie widzę w koło siebie... Otóż okazuje się, że są aż u wejścia do lasu... Kiedy ja tam nigdzie nie byłem... Więc którędy dostałeś się pan w sam środek lasu — pyta mnie ów jegomość w urzędowej czapce — kiedy przy każdej drodze, którą mogłeś pan wjechać, jest tablica...

Którędy — powiadam temu obywatelowi, który mój aparat na ziemi stojący wziął za automobil nieznanych mu kształtów — którędy? Ja to panu zaraz pokażę, tylko proszę usunąć się o kilka kroków, żebym panu jakiej krzywdy nie wyrządził niechcąc... Zanim to powiedziałem, już wszystko w mig przygotowałem do niespodzianki, to też czujny stróż lasów skarbowych aż usta rozdziawił ze zdumienia, widząc, jak w jego oczach domniemany samochód odrywa się od ziemi i unosi w powietrze ptakiem...

Rychło straciłem z oczu pana w urzędowej czapce i pożałowałem, że w zamian za bezpłatne widowisko nie wprosiłem się do niego na obiad. Wypawszy się bowiem, uczułem teraz głód dotkliwy, a jakkolwiek w kajucie swojej byłem we wszystko odpowiednio zaopatrzone, to jednak nabrałem nagle ochoty na inne jedzenie, aniżeli moje zapasy. Przeleciawszy tedy nad lasami, spuściłem się zaraz z powietrznego gościńca na najbliższą łąkę i zamieniwszy swój samolot na samojazd, co mi równie łatwo przychodzi, jak zamiana mojej powietrznej łodzi na czółno wodne — wjechałem dziwnym samochodem w środek wsi, gdzie posiłem się porządnie.

A było to już koło południa i pora nadeszła pomyśleć o podróży do Warszawy, o ile chciało się przybyć tam jeszcze przy dziennym świetle. Opuściłem więc znowu skrzydła orle po bokach mego automobilu, zamieniłem go z powrotem na latawiec i z placyku przed kościołkiem wiejskim, otoczony gromadą chłopów, a zwłaszcza dziatwy, która wysypała się ze szkoły, wzniosłem się w powietrze, dosięgając od razu bardzo znacznej wysokości i już odtąd kierując się mapą, leciałem nad Wisłą prosto do Warszawy.

Pogoda towarzyszyła mi ciągle piękna, mało gdzie spotykałem silniejsze wiatry, zresztą przeważnie powietrze było spokojne. Kiedy znalazłem się już niedaleko stolicy, natrafiłem na wał chmur, który mnie zmartwił wielce, można było bowiem sądzić, że całą przyjemność „tryumfalnego wjazdu” do Warszawy popsuje niespodziewanie slot. Zasmucony tą myślą, wzbiłem się niezmiernie wysoko, żeby uniknąć ulewy i rzeczywiście bujałem pod czystym niebem, mając pod nogami ciężkie chmury. Niebawem zostawiłem je wszakże daleko za sobą, a w okolicy Warszawy padał tylko drobny deszczyk przez kilka minut, po dniu gorącym jak w lecie. I nagle oczy moje olśnił widok wspaniały.

Słońce w złocistym pyłe chyliło się już ku zachodowi, kiedy przede mną rozpiął się na niebie olbrzymi łuk barwnej tęczy, przez który — niby przez bramę tryumfalną, umyślnie na powitanie „Białego Orła” wzniesioną tak wysoko — miałem wlecieć do Warszawy. Zdaje się, że gdyby nie ta piękna tęcza, może by mnie publiczność nie była tak prędko spostrzegła. Ale właśnie ludzie na ulicach z tego powodu podnosząc oczy na niebo, zauważyli nad miastem coś niezwykłego. Zaczęły więc w jednej chwili w różnych punktach tworzyć się gromadki na ulicach, na placach i rosły w ogromne zbiegowiska...

Zjawiłem się nad miastem od strony Mokotowa, lecąc bardzo wysoko. Nad błyszczącymi w zachodzącym jaskrawo słońcu wieżami złotymi nowego kościoła Zbawiciela, wykonawszy w locie parę ósemek, skierowałem się nad Aleje i parki, w których używało przechadzki mnóstwo publiczności. Żeby być lepiej widzianym, zatrzymałem się umyślnie nad Parkiem Ujazdowskim, gdzie nic nie zasłania widoku nieba — i tu dopiero wykonywałem w powietrzu przez jakie pół godziny najrozmaitsze ewolucje dla wykazania zupełnej pewności aparatu. Do Parku rzuciły się z Alei takie tłumy, że mi się aż żal zrobiło deptanych przez ciżbę wielkich trawników.

Ile razy zniżyłem się nieco ku ziemi, słyszałem wyraźne okrzyki na moją cześć wznoszone, a co mnie najbardziej cieszyło, że — jak z dolatujących głosów zrozumiałem — ludzie tu od razu z kształtów rozpoznali w powietrzu białego orła. Z gestów mężczyzn nad gazetami perswadujących coś kobietom, domyśliłem się, że to dzienniki przyniosły już telegraficzne wiadomości o tajemniczym pojawieniu się ubiegłej nocy nad Krakowem takiego samego latawca, nie mylono się zatem, biorąc mnie za tego samego żeglarsza powietrznego, którego widziano w Krakowie odlatującego w stronę Królestwa.

Kiedy za chwilę zacząłem się posuwać nad Alejami w głąb miasta, na placu św. Aleksandra stały już tak ogromne tłumy, że ustał ruch dorożek i tramwajów. Wszyscy zadzierali w górę głowy, chcąc mi się najlepiej przypatrzeć, wszyscy z bocznych ulic zbiegali się na otwarte miejsca, skąd dokładniej można było obserwować latawca. Staralem się tedy zaspokoić ogólną ciekawość i znowu nad placem św. Aleksandra dokonałem kilku brawurowych popisów, byle jak najlepszą opinię zdobyć dla „Białego Orła”. To okrążałem nisko kopułę kościelną, to się w prostej linii wznosiłem w górę do wysokości zawrotnej, w jakiej musiałem już tłumom z oczu niknąć, to znów spadałem nagle jak jastrząb na dół, nad same kwietniki pośrodku placu, żeby natychmiast poderwać się, zanim zdążono mi się z bliska przypatrzeć.

Potem zwróciłem się nad Nowy Świat, lecz rychło zboczyłem w szeroką Aleję Jerozolimską i mając tu wysokie fasady kamienic po obu stronach, leciałem prosto przed siebie wzdłuż ulicy, nisko, równo z oknami czwartego piętra, dając nowym tłumom bezpłatne widowisko. Od Dworca Wiedeńskiego zwróciłem się w prawo i w podobny sposób leciałem nad ulicą Marszałkowską, tylko nieco wyżej, by nie zaczepić gdzie skrzydłami o dachy.



Naraz spostrzegam przed sobą olbrzymią basztę, jeszcze mi nieznaną. Był to nowy gmach telefonów przy ulicy Zielnej, o którym tylko w gazetach czytałem, że go kończą budować i że jest to pierwszy w Europie „drapacz nieba”. Poderwałem się z miejsca na ten widok, wleciałem bardzo wysoko, poczym lekko opadłem i przysiadłem na szczycie tego najwyższego na naszym kontynencie domu. Tu doszły mnie wrzaski przeraźliwe z dzielnic żydowskich. U stóp miałem na Grzybowie mrowie ludzkie.

Zresztą dokoła roily się ulice. Tysięczne rzesze wybiegały z mieszkań i sklepów, warsztatów i fabryk, by zobaczyć olbrzymiego białego orła, którego lotu nikt nie zapowiadał i o którym nic prawdziwego nikt nie mógł powiedzieć. Anonimowy samolot zaintrygował całe miasto, milionowe miasto. Widziałem z góry, jak poruszone tym były nawet te dzielnice, do których jeszcze nie dotarłem, a gdzie musiał chyba telefon już uprzedzać zjawisko; dość, że dokąd nadlatywałem, zastawałem już wszędzie tłumy z zadartymi w górę głowami...

Powiewano mi zewsząd chustkami i kapeluszami jak najprzyjaźniej, co by nie przeszkadzało podruzgotać mi w ścisku aparat, gdybym się był odważył wylądować gdziekolwiek między tym tłumem.

Ale ja się czułem prawdziwie bezpiecznym jedynie w powietrzu.

Nawet na szczycie owego „drapacza niebios” przyszło mi na myśl już po paru minutach, że pewniej będzie skrzydłami murów nie dotykać, toteż wleciałem stamtąd zaraz i krążyłem przez czas dłuższy nad Placem i Ogrodem Saskim oraz nad Placem Teatralnym i Krakowskim Przedmieściem, ponawiając i tutaj ewolucje swoje w powietrzu nad krociowym pogłowiem.

Im dłużej krążyłem nad Warszawą, tym większy lęk przejmował mnie na myśl, co by mogło być z chwilą wylądowania...

Tam, po północy, nad kordonem granicznym udało mi się przelecieć wysoko — nie budząc niczyjej uwagi. Teraz jednak nie ma już organów policyjnych, które by nie wiedziały o tajemniczym latawcu, na pytanie zaś władz wyższych nie umiałyby z nich nikt wyjaśnić, skąd się ten „biały orzeł” wziął w obrębie granic państwowych i kto go dosiada...

Przecież mógłbym robić zdjęcia fotograficzne fortyfikacji wojskowych dla niewiadomego użytku, nikt bowiem nie widział mego paszportu i nie mógł wiedzieć kim jestem. Wystarczyło teraz spuścić się z góry i przysiąść na bruku warszawskim, a już mnóstwo policjantów, zaintrygowanych moim niebywałym lotem, otoczyłoby mnie z miną urzędową dla sprawdzenia, skąd się tu wziąłem i gdzie mam na piśmie pozwolenie na urządzenie takich zbiegowisk w całym mieście, ruch prawidłowy tamujących...

Nie o to mi szło bynajmniej, żeby mnie za to pociągano do jakiej odpowiedzialności, która może by ograniczyła się tylko grzywną pieniężną. Nie, ja się tego lękałem, że skoro było dziesięć powodów do udowodnienia mi nieformalności — musiałby się znaleźć i powód do bliższego zbadania mojego latawca.

Nie zbudowałem go wyłącznie na własny użytek, nie wynalazłem go z egoistycznych pobudek. Przeciwnie, pragnąłem rozwiązanie ostateczne zagadki lotu oddać ludzkości, pragnąłem tego „Białego Orła” podarować swojemu narodowi.

Ale mam zbyt ważne przyczyny do tego, by strzec zazdrośnie przed okiem ludzkim tajemnicy swoich odkryć i wynalazków, dzięki którym powstał mój wolny, pewny siebie i bezpieczny latawiec.

Dla ludzi fachowych właściwy sekret mojego powodzenia — to byłoby istne „jajko Kolumba”.

Wszystko tu bowiem jest tak proste, tak naturalne, że nic łatwiejszego, jak wpaść na to... Ale kiedy inni nie wpadli na to wcześniej — mnie się trafić udało. I tyle tylko mojej zasługi — obok usilnej pracy z zamiłowaniem szczeremu. Lecz właśnie z powodu tej ogromnej prostoty najważniejszego mego wynalazku, lękam się niezmiernie, by nie popadł w ręce niepowołane...

Jako zasadniczy przeciwnik idei wojny muszę się troszczyć, by z pomysłu „Białego Orła”, rzeczywiście mogącego olbrzymie usługi oddać wojskowości, nie skorzystał właśnie militarizm.

I to nie o to idzie mi ostatecznie, ze względu na moją narodowość, które państwo ma zyskać z tego powodu; mam na myśli jedynie i wyłącznie zasadę nie dopuszczenia do tego, by pomysł mój — płód szczytnego ducha człowieczego — powzięty w marzeniach o najpiękniejszych zadaniach kulturalnych ludzkości, miał się przeobrazić w narzędzie wojskowe...

Zrozumiecie więc teraz, co się działo ze mną, kiedy tak z wyżyn mojego orła spoglądałem na Warszawę... Powtarzam, że bezpiecznym czułem się tylko w powietrzu — zarówno tutaj nad Saskim Placem, jak potem nad kordonem szyldwachów z pikielhaubami na granicy pruskiej; i nad Poznaniem, Gnieznem, Gdańskiem, jak znowu nad Wilnem, kiedy upojony szałem tego lotu nad całą Polską, szybowałem pod obłokami w wasze strony dalekie za Dźwinę...

Po prostu bałem się wylądować między ludźmi i odpoczywałem tylko gdzieś w pustce leśnego ustronia, byle jak najdalej od koszar i fortów, nad którymi lecąc — przymykałem oczy...

Więc pomyślcie, co za radość mieszała się z moim lękiem, jeżeli nad taką Warszawą krążąc parę godzin, nie byłem zmuszony — jak pilot któregośkolwiek aeroplanu — lądować już nie skutkiem popsucia się motoru, ale choćby tylko dla nabrania nowego zapasu benzyny. Dopiero wtedy właśnie odczuwałem swój tryumf w porównaniu z innymi maszynami do latania, znanych i wypróbowanych systemów.

A mimo to żal jakiś uczuwałem, że nie mogę spaść nagle białym ptakiem olbrzymim pomiędzy te tłumy rozentuzjasmowane i radować się wraz z nimi tryumfem ducha polskiego i ostatecznym zwycięstwem człowieka w walce z opornym powietrzem...

I żal mi było — mówię szczerze — iż nie mogłem zrobić ustępstwa słabości ludzkiej, której byłoby najbardziej schlebiał, gdyby ta rzesza wielotysięczna,

bijąca mi oklaski frenetyczne, kiedy np. latałem nisko nad jej głowami, między gmachem Ratusza a Teatrem Wielkim... gdyby była mnie porwała na ramiona i obnosiła wśród okrzyków tryumfalnych po Placu Teatralnym...

Już zmierzch zapadał, kiedy latając nad Krakowskim Przedmieściem, zatrzymałem się nagle przed Karmelitami, a zbliżywszy się powoli do Mickiewicza, wysunąłem rękę ze swej kajuty i na skronie wieszczki włożyłem wianek z polnych kwiatów uwity, z kwiatów, które w Krakowskiej ziemi — z tą myślą, że je Wisi powietrzem tutaj przywiozę — zbierałem na Błoniach u stóp kopca Kościuszki...

Publiczność to spostrzegła mimo coraz większego zmroku i bić zaczęła oklaski, ale już mnie nad pomnikiem nie było. Pomknąłem co żywo do starej Warszawy, krążyłem orłem białym nad labiryntem wąziutkich uliczek, z wysoko sterczącymi, o dziwacznych kształtach kamienicami, wymijałem wieże świątyń wiekowych; poczym z sercem najmocniej z serdecznego wzruszenia bijącym, zawróciłem ponad Farę Świętojańską, głosem średniowiecza modlącą się niebu poematem z koronek kamiennych — i wydostałem się na plac Zamkowy.

Zaświecano właśnie pierwsze lampy elektryczne na Krakowskim, kiedy w locie spokojnym i powagi pełnym, zbliżyłem się do kolumny Zygmunta, skąd już miałem poprzez Wisłę przerzucić się na Pragę i zniknąć w cieniach wieczornych z przed oczu Warszawy.

Mój biały orzeł zrównał się z figurą króla na kolumny szczycie. Chciałem mu z bliska, tak z bliska, jak nikt jeszcze przede mną w podobnych warunkach, zajrzeć w oczy, jemu, który przez kilka wieków stojąc niewzruszenie na tym podniebnym piedestale, patrzył i widział wszystko, cokolwiek przeżyła Warszawa...

I nie wiem, czy to z wielkiego wzruszenia, ręka mi zadrżała i źle sterownik ujęła, żem skrzydłem o jego miecz w górę sterczący potracił, czy też ja sam to własnymi widziałem oczyma, dość, że mi się wyraźnie wydało, jak gdyby mi Zygmunt mieczem poza siebie wskazał...

Wstrząsnąłem się na całym ciele i niemal odskoczyłem od kolumny, kierując swego orła w kierunku ostrzem miecza wskazanym. Wzleciałem nad Zamek Królewski wysoko i spojrzałem przez zmierzch, mieszający się z mgłami szarymi, które zaczynały się z Wisły podnosić pomiędzy mostami...

I naraz coś we mnie jęknęło, jak gdyby coś najdelikatniejszą strunę targnęło w głębi mojej duszy... Błyskawicą przeleciało mi przez myśl wspomnienie bolesne, a drogie... dwóch najlepszych przyjaciół i kolegów, którzy zginęli tam — gdzie mój wzrok oparł się w tej chwili z ponad Zamku...

Nie dojrzałem jej, ale ją w cieniach nocy wyczułem... tam nad Wisłą...

To była cytadela...

## IX.

Ponad pustkowiem bezkresnym smętnych łąk ziemi inflanckiej wietrzyk lekki nosił po niebie obłoczki białe, które pod wieczór coraz bardziej kupiły się nad lasami liliszkowskimi.

Kiedy wreszcie słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, wiatr ustał, a obłoczków białych, gromada zatrzymała się nad samą leśniczówką.

Ktokolwiek byłby na ten zwał chmurek spojrział, byłby w nim w tej chwili rozpoznał wyraźnie kształty hufca cherubinków białoskrzydłych.

Powolutku rozstępowały się zastępy anielskie, zostawiając pośrodku wielkiego wieńca białych skrzydeł okienko ciemno niebieskie.

W tej chwili właśnie wpatrywała się w niebo z naroźnego ganeczku liliszkowskiej leśniczówki babcia Molowa, która parę razy w ciągu długich opowiadań Bolka o jego powietrznej podróży, wychodziła cichutko z pokoju i westchnąwszy pod gołym niebem głęboko, wracała znowu po chwili na swój fotel tak spokojnie i tak bez szelestu, jakby nie chciała swoją osobą nikomu nawet toku myśli przerwać...

Tym razem zatrzymała się staruszka dłużej na ganku, widocznie bardzo już znużona, wciągała w piersi z rozkoszą świeże od jeziora powiewy, pochyliła się poprzez barierkę w dół i uważnie przyglądała się ogromnym skrzydłom „Białego Orła”, rozpiętym szeroko na trawniku przed obejściem leśniczówki, poczym głowa jej w srebrnej aureoli siwych loczków, trzęsąc się w takt niedosłyszalnej melodii wspomnień, które rodziły się na ten widok w jej myślach i wygrywały pieśń o dzieciństwie Bolka i Wisi, ulubieńców babuni, dźwigała się w górę, a słodkie spojrzenie dobrych a smętnych jej oczu utkwilo w ciemnobłękitnym rąbku nieba wyzierającym spoza wieńca śnieżnobiałych aniołków skrzydlatych...

— Już czekacie aniołki — szepnęła do siebie — czekacie na tę duszę czystą, której trudno rozstać się z synem... Przez to okienko uleci w niebo... A kiedyż tam się i dla mnie niebo otworzy?...

Poczym spojrzenie staruszki pobiegło w stronę dworu wynurzającego się z białych sadów i oparło się o mur starej baszty.

— A mówiłam wczorajszego wieczoru, że ktoś umrze...

Poczym wargi babuni zaczęły drżeć, jak gdyby jakąś cichą modlitwę szeptały...

A z dalekich stron wiatr południowo-zachodni, jak gdyby z piaszczystych równin nadwiślańskiego Mazowsza, nadniósł nagle tchnienie ciepłe na bezbrzeżnie smętne pustkowie melancholijnej ziemi inflanckiej za obcą Dźwiną...

Zmarszczyło się gładkie zwierciadło liliszkowskiego jeziora od tego nagłego podmuchu, a na niebios sklepieniu nad leśniczówką zwały się sennie wiszące obłoczki srebrzyste i skłębiły zastępy skrzydlatych dusz anielskich...

Drgnęła cicha babunia na całym ciele, jak mimoza najczulsza.

W pokoju wszczęło się naraz jakieś zamieszanie niespodziewane, odwołując staruszkę z powrotem do gromadki rodziny lilizkowskiej, zebranej dokoła fotela pana Jana, a słuchającej opowiadań Bolka.

Hanka słuchała jak najpilniej słów brata, ale przez cały czas czytała z twarzy chorego ojca niejako wrażenia, jakie wywierały nań tryumfy „Białego Orła”.

Kiedy pod koniec opowiadania Bolesława o Warszawie zauważyła coraz silniejsze wzruszenie w twarzy ojca, chciała zwrócić się do brata i dać mu znak, by albo przestał mówić, albo przynajmniej odmienił temat... Aliści bała się oderwać wzrok od tej najdroższej księgi otwartej, w której czytać nikt tak nie umiał jak ona... Wzrok jej przebiegał po twarzy ojcowskiej, przenosząc się z oczu na usta, z wąsów na czoło...

Każde drgnięcie rozumiała, niby gest najwymowniejszy. Więc od kilku minut, jakimś wielkim lękiem zdjęta nagle, zatopiła jeszcze głębiej wzrok swój w drgającej dziwnie twarzy starca, a kiedy ojciec rękę naraz podniósł do piersi i chwycił się kurczowo za serce — dziewczyna struchlała, dech w sobie zaparła i całą duszę przeniosła w badawcze spojrzenie łzami zachodzących oczu, które przestały się łudzić...

Chciała już dać znak Bolkowi, by zamilkł, lecz nie znalazła dość odwagi, lękając się, że odwróciwszy się na mgnienie oka, straci ostatnie ojca technienie...

Jeszcze Bolko nie wymówił słowa „cytadela”, gdy ból wielki wykrzywił twarz chorego, ręka skurczona wpiła się głębiej w pierś, a głowa pochyliła się nagle przed siebie...

— Ojczy! — krzyknęła, płaczem wybuchając Hanka i rzuciła się na to ciało najukochańsze, które z okropną martwością zachwiało się w głębi fotela. Wisia i ksiądz Kazimierz przypadli na ten krzyk do starca i zrozumieli wszystko od razu — jak i babcia Molowa, która w tej chwili stanęła w progu od ganku.

Bolko tylko nie od razu pojął, co jęk siostry oznaczał, kiedy jednak sam nachylił się ku ojcu — przeczucie straszne ścisnęło mu nagle serce. Wtem Mara zawyla przeraźliwie. A na ten rozdzierający duszę głos rozpaczliwy, Bolko jak dziecko zapłakał i runął do nóg martwego ojca.

Już od godziny nie żył pan leśny, ale nikt jeszcze nie ruszył się z pokoju na pięterku.

Kiedy wreszcie pan Leszek Starowolski oświadczył, że trzeba zająć się pogrzebem, w ślad za rządcą porozchodzili się wszyscy.

W wielkiej boleści Hanka był jakiś dziwny spokój, który w majestat stroił każdy jej ruch, a słowo każde, z ust sieroty padające w ciszę żałoby domowej, poił niewymowną słodyczą...

Podziwiali starsi, z jaką mocą ducha po tak strasznym ciosie jęła zapłakana dziewczyna z pomocą Wisi krzątać się po domu około przygotowań przedpogrzebowych.

Bolkiem natomiast targała rozpacz bezgraniczna i z trudem udało się wreszcie staremu plebanowi oderwać go od stygnącego ciała ojca. Prawie przemocą wyprowadził ksiądz Kazimierz swego młodego przyjaciela z leśniczówki.

Słońce zaszło w purpurze poza złociste koronki ciężkiej kotary z ciemnych fioletów, kiedy obaj minawszy w milczeniu, skutego łańcuszkami i pod surową strażą stojącego nieopodal furtki „Białego Orła”, szli na poprzek wielkiej polany podleśnej.

Mara z ogonem w dół zwieszonym snuła się smutna przy ich kolanach, wyjątkowo na wszystko po drodze obojętna. Kiedy zbliżyli się do dzwonnicy, legła biała wyżlica na trawie i jak gdyby bardzo znużona, przymknęła oczy. Ale je zaraz otwarła, łeb dźwigając z ziemi i nad słuchując w zdumieniu, rozgłosne dźwięki bowiem, jakie rozniosły się spod ściany boru po spokojnym z wieczora powietrzu, wydały się czujnej psinie jakieś niewyczajne, odmienne od codziennych...

Podobnie głowy zadzierając, nad słuchiwali uważnie zdziwieni ludzie w wiosce Łotyszów, kiedy o ich chaty mizerne zaczęły się tłuc dźwięki dzwonów istotnie zgoła niepodobne do zwykłego dzwonienia o wieczornej godzinie na „Anioł Pański”.

To stary Żmudzin rozkołysał na szczycie wieży dębowej naraz wszystkie trzy wielkie dzwony i kiedy Bolko utkwivszy, łzawym welonem zamroczony, wzrok w rdzawych ryngrafach z „Częstochowską” i „Ostrobramską”, szeptał, siłąc się na rezygnację, słowa modlitwy, pleban mruczając do siebie: „a grajcie mu, grajcie stare armaty konfederackie” — dobywał sił wszystkich, by spiż z podleśnej dzwonnicy wygrywał po bezkresnych łąkach smętnej ziemi inflanckiej, potężny hymn żałobny na zgon „pana leśnego”...

...I jak gdyby wichur nagle wstrząsnął starą knieją na przestrzeni milowej, a zadawszy nad brzegami jeziora liliszowskiego, przewalał się w sto koni po cichym zawsze w swym smętku, pustkowiu melancholijnym — tak się zerwała niespodzianie i niosła daleko chorałem jęków znad ziemi pod niebo przedziwna gędźba ciężkich dzwonów, z dział przed pół wiekiem ulanych...

\* \* \*

...To jak gdyby dęby odwieczne świętych gajów huknęły gromami, w groźnym wzburzeniu korony zgniatając o korony...

Jak gdyby sędziwe lipy pasiek Piastowskich w złotolitym stroju wonnego kwiecica ryknęły z rozpacz, załamując z trzaskiem barczyste konary...

To znowu modrzewie, wichurą targane za zielone brody, zmagaly się z krzykiem z olchami, a niebotyczne kolumny topolowe waliły się z jękiem tragicznym w oniemiale w swej bladości sady wiśniowe...

Albo jak gdyby wiatr wył w czarnych sosnach przeraźliwiej niż wilków stado głodnych w grudniową zamieć pod borem... a buki z grabami zawodziły nad rozplakaną leszczyną...

Niby szlochanie żalosne wstrząsało gęstwiną zarośli, podszywających knieję i kolcami malin i jeżyn rozdzierających grzybom barwne kapelusze...

I znów po wielkiej wrzawie uciszało się na chwilę wszystko i tylko echem po leśnej głuszy tłukła się tłumiona pieśń żalu na rogu wygrywana daleko, daleko... coraz rzewniej, coraz ciszej...

Poczym ni to strzały rozlegały się po puszczy leśnej, a po nich jękliwie płakały słowiki i żaliły się wilgi, lub nieśmiałą skargą odzywały się kukułki...

Teraz wiatr zagadał w kasztanach starego parku. Cichutko odpowiedziały mu listki akacjowe, głośniej przywtórzyły chórem jesiony z jaworami...

I z powrotem zaczynało się uciszać dokoła, gdy pod jasnymi pióropuszcami, chwiejącymi się na krzewach bzowych, z nagłą słowik wybuchnął pieśnią namiętną i głośnymi trelami przygłuszył szepty zielonych serc-liści...

A wtedy wiatr kurzawę wzniecając na drogach i ścieżkach, wpadł nad stawy i tak rozdierającym głosem zaskomlał w różgach wierzbowych, że w sitowiu pomilkły od razu chóry żabich drużyn...

Ani nie było już słycać skowrończych śpiewów dzwonienia spod obłoków, odkąd złe duchy chichotały w suchych prętach wierzbiny...

Poczym od nowa świerki w borze wszczęły głośnie rozhowory swarliwe, a wiatr z uciechy wył w czarnych czuprynach sosen, lub coraz hałaśliwiej łomotał w dąbrowie, po której grały rogi i zwierz porykiwał groźnie w gąszczu kniei...

Las przycichł na chwilę.

A wtem burza zaszumiała nawałnicą i gromami zahuczała.

Nie. To działa grają. Nie pioruny tak warczą. To grzmią strzelby salwami, mieszają się ze szczękiem pałaszy... Bój. Echa komendy krótkiej niktą w pomruku strzelaniny. Wrzawa walki morderczej...

I cisza naraz złowroga. Klęska czyjaś i czyjeś zwycięstwo. Fanfara na trąbach. Bębny warczą. Turkot kół ciężkich dudni — jakby chciał jęków tysięcy przygłuszyć... Znowu trąby i tupot kopyt końskich i bębny i stóp ciężkich tysiąca tętnienie — pod którym ziemia aż sapie i dyszy... i znowu spokój krótki, a potem wrzawa nowa na biwakach. Odgłosy obozowego życia zlewają się z żalobnym podzwonnym...

W powietrzu wstają mgły z łez i z krwi opary — niby podnosi się rosa nocna z białych kielichów konwalii leśnych i z czerwonych czar maków polnych...

Dźwigają się ku niebu wśród onych łzawo-krwawych oparów setne wieżyce strzeliste, a z ich szczytów chmurosiężnych biją spiżem działowym dzwony i dzwony. Wałą w nie serca potężne, aż drżą w posadach dzwonnice.

Płaczą, jęczą, zawodzą rozkołysane dzwony, to znów wyją i ryczą potwornie, by za chwilę kwilić rzewnie; potem od szlochania zanoszą się i dawnym jękiem wybuchają — aż wreszcie grzmią hukiem gromów między ziemią a niebem i zmieniając się w organy grające, cichną powoli i milkną całkiem.

Tylko echo jękliwe ostatnich drgań serca tłucze się jeszcze łkaniem żalonym, rzewnym, wzruszającym. Tłucze się po bezkresnych pustkowiach łąk, zielonych nadzieją, a rozpaczliwych w swoim smutku nieukojonym i nieutulonym żalu, w swojej niezmierzonej tęsknocie...

...I przystaje i gubi się dzwonoń echo podle białych brzoź samotnych, wśród pustkowie opuszczonych, dniem i nocą straszących swą upiorną bladością, brzoź, co płaczą wiecznie i nigdy niedokończoną skargą żalą się Bogu — w mistycznym szeleście rozpuszczonych na wiatr tragicznie warkoczy zielonych...

...Milknie echo ostatnie żałobnego podzwonnego nad ziemią tchnącą łez oparami... Ale pod niebem szum wielki zrywa się w obłokach... szum skrzydeł hufców husarii... szum furczących na wietrze proporców... To lecą orły białe, lecą z nieba i w niebo — lotem górnym, co się nigdy nie zniża i piór nigdy nie zaszarga... Lecą białe orły, lecą, lecą...

\* \* \*

Kiedy wracając spod dzwonnicy, ksiądz Kazimierz z Bolkiem i Marą zbliżał się do swej pustelni na plebanii w ciemnym boru, wypadł ku nim Bies, wielce uradowany i rzuciwszy się Bolkowi na powitanie na piersi, omal go nie przewrócił. Młody człowiek witał się wprawdzie z psem-przyjacielem jak najchętniej, ale nie mógł z siebie wykrzesać tej radości, z jaką czarny olbrzym chciał się z nim łączyć, toteż niejako zdumienie wyrażało psisko oczyma z powodu doznanego zawodu.

A jednak dusza Bolka nie miotła się już tutaj w takiej rozpaczynieokiełznanej, w jaką popadła w pierwszych po zgonie ojca chwilach, pod wpływem nieoczekiwanego, a tak niewymownie bolesnego ciosu. Tam, pod czarnym murem boru, u kresu wielkiej polany, z której pierwszym latawcem duch jego za lat chłopięcych wzlatywał w niebo, przedziwna muzyka dzwonoń ukołysała i już nieco ukoila bolejącego syna. Kroplami balsamu cudownego zapadała mu w głąb duszy, w której rodziły się słowa modlitwy i wybiegały na usta w takt podzwonnego. Moc wspomnień bijąca źródłem ożywym z pordzewiałej blachy pamiątkowych ryngrafów, wiązała te słowa w różaniec pacierzy, które pleban siwy u stóp owej wieży dębowej składać uczył przed lat dziesiątkami jeszcze małego Bolka...

Dzwony grały i grały nad jego głową, to ciszej, to głośnie; raz jakby płacząc połykanymi łzami, dygotały, innym razem wybuchały wielkim łkaniem niepohamowanym i biły z całą siłą, waliły jak młoty — i znowu niby sto piszczałek w organach huczały gromkim chorałem...

A Bolko, którego wargi zrazu szeptały modlitwę, jak gdyby siląc się jedynie na rezygnację, porywał w duszę swą dźwięki tych dzwonoń i powoli dźwięk każdy z każdym modlitewnym słowem przelewał w piersi własnej w jedno brzmienie hymnu potężnego, w którym ból był wielki, aliści już nie było szemrania przeciwko Bogu...

I kiedy na szczycie wieży dębowej pod czarnym murem boru przestawały się kolebać trzy dzwony z armatniego spiżu ulane — i echa ostatnie podzwonnego ulatywały w obłoki na skrzydłach niewidzialnych — brały one z duszy Bolkowej wszystką gorycz i niosły ją hen, daleko i wysoko, kędy są kresy światowych



bezkresów, kędy wiatr rozwiewa krwawe z ziemi opary, kędy słońce wysusza ludzkich łez mgławice...

Więc jeszcze żalobą ciężką pochylony, ale już goryczą nie przepojony, wstępował syn „pana leśnego” do pustelni plebana, który miał mu nie tylko powiedzieć teraz, że nie jest Bolesław ostatnim z rodu Bogoria-Kwaszewskich, lecz że jest chłopem Bolkiem Królem, zawdzięczającym swego „Białego Orła” dziedzicowi z Poręby — ale go chciał stuletni Żmudzin zarazem nauczyć swego „sursum corda”. Postanowił sobie tedy nie wypuścić młodego człowieka z leśnej plebanii, dopóki w niego nie wpoi najwyższego spokoju, który pozwala ciężki krzyż bólu dźwigać — bez łzy żalu w oku, bez słowa skargi na ustach... a z pogodą na twarzy, tryskającą z wewnętrznych źródeł wiary-miłości-nadziei...

Nie zmieniło się nic w leśnej pustelni na plebani od ostatniej w Liliszkach gościny Bolesława. W gęstwinie żywicą sosnową pachnącego boru, bokiem do omszałej kaplicy modrzewiowej przyparty, stał po dawnemu domek księdza Gajtysa, raczej do szałasu podobny, własnymi rękoma Żmudzina sklecony z sośniny, a służący starcowi za jedyne schronienie o każdej dnia i roku porze. Zakrystia, kryjąca wszelkie aparaty kościelne, mieściła się w samej kaplicy za ołtarzem, cała zaś przybudówka stanowiła wyłącznie mieszkanie proboszcza, a składała się z jedynej izby.

W jednej ścianie były drzwi wysokie wprost z dworu, w sąsiedniej spore okno na jasną porębę, a pod następną ścianą ciągnęło się długie a niskie łóżko, na którym nie było nic więcej krom materaca z mchu leśnego, powleczonego płótnem białym i przykrytego grubą derą szarą.

Na koniec przy czwartej ścianie, od kościoła, stał stół, a przy nim trzy stołki; nad stołem na półeczce widniały dwie książki w bardzo zużytej już oprawie. Grubsza — to „Pismo Święte” w polskim przekładzie; na pierwszej karcie pod dedykacją kilkuwierszową, ledwie już czytelnym pismem z powodu tracącego kolor atramentu, znajdowało się nazwisko: Zygmunt Szczęsny Feliński. Na tytułowej karcie cieńszej — pod drukowanym napisem „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego”, rzucało się w oczy własną wieszczą ręką dodane u dołu — z dedykacją dla Kazimierza Gajtysa — nazwisko: Adam Mickiewicz.

Obie książki stanowiły pamiątki z pobytu Żmudzina w młodych latach w Paryżu, podobnie jak wisząca nad półeczką, w ślicznie z kości słoniowej rzeźbionych w kształcie wieńca dębowego rameczkach, miniatura kolorowa, wyobrażająca Mickiewicza w epoce emigracji nadsekwańskiej. Był to jedyne w tej izbie obrazek na ścianie, a wisiał u stóp dużego krzyża z czarnego drzewa.

W jednym rogu tego osobliwego mieszkania mieścił się jeszcze gliniany komin z najprostszym paleniskiem i przymurkiem, na którym widniała garstka naczyń, w drugim zaś rogu stała konewka napełniona świeżą wodą ze źródła, bijącego z szumem u stóp pagórka z białą figurą Matki Boskiej, o kilkanaście kroków od kaplicy.

Woda spadała tu srebrzystą kaskadą w basenik ukryty w gęstwinie i cieniutką strugą poprzez polanę uchodziła do jeziora. W basenie tym co dzień o świcie

latem i zimą zanurzał Żmudzina całe ciało po szyję na jedno oka mgnienie, poczym nie ocierając się, spiesznie ubierał się i bez względu na pogodę, szedł na długą po kniei samotną przechadzkę, w towarzystwie jedynie psów, które z przyzwyczajenia, same, niewołane opuszczały chętnie, choćby w czasie mrozów, swoje legowisko u stóp łóżka pustelnika.

W owym basenie leśnym uczył ksiądz Kazimierz zażywać swego — jak żartem mawiał — eliksiru wiecznej młodości, przyzwyczajając od dziecięcego wieku Bolka do podobnej kąpieli dla hartowania ciała — jeszcze w owym czasie, gdy był niepodzielnym nauczycielem jego młodocianej duszy.

Nietrudno zatem było teraz plebanowi ująć z powrotem w swe mistrzowskie ręce tę duszę-wychowankę własną, której zdrowia nie nadwerżyło życie Bolesława na szerokim świecie, zdała od cichych Liliszek.

Odnalazł w młodym tryumfatorze swego dawnego Bolka, w którym nic w zasadzie nie odmieniło się, a którego tylko w pierwszej chwili złamał zbyt mocny, niespodziewany cios, walący weń właśnie w godzinie największej radości życiowej.

Ale już tutaj w przedziwnym nastroju cichej pustelni Żmudzina, kiedy Bolko przy plebanie siedział na niskim stołku, na dawnym swym miejscu naprzeciw miniatury Mickiewicza, mając tuż u nóg Marę — uczuł się znowu mocnym i spokojnym. Już mogły teraz bić w niego pioruny, nie byłby się uląkł i nie byłby czoła pochylał. I mogły go krzywdzić wszelkie niesprawiedliwości świata — nie byłby na życie narzekał, ani by nie sarkał przeciw niebu.

W przedziwnej ciszy upływały chwile w pustelni plebana. Jego głos, pełen namaszczenia, rozbrzmiewał teraz nad uchem Bolka tak samo, jak przed wielu laty, gdy starzec, ucząc go pacierza, nauczał chłopca — po Ojcu w niebie kochać na ziemi Matkę-Polskę, kochać nade wszystko, nad życie...

A powiadał mu teraz ks. Kazimierz, jak ją kochał Jan Król, wychowany w gnieździe rodziny Bogoria- Kwaszewskich.

I mówił mu potem długo, czym to jest dla dzieci kochanie matczyne i ojcowe miłowanie, które — niby oliwa najprzedniejsza, niby miodu plaster — wygoić zdolne wszelkie w życiu rany...

I słał stary przyjaciel pana leśnego, jako takiego ojca, którego miłość prawdziwa dla dzieci, acz cicha, nie bijąca w oczy, tak była mocna, że przez życie szła, jako one modły gorące, co to płomieniem przegryzą wszelkie zapory, stopią żarem najstraszniejsze przeciwności; a tak ofiarna, że z piersi rodzicielskiej schody zrobi pod stopy dzieciom na drodze do ich szczęścia, byle im tylko nieba nieco przychylić — i sama trupem ojcowym u drzwi się położy barykadą rozpaczy, byle krzywdziciela z mieczem błyskawic złości nie wpuścić w dom swych dzieci.

Tak jest ofiarna i tak mocna — prawdziwa miłość rodzicielska.

Szcześliwy od rana, po żywota wieczór — kto jej zaznał; ale smutny po wszystkim czas — komu Bóg dobry, a w wyrokach swoich niezbadany, szczęścia tego odmówił...

— Zali ty myślisz, Bolku mój kochany, iżes ojca już utracił, skoro ciało jego zmęczone zastygło... i martwe w mogile odpocznie snem wiecznym?...

A nie wiesz to, chłopcze, jaką moc ma miłość?

On kochał, on z całego swego życia uczynił pacierz miłości...

Miłość zaś mocniejsza przecież od śmierci; dla miłości nie ma trumien — ni mogił. Ona duchem nieśmiertelnym żyje wiecznie i kiedy się ciało w grób kładzie — ona dalej duchem trwa!

Nie umarł ojciec twój, Bolku, bo w jego piersi gorzała miłość wielka...

...Wysłuchaj ty się w ten szum w ciszy nocnej... Słyszysz?...

Dołem woda tak huczy u źródła... A w górze las gada wiechą sosnowej czupryny...

Lecz słuchaj lepiej... wsłuchuj się w tę ciszę wielką i w ten szum daleki...

To kędyś może wysoko szumią skrzydła białych orłów, co z nieba lecą w niebo... Słyszysz?

Może to lecą czyste duchy zmarłych, których życie gorzało miłością wielką, prawdziwą...

A może tam leci nad nami biały duch twego ojca...

Wysłuchaj się w szum skrzydeł ciszy...

Może to on...

Pan go stąd odwołał, bo ci był stamtąd potrzebny... On by tutaj już nie umiał pomóc ci dalej — jakby miłość jego chciała. Tam zaś Pan mu taką da moc, że cię będzie mógł powieźć, dokąd zapragnie w swej wielkiej miłości...

Gdy orła białego dosiędziesz, ojciec twój ujmie cię za ramię; jeno nie on... w słabym ciebie... dróg niepewny i omylny, lecz on już inny, u źródła czerpiący wszelkiego światła — duch potężny, jasno widzący duch...

I powieździe cię przez życie inaczej... tajemnym szlakiem miłości... a lotem górnym, który się nigdy nie zniża i nigdy w błocie skrzydeł nie zaszarga...

I wzlecisz z nad padołu łez wysoko i miniesz morze krwi... aż ujrzysz z obłoku nowy ląd i inny świat... i Polskę inną... słyszysz... inną ujrzysz Polskę...

\* \* \*

A Bolko w mrokach izby zasłuchany w mistyczne słowa pustelnika wśród ciszy północnej, zsunął się z niskiego stołka do stóp starca i głowę złożony na jego kolanach, bardzo znużony i wyczerpany, zasypiał powoli, rozciągnięty na podłodze między Marą a Biesem, zasypiał mimo woli, czując wyraźnie, jak go do snu kołysze szum tajemniczy...

Czuł, że tak pod chmurami nie szumią sosny nad lasem wichrem pochylanym; że tak nie szumi u stóp góry wodospad srebrnej krynicy...

Czuł, że tak szumią pod niebem wielkie skrzydła, że to lecą orły białe, lecą orły, lecą...

\* \* \*

## X.

Godziny mijały jednostajnie, a kresu morza nie było widać. Nic, prócz nieba chmurnego górą i wód bezmiaru w dole.

Zrazu niosły się nisko chmury białe, które potem kłębiły się strasznie, zmieniając co trochę, kolory, dopóki nie stopiły się w potworną masę ołowianą, a kiedy ta całe niebo zalała, z dnia noc uczyniwszy, nastąpiła cisza złowroga w powietrzu, wiszącym ciężko nad groźnym, ciemnym morzem...

Na „Białym Orle” pociągnięto gwałtownie ster głębokości i naraz statek powietrzny, pędzący w linii poziomej nad spienionymi w szumie falami, zaczął się wznosić coraz wyżej i wyżej — aż utonął w chmurach.

Odtąd leciał długo na oślep, zewsząd otoczony już tylko chmurami nieprzeniknionymi, które wraz z nim pędziły przed siebie, uniemożliwiając wszelką orientację.

Kiedy na koniec przebił się latawiec przez tę zawieję mgieł, wszelki widok zasłaniających, wypłynął nagle na dziwnie czystą przestrzeń wysłonecznioną, gdzie miał już tylko cudny błękit nieba nad sobą, u stóp zaś zamiast bałwanów morskich — chmury.

Może tam w tej chwili burza ryczała wściekle na oceanie, a ulewa w ciemnościach wiązała chmury z falami...

Tu był spokój bajeczny i jasność wielka wokoło.

A „Biały Orzeł” jak przedtem w ciemnicy, szybował teraz w tym świetle znowu na oślep.

Pędził przed siebie prosto, z szybkością tak szaloną, że Bolko Król ani się nawet nie spostrzegł, kiedy u stóp jego, zamiast chmur uciekających, zaszumiały z powrotem, niczym już nie zasłonięte fale morskie. Kiedy wreszcie zmianę tę zauważył, zaczął się z zawrotnej wysokości, na jakiej od dłuższego czasu się znajdował, opuszczać powoli, poczym leciał dalej ciągle w odległości jakich trzystu metrów od wody, która tu była już teraz znacznie spokojniejsza, a widok przedstawiała uroczy, odkąd zamiast chmur ołowianych, odbijał się w niej błękit nieskalany, a wysoko — już koło południa — stojącą kulą złocistego słońca.

Bolko zmniejszył nieco szybkość lotu i przez okno swej kajuty rozglądał się teraz na wszystkie strony z lunetą przy oczach.

Nigdzie z daleka nie zamajaczył okręt. Był więc sam między niebem a morzem, na tym strasznym pustkowiu, tak dalece sam, że jego ogromny orzeł nawet nie spłoszył tu ani jednego ptaka po drodze nad falami oceanu.

Uczuł się Bolko zadowolonym z tej samotności tak niezwyklej. Ale zarazem doznawał jakiegoś nieokreślonego uczucia bólu w tym okropnym osamotnieniu...

Mocnym się czuł, potężnym, panując tu tak pewnie i bezpiecznie nad żywiołami; przeświadczenie o nieograniczonej wolności rozpierało mu pierś radością, niemal szczęściem...

A jednocześnie słabość przedziwna ścisnęła go za serce, rodząc na jego dnie żal wielki, nieogarniony, żal, którego nie umiałby w żaden sposób wysłowić...

Ogarniała go rzewność serdeczna na myśl, że tak nieubłaganie daleko był od swojej ziemi...

Porywała go tęsknota i trzęsła nim — jako wiatr liściem osinowym...

Lęk nim targał co chwila, krusząc na nim pancierz męskiej śmiałości i odwagi młodzieńczej...

Nie potrafiłby określić, czego się boi, a jednak z trwogą wyraźną rozglądał się dokoła siebie i wzdychał, by choćby białą plamkę żaglowej łodzi dojrzeć przez szkła w oddali...

A kiedy nigdzie widnokrąg się nie zmieniał, marzył Bolko o wyspie, o wysepce, na której by odnalazł choćby jednego człowieka...

Nie mógłby nazwać, za kim to i do czego tak tęsknił, ale im dłużej trwała podróż między niebem a morzem, wśród głuchego szumu fal, który z jednakim jękiem wpadał mu do uszu i gubił się w korkowych ścianach jego kajuty, tym mocniej, tym boleśniej tęsknił Bolko po prostu za ludźmi...

Ale kiedy sobie znowu przypominał u stóp swoich tłumy o tysiącach głów w górę zadartych, spoglądających nań z podziwem lub z zazdrością, doznawał niemal ulgi na myśl, że jest od tych ludzi tak daleko...

I wpatrywał się w spienione bałwany morskie, przewalające się z łoskotem pod jego nogami, a każdy huk głośniejszy fal bijących o siebie, budził w nim przecież trwogę niewytłumaczoną...

— Ojciec mój — szeptał wtedy Bolko i czuł, że staje się mocniejszym, jak to dziecko, które ojciec za rękę weźmie, przez ciemny las prowadząc wieczorną godziną...

Aliści tęsknota w tanich chwilach budziła się w nim z większą jeszcze siłą i nie mógł jej niczym pohamować — tak, jak lęk pokonał.

Oczy miał suche, a w głębi duszy coś płakało rzewnie, głośno, serdecznym szlochom, którego nie dało się niczym utulić i ukoić...

Zatęsknił człowiek w powietrzu, w swym osamotnieniu między niebem a oceanem — za ludźmi i ziemią...

Więc naraz aż krzyknął Bolko z uciechy nagłej, gdy przez lunetę dojrzał bardzo daleko kawałek lądu wodą oblany.

— Wyspa!

Z miejsca zawrócił i zboczył, pędząc z całej siły w tę stronę.

Plama szara, odbijająca od fal morskich na krańcu widnokręgu, rosła mu w oczach, a w jego piersi rosła radość, że przecież pośrodku tego oceanu wód groźnie szumiących i ku niebu pianą wściekłości bryzgających wiecznie, nie był całkiem samotny, że tam gdzieś na owym skrawku lądu, widnym teraz w dali, bije jeszcze czyjeś serce...

— Wyspa — powtarzał do siebie Bolko Król — to chyba nie bezлюдna wysepka... Znajdę przecież na niej człowieka...

Ale kiedy się zbliżał do tej rosnącej plamy, która coraz wyraźniej przybierała barwę rudą, zaczynał wątpić, zali uciecha jego była słuszną, albowiem rozmiary

owego ładu wydawały się zbyt niepokażne, by na tak rozległej pustyni wodnej miały służyć ludziom za mieszkanie.

— To nic... niech bym tam nawet żywego ducha nie znalazł, zawsze zastanę łąd, bodaj kawałek ziemi, a nie samo powietrze i wodę...

Czuł, że tego powietrza miał już za wiele i że mu ten żywioł nie mógł żadną miarą wystarczać. Obejrzał bystrym spojrzeniem wszelkie aparaty wewnątrz swej względnie wygodnej kajuty, korkiem ze wszystkich stron wyłożonej — i sprawdził, że zarówno mechanizm działa zadawalająco i nic go zawieść w drodze nie może, ale i wszelkich zapasów ma pod dostatkiem, wobec czego niemal w nieskończoność mógłby odbywać dalszą podróż bez lądowania.

Jednakże uczuł potrzebę gwałtowną oparcia nóg o ziemię choćby na chwilę i postanowił bez względu na to, czy owa wysepka jest niezaludnioną, zatrzymać się na niej choćby na trochę.

Jego orzeł lecąc z szaloną szybkością, dosięgnął wreszcie owego ładu, a wtedy Bolko, z wysokości kilkudziesięciu metrów przyglądając mu się z góry, przekonał się z niemałym żalem, że to była wielka skała, oślizgłą pierś z topieli wzburzonych bałwanów morskich wylaniająca wysoko. Zatoczył nad nią koło zasmucony i zaniechał z żalem zamiaru lądowania.

Z lunetą przy oczach śledził na nowo horyzont i wynalazł w kilku jeszcze miejscach podobne mniejsze i większe plamy, jak ta, która przed chwilą zawiodła go srodze.

Poleciał do największej z nich, nawet od owej pierwszej jeszcze rozleglejszej — i zastał niemal to samo.

Rozpacz go ogarnęła nagle.

Więc tu nigdzie nie będzie już kresu tej wody i tego nieba i nigdzie nic się nie odmieni... — pomyślał sobie, gdy wtem w oddali coś znowu zamajaczyło nad wodą. — Nie, to tylko chmura, to nie łąd, nie ziemi kawałek — krzyczał prawie w swojej kajucie zrozpaczony, a orzeł niósł go ponad falami jednakowo lekko i szybko, swobodnie, pośród pustkowia — między niebem a morzem.

Wtem nagle Bolko jęknął cichutko: „ojcze mój...” i pierchnął bunt jego duszy od razu, jak gdyby ciepła ręka ojcowska położyła mu się na ramieniu ze słowami pociechy, które w szumie wody zadrgały, nie wiadomo skąd nadchodząc — i dzwoniły nad jego uchem, dopóki nie uspokoiło się w nim wszystko, dopóki cicha rezygnacja nie zmieszała się w duszy jego z wiarą, że ta ręka prowadzi ponad morskie odmęty — i z nadzieją, że go ta ręka do celu zawiedzie...

— Ojczy mój, ojczy — szeptały jego wargi już bez zniecierpliwienia, a oczy bez lęku spoglądały w dal przed siebie z pogodą i spokojem.

Orzeł leciał dalej nad oceanem, a Bolko uczuł znowu, że mu dziwnie dobrze unosić się na skrzydłach tego swego olbrzymiego ptaka białego, który niósł go kędyś w niebo ku słońcu...

Mijały teraz znowu godziny jednostajnie, ale już Bolka nie odurzały jak przedtem. Posilił się parokrotnie, to znowu zapisywał spostrzeżenia swoje, które do dalszych udoskonaleń mogły się przydać wynalazcy, to wreszcie spokojnie,

acz nie bez ciekawości śledził widnokrąg, na którym w czasie swej długiej podróży nie spotkał jeszcze ani razu przepływającego między spienionymi falami okrętu, ani prującego powietrze ptaka.

Jak wprzód, tak i teraz był ciągle samotnym na tej pustyni.

A tymczasem dzień zaczynał chylić się ku zachodowi. Cudny błękit przeczysty zniknął, a całe niebo zalegały obłoki barwne, które w miarę jak kula złocistego słońca opuszczała się niżej ku przepaściom wodnym, grały w jego oczach całą gamą kolorów.

Z pysznych fioletołów jedwabnych, z miękkich aksamitów o stalowym odcieniu, które na nieba skłonie drapowały się co chwila inaczej nad ruchomą tonią morską, tryskającą fontannami pereł piany wodnej, wstała kurzawa złocista, oślepiająca wzrok swoim bogactwem.

Lecz rychło dekoracje zmieniły się w oczach, a z niedostrzegalnych reflektorów zaczęły strzelać to tutaj, to ówdzie snopy światła różowego, szybko ciemniejącego...

Ani się Bolko nie spostrzegł, kiedy zewsząd ogarnęła go krwawa luna pożaru. Dymy czerwono oświetlone rozwłóczyły się po morzu, a znad tarczy słonecznej płomienie rubinowe były w górę, niecąc pożar coraz szerzej odbiciem swym w zwierciadle oceanu.

Biały orzeł zakrwawiony tymi refleksami leciał w ten ogień pędem, a luna pożogi ogarniała go coraz bliżej.

Bolko, tak krwawym rumieńcem oblany, utkwiał wzrok swój w jeden punkt daleki, który od chwili już zwrócił jego uwagę.

Nie mylił się. Luneta utwierdziła go w przeświadczeniu, że leci prosto ku jakiemuś lądowi, o który były morskie bałwany.

— Ziemia — wyrzekł z ulgą wielką — i to już zdaje się, nie wyspa, na której miałbym odegrać rolę nowego Robinsona, lecz chyba to ląd stały... Dolecę niebawem do brzegów jakiejś części świata i nie mam pojęcia, do jakiej... A może to ziemia jeszcze nie odkryta przede mną...

Dojrzany zaś przezeń ląd powiększał się prędko, cały w łunie purpurowej skąpany. To nad nim właśnie gorzało słońce zachodzące resztkami jaskrawego światła, stamtąd właśnie buchały te płomienie czerwone.

Serce w piersi Bolka tłukło się teraz z dziwnego wzruszenia. Ani to trwoga, ani radość nie była.. Nie umiałby scharakteryzować tego uczucia, które kazało mu poruszeniem korby zwiększyć szybkość lotu, byle znaleźć się prędzej nad brzegami owej tajemniczej, luną pożaru oblanej ziemi.

Istotnie tym razem nie było to już złudzenie, nie musiała to być jedna z owych spotykanych przedtem skał, lecz jakaś wyspa bardzo rozległa, w każdym razie nie ląd jednak stały, wzniosłszy się bowiem umyślnie bardzo wysoko, dostrzegł Bolko jej krańce i przekonał się, że ją morze oblewało z wszystkich stron.

Niebawem biały orzeł znalazł się nad jej brzegiem, miał ją już u stóp swoich.

Od razu zrozumiał Bolko, że ma przed sobą wyspę zamieszkałą, wszystko bowiem, co zdała na niej widział, świadczyło już wyraźnie, choćby na pierwszy rzut oka, o obecności istot ludzkich.

Tak czy owak, o istnieniu jednak wyspy takich kształtów, jak ta, do której zbliżał się teraz powietrznym szlakiem, nie miał dotychczas pojęcia. Od strony, z której Bolko nadleciał, piętrzyły się brzegi tej wyspy, prosto z wody sięgające do wysokości szczytów najwyższych gór europejskich.

A u stóp tych skalistych, urwistych brzegów, morze wyraźnie gotowało się. To już nie wiry kłębiły tutaj wodę, lecz przewracały się w miejscu bałwany, zupełnie w sposób podobny do wrzątku w jakimś piekielnym kotle-olbrzymie.

Tu i ówdzie z hukiem strasznym ze skał niebotycznych wprost w odmęty morskie waliły się wodospady, śnieżnobiałą pianą sperlone i pyłem srebrzystym omglone. Gdzieindziej potok ze szczytów górskich pędząc, przewijał się po skał załomach i tworzył spienione kaskady co kilka pięter niżej, dopóki u stóp góry wreszcie w postaci ogromnego wału szklanego, nie zmieszał się z bałwanami szalejącego morza.

Gigantyczne góry, których wierzchołki w chmurach niknęły wysoko, zamykały wyspę na paromilowej przestrzeni z tej strony, skąd Bolko przybywał.

Ale nie one same broniły tu przystępu.

Zarówno w wyższych warstwach powietrza, jako też nad samym morzem, gotującym się u stóp wyspy, srożyła się tak potężna wichura, że nie dopuszczała śmiałka z bliska.

Bolko raz za razem próbował podlecieć, lecz „Biały Orzeł” nie mógł znieść siły wichrów, które jak gdyby zmagaly się tu z sobą, dmąc ze wszystkich stron, trzęsły nim jakby listkiem wierzbowym w godzinę burzy i odpychały go gwałtownie za każdą nową próbą.

Parę razy niby deszczem zmoczył go pył wodny, bijący dokoła na kilka metrów od wspaniałych siklaw. To znów o mało pęd wiatru nie rozbił statku powietrznego o skały.

A huk ogłuszający, jaki oszałamiał Bolka od czasu, jak się zbliżył do tajemniczej wyspy, przeszedł wszelkie jego o tym wyobrażenia. Takiego huku, jaki się tu wytwarzał z grzmotów stu rozbijających się o skały wodospadów, w połączeniu z łoskotem przewalających się wiecznie bałwanów morza, wrzącego pod stopami gór u brzegu lądu, nie słyszał jeszcze nigdy w życiu.

Już zdecydował się Bolko oddalić, żeby spróbować dostać się na wyspę z innej strony. Żał mu było jednak czasu na to. Więc użył jeszcze steru wysokości i cofnąwszy się o kilkanaście metrów od skał groźnie spiętrzonych między kaskadami, zaczął, o ile mógł najprędzej w ciągłej walce z wichurą, podnosić się w górę.

Nagle utonął w gęstej szarej mgławicy, przez którą już niczego dojrzeć nie mógł z okien swojej kajuty. Wysilił więc przytomność umysłu i pilnie zważał na to jedynie, by latawiec szedł ciągle w górę. Mimo to jeszcze lęk go ogarniał, że pod zdradliwą osłoną chmur wiatr gotów rzucić gdziekolwiek na oślep statek o



skały i roztrzaskać białego ptaka. Czuł, że dalej walczy z wichrami, ale kłębiące się wokoło niego zwały chmur tak go bałamuciły, że na koniec stracił poczucie, czy leci jednak w górę ciągle, czy też zmagając się z prądami powietrza, zboczył i czy znalazł się bliżej lub dalej właśnie od potężnego muru dzikich gór niebosiężnych.

Wtem nagle rozjaśniło się. Chmury pierzchły. Orzeł, posłuszny kierownictwu Bolka, wznosił się w górę spokojniej, już nie tylko nie targany jak przedtem na wszystkie boki, lecz nawet nie kołyszany wcale.

Żeglarz zaczął się rozglądać ciekawie. Otaczało go niebo pogodne. U stóp zaś nie miał już oceanu, lecz ziemię, prawdziwą ziemię. Poczucie to wznieciło w nim radość żywiołową. Aż mu się za ciasno nagle zrobiło wewnątrz ścian korkowych jego kajuty... Łąd, łąd pod nogami — powtarzał sobie głośno, zrozumiałwszy, że udało mu się przelecieć orłem nad tymi, wichrem przystępu do siebie broniącymi, górami gigantycznymi — i że znalazł się przecież ponad wyspą. Był jednak w tej chwili niesłychanie wysoko, nic bowiem ani w przybliżeniu nie potrafił ze swego latawca rozpoznać na ziemi.

Za sobą miał góry, które tam, ku morzu, wyszczerzały dziko zęby skał nagich, a tu, po stronie wyspy, malowniczo różnorodnych lasów gęstwiną przystrojone, schodziły tarasami w piękną dolinę, wzorzystym dywanem ciągnącą się wszcz i wzdłuż na kilka mil wokoło majestatycznego jeziora.

Bolko zaczął się zniżać z pod nieba ku owej dolinie, która mu pod nogami ledwie majaczyła z ogromnego oddalenia.

„Biały Orzeł” przeleciał teraz nieopodal jednego z dumnych szczytów, który nad czarną przepaścią szumiących na wietrze jodeł, nurzał się poszarpaną w zręby koroną w szarym obłoku.

Właśnie obejrzał się Bolko ku tej samotnej górze, w chmurach chłodzącej sobie granitowe czoło, gdy wtem przeleciało coś tuż koło niego. Porwał w rękę lunetę, by jeszcze okiem dosięgnąć latawca, zanim zniknie w dali — i od razu rozpoznał w nim białego orła, żywego orła. Za chwilę spotkał się jego statek powietrzny z drugim orłem srebrnopiórym, a były to w ogóle pierwsze ptaki i pierwsze istoty żyjące, na jakie w swej podróży po powietrznych szlakach wolnych natrafił, odkąd znalazł się nad falami oceanu bezbrzeżnego.

— Białe orły — szepnął z niewytłumaczonym wzruszeniem i pobiegł wzrokiem za dumnymi ptakami, które kędyś na gniazdo samotne pod niebotycznym góry szczytem wracały przed wieczorną godziną.

Za chwilę „Biały Orzeł” zniżając się powoli, znalazł się nad lasem rzadszym niż gdzieindziej. Między starymi świerkami Bolko rozróżnił wydeptane ścieżki, które z różnych stron wiodły pod górę i gubiły się w murach osobliwej budowli z granitowych głazów, nad którą sterczała niezmiernie wysoka baszta. Wierzchołek jej dość szeroki, a w okna i ganeczki wiszące zaopatrzone w różnych wysokościach, sięgał znacznie ponad szczyty gór, zamykających wyspę od morza. Ta oto baszta z przeciwnej strony rzuciła się pierwsza w oczy Bolka

Króla, gdy się znad oceanu ku lądowi zbliżał i upewniła go, że ma przed sobą wielką zaludnioną wyspę.

Ale teraz zdumienie ogarnęło go niemałe, gdy oprócz owych dwóch napotkanych w drodze orłów białych, nie dojrzał nigdzie śladu życia ludzkiego, mimo że podleciał do samej baszty. Okrążył ją kilkakrotnie, coraz bardziej lot zniżając.

Gdzieniedzie swym ogromnym skrzydłem prawie zaczepił o kamienny ganeczek sterczący przy ścianie granitowej wieży, tu i owdzie zakrzyknął głośno, przesuwając się tuż przy samym oknie w murze, lecz nic dotychczas nie wywabiło z wewnątrz mieszkańców tej osobliwej strażnicy. Wreszcie tubę swoją do ust przyłożył i z całej siły huknął w nią, znalazłszy się niżej nad kamienną budowlą, z której wystrzelała baszta. Ale jak przedtem odpowiedziała mu cisza i pustka.

Ani śladu życia człowieka lub zwierzęcia.

Więc Bolko zerwał się naraz z miejsca i pośpiesznym lotem zwrócił się w inną stronę wyspy. Przeleciawszy nad buchającymi ku niebu żywicznym kadzidłem lasami iglastymi, znalazł się wysoko nad dużym wzgórzem, którego równina rozległa zamieniona była bezwarunkowo ludzką, nie natury ręką, w jakiś dziwny ogród.

Zamykały go z czterech równych boków żywe mury, które z góry wydały się Bolkowi prześliczne, a stanowiły gęste szpalery starych modrzewiów. Ciemna ich zieleń odrzynała się wyraźnie od jasnych wstęg strumyków, w równe koryta ujętych u podstopia wzgórza, a prześwietlających spoza gęstwiny niskich krzaków wierzbowych.

Tuż za murem modrzewiowym, kołyszącym się poważnie, ciągnęły się wewnątrz czworoboku cudne łąki kwieciste na gruncie falistym, piętrzącym się gdzieniedzie nawet sporym wzgórkim, to znów zapadającym nagle w kotlinkę, lub przerzniętym srebrną strugą.

W grupach przedziwnie dobranych i rozmieszczonych, chwiały się tu wszędzie nad szmaragdowymi kobiercami, stubarwnym kwieciem poprzetykanymi, brzozy-płaczki siwiejące białą korą wśród jasnozielonych warkoczyków. Pod grupkami brzoź stały wszędzie jakieś posągi kamienne, których jednak z wysoka rozpoznać ni rozróżnić nie mógł Bolko, krążący z zaciekawieniem wielkim nad fantastycznym parkiem.

Z jeszcze większym jednak zajęciem zbliżał się on teraz do środkowej części płaskowzgórza. Stanowił ją duży taras, zewsząd otoczony owymi łąkami z ukrytymi pod cieniem brzoź białych posągami, a sam zamknięty ośmiobokiem żywych kolumn strzelistych — topoli złotozielonych.

Wewnątrz tej kolumnady ujrzał Bolko Król z wysokości jakich dwustu metrów, rojące się mrowisko ludzkie.

Aż inaczej zabiło serce w jego piersi, kiedy doczekał się nareszcie widoku ludzi.

Ten tłum ogromny kupił się tam dokoła jakiejś budowli, wznoszącej się znacznie wyżej ponad wierzchołki topolowych kolumn.

Bolko wleciał właśnie nad to mrowisko ludzkie i z zaciekawieniem coraz większym jął przez szkła przyglądać się budynkowi, zajmującemu środek wielkiego ośmioboku między topolami.

Sprawiało to wrażenie jakiegoś olbrzymiego pomnika, albo raczej samego cokołu, na którym jeszcze nie ustawiono posągu. Właściwie nie było to nic innego, jak w naszym pojęciu katafalk żałobny pod trumnę, ale wzniesiony trwale, bo z samych ciosów granitowych.

Schody te kamienne pięły się w górę na wysokość kilkunastu pięter prawie jednakowo, a tłum ludzi, który zwartą ciżbą zalegał z czterech stron wolny plac między kolumnadą topolową a stopniami kamiennymi, wydał się Bolkowi zaiste rojem robactwa. Z tak znacznej bowiem wysokości spoglądał nań z „Białego Orła”, gdyż nie miał odwagi zniżyć się, dopóki nie nabierze choćby trochę pojęcia o tym, co to mogli być za ludzie, owi tajemniczej wyspy mieszkańcy i w jakim celu mogli się tu zebrać tak gromadnie.

Przypatrywał się dalej przez lunetę, wisząc w powietrzu nad głowami tłumu, ciągle jeszcze w wysokości kilkuset metrów.

A jednak było coś jeszcze i na wierzchołku owego kamiennego katafalku, i nie wyglądało już na kamienie.

Nie może to być nic innego, jak stos drzewa, ułożony równo na wierzchołku piramidy z głazów — pomyślał sobie Bolko, gdy wtem coś się zruszało na niższych stopniach i w tę stronę zwrócił co prędzej szkła.

Po szerokich schodach pięło się pod górę kilkoro ludzi. I właśnie ta gromadka, gubiąca się na kondygnacjach kamiennych, dawała teraz najdokładniejsze pojęcie o istotnym ogromie granitowej budowli. Przyjrząwszy się uważniej, dostrzegł Bolko, iż poprzedzał jeden człowiek, o parę zaś kroków za nim czterej ludzie coś nieśli pod górę...

Nie. Ci czterej nie nieśli, lecz prowadzili po schodach piątego. Wszystkie ruchy całej gromadki świadczyły teraz o tym. Ten piąty po środku co chwila przystawał, a wtedy po dwóch z każdego boku brali go tamci pod ramiona i wiedli dalej, wyżej, dokąd szedł zwawszym krokiem ów szósty na czele orszaku.

A tłum tymczasem zakołysał się parę razy mocniej, jak gdyby w ścisłu każdy chciał widzieć jak najdokładniej, co się dzieje na schodach.

Gromadka weszła wreszcie na ostatni stopień kamienny i przystanąła.

Uplynęła krótka chwila, a już Bolko zobaczył schodzących z góry z powrotem po stopniach czterech ludzi. Ten, którego oni przedtem prowadzili, znikł mu z oczu na szczycie budowli, gdzie jedynie człowiek, który orszak poprzedzał, krzątał się teraz żywo.

Bolko gwałtownie nacisnął ster głębokości, a jego statek od razu zaczął się śpiesznie spuszczać w dół.

Czterej mężczyźni schodzący znajdowali się już w połowie wysokości piramidy kamiennej, a tamten, który kręcił się przez chwil kilka po ściętym jej

wierzchołku, zstąpił na przedostatni od góry stopień, gdy w domniemanym przez Bolka stosie drzewa na szczycie zabłysnął płomyk, odbijający jaskrawo od półmroku, który właśnie zaczynał padać zewsząd po krwawym zachodzie słońca.

— Ależ to stos być musi — krzyknął Bolko do siebie poruszony do głębi — nic innego, tylko człowieka palą na stosie!

„Biały Orzeł” opadł znowu o kilkanaście metrów niżej, a obserwacje Bolka przez lunetę zdawały się potwierdzać jego straszne podejrzenia, gdy nagle do uszu żeglarza powietrznego doleciał szum, z którego wybijały się jakieś głosy wyraźniejsze. Wsłuchiwał się w nie uważnie, spuszczać się bez przerwy coraz niżej i zataczając w tym celu ciągle koła.

To tłum ludzki wył, a to znów były jakieś nawoływania — te krzyki rozdierające powietrze na tle groźnego szumu tysięcy głosów...

A tam na szczycie płomień rozszerzał się powoli...

„Biały Orzeł” zniżył się już tak znacznie, że Bolko nagle poznał woń palonego drzewa smolnego, a wysoki pióropusz dymu chwiejący się nad stosem dosięgał prawie do stóp olbrzymiego ptaka.

Zataczając kręgi nad ogniskiem, zauważył, iż krzyki ludzkie pochodziły właśnie z tego powodu, że nad stosem tłum spostrzegł latawca. Już wyraźnie pokazywano go sobie nawzajem, gestykulując gwałtownie i wykrzykując coraz namiętniej. Wołali coś jednocześnie i ci ludzie, którzy znajdowali się na schodach granitowych.

Następnie, koło zatoczywszy już tylko w kilkumetrowym oddaleniu od płomienia, spostrzegł Bolko, jak owi czterej ludzie przedtem w dół schodzący, pośpiesznie wdrapywali się teraz z powrotem na górę i że tamten piąty zniknął już w głębi stosu ogromnych polan drzewa, które języki ogniste, w braku wiatru zapewne, obejmowały bardzo powoli...

W tłumie na dole powstało wielkie poruszenie, kilkadziesiąt postaci ludzkich znalazło się już na pierwszych paru schodach, po których spiesznie gramoliła się coraz wyżej jakaś kobieta, z trudem przesadzając głazy wysokie i radząc sobie w tym rękami, niby dziecko na czworakach.

„Biały Orzeł” zleciał nisko nad ludzkie pogłowie i z bajeczną szybkością, obleciawszy plac natłoczony, z powrotem wzbijał się wyżej po linii ślimakowatej, kołując nad olbrzymim katafalkiem kamiennym, wreszcie umyślnie z zawrotną chyżością krążył bez ustanku tuż nad stosem płonącym, z którego rozchodził się już coraz gęstszy dym i mieszał się ze zmierzchem, zapadającym na szumiące groźną wrzawą tłumy.

Kiedy Bolko znalazł się najbliżej owej kobiety, wspinającej się rozpaczliwie po schodach ku górze, ona z krzykiem chustkę barwną zerwawszy z siebie, zaczęła nią mocno powiewać, dając tym jakieś znaki „Białemu Orłowi”. Lecz żeglarz z kajuty swej wyglądający w locie nie mógł nic zrozumieć, nie mógł nawet domyślić się, czy były to znaki przyjazne dlań, czyli też właśnie wrogie...

A wtem spostrzegł, że w ślad za ową niewiastą, chustką ku niemu powiewającą, śpieszy tłum liczny po wysokich a szerokich schodach na szczyt,

gdzie garstka ludzi walczyła już z ogniem. Wśród wrzasków strącano z góry kłody drzewa, które toczyły się w podskokach po stopniach. Wyraźnie gaszono płomienie, bijąc główniami polan żarzących się o głązy.

Dym wzmagał się przy tym coraz bardziej, co widok Bolkowi utrudniało.

Jeszcze chwila, a stos drzewa zniknął z wierzchu piramidy kamiennej, na której stopnie już wdarły się setki ludzi.

Ogień stłumiono zupełnie. Lekki wietrzyk, który zerwał się w tej chwili, rozwał od razu resztki dymów, a wtedy odsłonił się widok na miejsce, z którego ostatnie drwa po stosie palnym postrącano na najbliższe schody.

Była to gładka posadzka kamienna, w pośrodku mająca jakiś otwór, ale tego Bolko nie mógł dojrzeć szczegółowo. Uwagę jego zwróciło w tej chwili dwoje ludzi stojących tam na górze już samotnie ponad tysięcznym tłumem.

To ta sama młoda kobieta, która Bolkowi tak żywo znaki jakieś dawała, machając rękami i chustą barwną, a która teraz rozplątywała na rękach i nogach więzy krępujące starszego mężczyznę, i co chwila niemal namiętnie doń przypadała ustami i całowała ciało żywe, a przed chwilą jeszcze na zwęglenie żywcem przeznaczone.

Nie mogło ulegać wątpliwości, że Bolko miał przed oczyma człowieka na śmierć okrutną na stosie skazanego, a uwalnianego teraz przez córkę, lub żonę czy siostrę...

Bolko zatrzymał nagle „Białego Orła” i osiadł na szczycie tajemniczej budowli; stęskniony za lądem pod nogami, wyskoczył ze środka, gdy naraz poczuł ciepłe ręce kobiece oplatające się dokoła jego szyi.

Na piersi zwiśla mu całym ciałem ciężarem ta sama niewiasta, która z więzów oswobadzała skazańca.

Zerwał Bolko maskę ochronną z głowy, a wtedy na twarz jego posypały się pocałunki gorące, serdeczne. Tuliła go w obnażonych ramionach, nad wyraz kształtnie utoczonych i świeżym puszką brzoskwiniowej łupinki powleczonych, dziewczica w krasie młodości, o ruchach gazeli, wzrostem smukłym prawie mu równa.

Całowała go z tą mocą żywiołową, z jaką fala wzdętego wiatrem jeziora pluska o szerokie liście lilii wodnych.

A wśród pieśczoł, którymi zdumionego mężczyznę obsypywała bez końca, wpijała się w nieznane przybysza oblicze ciekawym wzrokiem głębokich a jasnych oczu błękitnych, oprawionych w długie rzęsy i brwi, złotego, jak bujne nad jej czołem włosy, koloru zbóż dojrzałych.

Przed wzrokiem duszy Bolka poddającego się bezradnie nawale jej pieśczoł, zamajaczyła w tej chwili z bardzo daleka wspaniała grzywa popielatych włosów i para czarnych ślepiów precudnie w ciemności błyszczących, a z piersi wydarło mu się nieme westchnienie w takt melodii słowa: „Wisienka!”...

Męskim gestem uwolnił się nareszcie z miękkiej ramion niewieścich obręczy, a wtedy co prędzej ujął go znowu za obie dłonie silnymi rękami męża, który — gdyby nie „Biały Orzeł” — spłonąłby już do tej chwili na okrutnym stosie.

Przypatrzył mu się teraz Bolko z bliska, gdy się ich oczy zetknęły. Był to mężczyzna w sile wieku, o twarzy bardzo poważnej, wychylającej z gęstego a krótko strzyżonego zarostu ciemno-złotawego, spalone słońcem policzki, oraz wysokie, bruzdami głęboko porysowane, a inteligencją tryskające czoło spod jeszcze ciemniejszej czupryny.

Wzrok jego miał w sobie coś niezwykłego.

Wydało się Bolkowi, że przez te oczy błękitne, podobnie głębokie, jak u tej obok nich stojącej krasawicy, wзира z duszy ocalonego cudem od śmierci człowieka coś takiego, czego byłoby żal, by miało zginąć marnie.

A kiedy to pomyślawszy sobie, jeszcze raz objął badawczym spojrzeniem tę dziwną twarz, doznał wrażenia, że ów nieznajomy odgadł myśl jego i niby porozumiewawczo skinął parokrotnie głową z bolesnym ust skrzywieniem.

Lecz nagle stała się rzecz niespodziewana. Bolko, który miał za sobą poniżej szum mnóstwa głosów tłumu ludzkiego, a tu na szczycie piramidy granitowej stał wobec dwojga milczących — i domyślał się, że dziękują mu oboje niemo, acz bardzo zresztą wymownie, ponieważ żadne słowo mieszkańców owej, pośrodku oceanu sterczącej szczytami górskimi, wyspy tajemniczej nie byłoby dlań zrozumiałe — usłyszał słowo polskie.

Ocalony przezeń skazaniec puszczając jego ręce po serdecznym uścisku i jednocześnie do piersi gestem miłościwym przygarniając złotowłosą krasawicę, wyrzekł jak najwyraźniej:

— Bóg zapłać!...

Nie przesłyszało się to Bolkowi na tle wrzawy bijącej ku niemu z dołu. Zbyt wyraźnie padło to polskie słowo.

Rozradowanym spojrzeniem objął tę parę tulącą się do siebie i chciał ją pytaniami zasypywać, lecz nie mógł uwiezić w słowa myśli swych, nawałą cisnących się do głowy.

— A gdzie ja jestem — odezwał się przecież głosem wzruszonym, pierwszy raz od tak bardzo dawna przemawiając do ludzi.

— Gdzie? — powtórzyła dziewczica, rozumiejąc go od razu. — Ja kto... gdzie jesteś — mówiła tym samym językiem polskim, w jakim do nich Bolko przemówił. — Na cmentarzu jesteśmy...

Nie o to pytał, ale mimo to odpowiedź, cudnie dzwoniącą głosem dziewczęcym, chłonał w siebie z rozkoszą, jak gdyby już stęsknił za polską mową i jak gdyby zwątpił w możliwość usłyszenia tu jej ukochanych dźwięków.

— A czy to wy tylko oboje Polacy — zagadnął Bolko — a tamci? — dodał, obracając się w stronę tłumu, który falą wzburzoną sięgał już zewsząd do stóp jego.

Zdaje się, że oboje zagadnięci nie zrozumieli, o co właściwie zapytywał, ale jakby w odpowiedzi usłyszał Bolko tuż blisko za sobą, rzucane z różnych ust, pnącego się pod górę po stopniach tłumu, gromkie słowa:

— Kto to? Kto to?

Więc i tamci mówili tym samym językiem, co tych dwoje, tym samym co i on...

Jakim sposobem znalazł się Bolko tutaj w środowisku polskim. Dokądże to zaleciał on na skrzydłach swego „Białego Orła”...

— Co to za człowiek latający?... Kto on? — wołał bardzo głośno człowiek o surowej twarzy i potężnej budowie, który wszedłszy na ostatni stopień kamienny, zwrócił się po wyjaśnienia do uwolnionego skazańca, a ręką wskazywał na przybysza i jego łądz powietrzną.

— Ktoś ty jest... pytają — rzekł spokojnie ocalony straceniec, podnosząc oczy na nieznanego i puszczając z objęć kobietę, która się również do gościa z twarzą pełną uprzejmości zwróciła:

— Chcieliby tam wiedzieć, kto ty jesteś... Jak się nazywasz?

— Bolko Król jestem... jeśli wam o nazwisko moje chodzi — odpowiedział im nieznanomy, a słowa jego wznieciły wrzawę nie do opisania.

— Bolko Król — powtórzyło naraz głośno ust kilkoro z naciskiem, a niby echo w lesie czy w górach, odbiły się te dwa wyrazy stokrotnie po kamiennych stopniach, przez tłum bliższy podawane dalej, niżej, coraz głośniej.

— Czyś my dobrze słyszeli — rzekł wtedy wprost do Bolka ów mąż surowy, który pierwszy przyszedł o niego pytać — żywy człowieku... powtórz nam raz jeszcze... powiedz ty, coś do nas na skrzydłach orła białego zawitał zza obłoków... jak się nazywasz... imię swoje powtórz nam miłościwie...

— Bolesław Król...

Ledwie to wypowiedział przybysz, z niepokojem spoglądający na swój aparat, który już oblegać zaczynała cizba ciekawych, gdy mąż barczysty o surowej twarzy odwrócił się ku ludziom pełzającym po schodach z głazów i ku tłumom otaczającym stos na dole, a ręką wskazawszy na gościa u jego boku przy samej krawędzi granitowej, podle skazańca i krasawicy, w niepodobnym do ich wszystkich ubraniu, stojącego w ciągłym zdumieniu, huknął z pełnej piersi:

— Ten ci jest Bolko Król!

Poczym do stóp mu się zwałił jak długi i objął go za nogi. Co widząc inni, na kolana padali i cisnąć się doń, wybuchali płaczem.

Mrok już uczynił się gęsty między niebem a ziemią, a na szczycie olbrzymiej budowli granitowej czerniała jeszcze ciemno odziana postać na tle białych skrzydeł nieruchomego orła, przed nią zaś nadpływający z dołu bez końca, jasno ubrani ludzie, młodzi i starzy, mężczyźni i niewiasty, jak słoneczniki wichurą zginane we dwoje, chylili się jedni po drugich i cisnęli się, byle móc objąć kolana gościa, który im spadł z nieba...

On stał tymczasem na zagaszonym stosie, oszłupiały i oszołomiony, sterczący jakby nad przepaścią, niby niezapalona pochodnia czarna, o którą rozbijały się jasne fale ludzkich głów i barów; stał i wchłaniał w siebie z piersi tysiącznej rzeszy bijące wielkie szlochanie, które się tłukło o wysokie ściany z niebotycznych kolumn topolowych i śpiewało przed nocą w powietrzu, łzami rosy chłodzonym, niby jaką tajemniczą kołysankę...

O witaj nam, Bolku Królu...  
Bywaj nam...  
Wiecznie wyglądany daremnie...  
Bądź nam pozdrowion...  
Witamy cię...  
Z całej duszy upragniony...  
Czekany bez końca...  
Witajże nam...  
Wymodlony cichymi westchnieniami...  
Łzami wyproszony...  
Bywajże między nami...  
Wyśniony ty w marzeniach...  
Na dnie serc pieszczony...  
Bądź wśród nas pozdrowion...  
Jak zbawienie wyglądany...  
Niby ulga w żalu katuszach nam dany...  
Witaj, Bolku Królu!  
Tobie cześć!...

## XI.

Przez wąski a wysoki otwór w murze cisnęło słońce poranne złoty snop promieni na szeroką ławę kamienną, wysłaną materacem z siana świeżego, łąką jeszcze pachnącego.

Bolko, rażony jaskrawym słońcem w same oczy, krzywił twarz przez chwilę, marszczył czoło, wreszcie rozchylił powieki. Nad sobą ujrzał sklepienie kamienne rzeźbione w wieńce kwiatów, do maków podobnych. W jednym rogu prostokątne okno nieoszlone, bardzo wąskie, lecz wyższe od człowieka, ukazywało skrawek czystego nieba.

Pośrodku okrągły stół kamienny okalała do połowy także ława, znacznie węższa od tej, która mu w tej chwili służyła za łóżko.

Bolko zmrużył oczy olśniony światłością, wreszcie przeciągnął się i odwróciwszy do muru twarzą, zawarł z powrotem powieki.

Czuł potrzebę snu i wypoczynku, a spał widocznie jeszcze bardzo krótko, skoro nie był wcale wyspany.

Ale sen nie wracał natychmiast. Więc Bolko jeszcze parę razy z boku na bok się przewrócił i mimo woli myślał pracował...

— Wczoraj tryumfator... dziś więzień... Gdybym przynajmniej mógł wiedzieć, gdzie jestem...

Znużenie brało górę. Powieki kleiły się coraz uporczywiej... Za chwilę spał znowu snem twardym, mimo, że słońce oblewało mu głowę.



Wśród sennych marzeń zeszło ku niemu jakieś widziadło nieziemskie, przed którym nie uląkł się bynajmniej, lecz uśmiechał się ku niemu z zadowoleniem.

To była przedziwnie dobra i łagodna twarz staruszki w aureoli mlecznych loczków, które z dwóch krańców, po czole zmarszczkami cudzej troski pooranym, pięły się schodkami do góry i gubiły pod koronką czarnego czepeczka.

Usta jej blade drgały, gdy głowę nad Bolkiem pochyliła. A smutne, jasne oczy rozszerzały się pytaniem troskliwym, jak gdyby czekały jego skargi.

Poznał on tego anioła dobroci.

Wszakże to była babcia Molowa z cichego pokoiku swego, naprzeciw odwiecznej baszty lilizkowskiego dworu. Zeszła po schodach z piętra cichutko, że jej nikt nie słyszał...

Może kto spał i nie trzeba go obudzić, może kto myślą siedział zajęty i jemu przeszkodziłoby się głośnym krokiem...

Więc cichutko przesunęła się babunia, nie chcąc sprawiać nikomu przykrości, ni zawadzać komu na świecie, ale pragnąca wszystkim nieść ulgę...

A kiedy na czole młodym Bolka nie dojrzała błysków zadowolenia, chyliła nad nim swoje stare, rylcem poświęceń życiowych gęsto zapisane — i myślała:

— Co bym też mogła dla ciebie, dziecko, uczynić, by ci tylko było dobrze...

Uczuł Bolko na sobie ciepło jej ręki pocziwej.

Poznał babcię Molową.

I wydało mu się teraz, że nagle ubyło mu lat, że to nie dziś — jeno dawno... raz w lilizkowskim dworze, w czas grudniowej zawieruchy, leży on przed strzelającym na kominku ogniem, na staroświeckiej kanapie...

Konie pana Leszka Starowolskiego spłoszyły się na widok wilków i poniosły... Bolko z sań wypadł i potłukł się trochę o kamienie, wiatrem ze śniegu odwiane.

Nie puszczono go do leśniczówki, położono w dworskiej oficynie...

A któżby siadł przy nim czuwać a pielęgnować, jeśli nie babunia.

Czuje teraz Bolko ciepło, jakie płynie ze złotych płomieni pod kominkiem — i słodycz czuje, jaką dokoła niego w powietrzu rozlewa obecność babci Molowej.

Słuchałby jej słów bez końca. Wszakże mu ona opowiada o Wisi...

Przypomina znaną mu od dawna historię z czasów, gdy był jeszcze małym chłopaczkiem, a Wisia — dzieckiem w poduszce. Jak to woził ją grzecznie po ogrodzie w wózek, lecz na wąskiej ścieżynce zawadził o grządkę, przechylił niechcąc wózek i całą jego zawartość wysypał na lewkonie i gwoździki...

Nic się Wisi nie stało w miękkiej poduszce i na nietwardej grzędzie, ale dziecko ze snu nagle rozbudzone, krzyku narobiło co niemiara i cały dom zaalarmowało — ku zmartwieniu Bolka.

Długo się tego chłopak potem wstydził — dopóki nie nadeszły lata, w których sam zaczął się tym chwalić przed Wisienką. Ona zaś, patrząc na tego swego rówieśnika zabaw dzieciennych, swego najlepszego przyjaciela i powiernika zmartwień podlotka, wierzyć nie chciała, by mogła kiedy istnieć chwila, w której Bol do snu kołysał zapatuloną w pieluszki Jadwisię.

Kiedy raz przed nim schroniła się do swego pokoju, w negliżyku porannym, zaskoczona niespodziewanie wczesnym jego wejściem, on jej rzucił przez drzwi przypomnienie, że przecież ją pamięta w poduszeczce niemowlęcej przy piersi matczynej... O, jakże wtedy szkarłatem spłonęły jej liczka pod wpływem budzącego się w niej właśnie wstydu dziewiczego...

Odtąd już nie dwoje dzieci bawiło się z sobą swobodnie. To były już odtąd zabawy panienki z chłopcem.

I oczy babci Molowej śmiały się już inaczej niż dawniej, ile razy spoczęły na głowach dwojga młodych przyjaciół, a jej ulubieńców.

Aż raz zastała babcia Wisienkę, z piersią falującą pod błękitną bluzką, w ustroniu ogrodowym tulącą się w objęcia Bolka — już mężczyzny... Staruszka sama raki spiekła na ten widok i co żywo wróciła do swego pokoiku naprzeciw baszty odwiecznej. Wieczorem jednak długo z Wisią sam na sam spędziła w jej panińskim pokoju, a odchodząc do siebie, szepnęła nad uchem spłonionej dziewczyny:

— Będziecie szczęśliwi...

Nazajutrz zaś rano po samotnej z Bolkiem rozmowie w zakątku rozkwitłego świeżo sadu wiśniowego, nachyliła się nad jego czołem i wycisnąwszy na nim matczynej pocałunek, rzekła szeptem od wzruszenia drżącym:

— Ale pamiętaj, żebyś ją zawsze kochał tak samo, jak dzisiaj... pamiętaj... bo...

Nie dokończyła babcia, tylko cieniutkim, białym, w błękitne żyłki porysowanym palcem pogroziła mu z przedziwnie łagodnym uśmiechem pobłażliwości i wyrozumiałości.

— Pamiętaj...

W tej chwili wydało się Bolkowi, że to samo słowo słyszy nad sobą z drgających ust pochylonej nad nim babuni.

— Ależ pamiętam... — zdają się powtarzać jego wargi i rozchylają się do ucałowania jagód Wisienki, majaczącej nad nim wraz z mglistym widmem cichej staruszki, która tkliwym spojrzeniem pyta:

— A gdzie ty jesteś, Bolku... Co się też z tobą stało... Jakby ci tu pomóc...

— Mój... mój biedny... bardzo biedny... — szepcą zaś usta Wisi, gotowe łyzy scałowywać...

A nad kamienne łoże, po którym przewraca się młody człowiek, chyli się teraz krasawica z rozsypanymi po ramionach włosami, koloru złotych zbóż dojrzałych.

Poprawiła siano pod głową śpiącego, poczym okryła mu przed muchami nogi bosc zsuwającym się z ciała płótnem i wpatrzyła się w twarz, niespokojną pod wpływem sennych marzeń i przywidzeń...

Lecz w tej chwili oczy mężczyzny otwarły się od razu szeroko, jakby wyspane dostateczne.

Spojrzenie Bolka objęło stojącą nad nim niewiastę.

Widocznie myśl zaczynała pracować.

Rozbudzony nie mógł rozróżnić jeszcze jawy od snu. Postać widzianej co dopiero Wisienki niezupełnie rozplynęła się w mgle, a zaczynała w jego oczach zlewać się prawie w jedno z tą złotobrewą dziewczyną, w którą wpatrywał się Bolko, gdy się przy nim krzątała.

Pierwszy raz dopiero w świetle jasnym przyjrzał się tej pięknej główce, narysowanej bardzo niezwykajnie. Bił od niej majestat królewskiej piękności, a jednak czuło się przy niej właśnie pełne prostoty tchnienie pól wyłożonych zbożem koloru jej bujnych włosów, a wystrojonych kwieciem bławatków podobnych do jej ocząt...

Takie same bławaty opinały po szyję dumnie szeroki gors tej dziewczyny, wiążąc pod cienkim płóciennym na jej piersi dwa wyraźne jabłuszka.

Bolko drgnął. Ten kolor bławatów na piersi dziewczęcia stojącego przed jego łóżkiem, przypomniał mu od razu najczęściej przez Wisię noszone sukienki — i na nowo, jeszcze bardziej niż przódy, stopiły się w jego oczach dwie te postacie niewieście w jedną, toteż już nie mógł wyjść z podziwu, czy ma do czynienia z snem czy z jawą.

Usiadł na łóżku i szybkim ruchem okrył się lepiej płócienną kołdrą, jak gdyby zawstydzony obecnością dziewicy w takich warunkach.

Tymczasem ona nie doznała podobnego wrażenia, z zupełną bowiem swobodą rzuciła się ku niemu, pomagając poprawiać przykrycie.

— A zbudziłeś to się przecież... Dostyc już ci będzie onego spania — mówiła mile dźwięcznym głosem, z pełnym powabu uśmiechem. — Czekam to i czekam w nieskończoność, a zaglądam, czyś nie chory... Pytają o ciebie i dziwią się nie pomału, jakoś nie wyspał się do samego południa... Odpowiadam cięgiem jednako, żeś pono zmęczony okrutnie... Jakże ci, mój miły, nie słaby jesteś, a wyspany... Pośniadasz pewnie już z ochotą... Nagotowałam dawno, boś, myślę, głodny po takim spaniu do podwieczerja samego...

Bolko słuchał, chwycił uchem słowa jej chciwie i zamyślał się coraz bardziej, to nad tym, że wszak w więzieniu był trzymany, to i nad tym, co tu robi przy nim ta prześliczna dziewczyna, która go wczorajszego wieczoru tak namiętnie całowała w oczach ogromnej rzeszy ludzkiej, a dziś tak troskliwie się stara o jego wygody.

— Gdzie ja też jestem — myślał uporczywie — co to za wyspa, co to za ludzie, którzy jak dzicy chcą żywcem człowieka palić na stosie, a tyle w nich objawów wysokiej kultury... Skąd tutaj czysta polska mowa i polskości tyle wszędzie...

— Gdzie ja jestem — powtórzył myśl swoją naraz głośno, zwracając się do uśmiechniętej krasawicy.

— Nie bój się o nic — odparła mu ze szczerą prostotą — nie troskaj się, mój miły... A czyżbym ja dała zrobić co złego tobie, któryś mi ojca i szczęście moje ocalił...

Uśmiechnął się na te słowa jej, wdzięcznością tchnące — i sam wdzięcznym spojrzeniem objął jej głowę.

— A co... myślisz, że ja dziewczka słaba i że nie podołam zmóc złości, jaką zapalali ku tobie... Moc we mnie większa, niż się tobie zdaje... miły mój...

— Nie wątpię wcale, nie — zaczął nareszcie mówić Bolko, lecz natychmiast przerwał sobie, bo myśl nowa do głowy mu strzeliła i wstrząsnęła nim całym na posłaniu.

Usta mu dziwnie pobladły, a lęk serdeczny wyjrzał z oczu, które aż na wierzch nagle wylazły, w usta dziewczyny utkwione, gdy jej rzucił pytanie:

— A co się stało z moim „Białym Orłem”?...

Krzyknęła na to żywo dziewczyna:

— A widzisz — podchwyciła, jakby wielce uradowana — myślisz, jakobym nie podołała walczyć z nimi o ciebie... Popatrz-no, że udało się sama orła twojego obronić... Nic mu nie zrobili złego, nic... Bezpiecznie już schowany, a czuwa nad nim mój ojciec, jako ja nad tobą...

Za chwilę wybiegła przynieść śniadanie, a wtedy Bolko zerwał się co prędzej z łóżka, schwycił porzucone na półokrągłą ławę kamienną ubranie swoje i począł ubierać się pośpiesznie.

Wyjrawszy wśród tego oknem poznał po okolicy, że znajduje się w tej samej wieży, której szczyt widział wczoraj jeszcze z morza, a koło której następnie lecąc, nawoływał na próżno i nie mógł doszukać się śladu życia ludzkiego.

Zastanawiał się teraz właśnie nad tym, czy wieża, wczoraj opustoszała, ożywiła się dopiero skutkiem umieszczenia w niej Bolka i czy była ona w ogóle na więzienie stale przeznaczoną, gdy do izby weszła z powrotem dziewczyna, wnosząc jedzenie. Zastała go już ubranego. W tej samej chwili rozległo się wołanie z daleka. Bolko usłyszał wyraźnie po kilkakroć powtórzony imię Wanda. Tak widocznie nazywała się jego opiekunka w tej samotni kamiennej, bo ledwie zdążyła ustawić wszystko na stole, już na ten głos zerwała się z miejsca i wybiegła.

Znowu został Bolko sam w czterech ścianach. Na widok jedzenia uczuł głód nagły i z wielką ochotą zasiadł do stołu. Posiłając się, odświeżał sobie po kolei w pamięci wszystko, co go spotkało od chwili, gdy przybył na tajemniczą wyspę wśród oceanu. Ile razy bowiem przypomniawszy sobie pełen tryumfu wieczór ubiegły i uprzytomnił potem, w jakich znajduje się w tej chwili warunkach, on — nieograniczoną ciesząc się wolnością między niebem a ziemią i morzami — dziś uwięziony, bezsilny — nie mogło mu się to wszystko w głowie pomieścić...

Jeszcze mu w uszach od wczoraj huczy ten wielki hymn tysięcznej rzeszy, wznoszącej w nieskończoność okrzyki gromkie na jego cześć, kiedy po granitowych schodach ze szczytu stosu zstępował powoli wśród ogromnej ciżby, przy świetle pochodni w mroku nocnym rzucających naokół fantastyczne blaski i cienie... Prowadzono go niby świętego zwycięzcę. Sypano mu kwiaty pod nogi i wieńce kwietne wieszano na jego szyi, wkładano na jego głowę. A kiedy

skończyły się schody, tłum się rozstał, po stronach tworząc żywe szpalery, wolną drogę pozostawiając dla pochodu zaimprovizowanego.

Tu dopiero, gdy zanim ruszono, zaczęli się ustawiać, zauważył Bolko, że wszyscy ci ludzie mieli ubiór chłopski w naszym pojęciu rzeczy i przypominający mu zasadniczo dwa znane typy: malowniczy strój to wieśniaków krakowskich, to charakterystyczny ubiór górali tatrzańskich. Ten ostatni przeważał. Kiedy zaś tym i owym w twarz zajrzał Bolko z bliska przy jaśniejszym świetle pochodni, oba te typy polskiego ludu stanęły mu żywcem w pamięci w rysach najwybitniejszych. Po większej części spotykał oczy niebieskie i jasne włosy. Na ogół byli to ludzie dobrze zbudowani, wyglądający zdrowo, przeważnie bardzo piękni, o ile mógł wywnioskować z tak pobieżnego przeglądu.

Zresztą spostrzegł się od razu, że był w kraju, w którym chyba wszyscy uprawiali kult piękna. Ze zdumieniem i zachwytem spoglądał Bolko na tych ludzi, jak szykowali korowód. Przodem, oświetlając drogę, na najwyższych tykach pochodnie niosło czterech górali, z których każdy sam był jak sosna smukła, prosty, wysoki. Tuż obok dwaj męże szli, dmąc w długie trąby melodyjną pobudkę. Zaczem gromadka dziewcząt bajecznie kolorowych, każda z kwiatem lilii białej na długiej łodydze w ręku, otaczała starca, dźwigającego na żerdzi białą, bez żadnych znaków, chorągiew. Dalej młodzież męska niosła ogromne polana drzewa osmolone, z głównią już zwęgloną, a teraz wiankami zieleni oplecione, wstążkami krasnymi z niewieścich strojów obwieszane. Tak niesiono po kawałku cały stos niedawno zagaszony. A co kilka kroków to z jednej, to z drugiej strony na przemian, szedł z boku młodzian pochodnię trzymający, przez co wytworzył się zygzak płomienisty w mrokach wieczornych.

Teraz z kolei następowało zwarte równiutko koło świetlane, w takim szyku bowiem postępowały starsze kobiety z mniejszym łuczywem płonącym w ręku, wewnątrz zaś onej obręczy jeszcze dwa żywe wianki dziewic, splecionych z sobą barwnymi girlandami świeżych kwiatów, otaczały skazańca od śmierci na stosie ocalonego, który, z więzów uwolniony, wracał do życia, wiedziony w pochodzie pod ręce przez dwie matrony w sędziwym wieku a snadź wielkiego zażywające uszanowania. Tuż nad jego głową powiewały białe dwa proporce, których drzewa, liliami niepokalanej bieli splecione, trzymały krasawice w błękitnych sukniach.

Znowu długim wężem posuwali się mężczyźni z pochodniami, zaczem następował świetlany ośmiobok, tworzony z chłopców z łuczywem w ręce; zamykał on gromadkę ślicznych jak z obrazka młodzieńców, powiewających to kapeluszami szerokoskrzydłymi z orłem piórem, to czapczkami rogatymi z piórkami pawimi. W tej grupie dwóch wielce poważnych starców, którym długie włosy siwe spływały na szare świtki, wiodło pod ręce córkę skazańca, ową cudną krasawicę, która tyle wdzięczności za ocalenie ojca okazywała Bolkowi.

Tu zaczynała się część najpiękniejsza pochodu improwizowanego nie wiadomo jak i kiedy. Prześlicznie postrojoni — coś niby drużbowie weselni Krakowskiej ziemi — młodzi ludzie o szerokich barach i otwartej zdrowo piersi,

szli zwartą kupką a miarowym krokiem, wygrywając na trąbkach małych z niezwykłą umiejętnością pienia bardzo śpiewne, radością drgające, acz tęskne do rzewności. W ślad za grajkami szły pary za parami, mężczyźni z kobietami, młodzi i doletni. Co druga para świeciła w ciemnicy nocnej dwiema pochodniami, co druga zaś na przemian pała oczy widza kwiatami. A różnorodność w tym była ogromna. Dla Bolka znów i niespodzianki niemałe, gdy co chwila obok znanych mu z niwy swojskiej kwiatów ujrzał rośliny okazałe i piękne, ale nigdy niewidziane.

Przy sukmanie granatowej lub szkarłatnej bielila się w rękę, jak świeca niesiona ogromna, konwalia, której dzwonki miały rozmiary kielichów lilii, a chwiały się na łodydze od lilii jeszcze większej. To znowu malwy okazałe o ciemnych kolorach odbijały od świtek białych i sukien jasnych. Raz zapachniały bujne kity bzu, innym razem czeremchy, lub się rozniosła woń akacji — a wszystko niesione całymi gałęziami. Kiedy niekiedy zamiast kwiecica widziało się w czyichś rękach zieloną paproć, wcale od dorosłego człowieka nie niższą, albo liść jaki gruby, w osobliwe zęby wycinany, a taki rozległy, żeby się za nim schowała kobieta w najszerszych sukniach. I nie można było powiedzieć, co piękniej wyglądało w tym dziwnym korowodzie, czy taki liść niesiony między jedną a drugą pochodnią, czy li podziw kształtem i barwnością budzący, kwiat ów ogromny, z którego wonie były do upojenia...

A wtem uczyniło się czerwono. To łuczywem wokoło oświetlony, płynął wysoko nad pogłowiem idących ławą ludzi — wielki sztandar — tak nisko zwisający, że ani dojrzeć nie było sposobu, kto go niósł, ni kto chorążego otaczał. Zadrzał Bolko Król na ten widok: na sztandarze srebrzył się, pośrodku misternie wyszyty, a do lotu rozpięty orzeł biały.

Takie same orły zjawiły się zaraz i na kilkudziesięciu proporcach, fruujących na lekkim wietrze, a posuwających się gromadką za wielkim sztandarem. Bolko w głowę zachodził, skąd te chorągwie wyrosły tak nagle i na oczekaniu onymi znaki cudnymi zakwitły, gdy właśnie kolorowy gaj roztrzepotanych proporców przystanął przed nim, na przedostatnich już u dołu stopniach piramidy granitowej stojącym — i jął chylić się przed nim a kłaniać z szumem i furkotem skrzydeł gołębic.

— A toć oni muszą mieć takie sztandary swoje — pomyślał — całkiem jak nasze...

Pochód ruszył w drogę, zabierając sprzed oczu Króla las chorągwi i odsłaniając mu widok fantastyczny zygzaków i węzów ognistych przewijających się już coraz dalej w ciemnościach.

Tworzyła się wreszcie ostatnia część korowodu, jeszcze rzęsiściej mnóstwem świateł rozjaśniona. Szła dziatwy rzesza nieprzeliczona, mając koszyczki pełne świeżo narwanego pełnymi garściami z łąk kwiecica. A pośrodku nich, na kółkach powoli toczony, posuwał się majestatycznie „Biały Orzeł” Bolka Króla, ciągle drobnym kwiecikiem z małych rączek dziecinnych zasypywany, że niebawem wielkie jego skrzydła białe upstrzone były mnóstwem kolorowych płatków.

Ponad płowe główki dzieci zapatrzonych w olbrzymiego ptaka, wyrastał mur tuż w ślad za nimi idącej gromady dorosłej młodzieży, w kilku grupkach, w których gdzieindziej przeważali mężczyźni, gdzieindziej zaś niewiasty, a które widocznie wyćwiczone przedziwnie w tym zespoleniu i przy takim umyślnym podziale, śpiewały chórem jakiś hymn poważny, o nieznannej zgoła Bolkowi melodii, chwytającej za serce potęgą uczucia i przejmującej do głębi duszy czerni niepojętym a wielkim. Mógł słów nie słuchać wcale. A byłby mimo wszystko odgadł, że to śpiew polski, i nie tylko z samych słów polski, ale i z treści i z ducha pieśni... Zasłuchał się, ukołyszany miarowymi dźwiękami chóru, gdy wtem wyciągnęły się ku niemu obnażone ręce kilkunastu dziewic od stóp do głów w kwiaty przystrojonych.

Na skronie mu wieniec z najpiękniejszych kwiatów nałożyły i upięły tak zręcznie, że się ani nie spostrzegł kiedy, po czym na ramiona zawiesiły Bolkowi girlandę uplecioną z liści dębowych i kłosów zbóż, poprządkanych na przemian to rumianem białym lub błękitnym chabrem, to znów krwawym kielichem polnego maku.

Przystąpili wówczas do tak przystrojonego Bolka Króla junacy, z których każdy na pierwszy rzut oka przypominał mu legendowe postaci zbójników tatrzańskich, tam sięgających stopą, gdzie się na szczytach lęgną jeno orły. W mig z granitowych głazów porwali tryumfatora na ręce i unieśli w powietrze, poczym posadzili go na umajone zielenią i ukwiecone rzęsiście siedzenie osobliwe, zrobione z krasnych chustek dziewczek. Ujęły one nosze, ni to kołyskę dziecięcą, lekko i nad głowami ludzkimi wysoko prowadzili. Wkoło nich zaś wiły się żywe wieńce co najpiękniejszych dziewczek, całych w kwieciu, a jak kwiaty wonnych, świeżych, uroczych... Grupę tę zamykał podwójny czworobok pochodni, a poprzedzało dwóch najtęższych młodzianów, którzy, jak gdyby do stojących na drodze po bokach tłumów, wciąż wołali gromko: „Ten ci jest Bolko Król” — i niby drogę przed nim odmiatając, wywijali w powietrzu prętami obwieszonymi wstęgami, a zakończonymi snopem białych i czerwonych gwoździków.

Gdy z Bolkiem sprzed piramidy kamiennej ruszali, odezwały się zaraz radosnymi dźwiękami rozkołyszane gwałtownie dzwony na wieżycach, ukrytych w czterech rogach kolumnady topolowej, i pomieszały się z chorałem śpiewanym w pochodzie i z echem dalekich już dźwięków trębaczy i z szumem się zlewały setnych okrzyków, jakimi teraz już bez końca witano co krok po drodze tryumfatora zbliżającego się do coraz to innych ludzi w szpalerach... Bolko Król unosił się wysoko nad tłumem, oblewany refleksami licznych świateł, a wszystkie ręce podnosiły się przez cały czas ku niemu i zasypywały go miękkim, a wonnym gradem kwiatów.

Posuwali się tak drogą szeroką, mając długo jeszcze po obu bokach ogromne cmentarzysko, któremu Bolko wprzód przypatrywał się z lotu ptaka, a gdzie obecnie wśród ciemności zupełnych poza korowodem, pochodniami rozświetlonym i wśród wrażeń tak niezwykłych, jakich doznawał a nie rozumiał, tym mniej mógł cokolwiek rozpoznać dokładniej, ponadto, że wszędzie

pod osłoną grupy brzoź płaczących stał posąg z kamienia wykuty, naturalnej wielkości człowieka. Na koniec przekroczyli zamykające cmentarz żywe mury majestatycznych modrzewiów i przez mosty weszli na gościniec jeszcze szerszy, gęsto lipami wysadzany.

Tutaj mała tłum wyczekujących po drodze, ale sam pochód jeszcze urósł, bo się doń przyłączyli i ci wszyscy, którzy dotychczas tak gęste trzymali po bokach ulicy szpalery, a teraz, odkąd zwłaszcza rozszerzył się gościniec, posuwali się ogromnymi gromadami w ślad za ostatnim podwójnym czworobokiem pochodni.

Z jego środka Bolko, wysoko nad głowami ludzkimi niesiony, spoglądał z góry na całokształt korowodu, który mu się teraz nieco inaczej przedstawił, odkąd droga ich, wijąca się przedtem rozmaicie, wyprostowała się już zupełnie. Figury świetliste, przez niosących pochodnie tworzone, występowały tu jeszcze wyraźniej na tle z każdą chwilą ciemniejszej nocy. Widowisko bajeczne zyskało znacznie w obecnych ramach wspaniałej alei lipowej, która prościutko wyciągała się w dal nieskończoną, nakrywając pochód, niby w olbrzymim tunelu, majestatycznym sklepieniem odwiecznych konarów; zwisające zaś z nich gęsto draperie młodego listowia płonęły złotymi blaskami od tysiąca ruchomych świateł, lub znikwały chwilami, jak gdyby gazą przysłonię, za obłokiem jasnych dymów buchających gdzieś z łuczywa.

Przycichły teraz okrzyki, na cześć tryumfatora raz za razem wznoszone, a za to harmonijniej dźwięczały śpiewy chóralne, których melodia, dziwnie słodka i rozmarzająca, podobała się bez miary Bolkowi swym zgoła nieznanym mu charakterem.

Przysłuchiwał się z rozkoszą pieśni i miał wrażenie, że to nie ludzkie ręce niosą go na miękkim rozkołysanym siedzeniu, ale że sam płynie na skrzydłach tej pieśni... Doznawał wrażenia, że go ten śpiew upajał. Wzrok jego przestał się wyteżać w dal przed siebie, szukając początku długiej linii korowodu, lecz od zygzaków płomienistych zbaczał w czarne nocy przepaście poza szpalerami potężnych pni lipowych i wracał w najbliższe otoczenie swoje; a wtedy spojrzenia jego błądziły po żywych wieńcach postaci niewieścich, w wonnym kwieciu wijących się w pochodzie dokoła grupy junaków, którzy go nieśli.

Początkowo oczy Bolka prześlizgiwały się po tych główkach przeważnie jasnowłosych, w maków wiązanki lub chabrów girlandy spowitych, albo pióropuszem bzu przystrojonych. Powoli jednak tu i ówdzie wzrok Króla zatrzymał się i oparł o twarz niektórą. Źrenice jego błądzące spotykały się z roześmianymi oczyma dziewczycy i tkwiły w nich przez chwilę, zanim się oderwały, by spocząć na jagodach innej, lub objąć czyją kibić kształtną, tors zmierzyć bujny, gałązkami jaśminów lub kitami czeremchy obwieszony biało wśród wstążek barwnych.

A wtedy myśl jedna Bolka opanowywała, myśl jego Wisience, której tu z utęsknieniem między kraśnymi stu dziewcząt jagódkami szukał miłosnymi spojrzeniami, lecz nie odnajdywał nigdzie. I naraz zapomniał o wyspie tajemniczej pośród oceanu... i o stosie, na którym spalono by człowieka żywcem,



gdyby nie był w porę białym orłem z pod obłoków zleciał... i o tych owacjach czci niemal bałwochwalczej, jaką tłum nieznanemu otaczał go od chwili, gdy imię swoje wymówił... o wszystkim tym zapomniał Bolko i już przed sobą nie widział pochodu tryumfalnego... tylko mu śliczna główka ukochanej Wisienki wykwitła z tego mnóstwa kwiecica, co się u stóp jego kołysało w korowodzie... i tylko mu usta drogiej Wisienki zapachniały z kłębow tej pary wonnej, co w nozdrza jego była z powodzi kwiatów i kwiatów.,.

Ocknął się dopiero wtedy, gdy pochód znalazł się w ulicach gęsto wysadzanych kasztanami, spoza których przezierały mieszkania ludzkie w ogródkach tonące. Zbudziły tu Bolka z zadumy okrzyki gromkie, do tych podobne, którymi wprzód już witano go po drodze. Entuzjazm, jaki budziła tutaj w tłumie ludzi zbiegających się z domów i zalegających obie strony drogi, wiadomość przez heroldów pochodu tryumfalnego obwoływana, o powrocie Bolka Króla, przeradzał się w istny szal...

— Gdybym przynajmniej wiedział za kogo oni mnie biorą — myślał Bolko ogłuszony wrzawą i znowu rześciej zasypywany kwieciami.

A tymczasem pochód mijał jedne za drugimi, podobne ulice, przy których za ukwieconym żywopłotem z drzew kasztanowych lub akacjowych, kryły się siedziby ludzkie. Z nich coraz większa ciżba ludzi wysypywała się z krzykiem na dwór, pożerała oczyma niespodziewane widowisko pochodu, witała ocalonego od stosu skazańca i jego córkę, podziwiała „Białego Orła”, a słysząc na koniec wołanie „ten ci jest Bolko Król”, szalała z radości i gdzieindziej rzucając się w zaciekawieniu ku niosącym tryumfatora, omal naporem swoim nie powaliła tych, którzy go podwójnym łańcuchem osłaniaли z pochodniami w rękę; gdzieindziej zaś na kolana podając w uniesieniu, rzucała się na ziemię, z głośnymi słowy modlitw dziękczynnych na uściech i nie podnosząc nawet oczu na niego, do nóg mu się słała, pospołu z obficie z rąk dziatwy sypanym kwieciami...

Oszłołomiło to zupełnie Bolka, który wreszcie nic już nie wiedział, co się wokoło niego dzieje, gdy wtem wkroczone w obręb bajecznie pięknego parku. Nagle z muzyką i śpiewem zmieszały się w powietrzu odgłosy, które Bolka prawdziwie zdumiały, gdy sprawdził, że go słuch nie omylił. Oto zobaczył olbrzymich rozmiarów wodotryski pośród potężnych budowli kamiennych, pełnych artystycznych dzieł dłuta rzeźbiarzy. Fontanny były niezwykle kunsztownie urządzone, biły na wysokość kilku pięter, a wyrzucały słupy wody w bardzo różnorodny sposób.

Niespodziewanie wzrok jego olśnił widok uroczy. W jednym oka mgnieniu kilka ogromnych wodotrysków, szumiących w ciemnościach srebrzystym pyłem, stało w żywych tęczach drgających. Jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, pozamieniały się w najwspanialsze fontanny świetlne, gdy jednocześnie z niewidzialnych a silnych reflektorów rzucając, wielkie snopy światła kolorowych rozjaśniły od razu cały park rozległy, ukazując oczom Bolka, w dziennej niemal jasności, mimo nocy, precudne obrazy fantastyczne.

Nie wiedział, na co wprawdzie patrzeć w tym zaczarowanym ogrodzie. Na terenie falistym, urozmaiconym strumykami, kaskadami i mostkami, to znów sadzawkami u stóp wzgórz, rzucało się w oczy mnóstwo posągów, kiosków, pałacyków pomiędzy kwietnikami, tak artystycznie pomyślanymi i takim bogactwem egzotycznej roślinności ozdobionymi, że żaden z parków znanych Bolkowi z podróży po największych miastach, nie mógł iść w porównanie z ogrodem stworzonym tu przez owych wyspiarzy, którzy chcieli człowieka palić na stosie...

— Jak tu pogodzić tak wysoką kulturę z barbarzyństwem — myślał sobie Król, zachodząc w głowę, dokąd też skrzydła jego orła przyniosły go w locie nad oceanem. — Jestem najwyraźniej w kraju artystów, a naokół, sądząc po stroju, widzę samych chłopów... Wyspa mi to nieznana wśród obcych mórz, a wśród mieszkańców innej mowy nie słyszę, jak tylko przeczysty język polski...

W tej chwili na bezbrzeżnej przestrzeni ogromnego parku wszystkie naraz światła pogasły, okrom pochodni w korowodzie niesionych, a zaledwie ciemność dokoła zaległa, na czarnym niebie bardzo wysoko ukazały się olbrzymich rozmiarów linie świetlne, z których tworzyły się wyraźnie litery, dając ogniem wypisane imię Bolko.

Z kilku tysięcy piersi buchnął okrzyk wstrząsający powietrze, poczym nagle wszystko ucichło od razu na odgłos dzwonów. Chóry i grajkowie pomilkli w pochodzie, a wśród ciszy, kędyś pod obłokami, na niewidzialnej w mroku nocnym dzwonnicy, zagrała orkiestra spiżowa. Zatrzęsła się dusza w Bolku. O takiej muzyce dzwonów chyba marzyć jedynie można... Słyszał tyle pięknych dzwonów, ale o takich nie miał wyobrażenia. A musiało ich tu być aż kilkanaście zestrojonych w ten czarowny carillon... Nie trwało to jednak długo, kiedy zaś przycichły ostatnie dzwonów dźwięki, rozległy się pieściwe tony pieśni, wygrywanej na instrumentach, przypominających to fletnię, to znów trąbkę czy róg leśny, a spływały po falach powietrza z góry, z jakiejś niedostrzeżonej przez Bolka na ciemnym widnokręgu wieży, ze szczytu znacznie wyższego niż poprzednie dzwonicie.

Aliści nie było czasu zastanawiać się nad tym, bo pochód wśród tego przystanął. Szyki niosących pochodnie zaczęły się łamać i odmieniać, aż naraz ustawiły się w półkole, z kilkunastu złożone łańcuchów. W pośrodku onej półobręczy, płonącej światłem i ogniem, umieszczono „Białego Orła” w otoczeniu sztandarów i proporców, do których nie wiadomo skąd i kiedy przydano jeszcze wiele nowych, okazalszych chorągwi.

Tymczasem siedzenie Bolka opuszczono na dół, ale zanim tryumfator stąpił na ziemię, już stanął przed nim rydwan przedziwny, z wyglądu bardzo już starej roboty. Coś jakby łódź, niesiona ze wszystkich stron przez orły białe naturalnej wielkości, ze srebra nader kunsztownie wyrobione, posuwało się na kółkach pod spodem schowanych. Zasypano to w mig kwieciami i gałązkami zieleni, a kiedy do środka wszedł ponownie uwieńczony świeżo Bolko, rydwan popychać zaczęli przed siebie co najstarsi mężowie o siwym włosie i brzdami pooranym czole.

Ani się Król nie spostrzegł, kiedy z czarownego parku zawiedziono go do olbrzymiej świątyni, dokąd za nim weszli wszyscy niosący kwiaty, zostawiając tamtych ze światłem w ręce u wrót na dworze. Rozejrzył się Bolko wokoło, a wówczas nowy podziw myśl jego ogarnął. Znalazł się bowiem wewnątrz budowli, o jakiej nigdy mu się i nie śniło. Z czego ją wzniesiono, nie miał na razie pojęcia. Ujrzał zaś nad sobą nie więcej jak tylko samo sklepienie niebieskie w nocy, gwiazdami usiane i księżycowym światłem rozjaśnione. Nigdzie nie widział murów, nigdzie nie dojrzał, gdzie się zaczynała kopuła olbrzymich rozmiarów, dokąd zaś okiem sięgnął, widział bardzo daleko jedynie nocne niebo.

A na ziemi tu i owdzie kwietniki piękne, dalej krzewy i drzewa, wszędzie zaś ławy kamienne biegnące w około amfiteatralnie. Całą budowę równo na krzyż dzieliły dwie bardzo szerokie ulice, zakończone czterema bramami, a na skrzyżowaniu tych przejść, w samym środku świątyni wznosiło się wzgórze zieloną trawą porośnięte; w nim tkwił na szczycie wielki krzyż sterczący wysoko ku niebu.

Poniżej, przy schodkach z ziemi wiodących na ścieżkę do krzyża, leżał ogromny głaz. U jego stóp było źródło, a woda zeń wpadała w studzienkę i nikała. Na kamieniu znów było urządzenie odpowiednie dla utrzymywania wiecznego ognia, który tu płonął jasnym płomieniem, strzelając iskrami z drzewa. Tu właśnie przywiedziono Bolka Króla na rydwanie tryumfalnym.

Kołem otoczyli go ludzie, gdy u stóp onego pośrodku świątyni wzgórze stanął, a wszyscy z tych, co najbliżej stali, mieli w ręku mieczyki zielone, świeżo zerwane, podobne do gladioli, które w ogródku Jadwisinym przy oficynie liliszkowskiego dworu kwitły latem różnokolorowo, ale ze trzy razy wyższe i o kwiatach piękniejszych, śnieżnobiałych i mocno purpurowych od razu na jednej łodydze. Przystanąwszy zaś, zaśpiewali wszyscy jednym głosem głębokim hymn potężny, od którego zdało się, że olbrzymia kopuła sztucznie wyobrazonego nieba, wraz z gwiazdami ułudnie błyszczącymi, zadrżała. A kiedy umilkli, cisza zapadła i nastąpiła chwila dziwnie uroczysta, w której nic nie było słyhać po poprzedniej długotrwałej wrzawie, jak tylko serc własnych bicie niespokojne w piersiach i szmer jednostajny źródła nikałego w studziencie, przerywany co trochę trzaskiem ognia. Ta cisza wielka zaskoczyła Bolka nagle i owijała się dokoła niego niby wąż, zaciskający zimne a wilgotne cielsko coraz ciaśniej; doznał teraz wrażenia, że go oblewa zimna ciecz oślizgła i że uciec spod niej nie może... Nie umiał sobie wytłumaczyć, co mu się dzieje i dlaczego jakiś lęk ścisną go za gardło, ugniata mu piersi... Drżał, jak gdyby przyprawiono go tutaj na jakiś obrzęd straszny, jako tamto na stosie palenie człowieka żywego... Nie zdawał sobie sprawy, czy ta cisza uroczysta długo trwała; jemu wydawała się dłuższą niż podróż orłem nad bezbrzeżnym oceanem.

I nic już Bolko nie widział, tylko twarz starca stuletniego, z siwą po pas wielką brodą, w długiej wolnej szacie białej... I oczy głębokie, przepastne, które świdrowały go w głąb duszy, gdy starzec ten z klęczek się dźwignął od krzyża i zeszedł do ogniska przy źródle, dokąd Bolka przywiedziono na rydwanie

tryumfalnym... Te oczy przenikliwe objęły naraz postać przybysza i zaryły się w jego twarzy na długą chwilę, poczym dwie kościste ręce podniosły się ku niebu, ciemnym dachem gwiazdzistym nakrywającemu świątynię, zalaną blaskiem księżycowym, a głos jakiś wielki, nieziemski głos, z piersi starca dobyty, zawołał ponad ludzkim pogłowiem:

— Nie on jest Bolko Król!

## XII.

W izbie więziennej na wieży mrok robił się coraz większy, aż wreszcie przestał Bolko rozróżniać cokolwiek dokoła siebie. Noc musiała już być zupełna, ale na sen nie zbierało mu się jeszcze, bo wyspał się do późnego popołudnia do syta. Wstał więc z ławy kamiennej przed okrągłym stołem i powłókł się do okna, które wąskim, lecz bardzo wysokim otworem odrzynało się na tle ciemnicy jaśniejszą plamą. Wcisnął się tu ramieniem w głąb framugi w murze i wzrok zatopił w ten skrawek prostokątny wolnego powietrza, którego do wczoraj panem był nieograniczonym na skrzydłach potężnych swego białego orła, a dokąd dziś wyrwał się już z takim utęsknieniem, jak gdyby między nim a tym podniebnym eterem lata długa trwała nieprzebyta zaporą grubego muru...

A kiedy mu teraz w nozdrza zaleciał powiew ciepłej nocy wiosennej, dyszącej kędyś balsamem kwiecia świeżego wśród rośnej zieleni majowej, kiedy oczy jego po kolorze skrawka lazuru, ramami okna objętego, rozpoznały, że po niebie pływać musi czysty księżyc w pełni swego mistycznego majestatu — taki żal omotał Bolkowi serce na myśl, jakby to leciał w tej chwili, lekko niesiony przez „Białego Orła”, a kołysany wiatrem wysoko nad ziemią, że ręce załamał i bolesnym głosem wyrzekł niemal mimo woli:

— Ojczy mój, czemuś mnie opuścił?

Rozmyślał już wprawdzie parokrotnie w murach tej izby nad smutną zmianą swego losu, ale teraz dopiero pierwszy raz odczuł do żywego, jak boli niewola. Znieruchomiały we framudze okiennej, zapatrzony w niebo, trwał w tym bólu swoim długą już chwilę, gdy naraz ocknął się jak gdyby spłoszony w zadumie szelestem. Obejrzał się nagle za siebie. Jakaś plama jasna, ruszająca się na tle mroku izby, sunęła cicho wprost ku niemu. Chciał się cofnąć, lecz mur zagraadzał mu drogę za plecami, gdy wtem w ciszy zadzwonił głos słodki:

— Nie śpisz...

Od razu głos ten rozpoznał. To musiała być krasawica, którą w myśli nazywał teraz Wandą, od kiedy słyszał, jak ją tym imieniem wołano. Dwie ręce wyciągnęły się do niego, ciepłe dwie ręce ujęły go za dłonie stygnące i uściśniły serdecznie, wymownie, jak gdyby na współczucie, na pociechę...

— Nie kładziesz się spać, mój miły... wyspany jesteś... To dobrze — mówił głos dziwnie pieściwy — wszędy już na spoczynek poszli ludzie i nikt nie będzie się troszczył o ciebie...

Ręka Wandy ujęła go pod ramię i pociągnęła od okna.

— Pójdź ze mną...

Spróbował Bolko zrobić parę kroków po ciemku przed siebie, ale mu to sprawiało trudność niewymowną. Odczuła to Wanda, że mu po omacku tak źle iść.

— Nic się nie bój — rzekła, mocniej ujmując go za rękę — już ja cię przecie poprowadzę... Światła nie chcę rozniecać tutaj, bo mógłby kto zobaczyć...

Wywiodła go tak po ciemku z izby za próg i ostrożnie powolutku sprowadzała dalej schodami niżej i niżej bez końca, a wszędzie ciemność piwniczna nie odmieniła się ani na chwilę. Potem kilkadziesiąt kroków uszli po równej podłodze kamiennej, nareszcie zatrzymali się, a wtedy Wanda puściła jego rękę, odeszła sama, zostawiając go w toni mrocznej i szukała czegoś, jak wywnioskował po szmerach. Nagle rozległ się trzask, jak gdyby pod naciskiem sprężyny drzwi odskoczyły. Towarzyszka Bolka wróciła do niego i bardzo troskliwie prowadziła go dalej po omacku. Ledwie przekroczyli jakiś próg wysoki, za którym powietrze stało się wilgotniejsze, zostawiła go znów samego, zatrzasnęła drzwi, zapewne te same, które przedtem otwarły się z trzaskiem, poczym rozległ się cichy zgrzyt i nagle jasność olśniła oczy Bolkowe. Przez parę minut nie mógł do niej nawyknąć i tak go razila, że nic nie mógł wzrokiem jeszcze rozeznąć. Kiedy się wszelako z światłem oswoił, ujrzał przed sobą nieskończenie długi korytarz sklepiony i wcale dobrze rozjaśniony ukrytymi w równych odstępach w stropie lampami. Już mu tu nie było obco. Tak samo wyglądał krużganek podziemny, którym niezmiernie długo prowadzono go poprzedniej nocy ze świątyni do więzienia. Tylko inną snadź drogą dostał się wtedy z podziemia na wieżę, z której obecnie sprowadziła go Wanda znowu do tych piwnic tajemniczych.

— No, teraz będzie ci iść dobrze, już nigdzie ciemnicy nie napotkasz — mówiła doń piękna towarzyszka, gdy żwawym krokiem przemierzali jednostajny korytarz. Bolko szedł przy niej z głową na piersi prawie opuszczoną i milczał w drodze, nawet nic nie odpowiadając troskliwej przewodniczce. Czasem jeno spod oka obrzucił ją spojrzeniem badawczym, lecz zanim ona to spostrzegła, spuszczał wzrok swój szybko na gładko ociosane głązy, po których stąpali. Ona zaś całą postać jego tuliła ciągle w oczach rozwartych, jakby go tym serdecznym spojrzeniem chciała upieścić... Kroki ich dudniły w podziemiu, zresztą cisza zalegała to odludzie. W drodze twarz Wandy posmutniała. A wtedy z ust jej padły słowa, przerywające milczenie znienacka:

— We dwoje idziemy, a nie samiśmy tu dwoje...

— Czemu? — rzucił Bolko.

— Bo ty na mnie nie spojierasz wcale, a masz przecie przed oczyma kobietę... Uśmiechnął się i zdumiony wzrok podniósł na krasawicę.

— Snuje się ona przy tobie, mój miły, jako cień... i ty się w nią wpatrujesz tak miłośnie, a tak tęsknie, że mi ciebie żal...

— Skądże wiesz?

— Wszak mi nie zaprzeczasz... A powiedz mi przynajmniej, jaka jest... Rzeknij ino, zali ode mnie piękniejsza... Jakie ma włosy?

— Jak popiół — szepnął Bolko cichutko, niby do siebie.

— A to ładne być muszą — podchwyciła żywo dziewczyna — nie spotkałam jeszcze popielatych włosów... I jasne ma oczy?

— Nie, czarne...

— Rzeknijże mi jeszcze, mój miły, jak jej na imię...

— Jadwiga.

— Nie znam takiego. U nas nieznanne takie imię w całej Lechii...

— W Lechii — jak echo powtórzył Bolko zdziwiony nadzwyczajnie.

— To ona może nie Polka, obca jaka może ta twoja umiłowana Jadwiga? — spytała nagle tonem jak gdyby oburzenia. — Bo mi się zdaje, iż takie imię przecie słyszałam kiedyś, że je cudze nosiły księżniczki, aliści nie mieliśmy Jadwigi pomiędzy swoimi Piastami...

Bolkowi w głowie się to pomieścić nie mogło, dlaczego Wandzie obcym się wydaje imię Jadwigi... A słysząc wśród tego z ust tej dziewczyny imię Piastów, chciał właśnie zasięgnąć od niej wyjaśnień, gdy nagle korytarz rozwidłał się i przystanęli na rozstajnych drogach, gdzie Wanda rzuciła mu pytanie:

— Czy wczoraj prowadzili cię koło groty bzowej?

— Bzowej... nie, po drodze nie przypominam sobie, bym mijał jaką grotę...

— A, toś szedł inną drogą... W takim razie dziś pójdziemy tędy — zakończyła, skręcając na prawo. Weszli w jedno z dwu ramion korytarza podziemnego, a ledwie kilka kroków uszli, już uderzyło Bolka tchnienie świeższego powietrza, poczym szum napełnił tunel, który rozszerzał się tu stopniowo coraz bardziej, ale jednocześnie stawał się coraz ciemniejszy.

Minąwszy zakręt, znaleźli się już w półmroku. Tu krużganek zamieniał się w wysoką a rozległą halę.

— Cóż to za przedziwny zapach — ozwał się Bolko w upojeniu.

— Czy nie czujesz bzów — zagadnęła go przewodniczka, pociągając w bok.

Istotnie wonią bzowego kwiecia tak było tu powietrze przesycone, że Bol, zapomniawszy o wszystkim, zaczął wciągać w siebie pełną piersią ten balsam czarowny... A wtem półmrok, który ogarniał ich już zupełnie, przybrał barwę bladofioletową... Posuwali się wolno krok za krokiem, a wchodzili w przestrzeń coraz jaśniejszą, napełnioną niby nieuchwytnym dymem w kolorze subtelnie bladego odcienia fioleto. Tu już chłód przyjemny bił o twarz, a szum stawał się całkiem bliski. Od chwili już zauważył Bolko, że grunt pod nogami ich opadał i że schodzili coraz to niżej, głębiej... Upojony już zupełnie mocnym zapachem świeżych bzów, wpatrywał się w najwyższym napięciu uwagi przed siebie, aż wreszcie z coraz bledszego zmięzchu wyłonił się obraz fantastycznej grot. W pierwszej chwili oczy oszołomionego do reszty Bolka stanęły w słup, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, na co patrzą. Aliści gdy pierwszy zachwyt przeminął, zaczęły szukać naokół krzewów bzów, które taką woń rozlewały w tym ustroniu. Nie odnalazły jednak nigdzie ani śladu roślinności w podziemiu.

Wszędzie, potargane w malownicze zręby, sterczały lub zwisały skały szklące, wszystkie tylko fioletowego koloru, o kilkunastu jednak odcieniach, od najciemniejszych do tak bladych, że w biel niemal wpadały. Sączyła się po nich wszędzie woda, gdzieniegdzie kaskadą spadająca z góry w przepaść, a spieniona różowawo. U stóp zaś skał fontanny były wysoko potężnymi słupy wody bżowo zabarwionej, pióropuszcami srebrzystego pyłu zakończone u góry wysoko, wśród firanek z jakichś skamieniałych obłoków bladoróżowych, skąd na całą rozległą grotę lało się to jakieś mistyczne światło jasnofioletowe. Wodotryski odświeżały wilgocia powietrze, same naokół roznosząc ów przedziwny zapach kwiatów bżowych.

Bolko stał jak oczarowany przed tym cudnym obrazem i milczał, zasluchany w szepty, jakimi fontanny i kaskady przepępniały grotę. Woń subtelna upajała go jednak coraz bardziej, że niebawem zaczął odczuwać zawrót głowy i oparł się o rękę Wandy. Ta ramieniem przywarła się do niego, a wzrok podniosła na ogorzałą twarz kościstą, pośrodku której drgał teraz z lekka wąs bujny bladokasztanowatego koloru.

— Co się też marzy tobie, Bolku — zagadnęła go szeptem, który zmieszał się zaraz ze szmerami wody i o skały echem tłukł się, jak skrzydło zranionej w pierś ptaszyny.

Bolko przetarł ręką wysokie, otwarte czoło, potem palce zanurzył w czuprynie gęstych blond włosów i potrząsł nimi, a kiedy ręka opadała z powrotem, zawołał:

— Upiłem się tutaj tymi bżami, których nie widać...

— Jakże chcesz, żeby tu pod ziemią kwitły... To przecie woda tak pachnie... Ale ci także i bży pokażę... — dodała, pociągając go nagle z sobą.

— A dokądże ty mnie prowadzisz?

— Do ogrodu miłości.

Zamknęła tą odpowiedzią usta Bolkowi, który naraz umilkł z powrotem i rozglądał się jeno ciekawie. Grota zaś, którą zostawili za sobą, zwężała się stopniowo i zniżala, zamieniając wreszcie w przedsionek mały, mroczny prawie, w którym wszystko wyglądało jakby przesłonięte woalem fioletowym. W potarganych dziwnie skałach widać tu było naokół wnijścia do rozchodzących się w różne strony krużganków, Wanda wszelako omijała je wszystkie bez namysłu, wiodąc swego towarzysza prosto przed siebie. Zaczęli wchodzić na bardzo szerokie schody kamienne, niewysokie i wygodne. Powala była tu zrobiona jakby z jakiejś masy szklanej, przez którą sączyło się z góry na schody mdłe światło różowo-seledynowe. Ściany zaś po bokach, wykute w opoce, obwieszane były gęsto bluszczami, które wypełzały z zakątków mchem zaszytych. Wzrok Bolka z zajęciem błdził po tych murach, a śledziły go oczy Wandy bezustannie.

Przystanęli na chwilę w miejscu, gdzie jaśniej z góry oświetlony taras przerywał jednostajność schodów. Tu w miękkich mchach brodatych kryły się ławy kamienne, a spod firanek z porysowanych ślicznie liści bluszczowych

wyzierały po obu bokach białe figury. Bol, zdumiony do żywego, puścił rękę swej przewodniczki i sam podszedł do jednej z tych dwóch postaci. Oczom jego ukazała się cudnie w alabastrze rzeźbiona dziewica, przegięta nieco ku przodowi pod ciężarem sporego dzbana, kaskadą jej włosów przez pół zasypanego, a z którego sączyła się woda żywa, cienką strugą wpadająca z lekkim szmerem do studzienki omszałej o kształtach beczułki.

— Czyż to dzieło? — spytał Bolko, z zachwytem przyglądając się posągowi wielkości naturalnej, gdy Wanda zaczerpnąwszy kubkiem wody ze źródła, piła chciwie.

— Czyje... alboż ja wiem...

— Któż tu u was jest takim rzeźbiarzem?...

— E... rzeźbić to przecie u nas umie każdy... tylko nie każdy potrafiłby tak pięknie to zrobić... Zobaczysz zresztą piękniejsze posągi, pokażę ci, mój miły, skoro tobie tak się to podoba... Te dwa są już bardzo stare, setki lat tu stoją... Dziś inaczej się to robi...

Dwie źrenice fiołkowe w oczach Bolka rozszerzyły się i w blasku spływającego z góry blado-zielonkawego światła, objęły postać tej krasawicy w spódniczce błękitnej poniżej kolan, w staniczku czerwonym, złotą wstążeczką splecionym na piersiach i plecach, a całkiem bez rękawów; z szyją dokoła odsłoniętą nisko; z grubą wiazanką do ramienia upiętej konwalii, której dzwoneczki białe trzęsły się na krągłej, ciągle falującej piersi i zaczepiały co chwila o włosy, wstęgą związane chabrowego jej ocząt koloru, ale rozsypujące się niby kłosa zboża w snopie, w sam raz złocistego jak one... Zapatrzył się w tę chłopkę urodziwą, zdrowiem tryskającą i z twarzy czerstwej i z kształtów bujnych, które rysowały się wyraźnie pod cieniuchnym płócienkiem jej sukni, lub uwydatniały się, jak zgrabna nóżka, spod drobnej pletni sandałków góralskich — i nie wiedział, co ma sądzić o tych, po polsku tylko mówiących, mieszkańcach dziwnej wyspy, przez samą Wandę Lechią nazwanej... Naokół spotykał tu samo piękno i wszędy widział kult piękna.

— A która ci się lepiej podoba — zagadnęła go nagle dziewczyna, gdy od jednego posągu przeszedł do drugiego, wyobrażającego niewiastę z dzbanem w tej samej pozie, co tamta, lecz odmiennych kształtów. Uśmiechnął się na to pytanie i jął okiem porównywać obie figury alabastrowe, wreszcie wskazując pierwszą, rzekł:

— Tamta...

— Bo może smuklejsza — wtrąciła zaraz Wanda — dlatego ci się podoba ta szczupła i dlatego ja ci się nie podobam... prawda... Powiedz mi, to pewnie do tej podobna być musi twoja Jadwiga... — A kiedy jej na to nic Bol nie odrzekł, dodała: — Ty ją musisz bardzo kochać, skoro na kamienie spoglądasz tak ciekawie, a nie podnosisz prawie oczu na mnie, com przy tobie żywa...

Uczuł się zakłopotany, więc nie odwracając się ku Wandzie, oglądał szczegółowo studzienkę i ławy granitowe przy niej, co widząc dziewczyna zagadnęła go naraz, czy może już znużony i chciałby odpocząć.



— Nie, nie... możemy iść dalej — zawołał, chwytając w garść nieco wody kryształowej ze źródła, by sobie obryzgać nią czoło, zapach bowiem silny bzowego kwiecia, upajając ich i tu jeszcze bez końca, zaczynał Bolka już osłabiać. Więc chętnie zmierzał do wyjścia. Drogę przed nimi zamykała ciemna, gęsta kotara ze zwisających od stropu bluszczów. Uderzyła w nie ręką Wanda, a kiedy się rozwiały nieco, przeszli poza nie oboje i znaleźli się znowu na schodach, nad którymi ciemne sklepienie zielone tworzył wspaniały tunel z winogrodu, pnącego się po ukrytych drabinkach i kratkach, a malowniczo gdzieniegdzie zwisającego filuternymi firaneczkami. Niebawem schody ustały, a tylko gładka posadzka kamienna podnosiła się łagodnie ku górze już u wylotu długiego a szerokiego korytarza.

Powiew odrębnego powietrza spod gołego nieba uderzył w nich nagle, gdy zabrakło im sklepienia z liści, mur osłaniających nad głowami. Weszli między dwie ściany niższe, które, jakby framugę głęboką wielkiej bramy do podziemia tworząc, ukazywały jedynie sploty stokrotne wielkich powoi. Najbystrzejsze oko nie byłoby przeniknęło, co się kryło za ich liśćmi i mnóstwem guzów różnobarwnych, w jakie na noc przemieniły się postulane kielichy ich kwiatów. Wanda wyciągnęła ku nim rękę i mocno szarpnąwszy, zerwała zwój ogromny, poczym śmiejąc się głośno zarzuciła go Bolkowi na szyję i oplotła go nim jeszcze parę razy.

— Teraz Bolko jest już mój — wołała chichocząc przy pętaniu go powojem, lecz zaraz spoważniała, prawie posmutniała i odstąpiwszy o krok od Króla, szepnęła: — Taki ci mój, jak on księżyc srebrzysty na niebie... Uwolnię cię z wieży, mój ty miły, a powiodę cię do twego „Białego Orła”, to mi wskoczysz na niego co żywo i w błękit za tym księżycem polecisz, a skrzydła orłowe zanoszą cię do twojej umiłowanej Jadwigi... i oczy moje oglądać nie będą cię wcale... Takiś ty mój...

Żal wzbudziły w duszy Bolka te jej słowa serdeczne, szczerze. Znowu ją całą objął spojrzeniem, ona zaś wtedy do niego z powrotem przystąpiwszy, ręce obie, świeżym puchem dziewiczego wdzięku świecące po ramiona, wyciągnęła gestem smutnym, palcami białymi ujęła go pod łokcie, a w tył odchyliwszy śliczną główkę swoją z rozchylonymi ustami i sypiącymi się po plecach włosami, topiła w jego twarzy wzrok zamglony i pożerała swymi błękitnymi źrenicami jego ciemne fiołki, ukryte za gęstą rzęsą firanką...

— Niech ci się bodaj napatrzę do syta...

Stali tak przez chwilę jak posąg nieruchomo pomiędzy dwiema w powojach ścianami, oblani ze stropu pogodnego nieba poświatą pełnego miesiąca, a mając tuż za sobą szumiące zdała cichutko rozgwarem fontann i kaskad w grocie bzowej, bluszczowe wnijście w głąb podziemia, przed sobą zasię nieskończenie długą, równiutką aleję bzów. Tworzyły ją wysokie drzewa, na których liści było tak mało, że tysiące wielkich kiści kwiatów różowawych składały pełne korony, kryjąc pod sobą odrobinę zieleni. Pnie jednak tych drzew ginęły zupełnie w gęstwinie ogromnych krzewów bzowych; tu już zieleń była obfita, a dopiero nad

poplątanymi ze sobą gałązkami serduszkowych liści, kołysały się jak wielkie pióropusze bladofioletowe lub niebieskawe kity kwietne, sięgając pod ogromne czerwone kule drzew w kwieciu. Bił z tej alei, poświatą księżycową oczarowanej, zapach jeszcze mocniejszy niżli w głębi groty bzowej, więc Bolkowi zaczynała już głowa ciężać tak dziwnie, a wzrok Wandy miłością dyszący świdrował go tak do głębi duszy, wśród tej wielkiej ciszy nocnej, że nogi zakolewały się pod nim wreszcie i doznał wrażenia, iż owiewa go jakaś rozkoszna senność...

Wtem z nagła trele słowicze ocknęły go. Zadrżał na całym ciele. A wtedy Wanda opuściła ręce i oboje weszli w aleję bzową. Rozjęczały się teraz słowiki. Naraz po kilkanaście śpiewaków zawodziło swoje trele. Bolko, który pamiętał majowe i czerwcowe poranki i wieczory w ogrodzie lilizkowskim i słuchał tam nieraz słowików we dwoje z Wisienką, a był przekonany, że ich nigdzie nie ma więcej i chyba że nigdzie nie potrafią śpiewać piękniej, jak tam za Dźwiną, wśród bezkresnych i pustych, melancholijnie smętnych łąk dalekiej ziemi inflanckiej — pomyślał sobie w tej chwili, idąc u boku Wandy, że nigdy jeszcze w życiu takich nie słyszał koncertów.

Szli środkiem wyciągniętej w nieskończoność alei bzowej, przywarci do siebie ramionami.

— To o miłości śpiewają tak cudnie słowiki — szepnęła Wanda, budząc z zadumy milczącego towarzysza.

— Musi ich tu być bez liku — wtrącił głosem najcichszym, jak gdyby się bał zepsuć nastrój i znowu zamilkł, zasłuchany w coraz kunsztowniejsze trele, a zarazem z każdą chwilą bardziej odurzony upajającą wonią tysięcy drzew i krzaków bzów.

Wanda zaś główkę złotowłosą przechyliła na jego ramię i mocno uczepiwszy się ręki Bolka, szła krokiem niby sennym, z przymkniętymi powiekami, posuwając się prosto przed siebie. Ciepły ten ciężar na ramieniu sprawiał Bolkowi przykrość chwilami, gdy w głębi duszy odzywało się echo jej słów dziwnie żalonych... Czyżby ta dziewczyna tak nagle rozmiłowała się w nim i cierpiała z powodu jego oziębłości obojętnej...

A kiedy tak myślał, ona przystanęła nagle i za rękę go pociągnawszy, znowu oczy szeroko otwarte podniosła na twarz mężczyzny z jakimś gorączkowym zachwytem.

— Niechże się bodaj napatrzę na ciebie, śliczny mój Królu... ty mój miły... ty...

W piersi Bolkowej serce zabiło mocniej. Żal ogarnął myśl jego po tych słowach wyrzutu, w których drżała jakaś bolesna skarga.

— A czyś ty kogo miłowała już kiedy, dziewczyno?— zagadnął ją tkliwym szeptem.

— Nikogom ja z naszych nie kochała jeszcze, lubo mi się niejedyn podobał, lubo mnie nawet rozgorzałymi ślepiami ścigał ten i ów na zabawie, a jeden to mnie może i miłował naprawdę i słodkie słowa szeptał mi czasem w dzień

święteczny, ot tu właśnie, w ogrodzie miłości... — Przy tych słowach pociągnęła z sobą Bolka i szli dalej aleją. — Aliści jam wszystkich odpędziła od siebie dawno i trzecią już wiosnę nikt nie próbuje do mnie przystąpić z miodem na uściech, bo wiedzą, że dla wszystkich jednak zimna, jako te piękne marmury...

Wskazała oczyma grupę dzieci wykutą z marmuru błękitnego, a otaczającą postać niewieścią z kamienia różowego, która się wynurzała ku nim z głębokiej niszy zielonej. Na całej drodze bowiem mijali co kilkanaście kroków, lecz zgoła w nierównych odstępach, niezwykle piękne posągi, pełne — jak Bol zauważył — wysokiego artyzmu i przedziwnej poezji, a ukryte w zagłębieniach to z jednej, to znów z drugiej strony równego szpaleru bżów o kwiecie kolorowym; framugi te tworzyły bogate zarośla krzewów bżowych innego gatunku, nad którymi powiewały, niby ogromne pióropusze, obfite kiście kwiatów o śnieżnej białości ślubnych welonów dziewiczych, odbijając wyraźnie od tła różowawo-niebieskawego i bladofioletowego dwóch wałów kwiecistych i tworząc tu wymarzone ramy dla obrazów rzeźbiarskich.

— Tylko nie ma we mnie onego spokoju błogiego — mówiła dalej Wanda — z jakim te marmury stoją jednak chłodne, w dzień skwarem słońca rażone i w noc blaskiem zimnego księżyca oblewane... Paliło się we mnie od dawna pod tą lodowatą skorupą... I zapewne żadna z dziewcząt w całej Lechii kochać tak nie umiała, choćby najcudniejszymi słowy do umiłowanego wybrańca przemawiając, jako ja niemo rozkochałam się w tobie, całe lata marząc w tajonym utęsknieniu, kiedy się pojawisz...

Bol słuchał z coraz większym zaciekawieniem jej wyznania. Wśród tego spoczęli na ławeczce granitowej w wystrzyżonej w zaroślach altanie, mając tuż naprzeciw oczu, z drugiej strony alei, schowaną w bżowej framudze jakąś miniaturową budowlę z kolumn czarnego marmuru w półkolu, a na ich tle lśniącą białą grupę, którą składała dziewczyna tuląca się w ramiona młodzieńca, opartego o zniecierpliwionego konia.

— Wszyscy w Lechii wierzyli od wieków, że Bolko Król powróci, jam zaś jedyna przeczuwała, że ty się za moich dni pojawisz... Czekali cię wszyscy i wyglądali, aliści w nikim wiary mocnej nie było, że cię sam ujrzy... Jam jedna tęskniła z nadzieją, iż doba bliska, w której cię zobaczę... I musiałam cię miłować z całej duszy bez miary, miłować cię musiałam po stokroć mocniej, niż wszyscy za dni moich i przede mną wiekami; musiałam chyba pokochać ciebie gorącym sercem za nich wszystkich razem — skoroś mi się przecie zjawił, potęgą miłości z nieba nad ziemię ściągnięty... w samą godzinę trwogi, zanim się wypełniło nieszczęście...

Bolko w zdumieniu cały w słuch się zamienił.

— A czy ty wiesz, mój miły, że mi ojciec przyrzekał zawsze po cichu, łądz zbudować skrzydlatą, bym mogła znad Lechii ulecieć w inny świat i szukać a naleźć Bolka Króla... Bo jeno ojciec wiedział, że dla ciebie umiłowana i dlatego na niczyje nie zważam kochanie... On też jeden okrom mnie uwierzył od razu, żeś ty nie kto inny, jak tylko Bolko Król być musisz... I chociaż wszyscy zwątpili,

zaliś to ty sam, którego z ojców na synów czekając wyglądali, ja wraz z ojcem swym wierzę przecie, iześ to ty, mój Królu, na skrzydłach białego orła naszej świętej Lechii zleciał z obłoków, by nas wszystkich, jak mego ojca, od spłonięcia na stosie ognia tęsknoty wybawić...

— Wierzysz, gdy wszyscy naraz zwątpili — rzekł Bolko porwany jej słowami.

— Wierzę i nie przestanę wierzyć, że ty chyba mój będziesz, lubo dziś inną miłujesz, piękniejszą...

Myśl Bolka pracowała uciążliwie. Dźwignęli się z ławy kamiennej, wstrząśnięci dreszczem chłodu nocnego w wilgotnej od rosy altanie i zwarci znowu z sobą ramionami, posuwali się wyciągniętą prosto przed siebie aleją, zalaną jeszcze jednako błękitną poświatą miesiąca i pełną śpiewów słowicznych. Cisza wielka otaczała ich wokoło i dlatego każdy trel głośniejszy majowych śpiewaków miłości rozlegał się niby krzyk rozpaczny, targając na dnie duszy Bolkowej jakąś najgłębiej ukrytą strunę.

Owiewało go jakieś przedziwne uczucie bólu mieszającego się z rozkoszą. Doznawał wrażenia, że poprzez morza i lądy słyszy z daleka jęczącego w zaroślach liliszkowskiego sadu słowika, który mu powtarza skargę jego Wisienki... A za każdym trelem śpiewaka coś mu na duszę padało, niby łza gorąca, coś, co piekło i żarło goryczą...

Po drodze co chwila wychylała się ku niemu z głębi niszy bżów białych postać marmurowa pięknej dziewczicy, jakiejś nimfy, czy rusalki, boginki jakiejś nieznannej... To znowu grupa malownicza a wymowna w swym posągowym milczeniu, dłutem genialnego artysty ożywiona, chciała go do siebie przykuwać, chciała mu opowiadać dzieje bajeczne, o jakich nie miał ani wyobrażenia...

A tymczasem Bolko przymykał oczy na wszystko, sięgając wzrokiem w głąb swej własnej duszy... Wlókł się obok Wandy, wdzięczny jej nad wyraz za to, że i ona w tej chwili milczy, jako tamte posągi — i sama rozmyślając, pozwala jemu zagłębiać się w zadumę... I coraz mniej wśród tego widział i słyszał naokół siebie... Nie wiedział kiedy nareszcie wyszli z czarującej alei bżowej, która ciągnęła się w nieskończoność jedno stajnie, ukazując tylko w niszach bocznych co trochę nowe a piękne widoki...

Nie wiedział, kiedy z szerokiej alei weszli na ścieżkę, która ślimakiem lekko pod górę wiała się środkiem gęstego gaju brzóz płaczących... Dopiero ómy białe, o skrzydełkach aksamitnych, z dużymi główkami, rzuciły mu się tutaj w oczy, odrywając się bez szelestu rojem majaków od śnieżnej, lśniącej atłasem kory pni brzozowych... Mimowolny dreszcz wstrząsnął jego ciałem, gdy ich dokoła otoczyły te śmiertelnie blade upiory brzóz i ciem, w chłodnych blaskach poświaty księżycowej skąpane, a rzucające cienie fantastyczne...

Zatrzymali się na wierzchołku wzgórza, gdzie gaj brzozowy przerzedzał się coraz bardziej i gdzie na koniec warkoczyki zielone białych drzew płaczących pochylały się kołem nad spokojnym, nigdzie niepopękanym zwierciadłem sadzawki przepastnie głębokiej, obramowanej ławą alabastrową. Przysiadł tu

Bolko, zapatrzony w złote odbicie pełnego miesiąca w tafli wodnej. A kiedy oczy nieco wyżej dźwignął, ujrzał pośrodku sadzawki grupę wspaniałą wyłaniającą się z wody, a z niepokalanie białego wykutą marmuru: to kilkanaście dziewczyc, w przejrzystych szatach powiewnych, kupiło się dokoła trzech szeleszczących ledwo dosłyszalnie gałązkami brzoź żywych, podobnych do tych, które ten czarowny gaj tworzyły, lecz wynioślejszych i o pniach tęższych, sędziwszych... Każda z kamiennych postaci trzymała harfę o srebrnych strunach i dotykała ich palcami gestem wielkiego żalu i smutku... W chwili gdy wzrok Bolka spoczął na tej grupie, zabrzmiały w ciszy nocnej dźwięki strun harfianych. To Wanda tuż przy nim uderzyła palcami po strunach jednej z harf, które tu obok ławy kamiennej stały poopierane o pnie brzoź płaczących...

— Zagrasz... — szepnął Boi głosem rozmarzonym, wodząc tęsknymi oczyma po płaczkach brzożowych, które mu żywo przypominały białe majaki na bezbrzeżnych, pustych łąkach melancholijnie smętnej ziemi inflanckiej. — Zagraj... zagraj... O, jakże tu bez miary smutno, tak smutno, jak w moich stronach rodzinnych... mimo że tak zgoła inaczej... inaczej...

— Smutno, powiadasz... tak, bo to jest smętarz miłości...

— Cmentarz?

— My to wzgórze pośród ogrodu miłości nazywamy smętarzem kochania...

Co mówiąc usiadła nieopodal Bolka, ustawiwszy sobie wprzód u nóg instrument i ruchem wprawnym uderzyła końcami długich, ładnie utoczonych palców po strunach. Harfa jęknęła i zaczęła dzwonić... Ale w tej samej chwili rozległy się dźwięki niby całej orkiestry. Bol zdumiał się i rozglądał ciekawie dokoła po tym gaju mistycznym, z którego mroki nocne płoszył blady blask miesiąca. Nigdzie nie było prócz nich dwojga nikogo. O białe kolumny bzów, atlasem lśniącym powleczone, wspierały się rzeźbionymi w drzewie ramami, jak przedtem nieruchome i milczące, harfy o srebrzystych strunach, nikogo wszelako nie było przy nich ni teraz. A tu powietrze już całe drgało coraz żałośniejszymi dźwiękami, które powstawać musiały z liczniejszego zespołu... Kierując się słuchem, zrozumiał Bol nareszcie, że to każde dotknięcie palców Wandy odbija się tajemniczym echem poprzez zwierciadło sadzawki o srebrne struny marmurowych harfiarek na wysepce, tworząc wtór przedziwny rozdzwonionych jęków... Za chwilę na nic już nie zwracał uwagi, ani się nie zastanawiał nad tym, jakim to się dzieje sposobem — tylko słuchał, słuchał całą duszą...

Wyciągnął przed siebie nogi, wtulając się głębiej w oparcie alabastrowej ławy, ręce na piersiach skrzyżował, a wzrok utkwił w pozłoconą księżycem tafię sadzawki... Zdawało mu się, że ona drga od owych dźwięków, które spod palców Wandy wydzierają się w powietrze, by potężnym akordem powtórzone pośrodku wody przez marmurowe harfiarki, powracać do białych brzegów kamiennych... Aliści po chwili spostrzegł, że w istocie zwierciadło drży, pęka i wzdyma się lekką falą... To spoza grupy dziewczyc, niby gęźbą nocną wywabione z legowiska, płynęły ku niemu długim korowodem niemym czarne łabędzie... Płynęły w majestatycznym spokoju, niemal nieruchome, a szedł od nich nastrój żałobny

tęgo smętarza miłości, jako od owych ciem sennych i brzoź białych i od tego hymnu rzewnego, który srebrne harf struny śpiewały wśród szelestu drżących na nieuchwytnym wietrze listków...

Wionęło ku Bolkowi tchnienie smutku wielkiego, jak gdyby te wierzby dokoła zapłakały nad opuszczonymi mogiłkami...

Może to kędyś na ścieżynce majową zamiecią kwiecia wiśni i jabłoni zasypanego białą sadu w Liliszkach, śpiewa Jadwisia o swym Bolku, co ją na skrzydłach orłowych obiecał zawieść do innej Polski, obiecał oderwać od łoż padołu i nieść lotem górnym w zaświaty... ku niebu o nieskalanym błękiecie... ku światłu jasnemu... ku słońcu...

A może to się po dąbrowie niesie rzewnym płaczem stokratne echo rogu pana leśnego i łka wspomnieniem krwawej a łzawej tragedii, po której młodzieńcy siwieli i ramiona ku ziemi chylili przedwcześnie — jak starcy sędziwi...

Może to ksiądz Kazimierz, wyszedłszy z nieodstępą Marą z pustelni swej w czarnej kniei, rozkołysał dzwony na dębowej wieżycy u skraju wielkiej polany... i grzmi tak po łąkach bezbrzeżnego pustkowiecia spiż starych dział konfederackich z pod baszty odwiecznej liliszkowskiego dworu... grzmi onym hymnem jęków, co nieba bramy przebijają chmurami zamknięte...

Smętek rzewny napęłnił powietrze, jak gdyby wiatr rozwał białych mgieł upiory po melancholijnej ziemi inflanckiej... A w niebo, blednące od blasku srebrnego księżyca, płynął mistyczny chorał dźwięków z drgających jękliwie strun harfianych...

Ulatywały znad ziemi jakieś zwiewne, niby obłoki, postacie legendowe i snuły się korowodem cieniów... Wielkie orły białe z samotnych szczytów skał odludnych, chmurosiężnych, niosły na swych skrzydłach potężnych niewiasty i męża w śnieżnych szatach, dźwigające urny łez pełne i krwi... Dymy się rozwłóczyły pod nimi, jak z trybularzy złotych przed ołtarzami kłęby palonych kadzideł wonnych...

To dymią zgliszczą wielkiej miłości ofiarnej... To wiatr roznosi pod niebo popioły gorącego miłowania, co się spaliło w serdecznych poświęceniach... To się w obłoki białe przemieniają opary łez krwawo wylanych z wielkiego kochania i za wielkie kochanie...

To smętarz miłości...

Bolko, któremu nagle zwilżyły się oczy, rozkrzyżował splecione na piersiach ręce i ukrył twarz w dłonie. A wtedy w dźwiękach strun, targanych palcami Wandy, usłyszał wielki płacz serdeczny... hen z nad Wisły i Warty... I wydało mu się naraz, że siedzi na swym „Białym Orle” i leci w noc ciemną, zataczając koła nad Polską, a do uszu jego dochodzi echo zbiorowego łkania, które piersią ludu wstrząsając, zasnąć mu nie da ani na chwilę...

To wielki ból, co serce rozrywa na ćwierci, to bólów ból z największej zrodzony miłości...

...Aż harfa zamilkła.

Bol na swojej głowie uczuł ręce ciepłe, tkliwością promieniujące. Podniósł więc czoło swoje dziwnie zimne, mimo że pod nim żarzył się ogień gorączkowych myśli — i oderwał od twarzy dłonie obie, odsłaniając oczy.

— Bolku mój miły — szeptała pochylona nad nim Wanda, tuląc do swej piersi jego głowę, a białe palce, które co dopiero przebiegały po srebrnych strunach żałośnie dzwoniącej harfy, wsuwała pieściwie w miękkie, wełniste jego włosy. — Bolku — szeptała z czułością serdeczną w głosie — ty płaczesz...

I rozchylone usta dziewczyny, niby dwa płatki aksamitne purpurowej róży spijające rosę, przywarły do zwilżonych oczu na zasmuconej twarzy mężczyzny i piły gorące łzy...

— Ty płaczesz?...

— W jękliwych dźwiękach twojej harfy usłyszałem wielki płacz z ojczyzny...

— Z Polski?!... Królu mój... z Polski twojej płacz było tu słyhać...

Do nóg mu się rzuciła, za kolana objęła, a oczy szeroko otwarte podniosła na twarz jego i w niej głęboko, niby myślą świdrując, utkwiała swoje źrenice.

— Bolku... więc tyś zapłakał z bólu Polski...

I chwyciwszy w garść złote swoje włosy, delikatnie osuszała z resztek łez jego oczy.

— Zatem to prawda, mój Królu, co my tu o Polsce wiemy... jako o matce bolesnej...

### XIII.

Kiedy w następną noc wyprowadziwszy Bolka cichaczem z wieży, przywiodła go Wanda znowu do czarownego ogrodu miłości, księżyc z pogodnego nieba świecił jasno jak wczora. Aliści jej się zdawało, że poświata niebieska nieci wokoło nich blaski krwawej łuny i że z traw wonnymi fiołkami przetykanych wstają opary z łez...

Oboje byli gorączką wewnętrzną rozpaleni skutkiem bezsenności, więc Bol co chwila do ust przytykał kwiat świeżą rosą zwilżony, Wanda zaś czoło chłodziła sobie dużymi liśćmi... Kiedy nowy sprzed nóg zerwała i do skroni rozognionej niosła, nagle wstrzymała go w pół drogi...

— O... popatrz jeno... wszak to nie rosy krople, tylko łzy na onym liściu... Spójrz Bolu... wiesz, w powiewie wiatru nocnego czuję te łzy, którymi ziemia przesiąka... I czuję, jak mgła jakaś nieuchwytna z ziemi wstawa i zionie ku mnie krwią... o... to przecież czuć krew... wszędzie krew i łzy... łzy...

— Zdaje ci się tylko... Bo uszy masz pełne tych długich opowiadań moich, smutnych, okrutnych...

— Więc ty sam nie czujesz, Królu mój, w powietrzu owych łez... i krwawą chmurą nie zachodzą ci źrenice... więc to mnie jedynie... A popatrz tam, czyli nie zrywa się od ziemi kurzawa, jak z pobojuwiska świeżego i nie dymi purpurową łuną... o... tam...

— Nie. Nic tam nie widzę krom smugi błękitnej od poświaty miesięcznej... I nic ci już nie opowiem teraz, boś zbyt wrażliwa na te dzieje straszne...

— Mów, Królu mój, mów mi wszystko o Polsce — błagała Wanda, jakby litości żebrać. Lecz Bolko zamilkł zupełnie.

A wchodzili właśnie w konwaliową knieję. Otoczył ich las biały jak śnieg. Dokąd sięgało oko, kołysały się wokoło nich łany gęste, bujne samego konwaliowego kwiecica, które i zielonym liściem szerokim i białą kiścią dzwoneczków-dzbanuszków sięgało powyżej głów ludzkich... Wśród takich zarośli ścieżynki wąskie w różne strony przecinały te wonią upajającą do utraty zmysłów, rozległe pola białe, które szumiały ciszej niż łany zbóż, śpiewając tajemniczym szeptem srebrzystych dzwoneczków dziwnie senną kołysankę...

Zerwał się wietrzyk nieco silniejszy i zaszemrał w konwaliowej kniei. A wtedy, jakby nagle pobudzone, poodpadały od kiści kwiatowych drobne muszki o perłowego koloru łuskach i brzęcząc w powietrzu, jęły snuć się rojami nad Bolkiem i Wandą, którzy się przeciskali przez las bieluchny. Za chwilę tak obsiadły głowę krasawicy, że włosy jej jak zboże złociste wyglądały niby ozdobione sznurkami pereł.

Zaledwie skończyły się pola konwaliowe, zaczynał się znowu park dziwnie uroczy, o szerokich alejach, a bajecznie wzorzystych kwietnikach, które niby kilimy porozkładane po zieleńcach zachwycały oko co trochę innym rysunkiem lub doborem kolorów.

Przez szeroko rozpięte nad ich głowami łuki wielobarwne, z których zwisały pnącza zielone, Bolko z Wandą weszli na taras rozległy, balustradą z czarnego marmuru obwiedziony i żywym dachem z mchów wiszących nakryty.

Wygodne ławy to z murawy miękkiej, to znów z brzoźowych gałęzi splecione, porozstawiane tu wszędzie, zapraszały do spoczynku podle palm o ogromnych wachlarzach.

Wanda jednak powiodła dalej swego towarzysza. Wprost z tarasu schodziły czarne schody marmurowe o szerokich, niskich stopniach, wprost do jeziora, które tu o nie rozbryzgiwało lekko swoje spokojne fale zielone. Przy schodach chwiały się na wodzie czółna o fantastycznych kształtach wielkich pływających ptaków. Jedną z najbliższych łodzi odpięła Wanda z łańcucha i weszła do środka, a wtedy Bolko, ujawszy w dłonie wiosło, poszedł za nią w milczeniu. Usiedli naprzeciwko siebie i odbili spokojnie od brzegu. Czółno wpłynęło na wodę drżącą łuską pozłocistą od blasków księżycowych. Zewsząd otoczyły łódź białe, upiornie ciche łabędzie i podpływając do wyciągniętej ręki Wandy, schylały ku niej swoje śnieżne szyje wysokie, poczym zdumione zawodem, prostowały je, przypatrując się parze żeglarzy. Łabędzie oddalały się jedne po drugich od czółna, które dziobem rozpruło naraz na dwoje kołyszący się na fali wodnej ogromny kobierzec bladozielony, z misternie splecionych z sobą, wielkich liści nenufarów. Wanda chwyciła co najbliższe lilie wodne i wrzucała je po kolei na dno łodzi, która białe kwiaty co chwila pogrążała w toni, mknąc coraz szybciej przed siebie niby bez celu.



Nie mówili nic do siebie, ale między nimi drgały słowa Bolkowe, które jak błyskawice rozświetliły w mózgu i w duszy Wandy mroki dziwne, i zapełniły w jej myślach przepaści ogromne, niczym nie zasypiane... Drgały między nimi te słowa opowiadań jego długich, bolesnych, którymi tak ją mocno zasmucił.

On jeszcze był cały przejęty bólem wielkim, jaki jej sprawił, odsłaniając przed oczyma duszy dzieje tragiczne zgoła jej nieznane...

Ona trzęsa się cała jeszcze na myśl o tym wszystkim, co z ust jego usłyszała, a co się jej wydało tak okrutne, że słów znaleźć nie mogła na określenie tej strasznej zgrozy...

Czółno mknęło po zielonych wodach, zostawiając daleko za sobą całe sznury białe pływających sennie łabędzi i sploty lilii, i grzebieni, i taras z czarną lśniąca balustradą... Dokoła nich była tylko woda lekko zmarszczona, a złotem roztopionym oblewana z nieba. Wiosło pluskało miarowo. Spokój ten wielki koił powoli i Wandę i Bolka, a chłód idący od wielkiego mnóstwa wody rzeźwił ich rozgorączkowane twarze.

— A jakże to dawno ten... coś mi mówił... przeor białych mnichów ocalił Polskę, idąc przeciwko zbrojnym żołnierzom z obrazem Bogarodzicy? — spytała naraz.

— Kordecki?

— Tak... Ten na Jasnej Górze...

Jął jej znów tłumaczyć, za jakich to się działo czasów, poczym długo opowiadał, czym się odtąd stała Częstochowa dla całego kraju przez wieki...

— Wiesz — ozwała się Wanda wysłuchawszy jego opowiadania — dziwna rzecz, jak ja niemal wyczuwałam, że coś wiąże Polskę z Matką Chrystusową... Modląc się do niej, widziałam w niej szczególną Orędowniczkę naszą... Zobaczysz teraz Jej świątynię w Lechii, tak nic nie podobną do tych jej kościołów na ziemiach polskich...

Dobijali właśnie do brzegu jeziora. Bolko ujrzał ogród ogromny przed sobą. Wierzby nad wodą pochylone stanowiły wrota od przystani. Wysiadłszy z łodzi, weszli w aleję lipową. Na końcu drogi bielily się łany całe lilii białych, wysokich niezwykle i o nader wspaniałych kielichach śnieżnych.

Mijali ten las przeczyście biały, idąc jedną z szerokich ścieżek pomiędzy chwiejącymi się na wietrze kwiatowymi prętami.

Wśród tego Bolko opowiadał szczegółowo swej towarzysze o procesjach kościelnych, jakie lud w święta Matki Boskiej urządza po wsiach i miastach. Mówił jej o legendach, jakie wiążą się z czcią Marii w Polsce. Mówił dalej o tradycyjnych zwyczajach rozmaitych, jakie się łączą z każdym Jej świętem dorocznym.

Wanda z okiem rozognionym słuchała słów jego ciekawie, chłonąc z zapalem te nowiny. A kiedy wreszcie Bol zanucił po kolei kilka pieśni staropolskich ku czci Bogarodzicy, dziewczyna wzruszona jęła próbować zaraz sama je śpiewać. I znad białych pól kołyszących się na wietrze lilii, od których po smugach błękitnych księżycowej poświaty były ku niebu bezdymne kadzidła mistycznej

woni, zerwały się pienia cudne z czystej jako te lilie piersi dziewczęcej, by wśród ciszy nocnej chwalić w sławie panińskiej Gwiazdę Zaranną. A pierwszy to raz nad pogodnymi ogrodami wynurzającej się z fal oceanu Lechii załkało błaganie: „Królowo Polski, zmiłuj się nad nami!...” Pierwszy raz perłowymi dzwonekami łzawej rosy powtórzyły białe lilie kielichy echem głuszy nocnej: „Zlituj się... zlituj... niech się nie tułamy!...”

Śpiew zamilkł, a łany lilii białych, które Bol i Wanda mijali w drodze, nie kończyły się wcale. Wonią ich upojeni, zwalniali kroku. Dziewczyna szła teraz przodem i całowała idąc kielichy kwietne, które powyżej ich ramion na słaniających się łądygach smukłych sięgając, przechylały się same do koralowych ust krasawicy. Przypomniało to Bolkowi, że jego Wisienka miała zwyczaj na przechadzce po ścieżkach kwitnącego wiosną sadu przy liliszkowskim dworze całować białe kwiaty od rosy świeżej wilgotne. Już miał głośno myśl swoją powtórzyć, atoli zaraz tego poniechał i do Wandy się zwracając, rzekł szeptem cichym, jak gdyby nie chciał głosem swym przytłumić tajemnego szmeru wietrzyka nocnego, muskającego skrzydłem motylim po jedwabnych koronach wyniośle dumnego kwiatu dziewiczej skromności:

— U nas również Panna Marii z dawna poświęcany bywa śnieżny kwiat lilii i na jej ołtarzach bieleje on wszędzie jako godło niewinności i niepokalanej czystości...

A kiedy jął Wandzie wyliczać inne kwiaty a drzewa w polu i w borze i w ogródku wiejskim, tradycją podań ludowych związane z czcią szczególną w Polsce dla Królowej Niebieskiej, okazało się, że nie wszystkie rośliny miały w Lechii nazwy, jakie im dawał Bolko. Łatwo się jednak porozumiano, gdy Wandzie uprzytomnił ich wygląd, kolor kwiatów... Aliści nad wrzosem nagle utknęli. Nie było w Lechii kwiecia, którego by krasawica nie знаła jak najdokładniej, lecz nigdy nie widziała takiego, mimo że go Bol opisywał jej szczegółowo.

— Kwitną u nas wrzosy na Matkę Boską Siewną... Całe łąki w Polsce przybierają o tej porze przed babim latkiem barwę bżowego kwiecia... na suchych miotełkach zielonych, drżą na smukłych pręcikach cieniutkich nanizane drobnuchne perełki różowawe z odcieniem blado fioletowym...

— Nie, Bolku. Takich kwiatów nie znamy u siebie...

A wtedy przed oczyma Bolka Króla stanęły wrześniową porą piaski równin mazowieckich w złotym blasku słońca polskiej jesieni i rozległe poręby leśne gęsto wrzosami posyte, to całe różowawe i bżowe w świeżym kwieciu, to znów rdzawe na schyłku swej krasy, kiedy się białe nitki pajęczne, targane mocniejszym wiatru podmuchem od lasu płonącego złotem i purpurą zeschniętych liści, czepiają kolców krzaków jeżynowych, co to sterczą suchymi gałęzmi po wrzosowiskach i w ciszy pogodnej pod niebem bezchmurnym szeleszczą złowrogo smętną zwrotkę: memento mori...

Jak dzięcioł w pień drzewa stukający podle obejścia leśniczówki liliszkowskiej, zapukała do serca Bolkowego stara tęsknica polska: łzawy wzrok

duszy powiódł spojrzenie tkliwe po dojrzanych poprzez łądy i morza swojskich wrzosowiskach, budząc w najskrytszej komorze błogie wspomnienia... Kędy wrzosy ciągną się łąkami pod lasem, ojciec jego jedzie cichaczem w noc ciemną, gwiazdami wyiskrzoną... Chłopska burka kryje strzelbę, pistolet i ładownicę, o boki siwka uderza szeroka pochwa pałasza... Oko w ciemnicy szuka daleko, ucho łąwi odgłosy... Kędyś spoza lasu błyskają ogniska, leci z wiatrem wrzawa sprzed namiotów obozu... A wtem strzał pada, kłęb dymu zabielił się na skraju lasu... Poczym nagły zgiełk walki krótkiej wśród mroków dokoła i cisza... Tętent oddalających się koni... A w ciszy ledwo dosłyszalny, jakby mimowolny jęk rannego, co legł na miękkim z wrzosów pościeliu i barwi je krwią serdeczną, krwią...

— Co się tobie stało, Bolku — pytała Wanda troskliwie, nie rozumiejąc co się z nim dzieje, a widząc jeno jakiś wielki ból wewnętrzny, który nim targał od chwili gdy zamilkł w zadumie i przerwał rozmowę ze swą towarzyszką.

— Nic, dziecko... nic...

— A przecież widzę, że ból ostry wykrzywił ci twarz...

— Bom widział krwią broczącą ranę ojcową...

— Wskaż mi ją, Bolku, a zapewne mocą miłości zdołam ją zagoić...

— Gdybyż ci można pokazać one rany bolesne, co się w nas nie chcą zabliznić, a krwawią wiecznie... Jest, widzisz, jakaś nić krwawa, co się bez końca snuje po niwach polskiej niedoli, krwawa nić czerwona, wiatrem wysoko bujana, to znowu szarpana w kawałki, krwawa nić, która się czepia ciągle serc naszych, jako te włókienka białe jesiennej pajęczyny zatrzymujące się na wrzosach... A który kwiat omota nić pajęczą, taki wrzos rdzewieje... A kogo za serce chwyci nitka czerwona, temu na duszy osiada rdzą łąza krwawa i boli, strasznie boli, ale się zetrzeć nie da... musi boleć!

A kiedy to mówił, Wanda czoło oparła o jego pierś drżącą i tuliła się do niej poruszona do głębi, on zaś ręką ją otoczył przy sobie i palcami głaskał po włosach.

— Bolku mój — szeptała, gdy umilkł — za co tyle bólu...

A ogromne, zdawało się bezbrzeżne niby białe morze, łąny kielichów lilii szumiały cichym echem: „Za co?..” Oni zaś w uścisku smutnym stali pośrodku pola kwiatów niewinności i niemym westchnieniem z samego dna serc zbolałych a miłością gorejących, odpowiadali kielichom, które w tajemniczej ciszy nocnej pytały szumem goryczy: „Za co...?”

...Ocknęli się nagle, gdy tuż nad ich głowami przeleciał nisko puszczyk.

— Czy u was złego co wróży niespodziewane zjawienie się puszczyka — zagadnął Bolko, jak gdyby otrząsając się z martwoty.

— Nie. A cóżby puszczyk miał wróżyć,..

— Śmierć... U nas jest taki przesąd staroświecki... Są ludzie, którzy doznają dziwnego lęku na widok tak niewinnego stworzonka, jak puszczyk... Głos jego mrozi im krew w żyłach... Z dzieciennych lat pamiętam, jak babcia Molowa, anioł w cichym ciele staruszki, bała się usłyszeć puszczyka wśród ciszy nocnej... A

zapewniała mnie, że go nigdy indziej nie widziała, jak tylko w taką noc, kiedy umarł ktoś z jej bliskich... Ale wspominała rok jeden, kiedy prawie co noc głos złowieszczy puszczyka słyszała i mimo woli co trochę zajrzała mu w oczy z bliska... To był rok, kiedy bez końca wymierali bliscy, acz nie z rodziny, nie z krewnych... a wszyscy byli wtedy bardzo bliscy... ci co tak gęsto wokoło padali pokotem...

— Bardzo bliscy — szepnęła cichutko Wanda, jak echo powtarzając słowa Bolka i usiadła wraz z nim dla odpoczynienia na półokrągłej ławie kamiennej, otaczającej zamkniętą w basenie granitowym krynicyę pośrodku rozległych pól lilii białych. — A czy to nie bliscy ci wszyscy, którzy od nas odchodzą na tamten świat... inny świat... Nikt tutaj przecież nie będzie tak dla nas bliskim, jak może nim być wtedy dopiero, gdy odszedłszy stąd ciałem, zbliża się do nas duchem stamtąd...

Bol podniósł fiołki swych oczu na twarz poważną urodziwej dziewczyny. Słowa takie, z ust jej w ciszy błękitnej nocy miesięcznej padające miarowo, z tajemniczym naciskiem, uderzyły go i zastanowiły... Lecz w tej chwili tok jego myśli przerwała sama Wanda pytaniem:

— A ten rok, o którym mawiała ci owa staruszka... to był rok pomoru... czy wojny?

Na ustach miał Bolko odpowiedź, lecz zanim słowo z nich wyszło, zagrało mu w uszach wspomnienie harmonijną muzyką głosu babci Molowej... Niby łagodne, kojące dźwięki sonatiny, która z jakimś elegijnym motywem, przewijającym się co kilkanaście taktów, wypływała w ciszy wieczornej spod klawiszy pożółkłych staroświeckiego fortepianu, odżyło nagle w pamięci Bolka, bardzo dawno w lilizkowskim dworze słyszane opowiadanie ukochanej babci Adeli.

— Wiesz... przypomina mi się rzewna legenda babuni...

\* \* \*

...A kiedy już ojcowie w ślad za dziadami broń schowali do pochwy, nie mogąc podołać, poszli w bój sami młodzieniaszkowie, a najwięcej spośród nich mizerne chłopięta... jeszcze do miecza nienawykłe, ani w rzemiośle wojennym niedoświadczone...

Atoli w piersiach tych dzieci palił się chyba ogień piorunowy, bo kiedy po kryjomu nocą z domu pobiegli w lasy do obozu, nic im się tam nie wydało straszne, mimo że wokoło grzmiały armaty...

Jak burza rzuciła się młodzież na mocne wojska nieprzyjacielskie. Lecz zanim złamała ich szyki, kartacze rozniosły ją w powietrze...

Płacz niewieści rozległ się po strwożonych domach, aliści znów nie ustrzegły matki ani tych synów, co jeszcze do obozu nie poszli... Im gorsze były wieści z pola walki, tym więcej młodzieniaszków nieustraszonych biegło w lasy z lichą strzelbą w ślad za poległymi braćmi...

Aż zabrakło ich na koniec.

Grzmiały działa, krwią zalewając pobojuwiska... dopóki było do kogo strzelać...

Wreszcie cisza cmentarna zaczynała zalegać wszędzie po kraju — i tylko jak widma krążyły w czerni żałobnej zapłakane matki i siostry, młode wdowy i sieroty...

Rozpacz ich była straszna. Ale któżby się dziwić mógł rozpacz y tych nieszczęśliwych niewiast... Któżby się dziwił, spotkawszy z nich niejedną na pobojuwisku z okiem obłąkanym...

W noc jesienną zdała od wioski, po łąkach pod lasem krążyła matka osiwiała... Srebrny sierp księżycy przewędrował już pół nieba, a ona biedna szuka czegoś bez końca, schylając się raz za razem w głąb wrzosów, których tam było pełno...

Naraz spotyka jakąś niewiastę w bieli, która przystąpiwszy do niej, zapytała czego szuka.

— Krwi szukam — powiada kobieta w czerni — krwi moich synów...

— Jak to... po ciemku?

— Gdybyś ty już kiedy sama miała dzieci, to by ci mówić nie było trzeba, że matka i bez światła się obejdzie, by ślady dziecka własnego odnaleźć, a krople krwi synowskiej choćby w noc ciemną wybierać jak rozsypane rubiny...

— Mówisz, jak gdybyś w sercu miała miłość...

— A czy to nie widzisz, ile tu łez matczynych posypało się perlami po tych okrwawionych wrzosach...

Co mówiąc kobieta w czerni jęła chyłać się dalej nad łąką pod lasem. Ale tamta w bieli nie oddalała się jeszcze i za chwilę znowu pyta:

— A po cóż tobie tej krwi?

— Po co... Chcę się cała nią umazać i taka krwią czerwona stawać rodakom na oczach wszędzie i wiecznie, jak upiór po nocach ich nękać, dopóki krew moich synów do zemsty ich nie pobudzi...

— Zemsty tak pragniesz gorąco... a mówiłaś, jak gdybyś w sercu miała miłość...

— Toć ja właśnie z miłości wielkiej chcę zemsty!

— Odzywa się przez ciebie ból matce zadany... A cóżbyś ty innego uczyniła, do zemsty krwawej nawołując, jeśli nie to samo, żebyś braci wzywała... ból okrutny zadawać sercom innych matek...

Zamilkła kobieta w czerni, lecz naraz po chwili zerwała się z zadumy, wołając głośniejszym głosem ku niewieście w bieli:

— Łatwo tobie tak mówić, coś sama synów nie traciła...

— I mnie syna zabili — szepnęła cichutko tamta, co usłyszawszy żałobnica wybuchnęła śmiechem szyderyczym:

— Syna... zabili ci syna... i czyż ty możesz mój ból zrozumieć... Słyszysz, ja trzech miałam synów i trzech tutaj w jeden dzień straciłam... słyszysz, trzech synów tutaj na bój przybiegło i wszyscy mi tutaj polegli!... Chybać by Boga nie

było na niebie, gdyby z ich kości nie miał wstać mściciel... Jakże nie mam zemsty wzywać, skoro mi niewinne dzieci zamęczyli... Ty nie wiesz, jakich ja miałam synów... to łatwiej znieść tobie spokojnie, gdyś straciła tylko jednego...

— Ale mój syn był Bogiem.

Kiedy te słowa padły na opuszczonym poboju, struchlała kobieta w żałobnej sukni. Lecz matka Chrystusa wyciągnęła ku niej ręce i do swej piersi przytuliła pierś zbolełą matki poległych. A kiedy rozplakaną ukołysała, tak do niej rzekła łagodnie:

— Krew twych synów wypłyła już z ziemi wrzosy. Ale łzy matczyne, co w tej chwili na nie padły, zostały na kwiatach. Co rok wrzosami zakwitną poręby na poboju dawnych, a ludzie rwać je będą i jako coś bardzo drogiego do domu przynosić, by im przypominały, co pozostało po dawnych wielkich lasach pradziadowskich... Aż czas nadejdzie, kiedy już wrzosy nie znajdą w ziemi do picia krwi bratniej na bojowiskach przelanej... Wtedy ludzie, kwiat wrześniowy do domu przyniosłszy, dojrzą one łzy, co doń przyłgnęły, ze zbolełego serca matki wylane, łzy przebaczenia... I na niwach jesienią przeoranych zaczną ludzie siew nowy, miłości siew, z którego nie wzrosną nigdy wśród zbóż pracy ni kłakole nienawiści, ni maki płomienne zemsty... A wtedy dopiero z nowego posiewu zazielenią się odwieczne poręby pradziadowskie, po których dziś tylko nikłe, przyziemne wrzosy kołyszą się na wicherze jesiennym... i na ich miejscu po dawnemu potężnie zaszumi dąbrowa Piastowska...

\* \* \*

Bolko i Wanda, minawszy rozległe łąny wysokich lilii o białych, śnieżnych liściach, weszli na ogromną polanę zieloną, od południa odwiecznymi lipami ocienioną, a od północy zasłoniętą gęstą ścianą wierzb starych, dziwacznie nad ruczajem powykęcanych i jakby już ze zgrzybiałości pochylonych.

Na samym środku na wysokiej górze trzy strzeliste topole kryły między sobą wyniosły posąg z niepokalanie białego marmuru. Na jego szeroki u podstawy cokół składały się grupy drobnych figurek dzieci, które niby cherubinki po obłokach skłębionych pięły się ku górze.

Wreszcie cokół zwęzał się coraz bardziej w miejscu, gdzie już tylko troje dzieci dosięgło. Z pośród nich występowała ku przodowi jedna postać przedziwnie pięknego chłopięcia o łagodnej twarzy, anielską dobrocią uśmiechniętej, ale bardzo rzewnie smutnej; postać nieco pochylona pod ciężarem dźwiganego na ramieniu krzyża, który jedyną czarną plamą odbijał od całego białego posągu.

Spoza krzaka strzelał ku górze płomień, niby krzak gorejący, a z jego środka wykwiatał bardzo wysoki, na strzelistej łodydze ku niebu kielich otwierający, wielki kwiat lilii. Dopiero z korony mistycznego kwiatu wyłaniała się główna figura tego śnieżnie białego posągu, o kształtach przedziwnie rozwiewnych,

jakby nieuchwytnych, niby z samych koronek misternych powstałego, z samej gazy czy z obłoczków...

Oto z lilii kielicha, kwiatem jeszcze od niej piękniejszym i czystszy, wykwiłała na szczycie, wysoko, niemal równo z wierzchołkami kolumn topolowych, postać dziewczyna Królowej Niebieskiej.

Kiedy Bolko zbliżywszy się, spojrzął po raz pierwszy na ten jakiś nieziemski w swej bieli przezroczystej posąg, dzieło genialnej ręki artysty rzeźbiarza i poety-plastyka, właśnie figurę Matki Boskiej osrebrał ślizgający się po marmurze blask księżycowy, co takie wrażenie sprawiało, jak gdyby ta postać, jaśniejąca pośrodku trzech ciemnych kolumn topolowych, była jeno eteryczną wizją na tle błękitu niebios.

Stał oniemiały z zachwytu, nie mogąc oczu oderwać od cudnego widoku. Towarzyszka jego i przewodniczka uśmiechnięta — jakby zadowolona z wrażenia, przezeń tu odniesionego, milczała, stojąc przy boku Bolka.

Gdy wtem odezwały się tuż przy nich jakieś głosy. Ona przyjęła to obojętnie, on zaś ocknął się zdziwiony, nadśluchując. Z różnych stron dochodziło do ich uszu gruchanie gołębi.

Rozejrzał się Bolko ciekawie. Wokoło na słupkach widniały w kształcie szalasów górskich gołębniki, skąd właśnie pochodziły w ciszy nocnej owe głosy pobudzonych gdzieś ptaków.

Bolko wodził wzrokiem na wsze strony po ogromnych trawnikach rozległej polany.

Środek jej, u stóp góry z posągiem Matki Boskiej, zajmowały otaczające ją wiankiem dziwne domy, całe kryształowe.

Jedne przy drugich, mniejsze i większe, kupiły się tutaj dziwne mieszkania ludzkie. Co było najszczególniejsze, że nie znalazłby w nich jednego kącika schowanego, gdzie by się można ukryć przed wzrokiem ciekawym.

Wnętrza tych domków wyglądały jak latarnie, można je było przejrzeć na wylot.

Ale bo też naprawdę były całe kryształowe.

Nie tylko okna i drzwi, ale i ściany i dachy ich zrobione były z drobniutkich szkieł rzniętych, a nawet poszczególne szybki kryształowe oprawione w ramki z grubszego szkła przezroczystego i jednocześnie zwierciadlanego, w którym załamujące się po stokroć światło tworzyło tysiączne tęcze barwne, drgające, wiecznie żywe...

Zarówno w środku, jak i na zewnątrz, tuż przy szybkach zieleniły się jakieś rośliny, egzotycznych kształtów, to o listkach drobniuchnych ni to krople deszczu, to znów ciągnące się długim, wiotkim włosem, wiszące jak brody, lub pnące się pod górę.

Z niezwykłym zaciekawieniem objął te pałacyki kryształowe wzrok Bolka, zwłaszcza, że mimo nocnej pory mógł je przejrzeć jak w dzień z końca do końca. Wnętrze ich bowiem rozjaśniały teraz zwisające z pod szklanych pułapów lampy, z których przez szkiełka matowe przesiewało się światło koloru seledynowego.

Spostrzegła Wanda od razu, że spojrzenie jej towarzysza zaczyna świdrować ściany kryształowe. Ujęła go więc za rękę i na bok odwiodła ku lipom.

— Tam — wskazała domki szklane — nie wolno tobie się zbliżyć... To dziewin jest... I męskie oko tam nie sięga nocną porą... Ale ja mniszki zaraz pobudzę...

— Jak to... macie mniszki? Zamykają się i u was w klasztorach niewiasty na całe życie?

— O, nie na życie... zaledwie na lat parę, niekiedy jeno na rok... przychodzi tu każda dziewczyna nasza na służbę publiczną, zanim się zajmie swoim własnym przyszłym gniazdem... Tu naprzód sama się uczy przyszłego życia macierzyńskiego, a zajmując się obcymi sierotkami, oddaje ważne usługi całej Lechii... Zobaczysz je zaraz. One tu nic jeszcze w swojej pustelni nie wiedzą o tobie... Zaraz je uprzedzę...

Chciał ją Bolko powstrzymać, chciał jej przypomnieć, że on sam jest w tej chwili więźniem, ona zaś zdradzi się z tym, że go potajemnie z wieży uwalnia nocami. Ale Wanda już odbiegła, zostawiając go na ławeczce pod jedną z lip wiekowych, w takim miejscu, skąd nie mógł widzieć, co się działo w dziewinie.

W pierwszej chwili jednak usłyszał zaraz rozmowę Wandy ze zbudzoną odźwierną, która nieopodal lip nocowała pośród gołębników w altance bluszczowej, u wniścicia na polanie od strony pól lilii białych.

— Rozbudź cały dziewin — mówiła do niej — powiedz im, że zjawił się nam Bolko Król.

— O Mario, Królowo Niebieska... czym dobrze słyszała... Król Bolko powrócił... Modły dziewic wysłuchane zostały... Bolko wrócił...

— Biegnijże pobudzić mniszki... Tylko niechaj dzieci śpią póki noc... Budzić ich szkoda...

— A przecież godnie trzeba Bolka Króla powitać... Przybędzie sam do nas, czyli wyjść stąd mamy na jego spotkanie?

— Nie mów jeszcze mniszkom, dopóki nie wstaną, ale Bolko jest już tutaj... Sama go do was przywiodłam... Czeka na przebudzenie dziewina pod lipami...

Niebawem zniknął księżyc z niebieskiej powały, na której szybko bladły gwiazdy jedne za drugimi, odkąd zorza poranna wypłaszła znad ziemi mroki nocne. Od wschodniej strony widnokrąg zbiegał, a wszystko wokoło zaczynało występować w zgoła innych niż dotychczas zarysach.

Zaledwie Bolko zauważył, że się już dzień robi powoli, usłyszał w pobliżu śpiewy. Między ziemią a niebem rozniosły się cudne pienia anielskie. Wsłuchał się uważnie. To chórem śpiewały jakiś hymn uroczysty dobrane głosy dziewic, którym chwilami towarzyszyły wdzięczne głosiki dziecięce.

Śpiew stawał się wyraźniejszy. Wtedy wyszedł Bolko spod lip sędziwych na murawę. O kilka kroków przed nim leżał omszały głaz olbrzymi, co tak się zarył głęboko w ziemię, że u dołu trawą był porośnięty. W nim od strony lip wykute były niby schody, które na górę wiodły nierównymi stopniami. Bolkowi zasłaniał on widok na środek polany, skąd pochodziły śpiewy. Więc nie namyślając się,



wszedł po tych schodach na wierzchołek skały. Po przeciwnej stronie na samym szczycie, jak gdyby szponami tylko do zrębu głazu olbrzymiego przyczepiony, bielił się wspaniały orzeł, z rozpiętymi do lotu skrzydłami, wyrzeźbiony misternie z jakiejś białej masy, a zwrócony frontem ku owym topolom na górze, między którymi strzelał w niebo posąg Marii.

Kiedy się Bolko dostał na wierzchołek, stanowiący jak gdyby kazalnicę, gdzie tuż u stóp swoich miał zrywającego się do wzlotu orła białego, oko jego, przebieżywszy w mig rozległą łąkę, dzielącą go od kryształowych domków dziewina, spotkało się właśnie z kielichem mistycznym białej lilii, z którego jak z piany morskiej wynurzała się Królowa Niebieska. Objął wzrokiem w przedświtowym oświetleniu te marmury śnieżnej białości, wprzód w blaskach księżycowych widziane...

A wtem zdało mu się, że grupy dzieci aniołków cokół pomnika tworzące, drgnęły, ożyły... Wyraźnie zaruszało się wszystko, jakby w takt owego śpiewu chóralnego, który bił w niebo cudną muzyką.

Bładoróżowe tło wschodniego nieba zaczynało drgać błyskami złotych promieni, które niejako spod ziemi dobywały się snopem rozczepionym szeroko, a pośrodku nich jak biała kolumna stała wyniosła postać kamienna Bogarodzicy.

U stóp jej ruch stawał się z każdą chwilą żywszy, jak gdyby ten cokół pomnika nie tylko sam ożył, lecz jak gdyby rozrastał się przedziwnie w szer ślimakiem w coraz większy i wyższy kopiec.

To z gniazda skupionych pośrodku wielkiej zielonej polany domków kryształowych, wypływał wstęgą srebrzystą długi korowód, który piął się powoli, miarowo, pod górę po wężowej linii do stóp posągu strzelistego pomiędzy topolami złotymi, opływał cokół i z powrotem schodził po odwrotnej ścieżce ślimakowatej... Korowód dziewic i dzieci hymny śpiewających... A wyglądał w swej bieli dla oczu Bolkowych niby ogromny welon godowy ślubów miłości, wysnuwany tajemniczo przez jakąś kapłankę legendową, z wielkiego motka i zwijany bez końca...

Ale bo też dziewice wszystkie, zarówno jak dzieci, miały na sobie od stóp do głów jednaki strój dziwny z samych welonów białych. Ta tylko była między nimi różnica, że gdy dziecko każde niosło w ręku kwiat lilii białej, o kielichu niepokalanej czystości, dziewice wszystkie miały natomiast w dłoni kwiat inny, wyższy, o jeszcze większej koronie, ubarwionej pięknym rysunkiem na białych płatkach atlasowych; to lilia złotogłów o niezwykłych kielichach ogromnych, a w swej hodowli doprowadzonych do najmisterniejszych obrazów na kwiatach...

Gdyby nie słońce, w dali wstające powoli w blaskach królewskiego majestatu pośród koronkowych draperii zorzy przedświtowej, byłby Bolko wziął za wizję senną tę niepokalanie białą procesję eterycznych postaci, niby z samych woalów gazowych utkanych, która nad grodem kryształowym szklanych pałacyków, ziewała się w oczach widza w jedno z podstawą śnieżnej białości posągu Przczysteji Dziewicy-Matki.

Wzrok Bolka biegł w ślad za tym korowodem coraz niżej, gdy dziewice z dziećmi schodziły ze wzgórza na wielką łąkę, zieleniejącą między dziewinem a skałą z białym orłem.

Pochód coraz dlań wyraźniejszy, zbliżał się, śpiewając ciągle, w stronę Bolka, który i nadal nie tracił wrażenia, że ma przed sobą same istoty nieziemskie, snujące się jak obłoki mgieł srebrzystych nad polami...

One szły coraz wolniej, powolutku okręwały na polanie porozrzucane tu i owdzie kopczyki, obsadzone różnobarwnymi bratkami lub gwoździkami w krwawym kolorze, albo jasnym kwiatem niezapominajek zarosłe gęsto — poczym podsuwały się coraz bardziej pod olbrzymi głaz, na którym odrzynając się ciemną plamą od tła nieba, stał wysoko Bolko Król, tuż u stóp swoich mając rozpięte skrzydła orła białego.

A wtem słońce przez koronki chmurek przedarło wielki snop swych złocistych promieni i wypłynęło na niebo kulą potężną, od której blask olśniewający padł na głowę Króla i na pierś białą, u nóg jego rozpostartego do lotu, królewskiego ptaka.

Rosa po trawach zabłysła miliardem iskierok brylantowych, a małe pałace kryształowe zaczęły drgać stu tęczami między niebem a ziemią, gdy ponad nią nagle — niby furkot proporców — szum się zerwał i zmieszał z pianami dziewic i dziatek, które były fontannami dźwięków harmonijnych o bramy niebieskie, by zlewać się w jeden dźwięk harfiany z chórami aniołów...

To naraz tysiąc bielutkich gołębi zerwało się ze swych domeczków i wzbiwszy się kilkunastu licznymi stadami w niebo, krążyło wyżej i niżej, wielkimi i mniejszymi kołami nad polaną i nad białych welonów długim korowodem, trzepocąc w górze skrzydłami, które raz za razem z oczu znikały na jedno mgnienie ciemniejsze, by się z toni powietrznej wynurzyć z powrotem, wiankiem świecących w słońcu piór srebrzystych...

Jedna z większych gromad gołębi z szumem obleciała dokoła Bolka, a zanim uniosła się w górę, Król uczuł na swoich ramionach płaszcz miękki. To Wanda niepostrzeżenie weszła po stopniach z tyłu skały na górę i zarzuciwszy mu na plecy wielki, długi, fałdzisty płaszcz purpurowy, zbiegła na dół z powrotem tak spieszenie, że zaraz zniknęła mu z oczu, wraz z owym wiankiem gołębi, co się rzucił w lazury niebios, trzepocąc głośno.

Ledwie Król owinął się szkarłatnym płaszczem, zmieniając nagle smukłą postać w obcisłym ubraniu ciemno granatowym, na jakąś figurę majestatyczną, a już oczy jego spotkały się na dole z uradowanym spojrzeniem Wandy, która stanęła przed samem czołem pochodu, gdy ten, zatrzymawszy się naprzeciw skały orłowej, zaczął się szykować w półkole.

Śpiew na chwilę ustał. Kwiaty w rękach dziewic i dzieci podniosły się w górę, jakby na dany znak, a wtedy ku niebu wzleciał hymn uroczysty, jakby go męże poważne śpiewały, a niewinnie brzmiący, jakby się nań złożyły same dziecięce paciorki...

\* \* \*

Witaj nam, witaj...

Któryś powstał z niemych westchnień serc stęsknionych...

Któryś się zjawił z oparów łez, z myślą ku tobie wyplakanych...

Witaj nam, witaj...

Któryś nam w szarej przędzy życia tęsknoty wieczystej — był jako promień złoty nadziei...

Któryś był dla naszych myśli migocącą na nieboskłonie nocnym gwiazdką pociechy...

Witaj ty nam...

Ty, coś w nas wiecznie krzepił wiarę stygnącą...

Coś nam upadać nie dał, gdy nogi nasze po krzemieniach ostrych idące długo, ustawały znużone i pokaleczone...

Coś nam był wspomnieniem chwały i widmem ziemi obiecanej...

Witajże ty ninie między nami...

Z serc miłością gorejących pomost się między nami a tobą pobudował od wieków i wieki przetrwa niezniszczalny...

I wieniec z kwiatów czarownych, nigdy niewiędnących, splata nas z tobą od wszystkich czasów przeszłych po wsze czasy przyszłe...

A niczyje noże wieńca onego nie przetną, którym nas z tobą powięzały skrzydła orłowe białego ptaka lotów królewskich, podniebnych...

A jako matki matek naszych wierność w myśli tobie przysięgały — i ojców naszych dziadowie ślubowali tobie wytrwać i nie opuścić cię nigdy — tak nasze przyjm śluby...

Królu ty nasz...

Lechii naszej duchu-orle biały...

Przysięgamy tobie w brzaskach dnia, na rośnych łąkach dziewinowych, z których modły w niebo wiatr porywa do Matki Bolesnej...

Tobie, Królu, przysięgamy — dzieci i dziewice lechickie — nie za siebie jeno, ale i za syny nasze przyszłe i córki nasze i za ich nawet przyszłe pokolenia, których początek z naszego łona się wysnuje...

Słyszysz, Bolku nam najmiłościwszy, jako ci ślubujemy po wszystkie wieki — przy piórach białych ptaka twego wolnego trwać z ukochaniem, a czuwać nad czystością jego skrzydeł i lotów strzec górności...

Królu ty nasz...

Lechii naszej świętej ucieleśniony duchu-orle biały...

Śluby przyjm nasze...

\* \* \*

Naraz ucichło wszystko nad dziewinem. Śpiewy pomilkły i szумы ustały fruujących nad łąkami gołębi, które na swoje podle gołębników podwórka opadły chmurami spod nieba.

Dziewice z dziatwą drobną pospołu stały nieruchomo pośrodku trawnika, jakby w ziemię wrosły z białymi w rękę kwiatami, z wzrokiem w Bolka Króla utkwionym — niby w zjawisko zaświatowe...

A on tymczasem na szczycie skały orłowej, sam jak orzeł skalny samotny między niebem a ziemią, stał w płaszcz purpurowy owinięty i słuchał jak echem słów, które z dziewiczego chóru padały długo pod jego stopy, tłukło się teraz coś w powietrzu czystym w godzinie świtu...

Uszy miał pełne onego echa, które pukało w najtajniejsze wierze je jego serca...

I czuł w sobie jakieś moce niezwykłe, jakieś moce potężne...

Coś błyskawicą rozdarło mu duszę, a wtedy w piersi jego wykrzesła się jakaś iskra piorunowa...

I coś — jakby wichur halny — zatrzęsło, załomotało mu całą wewnętrzną istotą, jak gdyby się w piersi jego zerwały skrzydła orłowe do lotu...

Jak gdyby przestał być owym Bolkiem z lilizkowskiej leśniczówki, którego stary ojciec, wygrywający na rogu pieśń wieczorną tęsknoty polskiej po bezkresnych pustkowiach melancholijnej ziemi inflanckiej, wyglądał z dnia na dzień z powrotem z zagranicznych studiów... Owym Bolkiem wyczekiwany przez Jadwisę z sercem mocniej z miłości bijącym pod zawieruchą biało-różowych płatków kwiatnych w ustroniu dworskiego sadu...

A jakby nagle, za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, kajuta sternika we wnętrzu „Białego Orła” została wybita od dołu do góry purpurą królewską i płaszcz szkarłatny podesłano mu w niej pod nogi na dywan...

Czuł Bolko, podmuchem wiatru zrywany z pieców, powłóczysty, majestatyczny płaszcz królewski i kurczowo palce zaciskając, oburącz przytrzymał go na ramionach, lękając się postradać ten strój dostojny, który mu do ciała przedziwnie przyrósł i przyłgnał, jak gdyby to nie przed chwilą dopiero narzuciła mu go Wanda, lecz jak gdyby nosić go sam umiał od dawna, od czasów niepamiętnych — zawsze...

A kiedy hymny pochwalne na jego cześć zamilkły i echo słów dziwnych, niewytłumaczonych, tłukąc się o skałę orłową, pukało coraz mocniej, coraz natarczywiej do najskrytszych wrót jego duszy, Bolko Król głosem zgoła innym, niżli dotychczas przemawiał do Wandy, zawołał z góry do pochylających przed nim kwiaty lilii i złotogłowia, dziewic zawelonowanych:

— Bądź mi pozdrowioną, Lechio święta i wy jej córki pozdrowienie przyjmijcie od dalekich za morzami dzieci polskich, którym pięść niemiecka zamyka gwałtem usta, gdy w ojczyściej mowie, a we własnym gnieździe rodzinnym, modlić się chcą do Boga, jako wy się tu swobodnie modlicie...

Wanda, która nieopodal pierwszego dziewic szeregu przysiadła się na kopczyku, pełnym czerwonych gwoździaków, a plamą krwawą rzucającym się

wśród murawy w oczy Bolkowi, słowa te jego usłyszawszy, głośnym wybuchnęła płaczem — ona, co jedyna tutaj treść ich straszną zrozumiała...

A Bolko mocniej jeszcze zawołał:

— Lechio orłów białych! Pozdrowienie smutne ci przynoszę z ziemi łez, która od wieków tak krwią przesiąkła, że garść jej każda ściśnięta — czerwieni się jako ten płaszcz purpurowy...

A kiedy szlochanie serdeczne spod białych welonów wzleciało na szczyt skały, Bolko przerwał na chwilę swoje słowa i powiódł spojrzeniem po kresach polany.

Aż w jednym miejscu wzrok utkwił i zamilkł zupełnie. Ujrzał bowiem niespodziewanie kilku mężów, śpiesznie ku nim poprzez łąny kwiatów lilijnych idących, w sukmanach granatowych i czerwonych czapkach rogatych z piórkami...

Kiedy okiem śledził ich z daleka, przystanęli oni naraz i w rogi zadęli z całej mocy, aż się od ich grania powietrze zatrzęsło.

Bolko Król, zapatrzony w ich stronę, milczał na szczycie skały, nie ruszając się z miejsca, gdy Wanda na odgłos owego trąbienia rogów w dalekim polu, zerwała się z miejsca i żywo ku lilijnym łanom pobiegła, oczyma dziewic zaniepokojonych śledzona...

A stamtąd rogi, o świtowej godzinie, po rosach porannych dzwoniące, grały bez końca i grały...

\* \* \*

#### XIV.

Pióropusz dymu chwiał się nad strzechą kmiecej chaty, co w gęstwinie prasłowiańskiej dąbrowy, wynurzała się z zieleni lip odwiecznych, kapiących złotem miodnego kwiecica na pasiekę kołodzieja Piasta.

Już znikło pszczoł brzęczenie z zachodem słońca, a po ogródku niósł się z izby zapach warzonego mleka, świadcząc, że musiała Rzepicha gości w domu podejmować.

A wtem na podwórku psy kudłate jęły naszczekiwać niespokojnie.

Spoza opłotków Piastowego obejścia doleciały z wydeptanego wołami gościńca liczne głosy mężczyzn.

Gromadką sunęli ku zagrodzie kołodzieja kmiecie w świtkach płóciennych, jednako szarych, jako ta nad jego chaty strzechą kita dymu w spokojnym powietrzu letniego wieczora. Każdy z nich wysoki, w barach jak dąb rozrosły, niósł głowę młodzieńczo w górę zadartą, mimo że z nich niektórzy był i w lecich poważnych. Jeden tylko między nimi ku przodowi nieco się pochylał, na kiju wspierając, jak gdyby bardzo ciężkie sędziwego wieku brzemie dźwigał na swym karku, na który spływał mu z głowy włos siwizną dawno srebrzony. Inni kołem

go otaczający, z wielką czcią zwracali się doń po drodze z zapytaniem lub przytakiwaniem.

— Wrózu — mówił któryś do starca, gdy się ku chacie Piastowej zbliżali — a cóż na ten dym powiecie... patrzcie jak prosto idzie ku niebu... a jak dziwnie wysoko... Zali to nie znak pomyślny?

— Górną drogę wskazuje Piastowemu rodowi — rzeki siwowłosy guślarz, trzęsąc długą białą brodą i przystanął pod płotem, gdzie obok pługa stał wóz kołodzieja. — Może w ręku jego synów — dodał ciszej głosem dziwnie drżącym — pług ten zamieni się w srebrne *miecze sławy*, może wóz ten pod wnukami Piasta potoczy się na złotych kołach aż tam, gdzie się zaczną wielkie *bole sławy*.

— Co się wam śni, guślarzu — zawołali zdumieni kmiecie, a stary znów jął mówić do nich jeszcze mniej zrozumiałe wyrazy:

— Odkąd z nieba *słowo* padło na *pola*, trzeba Polanom *ziemi-witezi*, którzy wolnych Słowian obronią od niewoli u *niemych*... Słyszycie kmieciowie, jako wam mówię, że spod kmiecej strzechy wynijdą one bohaterzy, co nie dadzą słowu zniemieć...

Gospodarze zafrasowani stali pod płotem dokoła guślarza i milcząc myśleli, a na ich głowy wśród ciszy wieczornej wielkie lip korony prószły kwiat złoty jako miód w koszach stu uli pasieki Piastowej. Wtem jeden z kmieci ozwał się do gromady:

— Może by nam pora była zdmuchnąć precz ów *popiół*, pod którym ciemniej niż białe pióra Lechowego orła...

A na to guślarz wszedł pierwszy za płot Piastowej zagrody i na grzędzie kołyszące się na wysokich łądygach ciężkie słoneczniki, nad malwami pochylone, w dłoń ująwszy, obejrzał uważnie.

— Dojrzało — rzekł jakby do siebie — wszystko dojrzało...

A wtem psy kudłate ogony schowawszy pod siebie, ujadać ustały i do nóg guślarza szły same witać gościa, który mocno po gęśli swej uderzył, gdy kmiecie waląc się z gościńca jeden za drugim na podwórko kołodzieja, szeptali między sobą:

— Uradzimy na wiecu... rady Piasta posłuchamy...

Ale nim wyszedł ku nim gospodarz, już ich Rzepicha witała, ławy do ogrodu dla tak licznej gromady wynosząc i kołaczki świeżo pieczone zastawiając między mlekiem a miodem. Rozsiadali się tu kmiecie chętnie, gdy guślarz sam wszedł do chaty.

— Tośmy na roli wcześniej robót poniechali — mówili goście do gospodyni — byle do was rychlej zdążyć, a tu Piasta jeszcze nie ma doma...

Lecz Rzepicha jęła ich uspakając, że dawno mąż jej w izbie podejmuje dwóch zdrożonych wędrowców i że zaraz — skoro jest już guślarz — przyprowadzi sąsiadom do ogrodu syna, czekającego na postrzyżyny.

— Dobry jest zwyczaj stary — rzekł jeden z kmieci — aliści nie zaprzątajmy się dziś nadto domowym świętem rodzinnym, kiedy wiecować mamy nad niedolą gnieżna orłów Lechowych...

A wtem z chaty guślarz wyprowadził pacholę z długim lnianym włosom, odświętnie przystrojone w bieluchne giezło, acz dwakroć od ojcowej koszuli krótsze, sięgające przecie chłopięciu nieomal po stopy. Za nimi zaś tuż i Piast wyszedł i wiśniowym sadem wiódł ku sąsiadów a braci gromadzie, dwóch urodziwych młodzianów, o jasnych i pogodnych a poważnych licach, które tu obce nie wydały się nikomu, mimo że znajome wcale nie były w okolicy.

Kiedy za chwilę niepostrzygane jeszcze włosy pacholęcia spadły do matczynej zapaski, guślarz ręce położył na chłopięcej głowie, mówiąc:

— Oby się z twego syna, Piaście, rodziły wieczyście ziemi-witezie, jakich nam teraz potrzeba, odkąd dziać się źle poczyna Polanom w ziemi Lechowej pod popiołami... Imię dawam mu tedy Ziemowita...

— Z mojego syna witezie — wołał Piast zdumiony — bohaterzy w moim rodzie?

A wtedy dwaj wędrowcy, na boku stojący, podeszli przed Piasta. Ramię o ramię tak oparli, że obaj stanęli niby jedno ciało. Lewicę jeden podniósł, drugi prawicę wyciągnął przed siebie i tak oburącz w dłonie swoje, niby mąż jeden, ujęli czoło kmiecia-kołodzieja.

— Piaście — mówili jednym głosem — Bóg zapłać tobie za gościnę dla białego orła z nieba... Słowa kolebka przez ciebie się stanie sławy kołyską po wszystkie wieki...

A kiedy to mówili, z ramion ich, jednemu z lewego, a z prawego drugiemu — w oczach kmiecej gromady — ogromne dwa skrzydła białe wyrosły, jak gdyby anioł wysoki pochylał się nad Piastem.

Ale zaledwie mówić przestali, zniknęli w oka mgnieniu i tylko owe dwa skrzydła wielkie bieliły się nad Piastem i Ziemowitem.

I widzieli wszyscy, że to srebrnopióry orzeł biały zatoczył koło nad nimi i nad strzechę kołodzieja wzleciawszy wysoko, w zmierzchu wieczornym zawisł pośrodku krwawego obłoku i rozplynał się w dymie...

Wtedy zaś wszyscy z miejsc się poderwawszy, otoczyli Piasta. A z bliska na czole jego, w miejscu, gdzie mu ręce skrzydlate ścisnęły skronie, ujrawszy lśniące koło złote, jakie wieńczy głowy królewskie, zakrzyknęli:

— Żyj nam, Piaście, a póki życia, będziesz ty nam w orłów białych gnieźnie gospodarzył, jak w swej własnej chacie...

Guślarz siwą brodą długą trzęsąc, ręce ku niemu wyciągnął, wołając:

— Słyszysz, my chłopci obralim sobie chłopca na pana, a z nieba anieli koronę na głowę ci kładą, Piaście, dla twojego rodu...

Wszyscy pytać jęli guślarza, kto by to być mogli owi dwaj wędrowcy, starzec im zaś na to odrzecze:

— Szanowni byli to goście: duch Lecha i duch Kraka, ojców naszych duchy, wzięwszy na się anielskie postacie, nawiedziły nas z nieba, by wskazać, kto godzien zostać nam dziś ojcem i gospodarzem, kto nam pomoże ziemi swej obronić przed obcym zalewem, kto czuwać potrafi, by słowo nie zniemiało... i kto skrzydeł białych orła ustrzeże od szernienia...

Mgły poranne wstały wcześniej z nad Gopła. U brzegu jeziora dziewczica niezwyklej piękności, w szatach białych, stała pośrodku gromadki dzieci nędznych i rozdawała pomiędzy nie świeże kołaczki. Każde z malców porwawszy bochenek, umykało bez słowa, przepadając w zaułkach Kruszwicy. Dziewica zaś do każdej twarzyczki brudnej uśmiechała się z wyrazem wielkiej w oku dobroci. A kiedy już ostatni kawałek chleba oddała i została samotna, spojrzenie jej smutne biegło łzawą źrenicą ku nędznym lepiankom, z błot przybrzeżnych wynurzającym swoje ściany, obwieszane siecią rybacką.

Wtem z poza trzciny wyszła niewiasta w łachmanach, trzymająca nagie niemowlę przy wyschłej piersi obwisłej, a przypadłszy cudnej dziewczicy do kolan, szepnęła, kraj szat jej całując:

— Bóg tobie stokrotnie zapłaci za wszystko to miłosierdzie, jakie dla nas biednych czynisz, szlachetna Biała Knehini...

Zmartwiła się dziewczica wielce, bo nie miała już czym obdarzyć owej nędzarki, ale widząc, że w porannej wilgoci nad jeziorem dziecko trzęsie się z zimna, potargała tymczasem białą suknię swoją i owinęła nią maleństwo, poczym powiodła matkę, ledwo nogami włóczącą, na swój dworzec, by ją nakarmić i przyodziać inaczej. Po drodze schorzała kobieta opowiadała Białej Knehini, że męża jej i braci porwali Niemce nad Łabą w niewolę i do pługów swoich przyprzęgli jak woły na roli pod batem... A słysząc to księżniczka, do łez wzruszona, dziecko z rąk nędzarki wzięwszy, całowała po nóżkach i pomagała matce nieść je steczką kamienistą pod górę.

— Takaś ty dobra, Biała Knehini nasza, że mi się widzi, iż kiedy sama będziesz matką, to syn z twego miłościwego łona na świat przyjdzie chyba święty, jako aniołowie ziemscy, o których czescy wędrowcy nam prawią, że kędyś żyli pomiędzy ludźmi, wierzącymi w Zbawiciela ukrzyżowanego...

Zapłonila się biała gołąbka na te słowa i zaledwie przy misce posadziła wygłodzoną matkę, sama pobiegła do brata, który właśnie z świetlicy wychodził, jakby wybierając się na wyprawę, bo nie tylko szkarłatny płaszcz książęcy miał na ramionach, na chłopską koszulę lnianą narzucony i pod szyją na guz żelazny z bursztynem zapięty, ale i miecz szeroki przywiesił do złotem kowanego pasa.

— Mieszku — zatrzymała go siostra — daj ty mnie ucha na chwilę, nim dworzec opuścisz na dłużej, bo spokoju mieć nie będę, póki ci nie powierzę dziwnych snów swoich.

A kiedy siostrę ukochaną młody wódz Polan i Chrobotów pod okno odwiódł i tu we dwoje, przez nikogo nie słuchani, usiedli na ławie, okrytej kilimem barwnym jak w komorze skrzynia malowana, jęła mu cichym głosem opowiadać Biała Knehini, jaki to sen miała w noc ubiegłą.

— Dawnom nie widziała śpiąca ojców naszych. Aż dzisiaj twój i mój rodzic, Ziemomysł, nawiedził mnie we śnie wraz z dziadem Leszkiem i Ziemowitem,



pradziadem naszym... Wszyscy mi się śnili, jak mnie oprowadzali, niby dziewczuszkę ledwie od ziemi odrosłą, po dużej pasiece praojca Piasta i pokazywali mi, jak z uli wylatywały roje pszczół, każdy w inną stronę, a potem zlatywały się wszystkie społem kędyś bardzo wysoko ponad lip koronami i tworzyły jeden już gęsty rój, gubiący się w obłokach...

A potem... słuchaj Mieszku... śniło mi się, że po Gople pływałam w noc ciemną czółnem wywrotnym i chwiejnym, maleńkim czółenkiem... I bałam się, że mnie wiatr zatopi pod większą falą, bałam się bardzo, bo wiozłam w łodzi mnóstwo drobnych dziełek.

Naraz wszelako ujrzałam na brzegu jasność niezwykłą i zapatrzona w nią, zapomniałam o swoim lęku. Rychło do brzegów trafiłam i wysadziłam na ląd dzieci. Poczym zaczęłam rozglądać się wokoło za ową jasnością, która mnie od toni ocaliła. To był wielki krzyż ze smug świetlistych, który odkąd za nim wzrokiem goniłam, rozpływał się nad dąbrową starą, szumiącą mi nad głową...

Biegłam za nim w głąb puszczy, aż mi drogę pomiędzy najstarszymi z olbrzymich dębów wiekowych zastąpił wid nowy.

Stał przede mną wysoki a mocny kmicć, jakby do Piastów podobny, trochę z książęca, niby ty, Mieszku, odziany, pięknie mi na wodza patrzący... aliści inny, niż ktokolwiek widziany.

Stopą gniótł ci on smoka niemieckiego, gdyby Krak na Wawelu, a zasię na głowie ogromnego miał orła białego, gdyby Lech... Alem nie zapamiętała jeszcze skrzydeł gdziekolwiek tak potężnych a wysokich, o śnieżnej białości piórach...

Właściem biegła źrenicą hen nad dąbrową odwieczną szukać tamtego krzyża jasnego, gdy wzrok mój padł na one pióra orle i przyglądać się jął dziwnemu kmicciowi uskrzydłonemu. A wtem głosem zacnym, jako do nas rodzic mawiał dobrotliwie, wid do mnie przemówił:

— Pójdź, córo Piastowa, za tym jasnym krzyżem i uwierz, jako cię on w nocy ciemnej na światłość wyprowadzi i utonąć ci nie da w czarnej topieli, ni pobłądzić w puszczy...

— A ktoś ty jest — spytałam — co mi tak doradzasz wbrew naszym sędziwym guślarzom...

— Usłuchaj głosu ojców twoich spoza mogiły — powiedział wid do mnie tak pocziwie, jak to... pamiętasz ty Mieszku... mawiał do nas niekiedy dziad Leszek, gdyśmy pacholeta jeszcze maluchne, bawili się u nóg starca pod lipą przed kruszwickim dworcem..

— Uwierz w Zbawiciela, który dla twojego szczęścia dał się na krzyżu umęczyć — mówił wid do mnie — a Bóg wynagrodzi cię po dziesiąte pokolenie, albowiem za twoją przyczyną całe narody odnajdą drogę słowa Prawdy.

Na południe i na wschód, na północ i na zachód poniesie ród twój dobrą radę i dobrą nowinę. Ale wprzód ty sama daj bratu radę dobrą i nie żałuj starań, by uwierzył w dobrą nowinę...

A kiedym tak dziwne słowa usłyszała, pytałam wida, co mam czynić ponadto, że wszystkich biednych miłuję i chadzam ku nim z miłosierdziem. A wid mi na to powiada:

— Skąpać trzeba w zdroju światłości krzyża orły białe, zanim z gniezna Lechii na świat szeroki wylecą.

Niechaj brat twój odszuka, nad którą rzeką, na której górze płonie w rękę królewnej kaganek krzyżowej światłości słowa...

Ona lechicką dąbrowę rozjaśni, idąc w puszcze słowiańskie u boku twego brata, a matką się stanie sławnego królów rodu.

Na syna swego głowie cesarską ujrzy koronę...

Słyszysz, Mieszku, co mi wid powiadał o Piastowym rodzie...

A Mieszko zwierzeń siostry słuchając, jakby w gaju świętym słów wróżebnych siwego guślarza, tarł palcami czoło wysokie, otwarte i zamyślał się coraz głębiej, poczym jak gdyby sam do siebie mrużąc, powtarzał cicho pod oknem świetlicy kruszwickiego dworca:

— W krynicy chrześcijańskiego światła trzeba nam wprzód skąpać białe skrzydła orłów Lechowych...

A potem głośno zawołał do siostry, której lice rumieńcem płonęło przy białej szacie, jako róża purpurowa na grzędzie kielichów lilijnych w jej ogródku przy wieży nad Gopłem:

— Słuchaj... U czeskiego Bolesława w Pradze jest cudna córa... Ona chrześcijańska królowa, a prawnuczka brata Lechowego... Gdyby mi dał król za żonę Dąbrówkę...

Ale Biała Knehini głowę spuściła, powtarzając z cicha:

— Trzeba nam wprzód w krzyż chrześcijański uwierzyć i w słowo, które z krzyża padło dla nas na pociechę...

Porwał się Mieszko z ławy i po świetlicy jał chodzić szerokimi krokami, jakby mu ciasno było pod pułapem w czterech ścianach domu ojcowego.

— Orłem nad szersze pola z gniezna Lechii wylecieć... wylecieć!..

A potem przystanął nagle przed białą dziewczicą u okna siedzącą cicho w zamyśleniu — i zagadnął:

— Nic ci już więcej wid nocą nie powiadał nadto?...

— O mnie mi jeszcze prawił rzeczy dziwne — szepnęła dziewczyna krańniejac coraz żywiej na uroczych jagodach.

— Czemuż mi nie mówisz...

— Rzekł mi jeszcze, jako że po mnie swaty do ciebie przyśle król obcy ludu niesłowiańskiego, lecz jako my wolność miłującego nad życie... i że jego patronem świętym i wodzem z niebios przez wszystkie wieki, stanie się król, którego ja mam być matką...

Słyszac te słowa, Mieszko do kolan siostry nachyliwszy się śpiesznie, ucałował rąbek szat jej białych i zawołał z zapalem:

Wierzę ci ja w dobrą nowinę i rady dobrej posłucham...

Trawą już zarosły wszystkie steczki nad jeziorem Gopłem, wydeptane niegdyś drobnymi stopami Białej Knehini, dobrej siostrzycy Mieszka Piasta...

Białe szaty nosi ona po dawnemu, ale na nich wielki krzyż się złoci, odkąd po chrzcie jej w katedrze gnieźnieńskiej, wołają na nią wszyscy Adela.

Jako przedtem z bratową swą Dąbrówką robótkami własnych białych paluszków stroiła wewnątrz nowe kościoły nad Wartą i Odrą, tak dziś mężowi królowi Gejzie pomaga hen, nad dalekim Dunajem wznosić Chrystusowi świątynie, a syna swego Stefana Węgrom piastuje na przyszłego ziem ich patrona.

Do brata zaś Mieczysława wciąż śle gońce z pytaniami, jak mu się chowa syn Bolko, bo spokoju nie ma królowa Adela o niego, pomna zawsze, co jej wróżył dawno nad Gopłem w śnie nocnym wid o twarzy pomarłych praojców...

A tymczasem Bolko rósł z pacholęcia w młodzieńca i mężniał z dniem każdym bardziej a poważniał.

Wziął go już ojciec z sobą, gdy do Kwedlinburga pojechał raz na ważne narady z cesarzem Ottonem.

Słuchał tu Bolko królewicz owych narad, w których najczęściej obok monarchów głos zabierali dwaj męże świętobliwi z cesarskiego dworu: nauczyciel Ottona, wielce uczony Francuz Gerbert, który z pastuszka doszedł w przyszłości jako Sylwester II, na Stolicę Apostolską, oraz spowiednik władcy niemieckiego, Czech Wojciech, późniejszy arcybiskup praski i gnieźnieński, który miał kiedyś w koronie męczeńskiej pomnożyć poczet świętych Pańskich, jako patron Piastowskiej kolebki narodu polskiego.

On to widząc milczącego na uboczu Bolka, który z zaiskrzonym okiem słuchał, co mówiono o Słowianach nad morzem Bałtyckim, zbliżył się do królewicza i często z nim rozmawiał.

A kiedy potem dzbany na stół podano, uprowadził młodzieńca do ogrodu i tutaj w zmierzchu wieczornym, głosem innym, niż między dworakami, szeptał Bolkowi słowa wieszczce:

— Wiesz ty, mój królewiczu śliczny a mocny, jaka się tobie ściele droga... Ty krzyż zatkniesz na błotach pomorskich i strzec go będziesz nad Bałtykiem...

A na to się junak zerwał, w miejscu spokojnie ustać nie mogąc i zawołał:

— Do morza pójdę, do morza, dokąd Wisła wody swoje toczy, bo mi w ojcowych ziemiach będzie za ciasno...

— Pójdiesz, synu, bo ci to pierwszemu z Piastów pisano, byś ludy słowiańskie zjednoczył a wziął w swoją opiekę... Ciasno by ci było w ojcowiźnie, albowiem duch-orzeł jest w twoim ciele...

— Czuję skrzydła orłowe, czuję, że mnie coś w duszy prze do szerokiego lotu...

— Chrobry król z ciebie będzie, jak jeszcze wielkiego w rodzie nie było Piastowym... Słyszysz Bolku, co ci powiadam, żeś ty jest wcielony duch Lecha,

żeś ty jest onym orłem białym, który stał się duchem twojego narodu, a szukał wcielenia, by móc skrzydła rozpostrzeć szeroko, szeroko...

— Czuję, jako się we mnie duch-orzeł rwie do lotu... Przez morską bramę na świat wylecę... Hen, hen, ponieść panowanie słowa, kędy Wisła nurty swoje toczy... Ja nad Bałtykiem krzyż zatknę... O morskie brzegi oprę granice Piastowego dziedzictwa... Od Łaby po Dniepr!

Za rękę rozognioną ujął młodziana święty Wojciech i potrząsając nią, wołał szeptem tajemniczym:

— Słupy graniczne wbijać będziesz w koryto Elby i Sali i w nurty Dnieprowe... Za San, za Bug zwycięski miecz poniesiesz... Przed nim się na ścieżaj rozewrą złote bramy Kijowa... Słyszysz, Bolku Królu Chrobry! Boś ty jest wcielony duch Lecha, ty, Orle Biały!

A w oczach młodziana zaświeciły błyski jeszcze mocniejsze, gdy sam zawołał:

— Wysoko orłem białym wzlecę i okiem zatoczę szeroko... od morza do morza!

A wtedy mąż świętobliwy zamilkł na długą chwilę. Poczym głosem odmienionym wyrzekł nad głową syna Mieczysławowego:

— Bole sławy Polski Lecha i Kraka poczną się u złotych bram Kijowa, na których miecz sławny wyszczerbi sobie Piast Chrobry... I orłami białymi, co się nie lękają potopu, przepłyną przez długie wieki — od morza krwi do morza łez... Ale się w niczym morzu nie rozpląną...

\* \* \*

Nad Morskiem Okiem wstało słońce w blankach majestatycznej zorzy. Niedźwiedzie powyłaziły z legowisk, poprzeciągały się i poszły za żerem na długie wyprawy. Z gniazd samotnych na podniebnych szczytach tatrzańskich zrywały się tu i owdzie orły białopióre i leciały w dal nieznaną...

Do skały przyparty nad samym brzegiem jeziora szalas lichy, który nocą stał jako głązy górskie wokoło martwy, ożywił się nagle, gdy w blaskach purpury królewskiej skąpało go słońce poranne.

Wielkie dwa psy białe jęły się kręcić przy owcach i kozach, których garstka wysypała się z wnętrza z cichym beczeniem i napiwszy się z koryta wody, ruszyła powoli swoją drogą na najbliższą halę, oglądając się jeno chwilami, czy w ślad za nimi idzie juhas młody, majstrujący coś w pochodzie około swej fujarki.

Ledwie stadko zniknęło, wyszedł spod szalasu człowiek do niedźwiedzia podobny, niski, przysadzisty, a w barach szeroki, cały w kudłate skóry zaszyty i sam włosem długim obrosły od lat dawnych, jako zwierz leśny. Rozpaliwszy ognisko pod ścianą skały, zabrał się do warzenia stawy.

Niebawem zjawiała się podle ognia niewiasta młoda, która miała na sobie białe szaty, a na nich płaszcz złocisty z własnych włosów, bujnych, długich, a gęstych, że się namęczyła niemało, zanim je zaczesła. Nachyliła się potem nad

zwierciadło toni wodnej w Morskiem Oku i widząc swe wdzięki urocze w całej pełni odbite, poprawiała to i owo w stroju, wreszcie śpiesznie do szałasu wróciła.

Niebawem głosy ludzkie rozległy się wśród pustkowiec tatrzańskich. Jakby spod ziemi wyrosła, gromada junaków zjawiała się nagle na przeciwległym brzegu stawu i zmierzała prosto w stronę szałasu, głośno rozmawiając i pokrzykując.

Echa wrzawy wśród ciszy głuchej zaczęły zniecała rozbijać się o skały raz za razem tak hałaśliwie, że z pod szałasu wypadło zbudzone ze snu psisko stare i trzęsąc czarnymi kudłami, ujadało wściekle, mimo że zbliżających się nie można było jeszcze ani dostrzec. Psisko podbiegało wśród naszczekiwania do ogniska i za nogę chwytało zębami owego człowieka-niedźwiedzia, który nad płomykiem warzył śniadanie. A wtedy człek pokracyjny, widocznie głuchy zupełnie, bo na wrzawę napełniającą powietrze nie zważał wcale dotychczas, jął teraz dopiero, przez psa pobudzony, rozglądać się na wsze strony.

Przykładał dłoń do oczu i mrużył je długo, wypatrując, lecz nigdzie nic nie mogąc dojrzeć, odepchnął psa i zajął się z powrotem strawą. Stróż czarny jednak targał go dalej za skórę, w którą nogi miał poowijane, ujadając ciągle, jak gdyby nawoływał na trwogę.

— Cicho, Smoluchu — wybełkotał nareszcie nieludzkim jakimś głosem zniecierpliwiony pokraka, pociesznie przy tym twarz wykręcając.

A wtem z głębi szałasu wyszła znowu dziewica w bieli okryta płaszczem złotych włosów i do ogniska się zbliżyła.

— Nigdzie nic nie widzi ten Żbik — mruknęła — a Smoluch przecóż coś czuje... O, słycać wyraźnie, że nadchodzą ludzie zza Morskiego...

Pokraka oczy wyłupił na mówiącą, a ona na to głuchemu jęła dawać znaki jakieś. Na skutek tego człek w niedźwiedzich skórach pobiegł ciężkimi krokami na najbliższą skałę i stamtąd rozglądał się bacznie. Musiał wreszcie coś zoczyć, bo wzrok utkwiał w jedno miejsce na dłużej. Poczym zaraz zbiegł na dół i wpadł do środka szałasu w ślad za piękną dziewicą.

Za chwilę, gdy głuchy parobek z powrotem gotował śniadanie, z szałasu wyszła dziewica już w towarzystwie dorodnego mężczyzny odzianego w strój dostojny a niezwycajny w puszczy tatrzańskiej. Przystanęli oboje nad brzegiem Morskiego Oka i oczekiwali widocznie zbliżenia się owej gromady ludzkiej, która wrzawą napełniała czyste powietrze pięknego dnia letniego.

Pies uspokojony przez swą panią, zaprzestał już szczekania, chwilami jeno warknął jeszcze, łaszac się u jej stóp lub czołgając się przy stopach jej towarzysza.

— Smoluch stróż dobry — mówiła ona, kładąc rękę dziwnie białą, niemal wypieszczoną, na łbie czarnego kudłacza — pilnuje mnie lepiej niż stary Żbik. Przy tym głuchym pokrace to by mnie stąd wyniósł każdy, kto by chciał razem z całym domem.

A na to mąż urodziwy uśmiechnął się smutnie, jak gdyby ciężko mu było zdobyć się na wesołość — i rzekł głosem dźwięcznym spokojnie, poważnie:

— Po co ci, Lechio, psa na czatach, kiedy wiedziałabyś o gościu sama wprzód, nimby cię stróż ostrzegł...

— Prawdę mówisz, mój Królu. Co zechcę, wiedzieć mogę sama... Aliści są rzeczy ważne i są nieważne. Nigdy zaś swej mocy nie nadużywam, gdy idzie o cokolwiek małoważnego.

— Zapewne też dobrze czynisz, tak postępując — wtrącił mężczyzna.

— Czy myślisz, królu, że wiem może w tej chwili jaka dziś będzie do wieczora pogoda... Pytaj o to, gdy chcesz wiedzieć, tego pokraki. Zagadnij go na migi, czy aby nie będzie przed nocą burzy... On ci zaraz w toń Morskiego Oka spojrzy uważnie i już wiedzieć będzie, nawet na jutro zapowie ci pogodę, gdy ja tymczasem, ja, co tak wielkie rzeczy umiem czytać z onego zwierciadła tajemniczego jeziora, nie wyprorokuję ci żeń deszczu choćby już chmura wisiała nieopodal...

— I nie powiesz mi, co upoluję dzisiaj...

— Wybieracie się panie na łowy?

— Ano kiedy tak liczny poczet druhów nadchodzi, szkoda byłoby nie pójść trochę na wyprawę z oszczepem.

Dziewica białą jak mleko rękę drobną położyła na ramieniu towarzysza czerwona szata obwiedzionym.

— Nie idźcie, królu mój, dzisiaj na łowy...

— Tak mówisz to, Lechio, jak gdybyś mnie przed czymś złem ostrzegała... Głos twój drży, a wargi się trzęsą... Czy miałoby mnie co złego spotkać na polowaniu...

— Nic tobie już nie grozi, mój królu, z onych niebezpieczeństw, przed jakimi chronią się inni ludzie... Tyś już nie z tych ludzi innych... boś ty sam już inny...

— Słów twoich nic nie rozumiem... Przec powiadasz bym dzisiaj na łowy nie chodził z towarzyszami...

— Poniechaj ty, panie, łowów wszelkich...

— Poniechać?! Ja bym miał poniechać... Cóżes ty rzekła, Lechio... A toć ty chyba nie wiesz, piękna dziewico, że krom niewieścich wdzięków, nie miał nic miłszego nad łowy...

— Wiem, panie, jako je miłujesz może goręcej nawet nad pieszczoty krasawic...

— Więcej!

— Na równi z rycerskim rzemiosłem.

Więcej!

— I tęskno byłoby tobie, królu, bez łowów i bez bojów...

— Nie wytrzymałbym doma... zgnuśniałbym do cna bez miecza i oszczepa...

— Zaufaj, królu, słowu Lechii. Nie zniewieściesz ty, mężu nieustraszony, mimo że miecza już nigdy nie wyciągniesz z pochwy...

— Zmiłuj się... Cóżes ty rzekła za słowo...

— Ni na łowy ni na boje krwawe już od dziś dnia, mój królu, nie pójdziesz... bo cię, panie miłościwy, prosi o to Lechia...

Król spochmurniał, a po twarzy smutnej rozlało się uczucie żalu. Lecz nie już nie rzekł sam na słowa Lechii, bo gromada junaków, idąca brzegiem jeziora, zbliżyła się do nich, uciszywszy się na ich widok zupełnie. On ku nim ręce wyciągnął przyjaźnie, oni zaś na znak łaskawy odpowiadając pozdrowieniem gromkim, zerwali z czoła czapki i kapelusze z piórkami i wyrzucili je w górę.

— Żyj nam, Bolku Królu nasz! — huknęli.

— Królu nasz — powtórzyły setne echa i szumiały nad spokojną taflą jeziora między tatrzańskimi szczytami, jak gdyby wiatr halny łomotał wśród skał.

A Bolkowi zdawało się, że w tych echach słyszy jakieś słowa ponure, ze zgrzytem okropnym od głazów górskich odbijające się niby jęki dzwonów pogrzebowych. Zatkanął więc nagle uszy rękami, a sposepniał jeszcze gorzej.

— Zdrowia ci życzymy, szczodry i sprawiedliwy, Bolku Królu nasz śmiały! — zakrzyknęła drużyna, otoczywszy go już o dwa kroki i pochylając się do nóg jemu i jego towarzysze złotowłosej, która witała ich wszystkich słodkim uśmiechem, aliści z troską spoglądała zarazem na mroczną twarz Bolkową.

A dokoła jeszcze głośniejsze echa zahuczały nad nimi:

— Bolku Królu nasz śmiały!

Chmury rozeszły się po czole męża w purpurowym kaftanie, a w oczach jego błyski zćmiły się nagle jak gromnice, co o posadzkę kościelną z łoskotem porzucone — naraz pogasły.

Zatkanął uszy na nowo, ale słowa ponure huczące mu w duszy w szumie ech skalnych, dudniły jeszcze głośniejszym podzwonnym żałobnym:

— ...Ani domu, ani ręki,., ani słowa, ani chleba... ani wody, ani ognia...

Bolko szarpnął oburącz za kędziory pięknych włosów złotych nad swym czołem wysokim, a przez zęby jął powtarzać głosem grobowym:

— Wyklęty... Wyklęty!

A wtedy Lechia głowę Bolka ujęła w białe dłonie i do piersi swej tuliła, jak matka syna, jak kochanka dziewica.

— Ukoj się, ty bezdomny tułaczu królewski — szeptała miłościwie, wzrok wieszczy zatopiwszy w zwierciadle tajemnym Morskiego Oka — nie odmówię tobie, Orle Biały, samotnego gniazda skały szczytów tatrzańskich, ani ręki przyjaznej nie cofnie przed tobą, wygnańcze, ten oto lud krzepki, co druhem wiernym staje przy tobie i pójsć za tobą chce z nizin na wyże...

— Żyj nam, Bolku Królu nasz! — huknęła gromadka junaków, wyrzucając w niebo chłopskie czapki rogate z pawiem okiem i skrzydlate kapelusze góralskie z piórkiem sokołem.

— Słyszysz — szeptała Lechia, kojąc Bolesława u swej piersi, a kiedy się echa krzyków drużyny jego rozniosły po górach, mówiła zagłębiona spojrzeniem w Morskiem Oku: — Wody ni ognia w kmiecej chacie nigdy nie zbraknie dla Piasta, słowem a chlebem witać cię będą po wszystkie czasy w zagrodzie wiejskiej...

Ale Bolko zatrzęsł się na całym ciele i głosem z głębi piersi wydartym zakrzyknął:

— Zabiłem! Zabiłem... Przed świętym ołtarzem cnoty ojcowe zabiłem...  
Krew spadnie na głowy synów...

A wołając tak, chciał biedz przed siebie rozpacznie, lecz Lechia za rękę ujęła Bolka, mówiąc:

— Bolesławów miecz wyszczerbiony zostaw w pochwie rdzawej... Słowem lud porwiesz i na szczyty powiedziesz... słowem bojować, zwyciężać...

— A czylim nie jest wnuk Chrobrego — spytał Król Śmiały.

Na to Lechia o zrąb skały oparta, nachyliła się jeszcze głębiej nad tajemnym zwierciadłem Morskiego Oka i po chwili milczenia mówiła głosem, który był nie z tego świata:

— Biały Orzeł, duch Lecha, który dla ludów słowa uwił na polach gniezno nieśmiertelne, wstąpił w kmieczy ród Piastów, co ma wieść naród polski na pole chwały... Ten duch-orzeł, który wcielił się w Bolka Chrobrego, znalazł teraz wcielenie nowe w tobie, Bolku Śmiały... Oto są twoi rycerze, ci chłopci, górale bez miecza. Idźże z nimi, Królu-Orle, wojować słowem, prowadź ich na szczyty... Ale z mieczem w pochwie schowanym przewódź im, Królu-pokutniku...

\* \* \*

Poszli rycerze Bolesławowi za Królem swoim Szczodrym a Sprawiedliwym na szczyty tatrzańskie, kędy białe orły mieszkały na podniebnych gniazdach samotnych. Bez miecza poszli na boje rycerze skrzydlaci, zasłuchani w słowo, zapatrzeni w ducha... Poszli i przepadli w puszczy wieków.

W jaki świat inny zawiódł ich Król-pokutnik tatrzańskim szlakiem na białych skrzydłach orłowych nieśmiertelnego ducha narodu — nikt nie wiedział, okrom jednej Lechii, co się ostała nad brzegiem Morskiego Oka w opartym o skały szalaście i co dzień w zwierciadło tajemne spoglądała wzrokiem wieszczym.

A lud widząc nad nią krążące wysoko białe orły, zbiegał się do nieśmiertelnej cud-dziewicy, w białe szaty kapłanki odzianej i płaszczem złocistym z włosów długich okrytej, w którym, niby na strunach harfy mistycznej, wiatr halny wygrywał hymny miłości, chorały wiary i hejnały nadziei... Lud w nie zasłuchany, wodził oczyma za lotem podniebnym srebrnych ptaków królewskich i pytał ufnie a trwożnie. Na to zaś prorokini odczytywała mu wszystko, co jej mówiło czarne zwierciadło jeziora. Raz przez łąki dojrzała kędyś klęski, innym razem głosem wielkim obwieszczała tryumfy.

Dziwne wymawiała imiona, niezasłyszane wśród turni tatrzańskich, niewyspiewane po górach przez jodły i smreki, nieopiewane przy gęśli podle ognisk pasterskich na halach... Lud wszystkich nazw ni imion, co z ust Lechii padały, nie spamiętał, lecz opowiadania jej chłonał i z nich tworzył swoją pieśń żywą, nieśmiertelną, którą z pokolenia w pokolenie dzieci kolebał na bój z życiem i starce kołysał na sen wieczny... Po nowe wieści szedł do Lechii, słuchał i czekał... Czekał, zali nie powróci orłowymi szlaki z dalekiej wyprawy Bolko Król Sprawiedliwy z rycerzami swymi.



Aż raz w brzaskach letniego poranku rozprysło się zniecka czarne zwierciadło tajemnicze w Morskiem Oku i przed Lechią zjawił się potężny biały orzeł.

— Jam jest Król-pokutnik — zawołał.

— Tyżeś to Bolku Królu, tyżeś to orle-uchu Lechowy — pytała dziewczica w białych szatach pod płaszczem z złotych włosów. — A kędyż twoi dawni rycerze bez miecza?

— Tułam się między nimi, pod ich strzechą chłopską sypiam i jadam i schronienia szukam, trzykrotny z krakowskiego tronu wygnaniec... Szkarłatny płaszcz królewski ukrywam w pieczarach Ojcowa...

— Orle Piastowy, więc tyś się wcielił w króla Łokietka...

— Powiedz kmieciom, że ich jest jutro.

Radość nastąpiła wśród chłopów.

— Wracą Bolko Król Sprawiedliwy — mówili między sobą, aż doczekali się rządów Króla Chłopców i prostowali sobie karki, jak za Piasta, za Kraka, za Lecha...

Nastąpiły lata pokoju, a kmiecie gospodarzyli szczęśliwie w swoich zagrodach, odkąd Król Wielki na zamku krakowskim gospodarował jako Piast w Kruszwicy. A Lechia nad swym zwierciadłem tajemniczym w Tatrach, mówiła ludowi, że to duch Lecha i Kraka, Orzeł Biały, znalazł najpiękniejsze swe wcielenie w królu Piaście Wielkim.

Więc smutek powiał po ziemiach polskich, kiedy woły białe obwiozły po Krakowie zwłoki ostatniego z potomków kołodzieja na tronie, a kmiecie złożyli je na sen wieczny w podziemiach starych wawelskiego dworca. Echa wielkiego płaczu ludu osieroconego, tłukąc się po kraju, uderzyły o skały tatrzańskie. Na jednej z nich skamieniała we śnie przed wiekami wierna drużyna Bolkowa.

To byli owi chłopci w czapkach rogatych z pawiem okiem, a w sukmanach krakowskich, to byli owi górale w czuhach skrzydlatych na ramionach, w szerokich kapeluszach z piórkiem sokołem lub orłem — którzy Króla Śmiałego nie opuścili do ostatka i bez miecza, jak Lechia chciała, poszli z nim na wyprawę w świat inny — by po latach wielu, pospołu z Królem-pokutnikiem, na szczytach orłowych zasnąć snem kamiennym.

Echa żalu wielkiego chłopów po wymarciu Piastów na krakowskim zamku, zbudziły w Tatrach śpiących rycerzy Bolesławowych. Skamieniałe wojsko bez mieczy drgnęło, jak śnieg zlodowaciały pod słońcem, ożyło i powstało przebudzone.

Jak przed wiekami, wierna drużyna Bolkowa otoczyła znowu Lechię nad Morskiem Okiem, a przy białej cud-dziewicy okrytej płaszczem z włosów złotych, jak struny harfy grających na wietrze hymny miłości, chorały wiary i hejnały nadziei, stanął w purpurę odziany mąż urodziwy, w bujnych kędziorach złocistych nad wysokim czołem otwartym i oko błękitne topił w natchnionej twarzy kapłanki-wieszczki swojego narodu. Poznali w nim od razu dawni

druhowie swego Bolka Króla i z pełnej piersi huknęli gromkie pozdrowienie, a turnie tatrzańskie echem im przywtórzyły:

— Król nasz Sprawiedliwy!

A wtedy Lechia, zagłębiwszy wzrok swój w tajemnym jeziora zwierciadle, zawołała:

— Wymarli Piastowie, ale nie smućcie wy się, kmiecie, czekajcie, póki nie wybije daleka godzina, albowiem jutro jest wasze...

A potem pokazała chłopom skrzynię krakowską w żywe kwiaty malowaną, a nad samym brzegiem tajemniczego jeziora tatrzańskiego stojącą.

— Patrzcie, tu zamknęliście swoją pieśń gminną, cudną legendę Piastową. Nadejdzie czas daleki, kiedy się ona skrzynia kolorowa sama wam otworzy. Boć to jest arka przymierza między przeszłymi a przyszłymi laty. Ufajcie Lechii, ona wam ją przechowa przez wieki długiej nocy aż po świt...

Co mówiąc, strąciła skrzynię bajecznie kolorową w toń bezdenną Morskiego Oka. Tafia szklana rozprysła się, a z głębin wodnych odezwał się na to głos dziwny wielkiego dzwonu. Jęknął boleśnie, a potem zahuczał jakimś rozradowaniem bez miary, które długo echemi grało po górach, jakby sto piersi dęło w długie trąby.

A było to o tej samej godzinie, kiedy w Krakowie dzwoniły wszystkie wieże kościołów, wtórując serdecznemu szlochaniu chłopów na Wawelu przy zamykaniu pod sklepem katedry wieka trumny nad koroną i berłem ostatniego Piasta, Króla Wielkiego.

Jeszcze echa po turniach tatrzańskich grające nie ucichły, gdy nowy poszum napełnił powietrze. Nad Morskie Oko zlatywały z najdalszych szczytów orły białe, potężne, o skrzydłach ogromnych, szeroko rozpiętych, zataczały w górze wysoko kręgi duże i opadały spokojnie nad brzegi jeziora, aż obsiadły je kołem srebrnopiórym.

— Po was to zleciały się te wielkie białe orły tatrzańskie — zawołała Lechia i po kolei obeszła rycerzy Bolesławowych, by na czole złożyć każdemu pocałunek matki-kochanki.

— Pożegnacie — mówiła do nich — jeno twarde kamienie ojczystej ziemi rodzinnej, ale się z Lechią nie rozstaniecie nigdy, bo ją i nadal mieć będziecie w sercach własnych...

A kiedy już dziewica w szacie białej z płaszczem z włosów złotych na ramionach, obeszła wszystkich po kolei, ujrzała drużyna Bolkowa, jak w ramiona Lechii król ich padł i w oczach swoich rycerzy nikał w tym uścisku powoli, aż przemienił się w Białego Orła.

Wtedy Lechia zwróciła się ku rycerzom bez mieczy, w chłopskich sukmanach krakowskich lub w czuhach góralskich na barkach, stojących nad Morskim Okiem ze smętnym spojrzeniem, w jej licach utkwionym żałością, rozwarła ramiona swoje szeroko i zawołała:

— Czekają na was orły białe, by zanieść was od tej Lechii, co was pożegnała, do innej Lechii, która na was czeka w orłowej krainie ducha. Lećcie orłowymi

szlaki hen, wysoko, pod niebem wolnym, rozslonecznionym, dokąd was zawiedzie wasz Król-duch...

I wskazała im pięknego Orła Białego, który wyzbywszy się już ziemskich szat Bolkowych, stał przy niej, w srebrzystych piórach, skrzydła swe mocne do lotu podnosząc spokojnie.

Rozeszli się chłopcy-rycerze w milczeniu dokoła Morskiego Oka. Każdy przystąpił do jednego z orłów białych, które wszystkich po kolei uniósłszy z ziemi, rozwijały skrzydła swe do lotu.

Bolko Król pierwszy sam ptakiem królewskim pod obłoki wzleciał, za nim zaś zrywały się jeden za drugim tamte orły, zabierając w powietrze zbudzonych ze snu kamiennego rycerzy Bolesławowych.

Lechia stała samotna nad tajemniczym, znowu gładkim zwierciadłem Morskiego Oka, a wiatr halny, nagle na wyżyny z dołu wypadłszy, rozwiał w jakieś białe skrzydła archanielskie szaty jej białe kapłańskie.

A wtedy płaszcz z jej długich włosów złocistych stał się wielką harfą, na której strunach przedziwnie tkliwych wiatr jął wygrywać zmieszane w cudnej harmonii hymny miłości i chorały wiary z hejnałem nadziei...

Przy tej gęźbie, która echami setnymi rozniosła się hen po turniach najdalszych i tukała się po halach i przełęczach, o skały rozbijana i w siklawach grzmiących gubiona co chwila — ulatały w słońce ponad podniebnymi szczytami orły białe z Bolkiem Królem na czele.

Szum nad Tatrami powstał tak wielki od skrzydeł orlich, że się zdawało, jakoby hufiec srebrzysty, kędyś pod błękitami lecący, zatrzepotał na wietrze tysiącem proporców...

Ale to niebawem ucichło, przepadając w obłokach, a nad puszcza tatrzańską, niby pienia chórów anielskich, grzmiały hymny potężne ze złotych strun harfy wieszczki Lechii...

Naraz zaćmiło się słońce, chmury ciemne zniemacka wypełzły i zasłoniły znikające na wyżynach podniebnych orły białe.

W mrokach nad Morskim Okiem przepadała i gęźba harfiana... Aż się na koniec wszystko uspokoiło...

Ludzie w swoich osadach mizernych na Podhalu, odrywając się niekiedy od pracy codziennej, spoglądali w błękity tęsknym okiem... Aliści już nigdy jak dawniej nie postrzegli lecącego wysoko orła o srebrzystopiórych skrzydłach.

Za to góral niektóry za kozicami łażąc po wierchach, podpatrzył, że ze swych niedostępnych gniazd samotnych na szczytach tatrzańskich zrywa się orzeł ciemnopióry, a wygląda wobec tamtych dawnych, białoskrzydłych ptaków królewskich — jak karzeł...

I nikt już w Tatrach nie spotkał odtąd wielkich orłów białych — odkąd rycerze Bolesławowi na skrzydłach orłowych odlecieli za swym królem.

Tymczasem orły białe, zniknąwszy Lechii za chmurami nad Morskim Okiem, straciły z oczu ziemię. Do zmierzchu przez dzień cały lecąc kędyś podniebnym szlakiem poza obłokami, nie widziały u stóp łądu. A kiedy noc

mroki rozsypała i rozpostarła dokoła cienie, do uszów lecących wysoko rycerzy uskrzydlnych dobiegł szum inny, niż ten, jaki orle skrzydła wydawały, szum im nieznany. To u ich stóp huczało morze.

Dalej przez noc ciemną lecieli po obcych szlakach, ciągle lotem wysokim. A kiedy brzaski zarannej jutrzni rozjaśniły im drogę, z góry ujrzeli w blaskach złotych świtu wyspę wielką, skalnymi gór niebosiężnych szczytami najeżoną, a wylaniającą się z toni wód bezkresnego oceanu granitowymi ścianami niedostępnych brzegów.

Wówczas Biały Orzeł, ciągnący na czele, zaczął spuszczać się z góry, a drużyna jego na skrzydłach orłowych za nim w ślad niesiona przez zaświaty, usłyszała Bolka Króla-pokutnika głos nieziemski, rozlegający się nad odmętami morskimi.

— Oto Lechia nasza, kraina tęsknoty wiecznej...

Poczym spadał Król-Orzeł z góry prosto nad wyspę, a w ślad za nim zlatywała uskrzydlna drużyna. Nad bezludną wyspą granitową rozległ się szum srebrnopiórych skrzydeł i zmieszał z hukiem fal morskich, rozbijających się o jej brzegi wysokie. Zatrzymały się orły białe nad wyżyną górską, gdzie pośrodku skał czerniło się gładkie zwierciadło jeziora, do Morskiego Oka w Tatrach wielce podobne, ale znacznie mniejsze. Ptaki opadły nad brzegi wody, a ledwie z nich rycerze pozsiadali, poderwały się z powrotem i rozpierzchły na wszystkie strony wyspy, wić sobie gniazda na skałach samotnych. Przed oczyma zaś rycerzy bez mieczy, okalających małe Morskie Oko pośrodku wyspy Lechii, stał znowu sam, nie w piórach orłowych, lecz w dawnej swej postaci, szkarłatnym płaszczem okrytej, Bolko Król ich Sprawiedliwy, mając u stóp swoich białego ptaka z rozpiętymi do lotu skrzydłami.

— Widzicie swoją arkę przymierza między przeszłymi a przyszłymi laty... Lechia ją wam przechowa przez długą noc ciemną aż po świt...

Co mówiąc, swej drużynie w chłopskich sukmanach i góralskich czuhach stojącej wokoło nad wodą, z uniesionymi w rękę rogatywkami z pawiem okiem i kapeluszami z piórkiem sokołem, ukazał kolorową skrzynię krakowską, przez szybę jeziora widną wyraźnie w toni wodnej.

— Oto wasza pieśń gminna, cudna legenda Piastowa. Strzeżcie jej czujnie w onej głębinie, dopóki czas nie nadejdzie na otwarcie tej arki... Na mój powrót czekajcie tu, rycerze moi bez mieczy, wyglądajcie mojego powrotu...

A kiedy wymawiał te słowa Bolko Król do swej drużyny, podniosły się skrzydła srebrnego ptaka u stóp jego, a z ramion opadł mu płaszcz szkarłatny i plamą krwawą pozostał na granitowej skale, znad której w zaświaty uleciał Król-Duch Orłem Białym, a rychło obłokiem zakryty, zniknął i przepadł w puszczę wieków...

## XV.

Szkarłatny płaszcz, którym Wanda osłoniła Bolka Króla, gdy na skale stanął, mając u stóp swoich rozpięte do lotu skrzydła białego orła, był właśnie ową purpurą, która nad małym Morskim Okiem w górach wyspy Lechii przed wiekami opadła z ramion Króla- pokutnika, w chwili gdy w oczach swoich rycerzy- chłopów ulatywał w zaświaty orłem białym, przykazując im czekać a wyglądać swojego powrotu...

Wśród kryształowych domków w dziewinie, u stóp białego posągu mistycznej lilii Matki-Dziewicy, kryła się grota mchowa, do której wnijście zasnuwał krzaczasty wieniec cierniowy, a w której wnętrzu przetrwał wieki w kryształowej skrzyni płaszcz ów purpurowy, pod strażą zastępu czystych dziewic, opiekunek dziatwy sieroczej.

Gdy o świcie wczesnym rozbudzano dziewin na powitanie Bolka Króla, zbiegła Wanda do mchowej groty, zalanej tajemnym światłem wieczystego kaganka. Spojrzała w głąb. A wtedy szkarłat, widny z poza kryształowej szyby, wydał się jej nie tak wypełzły i wybladły, jak zazwyczaj, gdy w nim wzrok topiła w rozmyślaniach. Przeciwnie, kolor purpury królewskiej stał się stokroć żywszym, lśnił się przedziwnie, jak gdyby blask złoty bił od fałdów szaty, która od dawna sprawiała wrażenie, że się rozpada w kryształowej trumience wśród pleśni mchów zgrzybiałych...

Ogień zajaśniał w źrenicach Wandy, które ślizgały się po tym ozywającym po wiekach zaćmienia szkarłacie. Krzyknęła z mocą:

Bolko Król powrócił!

Od jej głosu zatrzęśło się powietrze, a wieniec cierniowy zasnuwający wnijście do środka groty, rozsypał się w proch, otwierając przystęp do wnętrza.

Wanda upadła na kolana i pełzając po mchach, zbliżyła się do samej skrzynki kryształowej. Ręka jej wyciągnęła się do szyby szklanej, ale palce nie natrafiły na ścianę, która by osłaniała relikwię odwieczną. Dłoń krasawicy dotknęła się miękkich fałdów królewskiego płaszcza. Wtedy, niby piorunowym prądem rażona, zaczęła się trząść na całym ciele — i naraz jak oszalała, chwyciła oburącz materię purpurową i niosąc ją przed sobą do piersi przyciśniętą, posuwała się na klęczkach z powrotem z wnętrza groty mchowej do drzwi złotych, rubinami gęsto wysadzanych, które z podziemi wiodły do wieżyczki z tęczowych szkiełek, strzelającej pomiędzy kryształowymi domkami dziewina w górę, a zakończonej na szczycie kołem złotem z koroną koralową.

Wypadła stąd Wanda cichaczem i bez tchu w piersi doleciała do skały orłowej, gdy wszedł na nią Bolko Król. Pobiegła za nim po schodach na szczyt głazu i rozwinąwszy purpurowy płaszcz, zarzuciła mu go z tyłu na ramiona.

A kiedy się nim owinął, uczył Bolko Król w sobie jakieś moce niezwykajne, potężne... Coś błyskawicą rozdarło mu duszę, w piersi jego wykrzesala się jakaś iskra piorunowa...

I czuł Bolko, że ten majestatyczny płaszcz królewski przyrósł mu już do ciała i przylgął przedziwnie, jak gdyby nosić go sam umiał od dawna, od czasów niepamiętnych, — zawsze...

I coś — jakby wichr halny — zatrzęsło, załomotało mu całą wewnętrzną istotą, jak gdyby się w piersi jego zerwały skrzydła orłowe do lotu...

Zrozumiał, że naraz przestał być owym Bolkiem dawnym, z liliszkowskiej leśniczówki, którego stary ojciec, wygrywający na rogu pieśń wieczorną tęsknoty polskiej po bezkresnych pustkowiach melancholijnej ziemi inflanckiej, wyglądał z dnia na dzień z powrotem z zagranicznych studiów — a natomiast stał się naprawdę tym Bolkiem Królem, przez Lechię wyczekiwany, na którego cześć zrywały się tutaj hymny powitalne z wszystkich serc nabrzmiałych łzami tęsknoty wiekowej...

\* \* \*

O tej samej chwili, w której w proch się rozsypał zamykający wnijście do grotu mchowej wieniec z krzaków cierniowych, a trumna od wieków kryjąca purpurę królewską, otwarła się przed ręką Wandy na słowo jej wiary — rozległ się głuchy, niby podziemny grzmot w górach wyspy Lechii, które lud nazywał Tatrami.

Gwałtownie woda opadła w małym Morskiem Oku, a z niej wynurzyła się bajecznie kolorowa skrzynia krakowska.

Dzwon potężny ozwał się spiżowym głosem z głębin bezdennej topieli.

A wtedy wieko skrzyni chłopskiej podniosło się i odchyliło, jako wrota chaty wiejskiej na oścież.

Zawarta z zamknięciem trumny ostatniego króla-Piasta na Wawelu, otwarła się teraz po wiekach arka przymierza między przeszłymi a przyszłymi laty...

Z wnętrza wyłoniła się postać Lechii. Wiatr rozwał powłóczyście białe szaty kapłańskie nieśmiertelnej matki-kochanki, a płaszcz długi z włosów jej złocistych przemienił w wielką harfę grającą, nad którą trzy orły białe zatoczyły górne kręgi.

Zaledwie na granitowy brzeg Morskiego Oka stąpiła Lechia, otoczyli ją wieszczowie. Dwunastu ich wyszło ze swych pustelni tatrzańskich, a byli to starcy siwowłosi z długimi po pas, mlecznymi brodami sędziwego wieku, lecz źródłem młodości tętniący w zdrowej piersi pod białą sukmaną.

Oparci każdy o wysoką harfę srebrzystą, stanęli kołem pomiędzy granitowym skał murem a tajemnym zwierciadłem bezdennej toni jeziora.

A kiedy złote struny harfy z włosów Lechii, trącane skrzydłem archanielskim wichru, zadrgały, wydzwaniając hymn świtu, wieszczowie wtórem uderzyli w harf swoich struny srebrne, wołając chórem:

— Oto Lechia budzi pieśń gminną...

A dziewica nieśmiertelna z fałdów szaty białej wyjąwszy kaganek świetlany, snopy promieni siejący dokoła, podniosła go w górę — i tak trzymając wysoko, ruszyła przodem, za nią zaś w ślad podążyli wieszczowie; szli zasłuchani w

dźwięki strun złotych płynącej nad ich głowami harfy z włosów Lechii, ujętych w dwa wysokie skrzydła śnieżne, które z jej ramion wstawały orlimi pióry...

Poszli szlakiem sokolim, a kiedy minawszy szereg turni, przystanęli na skale niebotycznej, z której siklawy spienione z hukiem i szumem spadały na rozległą dolinę, daleki wschód słońca niecił wokoło po szczytach łuny jutrzniane...

Przed nimi leżał olbrzym granitowy, w śniegi wiekowe spowity, w lody zakuty. Nad nim Lechia podniosła kaganek światło rozsiewający, gdy wieszczowie uderzyli w struny swoje mocniej.

— Zbudź się, śpiący rycerzu bez miecza — zawołała Lechia nachylając się z kagankiem nad olbrzymią górą.

A wtedy rozległy się odgłosy grzmotów. To lody pękać zaczęły, skruszone skorupy opadały, a śnieg tajający pod ciepłym promieni światła, spływał po gładkach, niby znój z czoła żeńców w polu...

Olbrzym granitowy drgnął...

— Ożywa legenda Piastowa — szepnęła głosem tajemniczym Lechia, a gdy w tej chwili wiatr szarpnął gwałtownie struny złote jej harfy, wieszczowie o swoje srebrne uderzyli goręcej.

Zaruszała się w posadach góra przeogromna, okiem nieogarniona...

A światło z małego kaganka Lechii zalewało ją coraz szerszą falą, pod którą przyskały ostatnie okowy lodów... Powietrze zaś pełne było harfianych dźwięków, mieszających się z grzmotami, jakie wydawały pękające lody...

Wtem chrzęst się rozległ tak mocny, że aż ziemia zadudniła.

To olbrzym, wśród skał tatrzańskich od wieków leżący pod lodowcami, dźwignął się z ziemi i powstał żyw...

Spojrzeli nań wieszczowie, po strunach coraz to głośniejszym dzwoniący i przyglądając mu się, wołali chórem:

— Ożywa legenda Piastowa...

Przed nimi olbrzym wyniosły prostował bary szerokie.

Chłop potężny w szarej sukmanie, szerokim opiętej pasem.

Chłop-Piast...

Piast-Król...

Powstał i w blaskach słońca, wschodzącego nad szczyty tatrzańskie, zszedł siedmiomilowymi kroki olbrzyma-tytana z gór na doliny...

\* \* \*

Niewidzialna lampa, ukryta pod stropem, który na rzeźbionych w białe kwiaty czołach dźwigały lśniące czarne kolumny marmurowe, rozlewała bladą różową mdłą światło po zacisznej komnacie. Na dworze już noc ciemna dawno pierzchła przed wczesną jasnością wiosennego dnia brzasku, budząc po gniazdach świegocące ptactwo, gdy tu jeszcze światła sztuczne rozjaśniały mroki. Wielkie okna bowiem, stanowiące gdzieś całe ściany, były od dołu do góry

szczelnie zakryte ciężkimi zasłonami, byle nie przepuściły rankiem do środka komnat ani promyka złotego słońca.

Pod baldachimem z adamaszków jasnozłocistych spoczywało pomiędzy czterema filarami alabastrowymi miękkie łoże wygodne, pełne skór niedźwiedzich i sarnich, ozdobione rogami jelenimi i pióropuszcami ptasimi, a woniejące przedziwnie olejkami kwiatowymi.

Jeszcze słońce nie wstawało nad Lechią, a już z sypialni różowym półświatłem zalanej ozwał się dzwonek wzywający służbę.

— Pan spać tej nocy nie może — mruzcili rozbudzeni w sąsiedniej izbie służący i na odgłos dzwonka stłumionego śpieszyli po rozkazy.

Na łożu po raz niezliczony przewrócił się pan na inny bok, daremnie starając się zasnąć, gdy szmerem przez wejście służących przerażony zerwał się gwałtownie i usiadł. Dwaj służący skłonili się w milczeniu.

— Co się stało — pan zakrzyknął.

Nie było odpowiedzi.

— Czego mi spać nie dajecie?...

— Pan na nas sam zadzwonił...

— Aaa... Tak... Idź ty do Mira i rozbudź go... Niech do mnie zaraz przyjdzie...

A kiedy sługa wymknął się z komnaty kolumnowej, ginąc po cichu w fałdach miękkiej kotary, pan skinął na drugiego.

Gnąc kark, przybliżył się dworak lat starszych, odziany w krótki obcisły kaftan zielony.

— Słuchaj — rzekł mu pan, podpierając na łokciach głowę — pewny jesteś, że ów człowiek latający siedzi w wieży...

— Wszak widziałem go sam wieczorem, nim zmierzch zapadł... Zajrzałem cichaczem do izby i zastałem go siedzącego w oknie... Tak był zapatrzony w chmury i tak zamyślony, że ani mnie nie zauważył, ani nawet nie dosłyszał mego wyjścia...

— Spokoju mi nie daje myśl o tym człowieku skrzydlatym...

— Przecież gdyby on nawet chciał z wieży uciec, to dokądże zbiegnie... O co pan się lęka...

— Tak... myślę właśnie, że uciec nie miałby sposobu... Przecież od kiedy wiemy cokolwiek o Lechii, nie zdarzył się jeszcze wypadek, by człowiek żywy opuścił wyspę...

— Którędy... którą?

— Tak... tak — bąknął pan jakby do siebie w zamyśleniu — żadnego brzegu człowiek przebyć nie potrafi... ani z wyspy na morze, ani z morza na wyspę... A gdyby nawet obmyślił spuścić z jakiej wysokiej skały łódź, by nią uciekać przez ocean, to byłoby tylko śmieszne widowisko i nic więcej...

— Łódź, proszę pana, choćby najmocniejsza, dobra jest na nasze rzeki i jeziora, ale póki tu na naszej wyspie. Tymczasem gdyby nawet zdarzyło się kiedy morze bardzo spokojne i zręczny żeglarz zdołałby się i na wielkiej fali utrzymać, to przede wszystkim jakże się tam dostanie...



— Słusznie... Morze przy brzegach Lechii tak się gotuje odwiecznie, że wirów tych okropnych kłębiących się niby na kołach piekielnego młyna, nie da się przebyć żadnym sposobem...

— Zresztą dokąd szalenie zechciałby się wybrać poprzez ten bezkresny ocean wody... Nie w ludzkiej mocy poprzez tak ogromne i rozległe morza dotrzeć do jakiego lądu drogą wodną...

— Uspakajasz mnie co do tego...

— A gdyby zbiegł z wieży, to gdzież się ostatecznie ukryje na wyspie... Wszak odnajdziemy go wszędzie... O, był już taki... Pan nie pamięta... pan był chyba dzieckiem malutkim wtedy... Jeszcze na owe czasy pana nie miewaliśmy i jak zawsze dawnymi wieki tylko wiec rządził Lechią, a cokolwiek ustanowił, starosta wykonywał...

— Wiem, wiem... — mruknął pan jakby niezadowolony, przewracając się po łóżku. — Coś prawileś o więźniu jakimś...

— Właśnie mówię — podchwycił stary. — Otóż starosta jeden między nami zaczął żyć inaczej niżli wszyscy w Lechii. Gwałtem ludzi naganiał, by mu pomagali w łowach,.. Sam zabijał niedźwiedzie, sarny, kaczki... o co się u nas bardzo lud burzył i gniewał...

Pan rzucił się na miękkim łóżku ze złością.

— Przepraszam pana, ale chcąc tamto opowiedzieć, muszę przecież i to mówić... A tak było... Gorzej było, bo nikt tego nie znał przedtem jeszcze... Więc mówię, że ów starosta... właśnie jak pan... łowom się najchętniej oddawał... i chociaż mu nikt nie chciał tego robić, kazał ludziom ze skóry obdzierać upolowaną zwierzynę... i na ogniu pieczeń z niej robić dla siebie... jak pan...

— Po co mi to mówisz... Przecież ja taką pieczeń jadam stale i nikt z was się nie burzy na mnie za to... robicie to samo, co owemu staroście...

Dworak stary zgiał kark, ręce przed sobą załamał, a z jego piersi zduszonej wydarł się głos bezdźwięczny:

— Pan każe...

Na mgnienie oka cisza zaległa komnatę kolumnową, po czym pan się odezwał:

— Bardzo lud się burzył, powiadasz, przeciwko owemu staroście...

— Wiec napominał go, a wreszcie nie dał mu nadał sprawować starostwa. On zaś natenczas zrobił się jeszcze gorszym dla swoich domowników. Raz w złości wielkiej zabił człowieka, który mu nie zechciał piec gołębi nad ogniem... Zabił, panie, człowieka. Wtedy wiec osądził go i przykazał nowemu staroście, by zabójcę osadzono w wieży. Ten chciał uciec z więzienia. Myśli pan, że mu się udało... Dokądże by był uciekł... Na morze?... Raz zbiegł i próżno cały dzień szukano go na wyspie. Ukrył się w krzakach ogrodu miłości. Ale go tam odkryto i wydano staroście. Zbiegł ponownie, ale sam sobie życie skrócił, gnębiony wyrzutami sumienia... Utopił się w jeziorze łabędziem...

— Ale widzisz, ten człowiek nie miał skrzydeł. Gdyby mógł latać, nie byłby skakał w wodę, tylko powietrzem w świat wybrałby się w ucieczce...

— A przecież ten dzisiejszy nasz więzień na wieży już skrzydeł nie ma... Z niczego ich nie robi ponownie, a tamtego swego orła już nie odzyska...

— A czyś ty pewny, że nikt z przed świątyni nie ruszy jego latawca... Uważasz, ten Leszek nie wydaje mi się dość pewnym. Dlaczego on obronił jego orła przed zniszczeniem...

— Bo on sam przecież ciągle budując jakieś latawce, musiał tak sobie umiłować sprawę latania, że chociaż obcy mu był ten sztuczny orzeł, myślę, iż byłoby go bolało patrzeć na jego zgubę... Zresztą, panie, nawet gdyby nie odczuwał sam żalu, to ciekawość człowieka, który się tym ciągle zajmuje, który się nad tym już tyle namozolił i jeszcze swego nie dopiął, kazałaby mu ocalić od zniszczenia owo najświetniejsze rozwiązanie zagadki...

— Więc tyś spokojny, że Leszek czuwać będzie nad tym orłem zamorskim... Ale ja się wciąż niepokoję, że on gotów — z wdzięczności dla człowieka latającego, za to że on go ocalił od śmierci na stosie — ułatwić teraz więźniowi ucieczkę, gotów oddać mu skrzydła...

— Nie lękam się tego, panie...

— Gdyby Wanda poprosiła o to ojca, on dla niej zrobi wszystko... Nie boisz się zdrady Wandy...

— Nie, Wanda Lechii nie zdradzi.

— Słuchaj — nagle pan usiadł na łóżku i jął szeptać ciszej — a gdyby więźnia w wieży skępować mocno powrozami na wszelki przypadek...

— Panie, a co lud na to powie... Tego u nas nigdy nie było...

— Wielu rzeczy u nas dawniej nie było... A ja się o to nie pytam...

— Tak... — mruknął stary sługa jak echo — wielu rzeczy u nas dawniej nie było, a pan się o to nie pyta, pan robi inaczej, niż dawniej... Pan każe, a my robimy, jak pan każe...

— Może by go spętać na wieży, by nie uciekł i nie odnalazł swego orła białego... słyszysz, powrozami trzeba go będzie związać, jak związaliśmy Leszka...

— Panie, to było za zdradę Lechii... to co inne go było... A potem Leszek jest przecież tutejszy. Ten zaś więzień, któremu odebraliśmy skrzydła, jest jak gdyby gościem naszym.. Czyż można go aż powrozami krępować... Lud wyobraża sobie, że się wiec zwoła, na którym sprawa się wyjaśni, że więzień wobec starszyny, z całej Lechii zebranej, powie kim jest i skąd przybywa, po co... Lud wierzy, że jeno tymczasem zatrzymano w wieży skrzydlatego męża i latawiec jego przechowano przed świątynią do wyjaśnienia... Co by lud powiedział, gdybyśmy gościa przywiązali do wieży pokępowanego. Panie, panie...

— Gościa... ee! — mruknął pan okrywając się i wstając z łóżka. Jest w mojej mocy... Nie, nie... Musimy go spętać na wieży, bo ja nie mam spokoju przez niego... Słyszysz, ja się boję tego latającego człowieka...

Wtem sługa w niebieskim kaftanie wracający z dworu, uchylił kotary i cały drżący wślizgnął się do komnaty. Pan ujrzał go od razu.

— Sam jesteś?

— Mir idzie... Ale panie, straszno się coś dzieje...

Kolana ugięły się pod panem, który właśnie z pod baldachimu z adamaszków złocistych szedł w stronę okien, zakrytych jeszcze zasłonami.

— Co... gdzie?...

Starszy sługa skoczył ku oknom, by je odsłonić, lecz pan gestem trwożliwym powstrzymał go w porę.

— Nie wpuszczaj... nie wpuszczaj — jęknął, na to zaś stary dworak odgadując jego myśli, zamiast światła dzienne oknami do wnętrza sypialni wpuścić, rozjaśnił nocne lampy. Tymczasem drugi, zdyszany i załęczniony, zbliżył się przed oblicze pana i jął spowiadać, jako w górach wielkie ozwały się grzmoty podziemne, jako już ludzie pobudzeni opowiadają między sobą jakieś rzeczy tajemnicze i gromadzą się tu i owdzie, jedni jeszcze zaniepokojeni, inni właśnie rozradowani wielce...

— To z powietrza... to z pod ziemi... zewsząd coś grozi — mrucał do siebie pan blady, przysiadłszy na głębokiej ławie, miękko wysianej i z oparciem wygodnym. Jeszcze zaś goniec opowiadania nie dokończył, gdy trzeci służący, uchyliwszy kotary, szepnął:

— Mir przybył wołany przez pana... czyli go dopuścić...

Wprowadzono starca w kapłańskiej białej szacie, z długą siwą brodą do pasa.

— Czyś ty pewny — szeptem pan go zapytał — iż nie jest on Bolkiem Królem..

— W takim stroju, panie — odparł kapłan z przekonaniem — czyliż mógłby powrócić Bolko Król...

— Więc pewny jesteś, chociaż orłem białym z za mórz przyleciał...

— Wszak miałby purpurę na ramionach, nie zaś ubiór tak zwyczajny... miałby znak jaki, po którym byłbym go poznał w świątyni...

A wtem grzmoty głucho napełniły powietrze. Szum wielki słyhać było za murami pałacu. Światła sztuczne w komnacie kolumnowej nagle zagasty, jak gdyby od jakiego podmuchu tajemnego. Pan skuliwszy się jęknął, szcękając zębami. A słudzy jego ku oknom rzucili się naraz i pozrywali z nich zasłony. Jasność dnia wdarła się do komnaty, rozpraszając cienie. Pan zerwał się z siedzenia, chwycił wielką skórę niedźwiedzią, leżącą przed jego łóżem — i okrywszy się nią, rzucił się ku schodom czarnym marmurowym w jednym kącie za kotarą między kolumnami ukrytym. Za nim kapłan sędziwy i dworak stary podążyli, gdy reszta służby się rozpierzchnęła. Po schodach pan z towarzyszymi swymi dostał się na szczyt pałacu, gdzie w gęstwinie cyprysów pod ogromnymi palmami kryły się na rozległym tarasie altanki zaciszne.

Echa dalekich grzmotów zbliżały się, gdy pan z kapłanem stuletnim mijali balustradę z marmuru białego na skraju tarasu, skąd widok otwierał się niezwykle rozległy.

— Patrz — krzyknął pan nagle chwytając się jedną ręką starego dworaka, a drugą szukając ramienia kapłana — patrz... olbrzym idzie ku mnie... ku nam...

Ujrzał pan przed sobą górę granitową, która waliła się z bardzo daleka ku niemu, wyniosła, szeroka, a pędząca ze szczytów na doliny jak lawina...

Kiedy się zbliżała, rozpoznał w niej kształty chłopca-olbrzyma w szarej sukmanie, pasem robotniczym na biodrach spiętej.

Potężne widmo, robiąc kroki siedmiomilowe, posuwało się wprost w stronę pałacu marmurowego, na którego zacisznym tarasie pan się skrył z kapłanem i dworakiem.

— Widzisz... widzisz, jaki olbrzym — pan jęknął, ręce przed siebie wyciągnął i oczy, krwią z trwogi śmiertelnej zachodzące, utkwiał w dal...

Nagle zatrzęsł się na całym ciele, rękami po powietrzu uderzył — jak ptak postrzelony bije skrzydłami, gdy ma z pod chmur runąć w przepaść...

Zaryczał głosem nieludzkim i zwałił się do stóp kapłana martwy, na skórę, która mu z ramion opadła.

Dworak stary przykląkł nad nim, nachylił się i oczy na kapłana podniósłszy, wyszeptał struchlałym głosem:

— Pan nie żyje...

## XVI.

Bolko Król milczał na szczycie skały orłowej, zapatrzony w łąny kwietne, poprzez które nadchodzili ku dziewinowi ludzie w sukmanach granatowych i czerwonych czapkach rogatych z pawiem okiem...

Pobiegła naprzeciw nim Wanda, śledzona zaniepokojonymi oczyma dziewic na wielkiej polanie., Wzrok Bolka zatrzymał się na złotych włosach krasawicy, gdy się ona do nich zbliżała...

A stamtąd rogi o świtowej godzinie, po rosach porannych dzwoniące, grały bez końca i grały...

Ledwie do pierwszego z mężów zbliżyła się Wanda, ten od ust róg odjął i poza siebie w dal ku góróm ręką wskazawszy, zawołał:

— Pieśń wstała...

— Czy się Lechia zjawiała — zakrzyknęła Wanda.

— Wyszła z toni Morskiego Oka...

— Ożyła legenda Piastowa — wołała krasawica i obróciła się twarzą w stronę Bolka Króla, stojącego w purpurze na skale nad rozwiniętymi do lotu skrzydłami białego orła.

— Zbudziła Lechia śpiącego rycerza — mówił jeszcze jeden z mężów, gdy drudzy dalej z wszystkich sił dęli w swoje rogi. — Rycerz-olbrzym bez miecza, w sukmanie, wstał z granitowego łoża i zszedłszy z gór na doliny siedmiomilowymi krokami, zniknął w oczach wieszczów...

— Zniknął — powtórzyła Wanda i nie czekając słów dalszych, pobiegła z powrotem ku orłowej skale przed dziewinem.

A tam już nadlecieli górale z wieścią, że na widok zbliżającego się chłopa-olbrzyna, pan umarł...

Kto zaś gdziekolwiek nowinę ich dosłyszał, ten lżejszą pierśią jakby z ulgą odetchnął...

Wszystkimi ścieżynami poprzez łąny kwiatów lilijnych zbiegał się lud z różnych stron na wielką polanę zieloną, pośrodku której czerwieniła się w słońcu porannym postać Bolka Króla na zrębie skały orłowej.

A najszerszym gościńcem, po obu bokach wysadzonym gajami białokorej brzozy-płaczki, siwe woły ciągnęły tu wóz drabiniasty, na którym sierpy błyskały, w snopy zboża zatknięte — i młoty czerniły się na kowadle, zagrzebanym w sianie — obok pługa, przystrojonego, widnymi zdała niby krwi plamy, kwiatami maków...

Obok wozu szli gromadą ludzie od pługa i młota, a idąc trzymali się drabin rękami, przy ciężkiej pracy szerniały.

W ślad za wozem postępowało wieszczów dwunastu ze swymi srebrnymi harfami, nad którymi płynęła majestatycznie na białopiórych skrzydłach, z ramion Lechii nieśmiertelnej wstających, wielka harfa o złotych strunach czułych z jej włosów, wiatrem losów burzliwych rozwianych wysoko.

Z daleka dziewice nad dziatwy gromadką skupione na polanie ujrzały cudną postać anielską Lechii, matki-kochanki, jak po obłoku spowijającym rozelkane chorałem wieszczów harfy szła ku dziewczynowi.

Odsłoniły się naraz białe welony, co wdzięki niewieście dotychczas kryły, a kwiaty lilii podniosły się w górę, niby ogród żywy, w niebo kadzidłem woni bijący...

Bolko Król zoczył o tej samej chwili zjawisko nadziemskie i swoje spojrzenie zachwycone utopił w drgających od promieni słońca strunach złotej harfy nad głową Lechii...

Co chwila nowi gońce zbiegali się z różnych stron, wieści różne nadnosząc, kędy widziano, jak olbrzym przechodził...

Zbliżył się wóz drabiniasty do samej polany, tuż poprzedzając Lechię, którą skrzydła z piór orlich niosły nad wieszczami, gdy gromadka górali podbiegła do nich z żalem serdecznym:

— Patrzyliśmy z wierchów za nim, po turniach goniliśmy darmo... Rycerz przebudzony szedł jak wichur przed siebie i zniknął nam... przepadł...

— Nie przepadł on nigdzie — rozległ się naraz w powietrzu nadziemski głos Lechii w odpowiedzi — nie przepadł, lubo wam zginął z oczu...

Zewsząd jęli wszyscy kupić się dokoła Lechii, nad harfami wieszczów przemawiającej do ludu, przy wtórce dźwięków tajemniczego hymnu strun rozdzwonionych.

— Nie szukajcie daremnie rycerza z wiekowego snu zbudzonego, albowiem jest on w was i pomiędzy wami...

Właśnie wóz drabiniasty z pługiem i kowadłem przystanął przed wyniosłą skałą orłową, otoczoną już barwnym tłumem ludu, a Lechia nad wieszczów

siwymi głowami zbliżyła się do Bolka Króla, który jak zaklęty stał wysoko, widny wszystkim z dała na tle czystym nieba zarannego, cały purpurą okryty, potężny w swej jedności na granitowym złomie, mając u stóp do lotu górnego rozpięte białe skrzydła królewskiego ptaka.

Od nowa zabrzmiał głos Lechii.

— Ten, kogo pieśń wasza z kamiennej martwoty zbudziła, do was wszak powrócił... Toć on z krwi waszej krew i z waszej kości kość...

I ręce obie do Bolka wyciągnęła z pod kapłańskich szat białych nieśmiertelna matka-kochanka.

— Oto wasz Ból w szkarłatny płaszcz odziany... Jego to pieśń wasza zbudziła...

Dokoła daleko zaszumiało od ludzkich głosów. Gromadka zaś pobliska zaszemrała, wpatrzona w postać Bolkową:

— Olbrzyma widzieliśmy, jak w doliny z gór schodził wichrowymi krokami...

— On z wami społem olbrzym — mówiła Lechia — bez jedności z wami moc w nim zanika...

Wrzawa dokoła rosła. Coraz głośniej i wyraźniej podnosiły się głosy:

— Królem nam być musi ten, na którego widok padł trupem pan srogi...

— Oto jest z waszych bólów Ból — zawołała cud-dziewica z grającą hymn tryumfu harfą z włosów złotych — oto Piast po wiekach ozywający, dawnej Lechii Orzeł Biały, co się wcielał w Królów Chrobrych i Szczodrych i w Wielkim Królu chłopów zagasnął jako lampa dziejowa...

W tej chwili w białej dłoni Lechii błysnął kaganek, ten sam, pod którego ciepłem promieni jasnych góra olbrzymia ożyła i z martwych powstała.

Ręka z kagankiem zbliżyła się do głowy Bolka, a wtedy nad jego czołem zaświeciła gwiazdka promienna.

— Patrzcie, oto Chłop-Król z gwiazdą ducha Piastów, co u złotych bram Kijowa zabłysła nad czołem Chrobrego, a zgasła nad pogrzebaną w trumnie wawelskiej koroną Gospodarza Wielkiego...

— Król nasz Piast — wołano po rozległej polanie w stronę skały orłowej.

— Przez wieki długie pod opoką granitów tatrzańskich drzemał święty ogień nieśmiertelny królewskiej chaty Piastowej... Oto go widzicie, jak od nowa zapłonął gwiazdą jasną nad czołem Chłopa-Króla, gwiazdą, co go bez miecza na wszystkie pola chwały zawiedzie orłem białym do zwycięstw wiecznych nieśmiertelnego Ducha...

Przy ostatnich słowach wiatr wionął, porywając echa końcowych dźwięków hymnu tryumfalnego. Rozwiał złote włosy, w ramach skrzydeł białych cudowną tworzące harfę... I białe szaty kapłańskie widma-dziewicy rozwiał nad głowami siwymi wieszczów, po srebrnych harf swoich strunach dzwoniących w natchnienia zachwycie...

Niby w obłoku dymów z kadzielnic ofiarnych, zniknęła Lechia ze swą wielką harfą złotostruną, odchodząc niewidzialnym szlakiem górnym w błękity zaświatów wieczystych, dalekie a bliskie, jasne a tajemne...

Gdy tymczasem przed wozem pracy, w siwe woły zaprzężonym, lud się rozstępował na obie strony, do stóp skały bowiem zatoczono rydwan do nieziemskich podróży, ogromny, biały wóz skrzydlaty, na którym zza mórz dalekich, z podobłocznych stref nieznanych, przybył Bolko Król do Lechii.

Drgnął on teraz na szczycie skały, gdy oczy jego spotkały się ze spojrzeniem Wandy i jej ojca Leszka, którzy mu powracali latawca.

— Mój Orzeł Biały — szepnął on rozradowany, kiedy właśnie zamieszanie wielkie powstało w tłumie.

Ludzie rozstępowali się, z trudem przepuszczając przez ciżbę dwóch mężów siwowłosych.

— Mir chroni się do dziewina — wołano — patrzcie, jak strwożony...

— Pewnie lęka się ludu z powodu swej omyłki — mówili jedni.

— Już go pan w marmurowym pałacu nie obroni — odzywali się inni.

A wtem przed skałą orłową pośrodku ciżby największej zbiegłego już ze wszystkich stron wyspy ludu, przystanął siwą brodą długą trzęsący kapłan stuletni w szacie białej. Na ramieniu towarzyszącego mu w ucieczce, starego dworaka pańskiego w zielonym kaftanie na giętkim karku, wsparłszy się, podniósł na szczyt skały swoje przenikliwe oczy przepastne z pod krzaczastych brwi mlecznych.

Patrzył długo na wyniosłą postać chłopskiego syna Jana Króla z Poręby, w szlacheckim gnieździe wiarusów Bogoria-Kwaszewskich wychowanego pod okiem pustelnika Gajtysa.

Przyglądał się uważnie szkarłatnemu płaszczowi na jego ramionach i gwiazdce geniuszów nad czołem — poczym zawołał głosem wielkim do ludu:

— Poznaję go po purpurze... poznaję go po znaku z nieba... On jest od wieków wyczekiwany a wyglądany nasz Bolko Król...

A kiedy lud podniósł wielki krzyk rozradowania, Bolko ze szczytu skały schodził, by dosiąć swego „Białego Orła”...

## XVII.

Słońce chyliło się coraz bardziej ku morzu. Wiatr lekki z zachodu napędził nieco chmurek kolorowych, które bujały lekko, a nie wyglądały groźnie. Zresztą całe niebo wisiało nad Lechią pogodnie i spokojne, jak gdyby leniwie wyczekując wieczornego zmierzchu.

Do ogrodu popiołów schodzili się od godziny ludzie gromadkami z wszystkich stron i krążyli między zielonymi grupkami brzoź o siwej korze, rozmawiając z sobą nie głośno.

Tu i owdzie przystawali przed większym posągami kamiennym, który na tle świeżej zieleni wiosennej warkoczyków brzoźowych wznosił się wysoko ciemną postacią nad pogłowiem jasno i barwnie odzianych ludzi.

Gdzieindziej garstka niewiast i dziatwy z paru mężczyznami pośrodku, otaczała figurę kamienną brzozami ocienioną, która od nich wcale nie wyższa ni większa, zdawała się ożywać na chwilę rozmowy z gośćmi.

A wtedy zazwyczaj dzieci lub niewiasty chylały się nieopodal raz za razem nad bujną murawą lub w głąb bajecznie kolorowej łąki się zapuszczały na chwilę, by stamtąd snop przynieść cudnego kwiecica i wić zeń wianki to proste, to znów kunsztowne i misterne, które zaraz na martwą głowę, na szyję lub na rękę zawieszały figurze kamiennej, strojąc ją i uśmiechając się do niej niby do postaci żywej, nawet odzywając się do niej niekiedy słodkimi słowy...

Aliści niektóry stał gdzieindziej przed posągiem męża lub kobiety — sam jakoby z marmuru... Stał i patrzył długo wzrokiem niemym a wymownym... Spotkały się oczy żywe z oczyma z martwego głazu, aż się w jednych łąza zaszklila, zasłaniając spojrzenie...

Bolko Król właśnie przechodził koło posągu starca stojącego w pełnej życia pozie na kwiatkami zarosłym kopczyku, gdy młodzieniec w granatowej sukmanie, stojący przed pomnikiem, oko zwilżone śpiesznie ocierał...

Przystanął Bolko. Ten posąg przypominał mu własnego ojca. Twarz była wielce podobna i postać wyniosła...

Krok przed siebie zrobił Bolko, jakby pod sam pomnik podchodząc, a wtedy młodzian z okiem załzawionym odwrócił się ku niemu zdziwiony, lecz natychmiast Króla w nim poznawszy, cofnął się, uchylając przed nim czoła.

Ręce obie ku niemu Bolko wyciągnął i głosem dziwnie wzruszonym odezwał się:

— Za wcześnie ojciec odszedł... Nie... Tak się tylko tobie wydaje... Pan go stąd odwołał, bo ci był stamtąd potrzebny... On by tutaj już nie umiał pomóc ci dalej, jakby miłość jego chciała... Tam zaś Pan mu taką da moc, że cię będzie mógł powieść, dokąd zapagnie w swej wielkiej miłości...

Młodzian nagle oparł głowę o ramię Bolka, a kiedy ten zamilkł, szepnął:

— Dziwne wasze słowa... a tak koją ból i żal po stracie ojca i przyjaciela... Do duszy mi przemówiły... Teraz zgon ojca rozumiem... Teraz mi żyć będzie inaczej, odkąd czuję, że to on mnie wiedzie po dziwnych, nowych, nieznanych drogach... Bóg wam zapłać za te słowa...

Naraz przed oczyma Bolka zamajaczyła pustelnicza twarz wiekowego plebana liliszkowskiego. Toć on mu takie rzekł słowa po zgonie pana leśnego... Toć tylko te słowa starego Gajtysa powtórzył Bolko tutaj nieznanemu młodzieńcowi...

Nie kto inny, tylko ksiądz Kazimierz zapewniał go w swej pustelni przy kaplicy w borze, iż ojciec z poza grobu powiedzie go przez życie inaczej... tajemnym szlakiem miłości... a lotem górnym, który się nigdy nie zniża i nigdy w błocie skrzydeł nie zaszarga...

— Wzlecisz z nad padołu łąz — mówił mu starzec mistycznymi wyrazami — wzlecisz wysoko i miniesz morze krwi... aż ujrzysz z obłoku nowy łąd i inny świat... inną ujrzysz Polskę...



Odleciał Bolko w obłoki i z wysoka ujrzał pośrodku oceanu wyspę Lechię i swoim „Białym Orłem” zleciał na ten nowy ląd nieznany... i żyje w tym innym świecie niepojętym... i chłonie w duszę tę Polskę, którą tutaj ujrzał inną... I gdzie sam stał się naraz tak innym...

W tej chwili przypomniały mu się nagle słowa Wandy, wyrzeczone w tajemniczej ciszy nocy, gdy po ogrodzie miłości krążyli, kiedy ona zapewniając go, iż nawet wtedy, gdy wszyscy zwątpili, zali to on, którego z ojców na synów czekając wyglądali, ona jedna wraz z ojcem swoim wierzyła, że to Bolko Król zleciał na skrzydłach białego orła świętej Lechii...

— Iżeś to ty sam, mój Królu — mówiła mu wtedy krasawica — zleciał z obłoków, by nas wszystkich, jak mego ojca, od spłócenia na stosie ognia tęsknoty wybawić...

Żywo teraz przed oczyma Bolka stanął ów wieczór w blaskach purpurowych zachodu słońca skąpany, kiedy jego „Biały Orzeł” znad oceanu wleciawszy nad nieznaną wyspę, krążył nad zapalonym stosem na szczycie olbrzymiej budowli granitowej, wyglądającej, niby jakiś niebosiężny katafalk kamienny...

Zaczął się rozglądać obecnie po melancholijnym ogrodzie popiołów, gdzie ludzie ciągle gromadkami snuli się między grupami brzoź, co swe gałązki zielone jak płaczki włosów welony zwiewne nachylały nad kamiennymi posągami — i uprzytomnił sobie, że znajduje się właśnie na tym samym cmentarzu, na którym rozległy się pierwsze hymny na jego cześć, na tym samym cmentarzu, pośrodku którego, zamknięta kolumnami topolowymi, sterczała wysoko owa budowla kamienna pod stosem płonącym...

Rozejrzał się dokoła i od razu spostrzegł ten pamiętny dlań katafalk granitowy.

Za chwilę otoczony tłumem barwnym a milczącym poważnie, stanął Bolko na ukwieconym tarasie naprzeciw pierwszych stopni kamiennych tej olbrzymiej budowli, mając przy sobie Wandę i jej ojca Leszka.

Wszyscy w milczeniu stali zapatrzeni w marylę, na których, rozpostarte sztywnie na skórkach, widniały zwłoki pana. Wtedy Leszek wyszedł na podniesienie i przemówił:

— Niczyjej miłości nie zaskarbił sobie, bo sam nie miał dla nikogo miłości...

Tu nachylił się ku zwłokom na marach u jego stóp leżącym i zawołał donośniej:

— Za to my, cośmy go przyszli pożegnać po śmierci, przebaczymy miłościwie wszystko jemu, który nie przebaczał nikomu...

Zamilkł Leszek na chwilę, a tymczasem po tłumie szmer przeleciał, jak gdyby słyhać było westchnienie jedno z tysiąca piersi wrywające się naraz mimo woli.

— Nie doznał od niego nikt niesprawiedliwości i krzywdy większej nade mnie — mówił dalej Leszek. — Dlatego więc ja właśnie za lud cały składam na zastygłych ustach złego pana pocałunek miłości serdecznej, na znak szczerego przebaczenia...

Co mówiąc, zeszedł do trupa i padł mu na twarz...

Za chwilę mary wyniesiono po wysokich schodach kamiennych na szczyt piramidy. A tymczasem z jednego rogu ośmioboku, kolumnami topolowymi zamkniętego, ozwały się dźwięki żałobne cytr, w altanie z białych pni brzoźowych ukrytych, a w harmonijny zespół zestrojonych...

Wtedy Wanda zwróciła się do Bolka i szeptem zagadnęła:

— Pamiętasz ty, mój Królu, gdzie usiadł twój „Biały Orzeł”, kiedy z za mórz przyleciałeś z pod nieba nad naszą Lechię...

— Tutaj przecie — odparł Bol — wylądowałem na najwyższym stopniu tego olbrzymiego katafalku.

\* \* \*

— Ten wielki popielnik budowały wszystkie pokolenia mieszkańców Lechii — zaczęła opowiadać krasawica.

Pierwsze głazy granitowe z gór przywlekli tutaj i ustawili owi praojce nasi, którzy tu z Polski na skrzydłach orłów białych, po wymarciu Piastów rodu, przylecieli z Królem-pokutnikiem.

On im nie pozwolił grobów tworzyć na tej wyspie dalekiej i grzebać w jej ziemi swoich zmarłych.

Kiedy z Polski odlatywać mieli, każdy z chłopów-rycerzy dostał od Lechii po dwa dzbany gliniane.

Po jednym zostawili w ojczyźnie. Po dziś dzień ma tam być w każdej chacie ludu z pokolenia w pokolenie chowana urna-łzawnica, która z czasem przemieniała się po domach na dzbany i misy gospodarskie: w nich dzisiaj lud miesza od dawna strawę swą codzienną ze swymi łzami niedoli, które zbierać miał w owe glinianki po praojcach...

A co drugi z dwojga dzbanów Lechii pozostał od wieków potąd niezmieniony. To wówczas każdy z rycerzy, na orłach białych z Tatr za morza do nowej Lechii lecących, zabrał dzban drugi ze sobą.

Te urny-popielnice, po przybyciu swoim tutaj, chłopci-rycerze ustawili rzędem w grocie dziadów, gdzie dotychczas stoją wszystkie.

Skoro ktokolwiek umarł z owych rycerzy, towarzysze przynosili jego zwłoki tutaj, na ten cmentarz i zapalali stos na wierzchu wielkiego popielnika.

Za ich czasów były to tylko te dwa pierwsze stopnie tak dziś wysokiej piramidy. Każde następne pokolenie zносиło tu dalsze ciosy granitowe i podwyższało popielnik.

Lechia zaś zapytywana przez każde z nich, czy jeszcze długo trzeba będzie wznosić tę wysoką mogiłę kamienną, odpowiadała zawsze jednako, że dopóty, aż raz na jej szczycie usiądzie orzeł biały...

Tymczasem w ciągu wieków na szczyt jej każde nowe pokolenie kładło nowe ciosy granitowe i na świeżym schodzie do nieba zapalało stos żywiczny, ile razy kto umarł...

A zamiast grzebać go w tej dalekiej od ojczyzny ziemi, spalało się na tym cmentarzu zwłoki jego na garść popiołów, które w kryształowej czarze, w dziewinie przez dziatwę zrobionej, niosło się do groty dziadów. Tam każdy ród ma swoją popielnicę, ów dzban przez rodu założyciela, jednego z rycerzy skrzydlatych, zostawiony.

Wnuki świeżą garstkę popiołu dosypywały do dawnych prochów dziadowskich, aż wypełniły się po brzegi wszystkie popielnice.

Przed kilkunastu dniami stróże groty dziadów właśnie przekonali się, że już w żadnej urnie ani żdźbła miejsca nie ma na pomieszczenie nowych popiołów, z wyjątkiem jedyne go dzbanu po moich praojcach.

Dziś ojciec mój oświadczył starszyźnie, że prochy pana, dla których w żadnej już miejsca nie ma, pozwala wsypać na wierzch naszej popielnicy...

Za chwilę wypełni się ona po brzegi... i to po raz pierwszy prochem nie swojego rodu.

A co dziwniejsza, wszystkim się zdawało, iż popielnica naszego rodu zamknie się właśnie garścią szczątków Leszka, mego ojca.

Jam w to wierzyć nie chciała i do ostatka nie wierzyłam ja jedna...

Ufałam do końca.

Bo życie moje całe, to przeciągłe westchnienie nadziei.

Starych i młodych opanowywało zwątpienie, gdy ja we wszystkim znalazłam otuchę.

Kiwali głowami posępnie na każdym pogrzebie, znajdując sposobność przyjrzenia się, jak bardzo wysoko urósł ten niebotyczny popielnik. Mnie się tymczasem wciąż wydawało, że chyba nie sposób, by jeszcze następne pokolenia miały podwyższać tę olbrzymią mogiłę.

Boć już tak głązy przez naszych współczesnych na wierzchu złożone zwężyły jej wierzchołek, że naszym dzieciom, gdyby miały nowe ciosy dokładać, za ciasno byłoby na szczycie stos rozpalać na przyszłe pogrzeby.

Wyglądałam tedy, na przekór innym, owego orła białego, który by usiadłszy na szczycie mogiły niebosiężnej, dał znak, że nastał kres dla tej cmentarnej budowli narodu. A kiedy ptak królewski nie przylatał, biegłam ze swym ojcem w najdalsze okolice Tatr naszych, podpatrywać gniazda samotne białych orłów na odludnych skałach dalekich, na szczytach w chmur wieńce strojnych uwite jeszcze przed wiekami przez owe ptaki olbrzymie, które tu na swych skrzydłach srebrnopiórych z Polski przyniosły z tamtych Tatr macierzystych — chłopów, górali, bez miecza rycerzy.

I zdawało mi się, że tych orłów teraz z każdym dniem lęgnie się więcej, że ich nigdy wprzód nie było tyle w Lechii i że nigdy skrzydeł nie miały tak szerokich, tak potężnych, jak ostatnimi czasy, kiedy w moich oczach stawały się podobne do tamtych orłów białych z przed wieków, zdolnych w zaświaty ponosić rycerzy. Więc ojcu mówiłam, że chyba czas nadchodzi przez Lechię przyrzeczony, przez Króla-Pokutnika zapowiadany, czas powrotu naszego na orlich skrzydłach z

wyspy tęsknoty wieczystej do ojców naszych ziemi obiecanej, mlekiem spokoju i miodem dobra płynącej ziemi-matki...

\* \* \*

Wtem Leszek przerwał opowiadanie córki i sam zwrócił się do Bolka:

— Z każdym dniem bardziej utrwalała się w Wandzie wiara, że za dni naszych Bolko Król musi powrócić...

Godziny długie spędzała ona na rozmyślaniach samotnych w grocie mchowej pod dziewinem, wpatrzona w purpurę płaszcza królewskiego, poczym ze mną wyprawiała się między skały niedostępne, śledzić wzrokiem białe orły z gniazd wylatające.

Wtedy mnie na myśl przyszło, że może w błędzie jesteśmy wszyscy, czekając z założonymi rękoma na chwilę cudu...

Zastanowiłem się, że może należałoby ludowi wygnańców ułatwić powrót do raję...

Powziąłem myśl śmiałą, by zamiast czekać, aż orły same się zjawią po nas, zbudować orły sztuczne, na których dałoby się po przez morza zalecieć do Polski...

Ja nie zwątpiłem bynajmniej, że ten, którego przez wieki u nas z ojca na syna wyglądano z utęsknieniem, powróci Bolko Król, jak zapowiedział swoim rycerzom.

Owszem, wierzyłem w natchnienie wieszczce córki mojej, że powrotu Białego Orła doczekają się właśnie nasze oczy...

Ale tym bardziej wydawało mi się potrzebne obmyślenie sztucznych latawców, żeby lud sam sobie zawdzięczał najwięcej i żeby powrót Króla-Piasta zastał go już w pogotowiu.

Przeto podpatrzywszy tajemnicę lotu orłów, zacząłem pracować usilnie nad własnym pomysłem przyrządu do latania.

Odkąd wiec ustanowił mnie strażnikiem Lechii, zamieszkałem z jedyną córką a nieodstępną towarzyszką od dawnej śmierci jej matki, na szczycie czatowni, nieopodal brzegów morskich, na owej wysokiej wieży, gdzie przez dni parę byleś, Królu nasz, więźniem zmarłego pana.

U jej stóp w podziemiach mieści się grota dziadów z popielnicami, skąd też korytarze podziemne rozchodzą się po całej wyspie.

Wieża ta długie już przetrwała wieki. Na czatowni zawsze mieszkał strażnik Lechii, który wyglądał hen na oceanie bezkresnym zjawienia się z dala Białego Orła.

Aliści wieki mijały, a żaden z moich poprzedników nie dojrzał nigdy pod niebem nijakiego latawca, ni na falach morskich okrętu.

Miał w podobnym razie dać znać dalekim podróżnym głośnym znakiem z Lechii; miał też sposób od razu w razie potrzeby, na skutek swego spostrzeżenia na morzu, zawiadomienia o tym całej wyspy.

Nie skorzystał z tego wszelako żaden z moich poprzedników. I mnie niestety minęła sposobność radosna uprzedzenia Lechii o zjawieniu się nad oceanem zbliżającego się ku nam „Białego Orła”. Pracowałem niemal bez wytchnienia, na samym szczycie czatowni, byle nigdy z oka nie tracić dalekiego nad oceanem widnokręgu, aż udało mi się zbudować sztucznego orła, który by uniósł człowieka.

Spróbowałem zlecieć z wieży.

Opadłem pomyślnie z tak znacznej wysokości i po chwili z ziemi wzniosłem się w górę, bujałem trochę dokoła budowli i osiadłem na szczycie czatowni, przy czym ani sam nic sobie nie zrobiłem złego, ani latawca nie uszkodziłem.

Więc uszczęśliwiony, chciałem wobec wiecu popisać się swym wynalazkiem, żeby dla wszystkich orły podobne budować...

Ale właśnie przestał wiec Lechią rządzić.

Dostaliśmy pana.

Zmieniło się u nas nagle wszystko nie do poznania.

Przestałem radować się swoim orłem. Mimo że cały lud się na to oburzył, zabrano mi cudownego latawca i spalono...

Zabroniono mi nawet robienia nowych.

Mir bowiem, ów stuletni kapłan, zapewne na rozkaz pana, oświadczył, iż byłoby zdradą Lechii, myśleć o opuszczeniu własną mocą wyspy wieczystej tęsknoty.

Wiadomo, że wszystkie trzy brzegi Lechii są nie do przebycia.

Widziałeś, mój Królu, kiedy znad oceanu zbliżyłeś się do nas, że siłą ludzką nikt z morza nie dostanie się na wyspę, ani jej opuścić nie potrafi, chyba drogą powietrzną jedynie.

Dlatego właśnie na tę jedną zwróciłem uwagę i jej wyłącznie poświęciłem tyle myśli i pracy.

Pan uląkł się moich pomysłów. Zatrwożył się, że jego tyrani grozi niebezpieczeństwo.

Bał się nawet wieści, którą szerzyła po wyspie moja córka, że czas nadchodzi powrotu Bolka Króla...

Zaczął ją prześladować, mimo że szło mu to ciężko, lud bowiem widział w Wandzie swą wieszczkę natchnioną i nie byłby pozwolił jej tknąć nikomu.

Ale kiedy pan przez szpiegi dowiedział się, że bez względu na zakazy kilkakrotne, ja w dalszym ciągu pracuję na szczycie czatowni nad nowymi skrzydłami dla człowieka, kazał mnie na wieży uwięzić.

Trzymano mnie skrępowanego, tak się lękano moich pomysłów orlich...

Wtem wieść się rozniosła, nie wiadomo skąd powstała, że ja pomimo więzów latam nocami orłem białym nad Lechią, że mnie wreszcie widziano krążącego nad pałacem marmurowym, w którym pan mieszkał.

Wówczas stała się rzecz straszna, jakiej nie było jeszcze nigdy w Lechii.

Pan wydał wyrok okrutny na mnie, jako na grożącego mu niebezpieczeństwem wielkim, zdrajcę Lechii.

Kazał mnie żywcem spalić na stosie, tak samo jak palono zazwyczaj trupy...

\* \* \*

— A jednak nawet wtedy — zawołała z kolei Wanda, przerwawszy Leszkowi opowiadanie — gdy ojca wprowadzono po wysokich schodach kamiennych na szczyt wielkiego popielnika, nie zwątpiłam jeszcze...

Wierzyłam niezachwianie, że on tam po śmierć nie idzie, że się Lechia nie splami tak ohydną zbrodnią... że jeśli kiedy biały orzeł ma usiąść na wierzchu tej niebosiężnej mogiły kamiennej, toć chyba wtedy, by w porę nie dać złemu panu wypełnić nieludzkiego wyroku na niewinnym człowieku...

Więc kiedy nawet stos zapłonął na wierzchu popielnika, nie straciłam jeszcze nadziei, wierząc, że się płomień ojca mego nie dotknie...

Tylko w niebo wzrok utkwiałam ufnie i czekałam Bożego wyroku...

I nie na próżno wyglądałam stamtąd pomocy...

A wiesz, mój Królu, jakiegom doznała wrażenia, gdy się twój „Biały Orzeł” pod niebem pojawił wysoko nad płonąącym stosem...

Oto zanim zrozumiałam, że to zjawienie się twoje w samą porę, przynosi ocalenie memu ojcu od śmierci strasznej na stosie... i że przeciw tak wyraźnemu znakowi z nieba nie odważyłby się wystąpić ni pan ni kapłan w pańskiej służbie... i zanim pojęłam, że to nie kto inny spod nieba zlatuje, jak tylko ten umiłowany gorąco moim sercem za wszystkich współczesnych i przeszłych, upragniony Bolko Król... uczułam przede wszystkim ulgę wielką na widok białego orła usiadającego na szczycie niebosiężnej mogiły kamiennej... bo mnie od razu myśl opanowała, że to myśmy znieśli ostatnie ciosy, co naszym następcom schody zbudowały do nieba, ale że już syny nasze nie będą musiały wznosić naszym śladem onej mogiły bez kresu...

I taka radość, mój Królu, narodziła się w mojej piersi na tę pierwszą myśl, jako już orzeł biały kres położył tej mogile i tym ciosom znoszonym przez pokolenie za pokoleniem — że byłabym gotowa sama na stos pójść za to ochotnie i żywcem w ogniu męki spłonąć, byłeś ty tylko, Orle Biały, wybawił po wiekach Lechię z mąk tęsknoty...

## XVIII.

Gwiazdy błyszczą jaskrawo na ciemnych lazurach, które mrokiem nocy cichej i ciepłej zasypywały uśpioną Lechię.

Tatry orłów białych, wyciągając w niebo ramiona szczytów ośnieżonych i w lód zakutych, milcząły w potędze swej samotności, zamknawszy niby grób usta z granitów skalnych, jak gdyby zamarła w nich moc słowa, które mogło się ozwać hukiem gromu i błyskawicą światła rozjaśnić świat cieniów...

Tajemnym szlakiem, a na zawrotnych wyżynach, kędyś orlą percią, co wierchy tatrzańskie w chmurach wiązała ponad przepaście bezdenne, wiodła Wanda w noc gwiaździstą Bolka Króla przez przełęcz do małego Morskiego Oka.

Pierwszy raz szła tam krasawica od czasu, gdy świeżo spod zwierciadła mistycznego jeziora zniknęła bajecznie kolorowa skrzynia krakowska, kryjąca przez wieki w arce przymierza, między przeszłymi a przyszłymi laty, cudną legendę Piastową.

Córce Leszka nie trzeba było światła dziennego, by nie zmylić dróżki na urwistej skał krawędzi.

Ona w sobie światło miała, które ją wiodło poprzez manowce w mrokach.

Tyle w onej ziemiance było niezemskiego, co w onych dziewicach, które przed wiekami na spotkanie rycerzy bez mieczy, na skrzydłach orłów białych zlatujących na bezludne pustkowiec wyspy wiecznej tęsknoty, wychodziły z piany srebrnych fal morskich, oblewających z wszystkich trzech boków Lechię; wychodziły z mgieł białych, wstających wieczorem nad jej rzekami i stawami, wychodziły z oparów sinych, unoszących się obłokiem nad złotokwietnym mokradłem w głębi puszczy leśnej, wychodziły z tęczy siedmiobarwnej, wiążącej pod błękitami dwie dalekie turnie tatrzańskie, a wychodziły ku skrzydlatym rycerzom bez mieczy — na matki przyszłych pokoleń mieszkańców wyspy tęsknoty wieczystej, ginącej pośrodku bezmiernego łoża oceanu...

Od owego czasu dawnego, tęsknota, którą przesiąkło było powietrze całej Lechii, rodziła w każdym pokoleniu wśród tysiąca jej dziewcząt złotowłosych — jedną Wandę, zadumaną już od dni dziecięcych, której oczy błękitne łągały na widok białego orła na purpurę gorejącym niebie, a błękitne łągały smętne wiecznie miłosnym spojrzeniem po giewontowych Tatr szczytach, wyglądając przebudzenia śpiącego wśród śnieżnej zawiei rycerza w stali lodów...

I jako każda przed nią, tak i Wanda, wierząca w powrót za dni swoich Bolka Króla, przychodziła orlą percią w pewne uroczne noce gwiazdne nad małe Morskie Oko i nachylona nad tajemnym jeziora zwierciadłem, czytała w księdze cudownej — jako tam przed wiekami za Piastów, przez szybę wielkiego Morskiego Oka w Tatrach macierzystych, widywała Lechia, kapłanka nieśmiertelna z harfą z włosów swych złotych, wszystko cokolwiek działo się w Polsce i co się z nią dziać miało w puszczy wieków przyszłości...

\* \* \*

— Nigdy ja dobrej nowiny nie wyczytała w onym zwierciadle tajemnym — mówiła Wanda Bolkowi, zbliżając się do Morskiego Oka.

— Bywało, że się z tej księgi dowiedziała rzeczy tak strasznych, iż głos mi się załamał w pół słowa, kiedy na skale orłowej przed dziewinem stanąwszy, miała ludowi zgromadzonemu wieścić...

I nic im nie rzekłam, kiedy tak na wielkiej polanie zielonej stali zapatrzeni w śnieżny kamień martwego orła, mając pod stopami, jak w mogile głębokiej schowany w grocie mchowej, purpurowy płaszcz królewski, stali jako sieroty stęsknione, łaknąc wieści o umiłowanej matce z zaświatów...

A męże wtedy was jeno targali, łzę ukradkiem łykając i wargi zagryzając, gdy niewiasty szlochom wielkim wybuchały, co był bez słów pacierzem, co hymnem był miłości a wiary chorałem i hejnałem nadziei... Wszyscy zaś łzą zamgloną źrenicę podnosząc ku niebu, widzieli dwie naprzeciw siebie stojące Matki Bolesne...

Jedną z niepokalanie białego marmuru na wysokim piedestale, pośrodku trzech kolumn topolowych, piastującą na ręku Boże Dziecię...

A drugą przy mnie jak cień ślaniającą się na granitowej opoce, z mego niedomówionego słowa złej wieści powstała z prochów ojcowych z kurzem krwi zmieszanych, Matkę Bolesną krzyż ciężki dźwigającą...

Stały naprzeciw siebie obie oniemiałe, a lud, przyjrząwszy się im obu, płakać ustawał... i rozchodził się w spokoju do pracy.

Ja zaś wracałam na szczyty tatrzańskie między samotne gniazda orle, a kiedy uroczna noc gwiezdna nastąpiła, zjawiałam się nad Morskim Okiem.

Aż raz nareszcie lepszą wyczytałam nowinę w zwierciadle mistycznym.

Poprzez łuny pożarów ujrzałam Polskę... krwią zbryzganą okropnie... Ale spoza dymów w majakach dalekich zobaczyłam nad nią słońce wschodzące..!

\* \* \*

Po długiej wędrówce przywiodła Wanda Bolka Króla nad brzeg Morskiego Oka. Stanęli wśród ciszy wielkiej, chłodem owiani. Wieszcza Lechii zatopiła na długo spojrzenie swoje w ciemną głęb jeziora. Mijały chwile oczekiwania, w ciągu których Bol, zakrywszy twarz rękoma, siedział w zamyśleniu na złomie głazu.

Wtem Wanda krzyknęła. Lecz zaraz zamilkła. Bol słyszał głośnie bicie jej serca. Potem jęki dosłyszał dławione w jej piersi... I znowu cisza i milczenie granitowych skał tatrzańskich... na koniec słowa padły z ust Wandy:

— Widzę... widzę ją... ostatki światła gasną... gasną... Aaa... Noc straszna... okrutna noc zapada... zapada coraz ciemniejsza... Noc... noc!

Zamilkła wieszczka Lechii, omdlewając w ramionach Bolka Króla, który ku gwiazdom na nieboskłonie nad Tatrami błyszczącym zakrzyknął głosem wielkim:

— Lećmy z pomocą... nim zgaśnie ostatni światła kaganek!



## XIX.

Nigdy jeszcze w Lechii czas nie mijał tak szybko, jak od wielkiego wiecu, nazajutrz po pogrzebie pana odbytego pod przewodem Bolka Króla. Dzień za dniem upływał teraz wszystkim niepostrzeżenie na gorączkowej pracy. Zajęci byli mężczyźni pospołu z niewiastami. Nie było starych, każdy czuł się młodym i zdolnym do chętniej pomocy przy pracy powszechnej. A udział rąk kobiecych okazał się niezmiernie pożądanym. Zresztą gdzieniegdzie, o ile robota była lekką jak zabawa, nie odpychano nawet dziatwy, która garnęła się z uciechą.

Cała Lechia, wyglądająca dotąd jak ogród czarodziejski, zamieniła się naraz w wielki warsztat. Pod kierunkiem Bolka Króla, a na wzór jego „Białego Orła”, robiono ogromne latawce, których musiało po wstać w jak najkrótszym czasie tyle, ile osób liczyła w tej chwili ludność Lechii.

Król był wszędzie sam i do pośpiechu zachęcał, mimo że już słowo Wandy na każdym kroku wystarczało na zagranie do pracy; sam się też zajmował najdrobniejszym szczegółem misternej roboty, jakkolwiek mógł go w zupełności wyręczyć we wszystkim Leszek, który naturalnie od razu pojął wyłożone przez Bolka zasady budowy orłów.

Zresztą i elektryczność, zastosowana jako siła przez wynalazcę „Białego Orła”, nie była — jak się przekonał — bynajmniej obcą w Lechii, która od dawna we wszystkim jej używała, chociaż takiej nazwy nie znała, a w sile tajemniczej iskry nie widziała nic innego, jak tylko moc ducha, moc orła białego — znaczenia te bowiem utożsamiały się tam zawsze.

— Z niepojętnością w ogóle — myślał sobie Król — nie spotykam się tu nigdzie wśród mieszkańców Lechii, ani gdy im rozdzierałem prace, ani wtedy gdy im wykladałem najzawilsze nawet zasady swoich odkryć i wynalazków, jakim zawdzięczam tak już doskonały pod wszystkimi względami i tak niezawodny a bezpieczny całkiem przyrząd do latania.

Zbliżenie się do tych ludzi budziło z każdą godziną większy podziw w Bolku.

— Co trochę miewam tu do czynienia — odzywał się do Wandy — z myślicielem, którego głęboka mądrość życiowa musi zastanawiać... To znów natrafiam na takie skarby poezji w duszach tego ludu, że dając się porywać w zaświaty fantazji, zapominam o wszystkim co boli...

A kiedy go Leszek wtajemniczał w życie ich dokładnie, pokazując ślady wielowiekowej kultury, w czym, jak mówił, zawdzięczali wszystko sobie jedynie, własnemu przemyśleniu, a najwięcej duchowi; kiedy mu przedstawiał na każdym kroku dzieła ich sztuki, w oryginalności pomysłów tak swoiste, tak nigdzie indziej nie spotykane i do niczego z rzeczy widzianych gdziekolwiek nie podobne, Bolko Król wołał w zachwycie:

— Powtarzam ci, że to naród samych artystów!

Toteż podziwiał, z jaką precyzją wszelkie drobiazgi liczne przy masowej budowie białych orłów, wykonywały teraz ręce, które dotychczas tworzyły

subtelne poematy w sztuce ogrodniczej, które dłutem rzeźbiarskim nadawały życie martwym marmurom i granitowym głazom...

Nie było więc nic do poprawiania i niezwykle prędko szło składanie całości z gotowych szczegółów. Niebawem powstało już mnóstwo zupełnie ukończonych orłów, które należało jeszcze tylko wypróbować. Szał nadziei ogarnął wszystkich, gdy naraz nad Lechią zaczęły jeden za drugim wzlatywać w górę latawce białoskrzydłe, unosząc każdy kogoś z młodzieży. Próby lotu wypadły pomyślnie, wykazując, że wszystkie przyrządy są dobrze wykonane według wskazówek, a co ważniejsza, że nawet i wzwyczajanie mieszkańców Lechii do lotów nie zabierze czasu.

— Ani jednego nie było wypadku nieszczęśliwego — wołał Leszek uszczęśliwiony, a na to mu odrzekł jeden ze starszyzny:

— Od pogrzebu pana ani nikt już nie zachorował, ani nie umarł...

— Zresztą nie byłoby już gdzie popiołów pochować — wtrącił inny — tak wypełniliśmy wszystkie swoje popielnice...

Kiedy nazajutrz ukończono budowę ostatnich latawców i wypróbowawszy, dano znać, że wszystko gotowe i że również każdy z dorosłych mieszkańców umie już na tych skrzydłach orlich latać, udała się procesja do groty dziadów w podziemiach czatowni.

Wszystkie sztandary i pororce, które w on wieczór późny po ocaleniu Leszka od spalania na stosie, wiodły w pochodzie Bolka Króla z cmentarza do świątyni, niesiono teraz długim korowodem, przez wielki krzyż poprzedzanym, a tłum ludzi, barwny, różnorodny, miał pełne ręce kwiatów najpiękniejszych, jakie w ciągu wieków tęsknoty wyhodowała Lechia na bezpłodnych skałach granitowych, znojem całych pokoleń ludzkich poprzemienianych w najżyźniejszą ogród. I posuwała się ta żywa łąka kolorowa po dolinach i wzgórzach od krańca po kraniec wielkiej wyspy, trzema brzegami bez wyjścia zamkniętej bez miłosierdzia i pianą bałwanów morskich, wrzących wściekłością wieczystą, zewsząd obryzgiwanej... A nad tym pochodem wysoko świeciło złote słońce i snopami promieni zasypywało go w długiej drodze, niecąc radość życia.

A kiedy z groty dziadów pod czatownią strażnika wieczystego wyniesiono wszystkie popielnice z prochami ojcowymi, słońce już zaszło za wierchy tatrzańskie i po dniu gorącym powiew wieczoru rozniósł ukojenie. Dzbany gliniane, mieszczące popioły całych rodów rycerzy, którzy wieki długie tęsknoty przeżyli pośród łez oceanu na samotnej wyspie Lechii, poustawiano na wozie drabiniastym, przez woły białe ciągnionym w pochodzie, a wymoszczonym od spodu sianem, po wierzchu zaś mchem i paprocią. Poczym stąd ruszono w dalszą drogę na cmentarz.

Na koniec korowód stanął na rozległym płaskowzgórzu, zamkniętym niebotycznym żywopłotem majestatycznych modrzewiów wiekowych, a starcy siwowłosi, dziękujący myślą Bogu, że im dał dożyć tej chwili, lubo dawno mogli kości swe dołożyć do dziadowskich prochów, wzięli z wozu wszystkie urny i powoli wchodząc po wysokich stopniach kamiennych, przy rzewnych dźwiękach

cytr, wynieśli je na szczyt wielkiego popielnika. Tutaj, gdzie zawsze stos żywczy znoszono i zapalano w godzinie pogrzebu, ustawiono teraz rzędami w ciszy wieczornej wszystkie popielnice.

A kiedy starcy poschodzili, zagrano na rogach pieśń, którą przez wszystkie wieki tęsknoty każde pokolenie dzieci Lechii śpiewało ze łzami, zanosząc do Boga błaganie, by im wrócił ojczyznę... Na ten głos wszyscy na kolana padli, a usta mężów i niewiast wszelkiego wieku, dzieci gromadą otoczonych, szeptały po cichu, każde swoimi słowy:

Bądź pochwalony, Panie, za każdą łzę wylaną z oczu sierocie...

Za każdą krwi kroplę z żył braci wytoczoną...

Za ranę każdą ciała czy duszy zadaną...

Za każdy ból zawodu, za mękę pokrzywdzenia i niesprawiedliwości ludzkiej...

Bądź, Panie, pochwalony!

I za grom każdy srogi, jaki ciskasz w czoło narodu...

Albowiem my nie wiemy, za co cierpieć każesz, a Tobie jednemu, Boże, wiadomo — dlaczego...

Przeto bądź nam pochwalon za ulgę szczęścia, na którą wieki długie czekać każesz w męce...

Albowiem my nie wiemy, za coś nam ojce pokarał — gdy Tobie, Panie, wiadomo, dlaczego szczęściem obdarzysz dzieci naszych dzieci...

\* \* \*

Noc do snu ukolebiła rozplakaną w niemej dusz modlitwie Lechię. Domy opustoszały do ostatniego i nigdzie śladu życia ludzkiego nie byłoby się doszukało w ogrodach i po polach, na dolinach i w górach. Cała ludność noc przetrwała na cmentarzu, podle pomników wszystkich swoich zmarłych, których prochy w urnach stały pod niebem na szczycie wielkiego popielnika. Anioł snu przeleciał pomiędzy rozpuszczonymi na wiatr welonami brzóz-płaczek i uspokoił klęczących w serdecznej modlitwie, krzepiąc ich w śnie mocą nad moce.

Zaledwie świtać po nocy wiosennej zaczęło za górami, Bolko Król oczy przetaił rosą z traw zielonych, a wstając z murawy, przebudził Wandę i Leszka. Ten pobiegł ku orłom, przygotowanym nieopodal na wielkiej łące, gdy Bolko z Wandą obeszli cały cmentarz, budząc po kolei wszystkie rodziny śpiące pokotem na trawie pod niebem, jako wielka pielgrzymów rzesza... Zakwiliły gdzieśdzieżdzie dziatki drobne, ale je zaraz matki ukoiliły... A męże co najstarsi w rodzinie rozglądali się dokoła, jakby licząc wzrokiem, zali nie brak nikogo i szeptali:

— Godzina wybiła...

Naraz rogi ryknęły. To po czterech bokach wielkiego popielnika stanęli junacy z szeroką piersią pod gunią góralską i zagrali pobudkę. Nastąpiła chwila pożegnania. Zorza zaranna jęła niecić blaski różowe na wierzchołkach wysokich

kolumn topolowych, gdy płacz serdeczny wstrząsnął powietrzem. Kto żyw jeno — przypadł piersią do łona ziemi i z głośnym szlochaniem, którego nic nie byłoby zdolne powstrzymać, całował miłośnie tę ziemię tęsknoty wiekowej, w którą wsiąkło tyle łez pokoleń ludzkich, co się tutaj rodziły, co się tu smuciły w życiu i co stąd odchodziły garścią popiołów do groty dziadów pod czatownią strażnika wieczystego Lechii. Ramiona namiętym uściskiem obejmowały tę ziemię, jak gdyby jej opuścić nie mogły, jak gdyby żał było tym piersiom do niej w rozelkaniu przywartym, oderwać się od jej łona twardego na zawsze...

\* \* \*

Za chwilę, nim jeszcze słońce wschodzące wyrzało spoza szczytów górskich, zaczęły się z łąki zielonej podnosić jeden za drugim orły białe. Każdym kierował człowiek dorosły, mając ze sobą bądź dzieci, bądź też i matkę z niemowlęciem u piersi.

Olbrzymie ptaki srebrnopióre odrywały się od ziemi lekko, poczym każdy dolatywał do krawędzi niebosiężnego szczytu wielkiego popielnika i brał urnę z prochami swego rodu, by nieść popielnicę tam, kędy pozostały, darowane skrzydlatym rycerzom przez Lechię, łzawnice. Przez chwilę orły krążyły nad wyspą tęsknoty nagle wyludnioną, a pełną jeno nieśmiertelnych dzieł ducha, które w ducha krainie nieśmiertelnej pozostawały na przyszłe wieki...

Wreszcie hufiec wielotysięczny białych orłów skupił się nad ogrodem miłości i uszykował do drogi pod kierunkiem Leszka. Wtedy na czoło ogromnego wojska bez mieczy wysunął się „Biały Orzeł” Bolka Króla. Siedziała w nim obok Bolka Wanda. Król wychylił się z okna swej kajuty i ku lecącym za nim hufcom powiewał przez chwilę niby sztandarem, swoim płaszczem szkarłatnym. A kiedy przelatywali nad Tatrami Lechii, wypuścił z ręki purpurę, która wpadła w głąb tajemniczą małego Morskiego Oka.

Zmagając się krótko z wichrami, które panowały nad wierchami gór skalistych, przelecieli szybko a bardzo wysoko brzegi wyspy i oblewani coraz większą jasnością świtu, skierowali się nad ocean bezkresny.

Obejrzał się Bolko na swoje hufce, lecz wydały mu się nagle odmienione. Zawrócił „Białego Orła”, obleciał dokoła setki latawców srebrnopiórych, zajrzał w głąb każdego, poczym zaczął Wandzie zwracać uwagę:

— Patrz... ani jednego człowieka... widzisz... wiodę szlakiem podniebnym na skrzydłach orlich hufiec ogromny samych duchów...

Wanda posmutniała.

— Wszyscy z Lechii mojej przemienili się tak rychło, tak łatwo w duchy, na tych białych orłach nad oceanem bezkresnym do Polski lecących... Ja tylko jedna przy tobie, Bolku, zostałam jeszcze człowiekiem...

I nagle na pierś Króla rzuciła się krasawica i ramionami oplótłszy mu szyję, jęła go całować po twarzy miłośnie, namiętnie, jak całowała go w on wieczór, gdy orłem zleciał nad stos płonący na szczycie wielkiego popielnika Lechii...

Poczym zniecka od ust jego oderwawszy się, otworzyła drzwiczki kajuty powietrznego statku i w mgnieniu oka spod obłoków runęła w przepaść bezdenną fal oceanu.

Wiatr przymknął z powrotem drzwiczki i wewnątrz „Białego Orła” nastąpiła cisza wielka.

Bolko Król obejrzał się poza siebie. Tysiące orłów białych hucem skrzydlatym otaczało go wśród bezmiernego pustkowi na zawrotnej wyżynie nad oceanem...

— Duchy... same duchy... mocne... potężne duchy orłów Lechii lecą za mną do Polski... — szeptał do siebie zasłuchany w szum tajemniczy.

Siedział bez ruchu w swojej kajucie, a statek płynął równo, spokojnie w dal przed siebie, wiodąc za sobą całe wojsko ptaków olbrzymich.

Bolko zatopił się w zamyśleniu i słuchał szumu...

Czuł, że to szumią pod niebem wielkie skrzydła, że to lecą orły białe, lecą orły... lecą...

\* \* \*

## XX.

\* \* \*

Mara warknęła, zrazu z cicha jak gdyby jeszcze przez sen, poczym mocniej, głośniejsz, już zupełnie przebudzona, nadsłuchując przytomnie z podniesionym w górę łbem białym, cienko wydłużonym.

Wtedy Bies wstrząsnął zniecka swoim ogromnym czarnym cielskiem i zaszczekał.

Na ten głos, co jak grzmot zahuczał w ciszy nocnej, aż zadrżały ściany pustelni plebana liliszkowskiego.

Drzwi do izby skrzypnęły.

A wtedy Bies ją szczekać tak gromko, że się echo jego potężnego głosu zatłukło po calutkim borze czarnym, płosząc ptactwo na gniazdach, jeszcze świtem nie pobudzone.

Ale ksiądz Kazimierz rękę chudą wyciągnął natychmiast ku olbrzymiemu psisku i na łbie mu ją położywszy, uspokoił Biesa od razu.

Mara zaś już sama ucichła, gdy na progu drzwi z lekka uchylonych stanął Marcinek z leśniczówki.

Stary Żmudzin oczy szeroko otwarte po nagłym przebudzeniu ze snu, utkwiał w drzwiach i poprzez mrok ledwie szarzejącego w puszczy leśnej zarania, rozpoznał sylwetę nocnego gościa.

Nie kładł się ksiądz Gajtys do rana, mając na kolanach głowę Bolka, który w słowa pustelnika zasłuchany, z niskiego stołka zsunawszy się na podłogę, zasnął — rozciągnięty między dwoma psami.

Teraz szczekanie Biesa rozbudziło go jednocześnie ze starcem, ale kiedy ten od razu przytomnie zagadnął wchodzącego Marcinka, Bolko nie mógł otrząsnąć się jeszcze z twardego snu i oczy przecierając, rozglądał się ze zdumieniem dokoła siebie w półciemności.

— Panienska mnie przysłała — mówił z progu posłaniec z leśniczówki — żeby panicz wracał do domu, bo się siostra niepokoi... nie kładła się spać... ino płacze przy nieboszczyku panu i czeka na panicza całą noc... z panną Jadwisią... Tak strasznie jest w całym domu, odkąd pan leśny zamknął oczy... że z nas także każdy boi się pójść spać...

— Wracaj, bratku, co żywo — rzekł mu pleban — i powiedz panienskom, że my tam zaraz przyjdziemy...

Drzwi się zamknęły za Marcinkiem, nie budząc już wcale czujności psów uspokojonych, które widocznie jeszcze niewyspane, miały ochotę leżeć dalej u stóp starca, lecz ten się do nich odezwał:

— Wstawajcie pieski...

Bies i Mara otrząsając się po niezliczone razy, podźwignęły się z ziemi. Pleban jednak nie mógł jeszcze się ruszyć ze swego siedzenia na niskim stołeczku, Bolko bowiem jakkolwiek zbudzony, nie podnosił głowy z jego kolan. Wtedy ksiądz Kazimierz w obie ręce ją ujął i głosem najłagodniejszym, jaki w piersi znalazł, szepnął:

— Bolku... wstań i pójdz synku... tam ojciec czeka na leśniczówce...

Naraz usiadł Bolko na podłodze, spojrział na dwa psy kręcące się już po izbie, potem oczy podniósł na wyniosłą postać pustelnika, który wstał właśnie...

— Ojciec czeka — szepnął Bolko i zerwał się z ziemi.

Ale zaledwie wstał, jak gdyby echo tajemnicze powtórzyło mu naraz dwa te słowa, budząc niemi w duszy jego pytanie:

— Ojciec czeka?...

Przymknął Bolko oczy.

— Ojciec?... Który ojciec?... Pan leśny... Więc ja jestem w Liliszkach...

Znowu podniósł powieki.

Ksiądz krzątał się po izbie, a przy nim to kręciła się Mara, to znów ogromne swe cielsko Bies obracał co chwilę w inną stronę, starzec bowiem coś widocznie dla nich obojga przygotowywał.

Bolko uczył w całym ciele zmęczenie. Bolały go kości.

Przeciągnął się, aż coś zatrzeszczało w stawach.

Tak... to Liliszki... pustkowie inflanckie...

Uczuł, że go dotkliwie bolą krzyże, plecy, kark, ramiona. Zrozumiał, że to z niewygodnego położenia w nocy. Ale myśl pracowała dalej nad tym, dla czego zasnął w takich okolicznościach, rozciągnięty na podłodze, z głową na kolanach pustelnika...

Rozprostowując ramiona zdrętwiałe zaczął sobie powoli, bardzo powoli przypominać wszystko po kolei.

Więc wczoraj... za ledwo wczoraj przyleciał tutaj, do domu, na swym „Białym Orle”, opowiadał całej rodzinie lilizkowskiej, na leśniczówce zgromadzonej, swoją podróż podobłoczną nad Krakowem, Częstochową, Warszawą, potem swój dalszy lot, nad Wisłą aż do morza...

Wreszcie stamtąd na Inflanty, za Dźwinę...

By zniknąć ludziom z oczu, z tak przedziwnie już doskonałym w swym bezpieczeństwie i wytrzymałości wynalazkiem polskiego geniuszu, jakiemu dorównać nie mogą ani aeroplany ani aerostaty obcych pomysłów, tak mimo to rozgłośne po świecie...

Więc tu przed wzrokiem ludzkim, który go niepokoił, schronił się ze swoim „Białym Orłem”, w to przedziwne odludzie, „deskami” od świata odgradzony zakątek, pełen uroku ciszy i smętku, pogody i dobroci...

Przybył tu między swoich, między najbliższych i najdroższych, by z nimi przede wszystkim podzielić się swoim szczęściem...

Przyleciał, nie przyjechał tym razem do domu.

Dotrzymał słowa ojcu.

Więc go witano jak tryumfatora.

Więc widział w ojcowym obliczu radość i dumę, kiedy opowiadał o swojej pierwszej nad Polską podróży na „Białym Orle”...

A potem...

Przecież to było za ledwie wczoraj... Tymczasem Bolko przypomnieć sobie nie mógł przez chwilę, co się działo — po tym...

Stał jeszcze na środku izby w pustelni i rozciągał nogi, które mu niemal zacierały przez niedogodne leżenie w nocy.

Wzrok jego padł teraz na Marę i zatrzymał się na długim, miękkim włosie białej psiny.

Nagle błysk światła rozjaśnił myśli Bolka.

— Boże — jęknęło coś w jego najtajniejszym wnętrzu — wszak ojciec umarł...

Ból ścisnął go za serce.

Ale kiedy na widok pustelnika, na którego znowu padło jego spojrzenie, chciał zawołać głośno „ojcze...” — głos u wiązał mu w gardle.

Wświdrowały mu się w mózg słowa „ojciec umarł...” Słyszał w uszach szept tych słów, szelest wyraźny, lżejszy od szumu krwi w głowie...

Ale jednocześnie w jakimś zakątku dalekim duszy Bolkowej coś pytało tajemniczo:

— Który ojciec?

Poruszył się z miejsca. Jak gdyby korzystając z tego, że oba psy jęły w kącie chliptać, nie barykadując sobą środka izby. Bolko spróbował zrobić kilka kroków, przy czym wszelako zataczał się, jak gdyby czymś oszołomiony.

— Umarł... Jak to umarł... Który ojciec umarł...

Zachwiał się i przystanął z powrotem między dwoma niziutkimi stołeczkami, chwytając się oburącz za głowę, w której coś się załamywało z okropnym chrzęstem.

— Przecież pamiętam, że sam ocalałem ojca Wandy... Żyje ojciec Leszek...

W tej chwili ksiądz Kazimierz zbliżył się do Bolka, jak gdyby chciał podtrzymać go w obawie, że runie na ziemię. On zaś parokrotnie poruszył gwałtownie powiekami, poczym je rozwarł szeroko, wbijając wzrok w plebana.

— Ojcie... — z trudem wydarło się chrapliwie z jego gardła zdławionego niby zmorą.

Stuletni Żmudzin wyprostowawszy swą wyniosłą postać, ogarnął ramieniem młodego człowieka, przyciskając go do swej chudej piersi gestem ciepłym, serdecznym gestem ręki ojcowskiej.

W ciszy zarannej, w której szum srebrnej kaskady u stóp górkę przy pustelni głużył, jeszcze bardzo nikłe głosy budzonych późnym w głębi boru świtem ptaków po gniazdach, rozlegało się teraz w izbie tylko chliptanie w kącie Mary i Biesa, pochylonych nad miskami.

Ksiądz Gajtys milczał przytulając do serca swego ulubieńca i wychowanka.

A w mózg Bolka wświdrowywał się znowu ów szept szeleszczących dziwnie słów: „ojciec umarł...”

Ale im bardziej głowę tulił do piersi pustelnika, tym mniej słyszał go Bolko. A natomiast coraz wyraźniej w owym zakątku dalekim jego własnej duszy — skąd wychodziło wprzód pytanie, który — odzywał się teraz innym szeptem głos tajemniczy, niby echo cudownie się rodzące na dnie groty, w której głąb niezbadaną zapadły z góry rzucone słowa czyjeś:

...Zali ty myślisz, iżes ojca już utracił, skoro ciało jego zmęczone zastygło... i martwe w mogile odpocznie snem wiecznym?...

...A nie wiesz ty, jaką moc ma miłość?

...On kochał.

...On z całego swego życia uczynił pacierz miłości...

...Miłość zaś mocniejsza przecież od śmierci.

...Dla miłości nie ma trumien ni mogił...

...Ona duchem nieśmiertelnym żyje wiecznie — i kiedy się ciało w grób kładzie, ona duchem trwa!

...Nie umarł twój ojciec, bo w jego piersi gorzała miłość wielka!...

\* \* \*

Mistyczne echo napełniało całą duszę Bolka, jak gdyby z pod tajemnego zwierciadła Morskiego Oka, z niezgłębionej, niezbadanej toni bez dna, dokąd zajrzeć niezdolne niczyje oko, skąd niczyje ucho nie dosłucha się najlżejszego szmeru... a gdzie spojrzenie nieśmiertelnej kapłanki Lechii czytać umiało i skąd słuch wieszczki Wandy wyławiać umiał wieści z zaświatów... wypływały słowa



proste i spokojne w swej pewności, przepelniając balsamem ukojenia wnętrze duszy Bolkowej...

Doznawał wrażenia, że słyszy nowiny stamtąd, skąd nikt nie może nic dosłyszeć...

Skąd nigdy niczyj głos się nie odzywa...

Skąd żadnego znaku doczekać się nie można, krom okropnej w swej bezlitosnej głuchocie ciszy pustki zimnej, lodowato zimnej!

Miał wrażenie, że stamtąd przecież słyszał głos wieści, głos tak prosty, spokojny, pewny...

Głos przedziwnej pociechy.

A zasłuchany w one słowa o miłości mocniejszej nad śmierć, o potędze miłości, zdolnej nad śmiercią odnieść zwycięstwo, zastanowił się, skąd zna treść głęboką tych wyrazów, gdzie je słyszał i kiedy...

Kto go nauczał słów onych mistycznych, które tak w duszę mu zapadły i odzywają się teraz z głębi jej toni echem cudownym...

Z piersi pustelnika dźwignął ociążałą głowę, ręką czoło potarł, jakby chmury z niego zmiatał, poczym spojrział w twarz ascetyczną, a przedziwnie pogodną, niemal weselem wewnętrznym tchnącą.

Przez chwilę oczy starca stuletniego ścierały się ze wzrokiem młodego człowieka, poczym z ust Bolka padło łatwiej niż wprzód:

— Ojciec...

Potem powlókł spojrzenie na ścianę graniczącą między mieszkaniem plebana a kaplicą w pustelni leśnej. Oko nad stołem błąkało się przez chwilę po tej modrzewiowej starej ścianie, przeskakując od czarnego krzyża na miniaturę Mickiewicza, a stąd na jedyne dwie książki na półeczce, na Pismo Święte i na Księgi Pielgrzymstwa Polskiego.

Świt rozwidnił już nieco porębę w borze, na której stała pustelnia i jasności trochę zaczęło się przedzierać oknem do środka izby. Zresztą oczy rozbudzonego już do reszty Bolka nawykły też do mroku. Przeto wszystko rozróżniały w tej chwili dokładnie.

Objęły naprzód krzyż i nie mogły się od tej czarnej plamy oderwać. Myśl zaś pracowała coraz usilniej, przylgnąwszy właśnie do tego czarnego symbolicznego drzewa tuż nad rzeźbionym z białej kości wieńcem dębowym, stanowiącym ramki kolorowej miniatury.

Bolkowi się wydało, że ten krzyż wydłuża się przedziwnie, że jego ramiona rozszerzają się... I naraz krzyż ten chwiejący się w powietrzu nad pogłowiem ludzkim, niby przez obłok mgieł widziany, stał się dlań tak ogromny, że dlań miejsca zabrakło w niskiej izbie pustelnika.

— Gdzie ja ten krzyż widziałem — zapytywał się sam w myślach — wielki, czarny krzyż... Niosą go jakieś ręce niewidoczne, jak by go dźwigał naraz cały tłum ludzki, który za nim idzie cicho... bez szemrania... cierpliwie zdąża przed siebie, prosto, ciągle prosto, daleko, jak gdyby kresu drogi nie widział... a cel jej zna i dąży doń z podniesionym czołem...

Wytężył Bolko wzrok przed siebie, jak gdyby przeszywał drobne drzewo wiszącego od lat kilkadziesiąt nad stołem krucyfiksu... i grubsze drzewo ściany modrzewiowej, co tu już wiekowy czas przetrwała... i wyjrzał w bezkresną dal świata ducha...

I naraz poznał ten wielki krzyż czarny, przez cały lud dźwigany... Widział wszakże ten znak męki i znak zbawienia w Lechii, kiedy procesja wszystkich mieszkańców tej wyspy, z trzech stron oceanem łez obryzgiwanej, wiozła z groty dziadów popielnicę z prochami swoich rodów na cmentarz, w godzinie ostatniego pożegnania ziemi, na której rodzili się i wiek tęsknoty przeżyli.

— Pamiętam, jak na tle nieba i zieleni ciągle płynął przed moimi oczyma ten wielki czarny krzyż, poprzedzający wszystkie w pochodzie niesione sztandary i proporce. Ale pamiętam także, że go nigdzie przedtem nie widział przez czas pobytu w Lechii. To był ten jedyny krzyż drewniany, który na wzgórzu Golgoty zatknięty wysoko pod kopułą niebieską, ujrzałem pośrodku wielkiej świątyni w on wieczór pierwszy, kiedy zjawiłem się nad stosem płonącym na szczycie popielnika i w tryumfalnym pochodzie zostałem przyprowadzony przed oblicze kapłana...

Wtem doznał wrażenia, że ściana modrzewiowa rozstała się, ukazując wnętrze kaplicy w pustelni lilizkowskiej. Ale nie tak skromne, jak je znał, lecz przemienione w mnóstwo kościołów miejskich, olśniewających przepychem...

W obrębie tych rozszerzonych murów świątyni Pańskiej złociło się i srebrzyło krzyżów tyle, że ich nie byłoby mógł policzyć, zwłaszcza, że mu się w oczach mieniło od blasków drogich kamieni barwnych, brylantów i pereł wspaniałych, jakimi były wysadzane.

W olbrzymim tym kościele tłumy się snuły i przystawały, klękały, na posadzkę padały.

A w każdej ręce, widnej z tego tłumu, barwił się obrazek z krzyżem.

A na każdej szyi, widnej spośród tego tłumu pobożnego, lśnił się krzyżyk ozdobny.

Pośrodku jednak przystanął człowiek, szaro odziany, smukły, wyprostowany mimo siwiutkiego włosa, a z rękami gołymi i bez krzyża na piersiach, człowiek dziwnie z twarzy podobny do pustelnika Gajtysa.

On to naraz zapytał się w tłumie tysięcy pobożnych wśród tysięcy krzyżyków i obrazów z krzyżami:

— Ludzie, czy wy znacie krzyż Jezusa Chrystusa?...

Głos dziwnego starca w ubogiej sukni rozległ się w tej ciżbie, jak gdyby jaki dzwon przerażający grozą, lubo dźwięczał łagodną dobrocią.

Echo jego odbiło się o wszystkie bogactwem ozdobione ołtarze, przed którymi w przepychu szat kościelnych odprawiali nabożeństwa niezmiernie liczni kapłani.

Ale nikt na pytanie dziwnego starca nie dał odpowiedzi.

A Bolko czekał długo, aż zmrożony chłodem wiatru, który od wnętrza świątyni olbrzymiej powiał ku niemu, drgnął i twarz swoją zwrócił na oblicze pustelnika lilizkowskiego.

Od razu ulgi zaznał, ale kiedy oczy jego powróciły na ścianę z półeczką nad stolikiem, widzenie pierzchno.

Nie było tam już owego olbrzymiego kościoła pełnego przepychu.

Czernił się tylko po dawnemu krzyż drewniany u góry ściany.

Na ten widok przypomniał się Bolkowi ów czarny krzyż kamienny, który ciemną plamą odbijał od niepokalanie białej grupy marmurowej dzieci-aniołków u stóp posągu Bogarodzicy w dziewinie, krzyż, dźwigany przez Dzieciątko-Jezus, jedyny krzyż z kamienia, jaki widział w Lechii, obok owego jedyne wielkiego krzyża drewnianego pośrodku świątyni Bożej.

— Dziwne zaiste — przyszło mu na myśl — że właśnie w Lechii tak mało się spotykałem z krzyżem, który w niej znano lepiej niż w owej świątyni zimnej, a cierpliwie dźwigano wśród mieszkańców wyspy tęsknoty wieczystej... — A gdy wzrok Bolka opadł z krzyża na portret Mickiewicza, krzyknął głośno: — Oni tam cierpliwości nie tracąc ni na chwilę, żyć mogli wieki mimo że Mickiewicza nie mieli... A nam by miało być trudno wytrwać na naszej wyspie tęsknoty, nam, którym Pan posłał jego na proroka...

Łzy rzęsiste polały się po jego młodej, szczerzej twarzy, gdy z tymi niespodziewanymi słowy wybuchnął nagle wobec swego sędziwego wychowawcy, ten nieodrodny syn Jana Króla, chłopca z Poręby, a spadkobiercy rodu Bogoria- Kwaszewskich.

Nie pytał Kazimierz Gajtys, o kim Bolko mówi, komu to na długie wieki tęsknoty Opatrzność nie posłała, jak nam, wieszczka; tylko głowę rozpaloną, która z powrotem na pierś starca opadła, ścisnął dłońmi, mówiąc z cicha, ale głosem pełnym przekonania:

— Wytrwamy, synu, wytrwamy w ciężkiej drodze pielgrzymstwa za swoim prorokiem... A ile razy pod ciężarem krzyża upadać będziemy, zajrzemy do ksiąg jego.. I dalej z podniesionym czołem pójdziemy ku świtom...

W tej chwili jasny blask dnia wystrzelił nad ciemnią boru i przez porębę przedarłszy się do środka pustelni, rozświetlił izbę, blaskiem słonecznym po mrokach nocy oblewając krzyż na ścianie i wizerunek Adama.

Wtem wyrwał się Bolko Król z objęć pustelnika i szybko twarz otarłszy z łez mimowolnych, jął mówić z zapalem:

— Gdybyś widział, ojcze, jak potężne wrażenie sprawiłem tam na wielkim wiecu, kiedy im objawiłem Mickiewicza, o którym jeszcze nie słyszeli owi Piastowicze, co nawet Polski Jagiellońskiej nie widzieli, a wyglądali jeno powrotu króla Piasta, czekali, kiedy ze snu wiekowego zbudzi się chłop-olbrzym...

Teraz pleban lilizkowski zaczął już zastanawiać się nad słowami Bolka.

— O kim on mówić może — myślał — gdzie też on bywał...

Naraz uprzytomnił sobie, że Bolko przez długi czas przed swym powrotem do ojcowego domu, nie dawał żadnych o sobie wiadomości. Przybywszy zaś wczoraj zaledwie na Inflanty, nie miał przecież jeszcze sposobności opowiadać o wszystkim.

Dobrze, iż ojcu przed zgonem zdążył opisać tryumfy swoje w podróży „Białym Orłem” nad Polską...

Ale musiał swoim latawcem nawiedzić jeszcze kraj inny, o czym dotychczas nie mówił...

Może gdzie ziomków emigrantów bardzo dawnych spotkał... Tylko gdzie byłoby to dziś możliwe...

Rozmyślania pustelnika przerwały dalsze słowa Bolka:

— Ledwie im prawić skończyłem o proroku naszego pielgrzymstwa dziejowego, podchodząc zaczęli do mnie starcy jeden za drugim, zdumieni bez miary... i pytali, jakim sposobem zdarzają się między nami ludzie, których się czepia niekiedy gad zwątpienia... Wiesz, ojcze, co im na to odparłem... Powiedziałem, bo mi się tak zdawało... że wątpię tacy jedynie, którzy jeszcze Chrystusa nie pojęli — śmierć zwyciężającego i na trzeci dzień wstającego z martwych...

W tej chwili oba psy zaszczekały raz za razem i poskoczyły ku drzwiom, kręcąc ogonami jak gdyby radośnie. Widoczne było, że poczuły w pobliżu obecność czyją, ale że to ktoś być musiał z ich przyjaciół.

Pleban do drzwi poszedł, a ledwie je otworzył, Bies i Mara wypadły na podwórze z uciechą.

Pustelnik wyszedł za psami. O parę kroków od wejścia do kaplicy zobaczył człowieka zgiętego we dwoje pod ciężarem dźwiganej na plecach dębowej trumny. Ku niemu to psy rzuciły się z radosnym powitaniem...

Wtem do uszu Bolka, tuż po owym uciesznym naszczekiwaniu, doleciało wycie przeraźliwe. Rozpoznał od razu głos Mary. Wyszedł więc z izby za próg.

Przed modrzewiową kaplicą, przy Kazimierzu Gajtysie stał w popielatej czamarze na grube guzy zapiętej, w lśniących cholewami wysokich butach, człowiek o szerokich barach, z marszem na mocno ogorzałej, czerwonej twarzy, od której siwym włosem odbijał potężny wąs, znacznie bielszy niż szpakowata czupryna, widna z pod czapki rogatej w białym baranku.

Bolko poznał w nim od razu Tadeusza Dymkę, w puszczy litewskiej urodzonego, a od dziecka w Liliszkach zasiedziałego, starego gajowego, prawą rękę „pana leśnego”.

U jego stóp w tej chwili leżała ogromna trumna, świeżo obrobiona. Obok niej przysiadła na murawie Mara i zadarłszy w górę swój cienki łeb wydłużony, wyła tak wzruszającym głosem, że Bolkowi się zdawało, słysząc ją, iż ktoś za serce larga go do krwi...

Spoglądał okiem osłupiałem na ogromne czarne cielsko Biesa, który ze wszystkich stron obwąchiwał trumnę... i na tę białą wylicę zawodzącą rozpaczliwie... ale nie mógł zrozumieć jeszcze, o co idzie...

Wśród wycia rozróżniał jednak dobrze rozmowę dwóch starców, którzy nie zauważyli jego wyjścia z progu.

— Ano... kochaneńki — mówił gajowy — całą noc dłubałem... i jest... wygodnie będzie mojemu panu leśnemu... chociaż to... kochaneńki... prawda... już wszystko jedno... Ale powiedz dobrodziej, czy mogłem nie postarać się, żeby to było jak się patrzy... wszak ci to... kochaneńki... moja ostatnia dla niego posługa, toć bym nie dał się wyręczyć... Idź no, Biesio, bo poślinisz... No słyszysz dobrodziej jak to biedactwo wyje... czułe to... kochaneńki... jak człowiek...

— Cicho, Mara, cicho — uspokajał ją Gajtys, gdy Dymsza mówił dalej:

— Przyniosłem tutaj, widzisz dobrodziej... bo myślę, żeby trzeba... kochaneńki... do wieka na wierzch umocować jaki metalowy krzyżyk... a nie mam na lekarstwo nic takiego...

— A po co, bratku, po co mu tego... on przecież przez całe długie życie zawsze krzyż w duszy nosił... Tyle lat pamiętasz pana Jana... a czyś kiedy widział, by on na swej sukni niby szyld wywieszał na swej piersi krzyż, w który wierzył... Więc po co, bratku, robić z nim po śmierci, czego sam nigdy ze sobą nie robił za życia...

Gajowy targał węża i rozmyślał nad słowami pustelnika, a ten jeszcze dodał:

— Inna rzecz, mogiłę krzyżem oznaczyć, bo znak to jedyny zdolny powstrzymać ludzi od znieważenia miejsca, gdzie w prochu spoczął proch, który po ziemi nosił ducha...

Wtem Mara dzwignęła się z murawy i nie ustając wyć, powlokła się do progu izby, gdzie stał Bolko i tu szarpiąc go raz za razem za nogi, zawodziła dalej.

W tę stronę poniósł więc spojrzenie stary gajowy, a zoczywszy Bolka, którego kochał bardzo i za każdym razem dorosłemu już przypominał, że go małym dzieckiem na rękach piastował i do snu w borze kołysał, żywo poszedł naprzeciw niego, ramiona rozkładając.

— Kochaneńki... mój panicz leśny... Na toć to biedactwo orłem do nas przyleciał, żeby ojca z nami pochować... biedactwo — wołał stary Tadeusz, ściskając serdecznie młodego człowieka. — Obejrzałem już... kochaneńki... twojego orła przed leśniczówką, tyłkom ciebie, orle, jeszcze na własne oczy nie oglądał... biedactwo... tak w sam raz ino na pogrzeb przylecieć... Popatrz, kochaneńki, jakie mu leśne łoże na sen wieczny przyszykowałem przez noc... dobre będzie...

— A no zaniemiemy, bratku — przerwał mu pleban, który za gajowym zawrócił już przed próg izby, a wreszcie na ramieniu Bolka kładąc rękę, rzekł:

— Pójdziemy, synku... bo tam ojciec czeka...

Teraz dopiero wszystko dla Bolka stało się jasne. Już rozumiał, że tam na leśniczówce ojciec czeka na trumnę... już tylko na trumnę...

Ksiądz Kazimierz spostrzegł, że w tej chwili wielki ból wyrył się na twarzy jego wychowanka, więc zmierzył go swoim głębokim spojrzeniem, po czym odezwał się:

— Tylko zanim pójdziemy, pokrzepmy siły po ciężkiej nocy, bo ciężki będzie i dzień...

Co mówiąc stuletni Żmudzin w mig się rozebrał i do basenu pod źródłem wszedłszy, zanurzył się cały w wodzie zimnej na jedno oka mgnienie, jak to robił codziennie wczesnym rankiem, poczym nie osuszając ciała, odział się pośpiesznie.

To samo bez namysłu zrobił i Tadeusz Dymsha i Bolko Król.

Za małą chwilę już wszyscy trzej byli gotowi. Źródlaną wodą rozgrzani, potrzebowali tylko ruchu żywego, by się pod okryciem osuszyć zupełnie.

W milczeniu ujęli z murawy ciężką trumnę dębową. Bolko z gajowym idąc z tyłu, ponieśli ją na ramionach za pustelnikiem, który poprzedzając ich, dźwigał skrzynię jedną ręką.

Bies z polecenia swego pana został w domu, Mara zaś uciszywszy się, powlokła się za nimi z łbem smutnie zwieszonym i z ogonem pod siebie schowanym. Bies patrzył za nimi, a kiedy na ścieżce, bór przerywającej zniknęli, poszedł przed próg pustelni i ułożył się do snu na mchu.

## XXI.

Zaledwie pierwsze promienie wschodzącego słońca zaczęły się ślizgać po sterczącej nad dworem lilizzkowskim baszcie staroświeckiej, babcia Molowa, która spać tej nocy nie mogła, wstała i wyszła ze swego pokoiku na piętorku oficyny.

Za chwilę cichutka jej postać w aureoli drobnych loczków śmietankowego koloru siwizny, przysłonionej na tyle głowy ażurowym czepeczkiem czarnym, snuła się po ogrodzie, gdzie na tle świeżej wszędzie zieleni wiosennej odrzynała się wyraźnie ciemną sylwetą wiecznie wdowiej sukni, od której bladością mary odbijała piękna mimo stu zmarszczek twarz byłej rezydentki, z przedziwnym wyrazem łagodnej dobroci...

Weszła między grędy, gdzie świeżo zakwitły setki hiacyntów różnokolorowych, wśród których ognistą plamą płonął klomb tulipanów. Jęła się chyłać raz za razem nad wonią w niebo bijące kwiaty, rosą poranną sperlone i tak co chwila na krótko prostując krzyże, posuwała się wzdłuż barwnych grządek, ujętych w białe ramki narcyzów, co swoje białe korony przeginały ku pachnącym hiacyntom, jako ona swoją głowę srebrną...

A co się z ziemi dźwignęła, to w jej białej ręce przezroczystej rósł pęk duży kwiatów. Już jeden snopek ich odłożyła, a z pustymi rękami schylała się po nowe. Kiedy wreszcie trzy spore pęki narwała, zaniosiła je nieopodal na ławeczkę z białych gałęzi brzozowych zbitą, a w gęstwinę krzewów jaśminowych wtuloną, gdzie nieraz na słońcu pani Adela Molowa wygrzewała się chętnie, gdy w niej krew zastygała.

Tutaj teraz porozkładawszy kwiaty, usiadła, do kieszeni po motek bawełny sięgnęła — i pod dotknięciem białych, drobnych palców, tworzyła się piękna wiązanka przedziwnie dobranych barwą i kształtem kwiatów, jak gdyby układał je artysta, mający tylko z tą sztuką do czynienia.

A kiedy tak bukiet rósł na kolanach staruszki, oczy jej duże, szeroko otwarte, o barwie zbielejących bławatów, uśmiechały się melancholijnie do przymkniętych kielichów płomiennych tulipanów, co obok śnieżnych gwiazdek narcyzowych, ginęły w powodzi jasnych kiści różnobarwnych hiacyntów, a usta jej drżały, jak gdyby same do siebie powtarzały jej myśli słowami:

— Gdybym drugi raz na świat przyszła, zostałabym tylko ogrodniczką...

I głowa babci Molowej trzęsa się, jak gdyby w zamyśleniu spoglądała na świat i na życie, a tyle w ciągu lat swoich widziała i słyszała, tyle zrozumiała...

Dziwni są ludzie — myślała sobie, splatając kwiaty — wiecznie wodzą oczyma w prochu ziemi, zamiast wzrok podnosić na ten pył, co się pod słońcem wnosi...

Toteż rzadko spoglądając na światło, tak od jasności odwykają, że wreszcie byle blask oczy ich razi...

I nie mogą już na świat patrzeć potem bez czarnych okularów...

Mój Boże... a życie tak się straszne wydaje przez przydymione szkiełka...

Wszelka biel rudzieje od razu, jakby rdza brudna padła na czystość lilijną...

Znika żywość tylu kolorów, jakimi świat śmieje się do człowieka.

Czyż może mieć urok kwiat najcudniejszy, na który spojrzę poprzez obłok dymu — pytała się w myśli matrona, podnosząc w górę wspaniałą już wiązankę i z lekka strącając z atlasowych rąbków srebrzące się w słońcu perełki.

Ale przyjrzyć się okiem czystym pięknym kwiatom życia...

Choćby rosą łez skropione, nie tracą czaru swych barw ni woni...

Mój Boże... czemuż to jednak ludzie nie odnajdują kwiatów wtedy, gdy ich najbardziej potrzebują...

Gdyby zamiast z głową pochyloną chodzić po świecie, podnosili ją częściej na słońce i błękit, na pewno wzrok ich potem błędząc po ziemi, dojrzał by od razu, choćby przez kurzawę, łąkę zieloną lub ogród zaciszny.

A stopy same omijałyby kamienie...

A ręce same natrafiałyby na kwiaty...

I palce rwałyby co najpiękniejsze...

A plotąc z nich wieńce i równianki wiążąc, zasłaniałyby kwieciami odrapane mury świątyni i okopcone ściany domów małyby kwieciami wonnym i barwnym...

Tylko trzeba umieć je zrywać z pól szerokich, otwartych i z grządek wąskich, zamkniętych czerepami lub krzemykami...

Trzeba umieć wic z kwiatów wiązankę życia...

\* \* \*

...O, gdybym jeszcze raz na świat kiedy przyszła, zostałabym stanowczo tylko ogrodniczką...

Poszłabym do miasta...

Gdzie życie tak niemiłosiernie szare...

Gdzie ludziom lata upływają bez słońca i bez zieleni, bez światła i bez błękitów...

Wiecznie szaro, niby na gościńcu, z nad którego nie opada nigdy tuman nieprzeniknionej kurzawy, bo zanim zniknie za ostatnim kołem pędzonego wozu, już się podnosi jeszcze gęstszy z pod kopyt nowych koni cwałujących...

Tam poszłabym najchętniej... od tej wsi najukochańszej, rzuciłabym jej blaski słoneczne niczym nie zasłaniane pod błękitami...

I hodowałabym kwiaty dla tych biednych ludzi co przez szkiełka przyćmione patrząc ciągle, przestali rozróżniać wśród szarzyzny kolory, a śnieg i trawa ma dla nich jednaką barwę brudno rudą...

Dla nich pielęgnowałabym kwiaty, same cudne w swych kolorach i zapachach kwiaty...

I dla nich wiałabym nieskończenie wiązanek i wieńce kwietne, żeby ich przekonać, że życie ma swoje kwiaty, które na szarą przędzę dorzucają godziny tak piękne, że od ich woni i barw żywych jasność i błogość pada na chwile najciemniejsze, najsmutniejsze nawet chwile...

Jakżebym dla takich ludzi hodowała kwiaty...

Nie tylko na dzień pogrzebu...

I nie tylko na dzień wesela....

\* \* \*

...Wstała staruszka z ławeczki z gotowym już, prześlicznym bukietem i schowawszy do kieszeni resztę bawełny i nożyczki, szła z nim z powrotem ku swemu mieszkaniu.

A przecież myślałam, że wcześniej z tych kwiatów będzie wiązanka na wesele Jadwisi, niżli na pogrzeb Bolkowego ojca...

\* \* \*

Za chwilę krzątała się cicha ogrodniczka życia po swoim pokoju na pięterku oficyny dworskiej, po tym pokoju, w którym godziny — wolne od zajęć dla drugich — spędzała wśród kwiatów i obrazów, przy poźółklej klawiaturze staroświeckiego fortepianu, a gdyby miała muzyka jej komu przeszkadzać, to na niemym rozmyślaniu nad przeszłością i przyszłością, pokój ten jej bowiem był właśnie istnym ogrodem wspomnień i pamiątek.

Gdzie ich tam nie było...



Na wszystkich ścianach i na każdym meblu, który sam był pamiątką i wspomnienia budził tak liczne i tak różnorodne, że wreszcie nie wiadomo, czy był miły, czy też przykry...

Jedno byłaby o nim powiedziała babcia Molowa: że jest jej bardzo drogi... każdy z tych sprzętów w jej pokoju... i każdy drobiazg, jaki się krył we wszystkich szufladach i schowkach, a wiadomo, że bardzo w nie obfitowały i meble i wszelkie na pozór bezużyteczne cacka pokojowe starej daty.

Co prawda przedmioty te miały niekiedy wiele swoistości, bywały odrębne aniżeli sprzęt tego rodzaju w stu innych domach, więc nie tak łatwo jak dzisiaj dawały się zastąpić.

Stąd poniekąd pochodziło przywiązanie dawnych ludzi do swoich gratów.

Do takich też przywiązanych do swoich antycznych szaf i komódek, foteli, kanap i serwatek, stolików i półeczek... należała i pani kapitanowa Molowa a rezydentka dawna w liliszkowskim dworze — ona właśnie, która tak szczerze czuła się jeno przechodniem cichym przez ten świat do innego życia, pielgrzymem, który nic z sobą nie przyniósł i nic z sobą odchodząc nie zabierze...

Miała jednak wrażenie, że te rzeczy, które latami zżyły się z człowiekiem, mają w sobie niejako duszę... i dla tego bolała ją myśl wydania takiego starego grata z domu w obce ręce.

Ale częściej jeszcze zdawało się staruszce, że sprzęt, który miał już całe dzieje, kryje w sobie cząsteczkę duszy tych, co go za życia używali. I tym boleśniesz było dla niej rozstanie się z byle drobnostką, stanowiącą pamiątkę po tych, którzy wcześniej odeszli...

A jednak gdy najdroższa dla niej pamiątka miała przejść w ręce również drogie — babunia była bardzo zadowolona.

Niekiedy wreszcie bez żalu spoglądała także na odejście z jej pokoju przedmiotu pełnego wspomnień, jeżeli bywał w tym cel głęboki...

Dziś wyciągnęła babcia Adela z głębokiej szuflady w komodzie, bardzo wypłowiałą, długą wstęgę błękitną, na której na końcach srebrną frendzlą obszytych, widniały jeszcze bardzo wyraźnie mimo wieku, wyhaftowane godła wojskowe.

Zrobiła z tej wstążki ogromną kokardę i przypięła ją do wspaniałej wiązanki kwiatów, własną ręką uwitej.

Przez całą noc stała bez przerwy przed jej oczyma ta droga pamiątka, zanim się pani kapitanowa zgodziła rozstać z nią na zawsze. Przewijała się przez jej myśli ta wstęga srebrem haftowana i wyblękitniała szlak jej wspomnień...

W uszach grzmiały armaty, długo, bez końca...

Dymy zmieszały się z kurzawą i przysłoniły pole bitwy, na którym błyskały rabaty ułańskie.

Wtem świsnął w powietrzu granat — i strzaskał wierzchołek drzewca, na którym powiewał rozwinięty wielki sztandar nowiutki, amarantowy.

Na szczycie zatknięta była duża kula ołowiana, a na niej srebrny orzełek.

Odlamek granatu zerwał to w mig ze sztandaru, ale wraz z tym i dwie długie wstęgi, świeżo w przeddzień bitwy do chorągwi pułkowej umocowane, jako ofiara dziedziczki Litwinki z sąsiedniego dworu, należącego do dawnego szwoleżera Napoleońskiego, gdzie gościnę znalazł sztab naczelnego wodza.

Obie wstążki, biała szkarłatem haftowana i błękitna ze srebrnym wyszyciem, zdarte gwałtownie ze sztandaru, w zgiełku bitwy spadły na ramię kapitana Zygmunta Mola, w chwili gdy kule nieprzyjacielskie zaczynały w jego podwładnych szerzyć już zwątpienie w możliwość obronienia zagrożonego posterunku.

Mol chwycił wstęgi i na ostrze pałasza nasadziwszy, podniósł go w górę wysoko, zakrzyknął gromko na swój oddział: „za mną, wiara!..” spiął konia i znienacka runął na przeciwnika jak lawina.

Furczący na pałaszu kapitana, biało-błękitny proporzec, powiódł żołnierzy do zwycięstwa.

A w tej samej chwili, gdy grzmoty armat huczały dokoła, we dworze młodzianka Litwinka, której ręce haftowały owe dwie wstęgi, powiła córkę.

Nazajutrz do chrztu trzymał ją wódz naczelny, w otoczeniu całego sztabu, ojciec zaś dał jedynaczce na imię Adela — dlatego, że tak się nazywała markietanka Napoleońska, śliczna góralka z nad Lemanu, która ocaliła go od pogrzebania żywcem; ocuciła bowiem polskiego szwoleżera, gdy już od kilkunastu godzin, po szarży na Somosierra, leżał ogłuszony wybuchem kartacza i omdlały z upływu krwi — rozszarpanym na dwoje koniem przywalony na kupie trupów, do wspólnego pochowania przeznaczonych...

W niespełna ćwierć wieku później wiarus Napoleoński na pamiątkę pięknej Szwajcarki, której życie zawdzięczał, jej imieniem nazwał pierworodną córkę, która właśnie na świat przyszła przy grzmotach armatnich z pobliskiego pola walki.

Dziewczynka skończyła zaledwie lat szesnaście, gdy się po nią do ojca-weterana zgłosił kapitan Mol, jeden z adiutantów jej ojca chrzestnego i niebawem z młodzianką Adelą na kobiercu ślubnym stanął — przepasany pamiętną wstęgą podwójną biało-niebieską, haftowaną palcami matki oblubienicy, a podziurawioną gęsto nie tylko ostrzem pałasza, lecz i kulami nieprzyjacielskimi.

Białą połowę tej wstęgi, która w godzinie urodzin rezydentki lilizkowskiej, proporcem na ostrzu pałasza kapitana Mola wiodła do zwycięstwa cofających się przed chwilą żołnierzy, żona jego położyła mu na pierś martwą, gdy — trzydzieści lat temu — kładła do trumny weterana osiwiałego, a nieodżałowanego towarzysza życia.

Od owego czasu babunia co tydzień w niedzielę siadywała szarą godziną w swoim pokoju naprzeciw baszty, trzymając na kolanach w drżących palcach przezroczyстых, pozostałą, dragą, mniej kulami podziurawioną połowę pamiętnego proporca.

A wtedy źrenice o barwie zbielałych bławatów zwilżały się łzami, które bez świadków — w ciszy czterech ścian jej ogródka wspomnień i pamiątek — padały powoli, niby deszczyk wiosenny, na spłowiełą wstęgę błękitną... i na godła wojskowe, srebrem haftowane ręką jej matki-Litwinki...

O takiej chwili stary zegar na komodzie wydzwaniał godzinę, ukryta zaś w nim za emaliowanym obrazem pozytywka dzwoniła jedyną swą melodię: „Grzmią pod Stoczkiem armaty...”

Jękliwe dźwięki obijały się o sto drobiazgów na komodzie, na serwantce i po wszystkich misternych półeczkach, tłukły się po miniaturach porcelanowych, wiszących na ścianie — dopóki nie zamilkły, gubiąc się w fałdach spłowiełej wstęgi błękitnej.

A kiedy zegar grać przestawał i z powrotem cisza zalegała pokoik babuni, kapitanowa oczy ocierała, wstawała powolutku z niskiego fotelika i chowała z westchnieniem wstęgę do szuflady w komodzie.

Tym razem wyjęła ją stamtąd staruszka nie na szarą godzinę niedzielną; wyjęła na to, by już nigdy na dawne miejsce nie schować.

Kiedy zaś wyciągnąwszy z komody wstęgę, zasuwawała dziś z powrotem szufladę, przypomniawszy sobie dawne konfederackie armatki, które tak długo w głębokim lochu pod basztą chował kapitan Mol na sposobną chwilę, aż wreszcie za radą przyjaciela-pustelnika przetopił na dzwony...

Przypomniawszy sobie dwa ryngrafy, jasnogórski i ostrobramski, które jej ojcu i mężowi, jak wprzód ich przodkom-rycerzom, za puklerze służyły w bojach...

Przypomniawszy sobie dwa pałasze, pistolety, strzelby, ładownice... i inne po ojcu i mężu pamiątki wojskowe, które przez długi czas na szanownym miejscu wisały w domu na dywanie... drogie... nietykalne...

I naraz przed jej oczyma stanęła wielka dzwonnica pod czarną ścianą boru... i na niej, niby pod daszkiem dworskiego lamusa, ta broń i te puklerze wojenne — ręką siwego weterana zawieszona tam na to, by je rdza jadła z wiekiem, jadła i przeżarła do końca...

Jakże wyraźnie odświeżyła się w umyśle staruszki owa dawna chwila, kiedy kapitan po kolei zdejmował te pamiątki z dywanu — by ich już nie powiesić nigdy na dawnym miejscu... i łzy w oczach ich obojga, kiedy się te rzeczy z domu wynosiło na zawsze... hen, pod ciemny bór, gdzie konfederackie działa, zamiast zniszczenia — muzyką dzwonów chwałą co dzień Boga Miłości...

Podobnego jak wówczas uczucia doznała dziś po tylu latach wdowa po Zygmuncie Molu, gdy piękną, żywą kwiatów wiązanek spięła kokardą z pamiątkowej, z przed osiemdziesięciu laty, wstęgi błękitnej, srebrem haftowanej, którą miała złożyć na trumnie „pana leśnego” — przeznaczony dawny proporzec bojowy na zagładę... A kiedy na myśl, co się stanie z tą tak bez miary drogą dla niej pamiątką, do oczu babuni zaczęły się mimo woli cisnąć łzy gorące, starała się powstrzymać je, przekonując się sama szeptem:

— Tak już przeznaczone... Nie może być inaczej... Rdza musi do ostatka stawić w nas to wszystko, co nam do obrony kazało miecz podnosić, zamiast ducha...

## XXII.

Pan Leszek Starowolski pojechał sam do miasteczka, gdzie była poczta z telegrafem.

Naprzód wysłał depezę do dziedziczki lilizkowskiej, bawiącej chwilowo nie w podróży zagranicznej, ani też nie w stolicy, lecz właśnie w jednym z wielu swych majątków, w umiłowanym pałacyku w Rarogach nad Niemnem.

Podobne zawiadomienie o nagłym zgonie „pana leśnego” roztelegrafował i do wszystkich dalej położonych jej majątków.

Jednocześnie zaś rozesłał konno gońców, żeby z tą wieścią żałobną oblecieli całą okolicę.

Toteż Bolko i Hanka ani się nie domyślali, że zjazd na pogrzeb ich ojca dosięgnie tak niebywałych rozmiarów.

Ze wszystkich stron co godzina przywoziły kogoś do Lilizek powozy i bryczki, a zwłaszcza mocne wózki na jednej desce oparte, jakich ze względu na złe drogi używa się na Inflantach.

Z wybitnych oficjalistów wszelkich dóbr pani Kierdwojciowej nie zabrakło nikogo.

Chociażby z bardzo daleka, zajeżdżał co chwila to któryś rządcą, to leśniczy, czy wreszcie jaki dzierżawca folwarku.

Ale jeszcze częściej zjawiali się jeden za drugim, nawet nie z najbliższego sąsiedztwa, obywatele ziemscy, po polsku czujący w tych nie swoich stronach, ludzie tej samej myśli, co „pan leśny”, którego znali od dawna, ale i szanowali, kochali serdecznie...

Takiego zjazdu nie widziały jeszcze Liliszki przy żadnej sposobności, bo nawet na pogrzeb rezydenta Mola przed trzydziestu laty nie ściągnęło tam przyjaciół tyłu, zwłaszcza że przypadł w okresie pilnych robót gospodarskich.

Dość że wszystkie pokoje ogromnego dworu lilizkowskiego pełne były gości, kiedy daleko po pustkowiu inflanckim rozległ się naraz głos trąbki, przypominającej trochę granie dawnego pocztarka, nieznaną w tej stronie.

Rzadko było tu słyhać ową charakterystyczną śpiewkę na trąbce, nieco do mazurka lub krakowiaka zbliżoną, ale najbardziej o ton smętny kujawiaka poręczającą.

Mało kto wiedział, że to stare hasło rycerskie, że je skomponował w czasie oblężenia Częstochowy jeden z konfederatów barskich, wojownik zapalony, ale i muzyk zawołany w jednej osobie, pradziad nieboszczyka Kierdwojcia.

Mogłaby o tym dać takie objaśnienie jeno starsza służba pałacowa w Rarogach nadniemeńskich, gdzie w starej komnacie portretowej, na odwiecznym kominku stoi dziwny obraz w kryształowych ramach.

Choćbyś oczy wypatrzył, niczego się w nim nie dorozumiesz. Blask bije z za szkła, jak gdyby chciał ci tylko wzrok oślepić...

Ale niech no stary sługa tajemnie ukrytą sprężynę w rogu ramy naciśnie...

Niespodziewanie rozlega się owo hasło konfederackie, jak gdyby na jakiej prastarej baszcie jasnogórskiej twierdzy strażnik przed wiekiem wygrywał na trąbie hejnał, w którym duma tęskna z kresów ukraińskich mieszała się dziwnie ze wspomnieniem weselnego oberka z nad, Wisły...

To w skrytce poza grubą ramą kryształową cudowny instrumencik, roboty starego mistrza weneckiego, sam gra kuranta, ułożonego przez muzykalnego przodka dziedziców na Rarogach.

A w tej samej chwili olśniewający obraz załamuje się za szkłem i w głębi swej, niby we framudze, ukazuje widzowi misterną płaskorzeźbę na złotej blasze.

Na tle obozu, pełnego wojowników-konfederatów, siedzą na przedzie przy ognisku ksiądz Marek z Pułaskim, a przed nimi Stanisław Kierdwojć gra swoją kompozycją na trąbce.

Obraz samogrający w Rarogach zazwyczaj milczy przez długie miesiące, chyba że przed rzadkim gościem wolno staremu słudze wyjawiać osobliwość komnaty portretowej.

Charakterystyczną melodię staroświeckiego hasła umie jednak wybornie wygrywać na trąbce strzelec, który towarzyszy praprawnuczce konfederata na koźle jej powozu.

Z daleka już odzywa się melodyjny hejnał, gdy dziedziczka zbliża się do którego ze swoich majątków.

Kiedy w tej chwili usłyszano go w Liliszkach, poznali zaraz wszyscy, że to sama pani nadjeżdża.

A ponieważ tak się złożyło właśnie, że w murach starego dworu zgromadziło się z różnych jej dóbr kilkudziesięciu oficjalistów pani Kierdwojciowej, wszyscy na odgłos znanego hasła, zaledwie rozległa się trąbka w oddali po pustkowiu, zbiegli na dziedziniec przed głównym wejściem do środkowego korpusu ogromnego gmachu, gdzie miał zajechać powóz.

Biegł tam również pan rządca Starowolski, ale nie zdążył, bo zrównał się z powozem przy bocznym skrzydle dworu.

Zoczyła zaraz pana Leszka dziedziczka, zdumiona niemało widokiem w głębi dziedzińca takiego mnóstwa osób nie ze służby i nie z ludu, oczekujących na jej powitanie

Więc już tutaj znienacka kazała konie zatrzymać i natychmiast wysiadła.

Rządca obie jej ręce ucałowawszy, wyjaśnił na pytanie, że samych swoich zastaje zebranych z okazji pogrzebu, okrom najlepszych sąsiadów.

A wtedy dziedziczka na ramieniu swego rezydenta wsparta, poszła już dalej ku ciemnej grupie rosnącej w oczach u podjazdu dworskiego.

Wielu z witających ją poznała sama od razu, innych przypomniał jej pan Leszek, dawno już bowiem nie zaglądała w te strony i niejednego z rysów twarzy całkiem zapomniała.

Ale ogromnie była temu w ogóle rada, że się zdarzyła taka sposobność, iż mogła na miejscu wypytać wszystkich o stan interesów w poszczególnych swych majątkach.

Sprawozdania wszystkich obecnych oficjalistów ciągnęły się przez parę godzin, po czym sąsiedzi uprosili ją, by zechciała przewodniczyć naradzie, jaką postanowili z okazji tak niezwykłego zjazdu odbyć w jej domu.

Ponieważ było aż do stu osób, przeto zebrano się na wielkim trawniku dziedzińca dworskiego, gdzie na wyniesionych z pokojów krzesłach zasiedli dokoła dziedziczki sami tylko starcy z pośród ziemian z sąsiedztwa lub kolegów nieboszczyka „pana leśnego” w służbie wieloletniej u Kierdwojciów, gdy wszyscy młodzi stojąc otoczyli ich kołem zwartym.

Radzono nad tym, jakim sposobem można by pożytecznie uczcić pamięć nieboszczyka.

Każdy z innym występował pomysłem, a rozprawy nie doprowadziły do pomyślnego wyniku, wśród uczestników bowiem narady stawali tuż naprzeciw siwych włosów — ludzie bardzo młodzi.

Toteż bardzo trudno było zgodzić się na co jednomyślnie w tak rozbieżnym zgromadzeniu, mimo, że wyjątkowo widać było, jak jedni drugim chcą ustępować.

Największe różnice z tego powstawały, że kiedy jedni mieli na myśli jakąś fundację o charakterze niejako prywatnym, na korzyść oficjalistów dóbr Kierdwojciów albo dla rolników okolicznych, innym się marzyło utworzenie jakiejś instytucji szerszego znaczenia, dla dobra ogółu. Albo kiedy ktoś zwracał uwagę że nieboszczyk był leśniczym, należałoby tedy ufundować cokolwiek właśnie w obrębie leśnictwa, jakiś konkurs ogłosić, jakieś nagrody przeznaczyć dla młodych pracowników na tej niwie gospodarstwa — to zaraz sprzeciwiano się temu z innej strony, kładąc nacisk, że zmarły „pan leśny” był przede wszystkim wzorem dobrego obywatela swego kraju, świecił przykładem miłości ojczyzny — i to właśnie trzeba uczcić w hołdzie dla jego pamięci.

W sam raz nad tym spór się toczył, gdy w pół zdania przerwały jednemu z mówców okrzyki z różnych stron zrywające się z nagłą, po czym wrzawa ogólna zagłuszyła dalsze słowa...

Kto siedział, zrywał się z krzesła, kto stojąc wiecował, biegł przed siebie lub się cofał...

A wszyscy w górę głowy zadzierali, wodząc wzrokiem po niebie.

Wysoko nad nimi po przeczystym błękitnie pływał majestatycznie ogromny ptak o srebrnych skrzydłach szeroko rozpostartych nieruchomo.

Pan Leszek Starowski objaśniał zajętą tym w najwyższym stopniu dziedziczkę, jak szczególne zalety ma latawiec syna „pana leśnego”, gdy kilku obecnych ziemian a sąsiadów pani Kierdwojciowej, którzy, podobnie jak ona,

widzieli już świeżo za granicą parokrotnie aeroplany rozmaitych systemów, lub przypatrywali się z bliska pędzącym w powietrzu balonom sterowym, zaczęło z nią rozprawiać żywo na ten temat, porównując znane im dotąd maszyny do latania z widzianym w tej chwili po raz pierwszy w locie „Białym Orłem” Bolka Króla, nazywanego przez nich jeszcze po dawnemu „młodym Kwaszewskim”.

Zapał, jaki ten widok niezwykle obudził w zgromadzeniu, rósł z każdą chwilą. Ludzie dojrzali, poważni, a zwłaszcza wobec dziedziczki starający się zachowywać ciągle jak na wizycie w salonie, zapominali o wszystkim, wpadając w żywiołową radość z objawami uciechy dziecinnej.

Ale też Bolko dawał popis nie lada ze swym cudownym wynalazkiem. Co tylko mogło być najtrudniejszego do wykonania w powietrzu sztucznym latawcem, wszystko to przedsiębrał on tutaj za jednym zachodem, lub po kolei z tak błyskawiczną szybkością, że widzowie z dziedzica dworskiego, oszołomieni zupełnie, już nie rozróżniali nic i nie rozumieli co widzą, czuli tylko, że muszą podziwiać...

A wówczas jeden z ziemian okolicznych, człowiek wykształcony, ale zarazem prawdziwie po obywatelsku myślący, korzystając z chwili, że „Biały Orzeł” na długo przepadł w odmętach niebieskich, uniósłszy się na wysokość dla wzroku ludzkiego już niedościgłą — zaproponował obecnym utworzenie „stypendium liliszkowskiego”, co rok dla niezamożnego rodaka, na urzeczywistnienie własnego wynalazku pożytecznego, o jakim naturalnie poważna instytucja publiczna wyda sąd przychylny.

Ten sposób uczczenia pamięci Bolkowego ojca podobał się ogólnie od razu, tym bardziej, że wystąpił z takim pomysłem człowiek zażywający powszechnego miru w okolicy — i że poparła go zaraz ochoczo dziedziczka, a zresztą najskuteczniej działał tu entuzjazm, w jaki popadli wszyscy pod wrażeniem cudu dwudziestego wieku...

Dość, że w tej chwili posypały się obfite datki pieniężne lub zapisywane przyrzeczenia corocznych składek na wieczysty fundusz, z największym naturalnie udziałem pani Kierdwojciowej i kilku jej równie zamożnych sąsiadów, — gdy wtem nowa wrzawa przerwała powtórnie obrady zjazdu liliszkowskiego.

Ujrzano z powrotem „Białego Orła”. Zrazu malutki punkcik ciemniejszy od reszty nieba, potem coraz szersza plama szara, niby obłoczek... Poznano, że opada. Leciał z zawrotnej wyżyny błyskawicznie prędko. Wydawało się, że spada z góry na dół jak kamyk.

Niektórzy już w tym ruchu wietrzyli wypadek nieszczęśliwy, gdy latawiec nagle zatrzymał się, niby rumak cuglom posłuszny — znienacka osadzony w miejscu.

Widać było wyraźnie, mimo że w tej chwili od oczu przypatrującej mu się z przed dworu grupy osób, dzieliła go odległość kilkuset jeszcze metrów — iż olbrzymi ptak zawisł w przestrzeni bez ruchu, jak gdyby miał oparcie — i nie posuwa się ani w przód ani w tył, nie podnosi się ni opada.

Zdumienie widzów nie miało granic, gdy orzeł zerwał się naraz z miejsca i zaczął pędzić z szybkością, o jakiej marzyć człowiek jest zdolny, ale jakiej — zdawałoby się — nie można sobie wprost wyobrazić. Zataczając równe, za każdym razem jednakowo zakreślone koło i nieodmiennie na tej samej wysokości, latał teraz Bolko bez końca z chyżością wichru, z którym nie poszedłby w zawody żaden automobil wyścigowy... Im dłużej to trwało, tym większy szła ogarniał widzów.

Aliści Bolko, zamknięty w kajucie swej bajecznej łodzi powietrznej, wcale się o nich nie troszczył. Nawet nie zwracał uwagi na to, że go ktokolwiek widzi z dziedzińca dworskiego, jak gdyby zapomniał o zjeździe gości żałobnych do Liliszek...

Nie dla nich to był popis.

Spojrzeniem swym zlatywał Bolko co chwila z podniebnej wyżyny, lecz nie przed podjazd dworski.

On wzrok swój utkwiał w jeden punkt przed leśniczówką, gdzie na ganeczku narożnym stała Wisienka z Hanką, a gdzie u ich stóp niejako, w miejscu, w którym od jego przybycia do Liliszek bielił się na murawie olbrzymi orzeł łańcuszkami spięty, stał teraz przedziwny katafalk z trumną ojcową.

W ten jeden punkt Bolko wzrok swój wpijał, szalejąc na swym samolocie w błękicie.

Było to dzieło „kochaneńki” — jak nazywano zacnego gajowego Tadeusza Dymkę.

Poszedł ze swymi ludźmi w lasy i po jednej żerdzi znieśli stos drągów, z których każdy był z innego gatunku drewna, ale nie pominęli ani jednego rodzaju drzew, jakie dało się znaleźć w przepastnej kniei, podległej rządowi nieboszczyka „pana leśnego”.

Żerdzie te, oplecione wiankami różnorodnych liści, tuż przed domkiem leśniczówki osieroconej poustawiano na polanie u wejścia do lasu, w taki sposób jak broń w kozły stawia wojsko przed namiotami.

Na takim katafalku spoczęła świeża trumna jeszcze wiekiem nieprzykryta, a osłonięta baldachimem z gałęzi sosnowych i świerkowych z modrzewiowymi na przemian i z jałowcem.

Ile było można znieść z kniei fiołków konwalii, tyle ich tutaj ręce jakby niewidzialne naniósł nie wiadomo kiedy. Więc zapach bił stąd acz pod gołym niebem, jakby z kwiatowej cieplarni przez uchylone okienko.

Ale rychło zmieszał się z wonią bzu i czeremchy, odkąd czeladź dworska uwiła nieskończonej długości wieńce z rozkwitłych świeżo przez noc z pęczy krzaków pod oknami mieszkania rodziców panny Jadwigi,

Wszystko tu odtąd ginęło w kwieciu.

Podobnie i zwłoki starca zasypane były, ręką córki narwanymi w ogródku, kwiatami; w nogach zaś trumny chwiały się barwne kity hiacyntów we wspaniałej, błękitną kokardą haftowaną spiętej, wiażance kapitanowej Molowej.



Tylko z ręki syna nie było ani listka na ojcowych marach, lubo się na nich znalazły co najpiękniejsze kwiaty z grządek ogródka Jadwisinego.

Syn sprzed onej trumny porwał się na orlich skrzydłach i uleciał, kędy jeno duch poety-artysty sięga, kędy w godzinie modlitwy prawdziwej przebywa głos wiary gorącej na rozmowie z Bogiem...

Z owej nie dla wszystkich dościgłej wyżyny spoglądał na dom rodzinny i na trumnę, która miała zamknąć tyle dlań drogiego — na wieki...

Aliści wzrok jego nie dostrzegał teraz we właściwych, tak dobrze mu znanych zarysach, ni tego domu, ni rodziny, nawet tej z pokojów wyniesionej trumny...

Na wszystko patrzył innym już okiem, spojrzeniem ducha.

On widział ojca swego. Tylko nie takim go widział, z jakim zazwyczaj rozmawiał, ojca, który się mylił w sądzie, dopóki sam na wszystko spoglądał błędnymi oczyma człowieka.

On już spotkał ojca w tej ducha krainie odmienionego, wszystko już rozumiejącego i nie dziwiącego się już niczemu...

Zrozumieli się więc obaj, syn z ojcem — jak nigdy przedtem.

Naraz objął syn własnym okiem cały ogrom miłości rodzicielskiej, ten nieskończenie długi, a tak nieuchwytny łańcuch trosk i zmartwień, najtajniejszych pragnień i najboleśniejszych zawodów...

— Ojczy — zatrzepotał się nagle krzyk mimowolny w duszy synowskiej — ilem ja tobie winien wdzięczności...

I odtąd jak umiał najlepiej, jak zdołał najgodniej, czcił syn ojca po swojemu — składając mu na trumnę wieniec z własnych myśli i uczuć...

A wtedy ludzie, którzy wianki z liści zielonych i kwiatów barwnych znosili na mary, ujrzeli go w locie tak górnym, jakiego nie widzieli jeszcze nigdy...

Nie mogli wyjść z podziwu nad karkołomnością jego wzlotów, lękali się tego szaleń, jaki go ogarnął...

On tymczasem orlą swą potęgą tam sięgając, „gdzie wzrok nie sięga”, łamiąc „czego rozum nie złamie” — krążył po wyżynach niebotycznych, a oczy jego poprzez nieogarnione oddalenie spoglądały z góry na pamiętny po wszystkie czasy z lat młodocianych dom rodzinny, coraz bardziej przetapiający się w mgłę prześnionej legendy... i na ojca zwłoki z pokojów wyniesie je...

Żal chwycił go za gardło, a jednocześnie w piersi rodziła się rozkosz dziwna pod wpływem uczucia, że duchem może z duchem ojcowym obcować odtąd — jak nie umiał z ojcem obcować za życia... Więc z rozradowaniem przedziwnym, które bezwiednie ze łzami mieszało się w głosie jego, wołał:

...Tobie, mój ojczy, ten lot swój najszczytniejszy poświęcam... Popatrz... Białych skrzydeł w błocie nie zaszargam już nigdy, duch mój buja na wysokości niebosiężnej... Popatrz, ojczy... i bądź dumny z syna... Raduj się... To wszak krew z krwi twojej, kość z kości twojej... Przestań troskać się o syna. Czyż mogłeś, ojczy, pragnąć dla mnie wyższych lotów...

\* \* \*

„Biały Orzeł” Bolka Króla nad leśniczówką lilizkowską wzbił się w tej chwili już tak wysoko, że Hanka z Wisienką stojące na ganeczku w narożniku, lubo miały wzrok sokolic, straciły go z oczu zupełnie i długo odszukać w żaden sposób nie mogły w odmętach błękitnego oceanu.

Z resztę nie pomogłyby im nawet szkła dalekonośne. Olbrzymi ptak srebrnopióry od dawna zmałał, dopóki szarą plamką nie zgubił się wreszcie w niebie na długo.

Hanka już głowę na piersi spuściła i poprzez baldachim ciemnozielony wonnego igliwia z boru, szukała smutnym spojrzeniem u stóp ganeczku, siwych włosów nad trupio bladą twarzą ojca, gdy Wisia zaczęła znowu wskazywać na przeczystym niebie drobną kropkę, która bardzo powoli rosła, na potwierdzenie, że przecucie nie omyliło dziewczyny.

Bolko opuścił się znacznie, ale odtąd latawiec jego jał na tle błękitu to rysować błyskawicznie zygzaki nierówne, to zakreślać gwałtownie ósemki zgoła kształtne, że wreszcie rzucała się już w oczy jeno straszna gmatwanina linii, lecz ani na chwilę nie dało się uchwycić spojrzeniem ptaka, pędzącego z chyżością zawrotną bez przestanku.

Godziny mijały a orzeł ciągle krążył nad leśniczówką, coraz trudniejszych dokazując zadań, co trochę rzucając się w przepaść gwałtownie i podrywając się nagle w pół drogi z miejsca z powrotem w górę...

Nikt tylko nie wiedział, że w głębi kajuty cudownego statku powietrznego na szalonych szlakach tej bajecznej podróży podniebnej, szkliło się łzami dwoje oczu, wpatrzonych ciągle w jeden, niemal niewidzialny punkcik, a usta spalone gorączką nadludzkiego wysiłku twórczości, szeptały:

...Tobie, ojcze, poświęcam w czci wdzięczności ten mój lot z wszystkich najgórniejszy, najdoskonalszy, największy...

Szept ten słyszał jednak ojciec, bo po twarzy jego bolesnym wyrazem naznaczonej za życia, rozlewał się uśmiech błogości zaziemskiej, jak gdyby odpowiadał synowi:

...Za każdą przykrość długich lat życia... za każdą gorycz, jaką mnie świat karmił do syta... za każdy ból zawodu, po troskach nadzieją kraszonych, gromem bijącego w pół drogi... nagradzasz mnie, synu, stokrotnie...

\* \* \*

Matrona poważna, ale tak jeszcze piękna, jak gdyby jej nie tknął wcale zab czasu, odziana wykwintnie, acz z wielką prostotą, w sukniach ciemnych, z kosztownym w swej nadzwyczajnej skromności kapeluszu ostatniej mody, bawiła się własną rękawiczką, w zamyśleniu siedząc na niskim krzeselku w zacisznej izbie leśnej pustelni. Już długą godzinę spędziła pani Zofia Kierdwojciowa na poufnej rozmowie sam na sam z wiekowym plebanem, gdy wreszcie wstała, znużona widocznie siedzeniem niewygodnym.

Postać wspaniała dziedziczki-milionerki odbijała dziwnie od tła samotni pustelniczej. Toteż Mara, u stóp Żmudzina leżąca, przypatrywała się niezwykle gościowi bez przerwy, ani na chwilę nie przymykając do snu oczu.

Po twarzy doskonale w świeżości zachowanej i niepozwalającej lat prawdziwych wyczytać, rozplýwały się teraz ślady silnego wzruszenia pod wpływem rozmowy z księdzem Gajtysem, przed którym nie starała się wcale ich ukrywać.

Pleban wstał także. Przez chwilę zapanowało milczenie, po czym starzec szepnął:

— Tak moje dziecko... tak... Domaga się tego krzywda ciężka wyrządzona babce Wisi Starowskiej... Ona nie potrzebuje dowiedzieć się nigdy o tym, że jej matka jest właściwie przyrodnią siostrą twoją, jak o tym nie wiedzą sami jej rodzice i ani tego nie przeczuwają nawet... W tej chwili z żyjących, oprócz mnie tylko ty, dziecino, znasz od godziny tajemnicę nieboszczyka swego ojca... Obowiązkiem dobrej córki jest spłacić ten dług w miarę możliwości...

Dziedziczka jęła wciągać na palce rękawiczkę.

— Obowiązkiem, kochanie moje... — powtórzył pleban. — A skoro, widzisz, Antosia dawno w grobie, więc trzeba wynagrodzić jej córkę, a zrobisz to najlepiej, dziecino, jeżeli, jak mówię, pomyślisz właśnie o jedynacze Leszkowej; ponieważ powtarzam ci, że tym sposobem tylko powstanie nagle coś ogromnie dobre go, bardzo pożytecznego... zobaczysz, kochanie... ty ich nie znasz... ale ja to czuję...

Pani schyliła się nad białą wyźlicą i drobną ręką w obcisłej rękawicze głaskała ją po długim łbie, a naraz jakby sobie coś przypomniawszy, przerwała starcowi, mówiąc przyciszonym głosem:

— Wiesz, ojczu, właśnie kiedy oglądałam „Białego Orła”, Wisia stanęła przy Bolku tuż naprzeciw mnie, wtedy znienacka uderzyło mnie w rysach tej dziewczyny wielkie podobieństwo do moich portretów z lat — tu dziedziczka zawahała się, po czym dokończyła — naturalnie jeszcze nim zostałam wdową... z panięskich czasów... doprawdy... Ja zresztą lubię to dziecko...

— Więc z tym większą przyjemnością spełnisz, duszko, ten dobry uczynek...

Wtem za progiem huk się rozległ. To Bies zaczął szczekać zawzięcie, na co Mara do drzwi poskoczyła zaniepokojona. Stary Żmudzin otworzył wyźlicy i sam również na dwór wyjrzał, a wtedy jak gdyby korzystając z tego, matrona, której w izbie pustelnika zbyt już było duszno, poszła w ślad za nim.

Psy opadły jakiegoś włóczęgę-żebraka, więc Gajtys rzucił się obronić nieznanego, a widząc to, pani Kierdwojciowa sięgnęła do torebki po jałmużnę.

Pleban podał ją dziadowi i psy uspokoił, a dziedziczka tymczasem weszła do wnętrza starej kaplicy modrzewiowej.

Ubogo w niej było zawsze jak w pustelni, ksiądz Kazimierz bowiem nie dopuścił do przystrojenia świątyni i z czasem pousuwał z niej nawet dawne fotele, zastępując je prostymi ławkami, jednakimi dla wszystkich bez wyjątku.

Zgodził się tylko na dwie rzeczy bardzo chętnie: na obraz Chrystusa do ołtarza zamówiony przez Kierdwojciów przed laty u pierwszorzędnego malarza w Warszawie, prawdziwe dzieło sztuki, oraz na zastąpienie braku organów, już w najświeższych czasach, nader osobliwym podarkiem dziedziczki.

Oto z Rarogów nadniemeńskich sprowadzono tutaj dawną pamiątkę rodzinną, bez użytku w jednej z komnat pałacowych stojącą od lat szeregu: klawikord staroświecki, małego formatu, a przedziwnego dźwięku.

Ustawiono go w kaplicy pustelni nieopodal ołtarza, w niszy, w której przedtem stało podwójne karło dla obojga Kierdwojciów.

W niedziele i święta w czasie nabożeństwa zasiadała odtąd przy żółtej klawiaturze Jadwisia Starowolska i wytwarzała przedziwnie, grą niektórych zwłaszcza utworów, nastrój staroświecczyzny.

O to nie gniewał się Żmudzin, sam ogromnie na muzykę czuły i przyznający z Dawidem, że trudno o lepszy sposób wychwalania Boga.

Ale nigdy nie był wdzięczniejszy dziedziczce za ten dar, jak w takie dni powszednie, w które popołudniu przychodziła niekiedy Wisia sama, przegrać na klawikordzie jaki nowy odpowiedni utwór, z Wilna sprowadzony, zanim go zagra podczas mszy wobec ludzi.

O, wtedy pustelnik zamykał się w swojej izbie, do ściany kaplicy przypartej, siadał na stołeczku między psami... i całą duszą wsłuchiwał się w tajemnicze dźwięki cudnie rozbrzmiewające w ciszy wśród pustych ścian modrzewiowych...

Gdyby był kto wtedy podpatrzył tego pustelnika, zdumiałby się niemało, widząc zawsze o takiej godzinie, łzy płynące rzęsiście po jego suchej twarzy, w obie dłonie kościste ukrytej głęboko...

Ale to bywały dla księdza Kazimierza chwile największej rozkoszy.

Stanęły mu one teraz nagle na myśli, gdy piękna matrona wszedłszy do kaplicy, przyklękła przed ołtarzem i zwróciła się zaraz do klawikordu.

Otworzyła ogromne wieko misternego pudła i nie zdejmując rękawiczek, wzięła parę akordów, które echem gędziebnem napełniły od razu całą pustelnię.

Smukła postać wychudła Żtnudziua nachyliła się ku wytwornej niewieście, a usta szepnęły:

— Jeszcze raz dziękuję ci, kochanie... za ten instrumencik...

A na to pani majestatyczną w rysunku głowę przegięła w tył nieco i podnosząc oczy w prześlicznej oprawie długich rzęs i brwi o szeroko rozpiętym łuku, na twarz wysokiego starca, rzekła:

— Od dziś dnia, mój ojczec... będzie ci już na nim grywała... nowa dziedziczka... na naszych niegdyś Liliszkach...

### XXIII.

Kędyś daleko na zachodzie, luna jasna płonęła od słońca olśniewającego wzrok koroną swych promieni...

Nad bezkresnym pustkowiem melancholijnej ziemi inflanckiej, której smętek wieczysty w dzień pogodny zasłania słońce chmurą tęsknoty... i w nocie „białe” spać nie daje korowodem cieni wielkiego a niewypowiedzianego żalu... snuły się teraz dymy złociste, niesione wiatrem od zorzy zachodniej...

Rozwłóczyły się po łąkach, kłębiły się nad jeziorami, dopóki wiatr nie zawiął z innej strony.

Natenczas pierzchać zaczęły tumany złocistego pyłu, a słońce ogromne skryło się za potężnym zwałem olbrzymich, o dziwacznych kształtach postaci, których szaty powłóczyły, mieniające się co trochę innymi barwami, zlewały się w oddali w jeden ton fioletowy, o coraz ciemniejszymi odcieniu...

Po niebie rozbiegły się daleko drobne obłoczki różowe, od których powoli, im bardziej padał zmierzch, robiło się w powietrzu czerwono, jak gdyby od pożogi wielkiej a odległej...

Jeszcze przez chwilę, na krańcach zachodniego widnokągu, z poza zasłony szarzejących fioletów, strzelały niekiedy zygzaki złociste, zdradzając, kędy się kryło słońce w ucieczce...

Poczym nagle ostatnie blasków echa pogasły, niby popiołem gwałtownie przysypane iskry... a szare cienie rozniosły się między niebem a ziemią i jęły do reszty plamy barwne zamazywać...

Płomienie czerwone poblady na niebie, po którym snuła się jeszcze kurzawa, na koniec szarość zapanowała wszędzie jednostajna...

Lasy lilizkowskie najdłużej stały w ogniu łuny zachodniej.

Czerwone odbłaski kładły się po czarnym murze sosnowego boru, a skoro wiechy jodeł i świerków dymić przestały, rozniecały się płomienie różowawe nad dąbrową starą, to znowu kurzyło się z buków i grabów dymem burym, gdzieniegdzie pozłacanym...

A kiedy cała knieja zagasła i szary obłok mgieł zasnuł ją na chwilę, od razu zmierzchać się zaczęło znacznie szybciej niż dni poprzednich...

Ale niebawem mgły rozstały się i niebo wieczorne zawisło nad Lilizkami pogodne, spokojne, z resztek chmurek oczyszczone...

O takiej godzinie przez tyle lat ubiegłych wychodził zazwyczaj na wiszący pod daszkiem w narożniku domku na leśniczówce, stary pan Jan z rogiem w ręku i wygrywał swoje pieśni wieczorne, których echo niesło się w dal nieogarnioną po pustych łąkach i tłuło się długo po przepastnych lasach, jak ona modlitwa dzwonoń na dębowej wieży rozkołysanych ręką pustelnika...

Dziś o takiej godzinie wieczornej duch „pana leśnego” wygrywał na mistycznym rogu cudną pieśń echową nad leśniczówką, tylko głos jego już się nie rozlegał po bezkresnym pustkowi, nie wpadał w sploty zielonych warkoczyków brzoź-płaczek, które echo rogu zwykle pochwycawszy z daleka, jęczały rozpaczliwie nad moczarami, strasząc rzadkiego włóczęgę pochylanym na wietrze potem upiornie białym, trzeszczącym przeraźliwie...

Głos znajomy rogu „pana leśnego” dźwięczał jednak w tej chwili rzewną skargą w duszach całej rodziny lilizkowskiej, jak gdyby to uszy ich na nowo łączyły, powtarzające się w podobne wieczory, echa dziwnej, tajemniczej pieśni...

Tak mimo woli każdy o tej godzinie przypominał sobie zapamiętane od lat szeregu granie rogu i biegł myślą poprzód ganeczek leśniczówki odludnej, zacisznej...

A tu ludno było tym razem, acz cicho, na skraju wielkiej polany u kresu kniei. Zeszli się wszyscy goście żałobni — i tamci z daleka i ci z bliska...

Thumem otoczono mary, ginące w wonnym kwieciu.

Wysoko pod baldachimem z gałązek szpilkowych, w trumnie otwartej bielily się włosy siwe starca...

Często ku nim zwracały się oczy jego rówieśników, potrząsających w zadumaniu głowami...

Zmrok szary zapadał dokoła, a u progu wielkich lasów rychło robiło się ciemniej.

Wtedy na czterech rogach dokoła mar przed leśniczówką wzniesionych, zapłonęły na wysokich słupach pochodnie smolne.

Naraz blaski żółte odmieniły cały krajobraz w zakątku polany na lilizkowskim wzgórzu.

Cztery słupy dymu buchnęły ku niebu, roznosząc się długimi welonami wysoko nad knieją i zasnuwając nieboskłon szary.

Wieczór był ciepły, jakby to nie wiosna, lecz lato trwało już w pełni. Toteż bez okryć cieplejszych porozsiadali się nawet i najstarsi na wyniesionych z domu krzesłach, na staroświeckich fotelach, jak i na ławach, nawet na pniach ściętych, których tu nie brakło.

A kiedy myśli wszystkich skupiły się na tej piramidzie zieleni i kwiecia, na której szczycie spało znużone życiową pielgrzymką ciało „pana leśnego”, nastąpiła cisza smutna.

Może temu i owemu wydało się, że słyszy jeszcze echo grania rogu na ganeczku leśniczówki, ale to, mu już tylko w duszy wygrywało wspomnienie...

Jak gdyby czuł każdy, że ten duch krąży między nimi i przypomina im — czym było jego życie...

Wtedy właśnie na ganeczku w narożniku zjawiła się smukła postać pustelnika, który oparłszy obydwie dłonie o poręcz, nachylił się ku gromadce poważnej, otaczającej żywym kołem ukwiecone mary.

Podniosły się ku niemu wszystkich głowy, a myśli ich — jako te roje ciem do światła pochodni lecące zewsząd — zbiegły się nad trumnę dębową, ozdobioną wielką kokardą wypłowiałą — błękitną, srebrem haftowaną przed osiemdziesięciu laty... w której wzrok teraz utkwiał ksiądz Kazimierz Gajtys.

W słuch zamienieni czekali wszyscy wśród ciszy wieczornej.

Wreszcie po dobrej chwili rozległ się głos pustelnika.

— Wybaczcie, moi drodzy, że tak długo czekacie na moje słowo... Zasłuchałem się pospołu z wami w tę wielką ciszę szarej godziny... i umilkłem, gdy się miałem odezwać...

To widzicie, nieraz gdy człowiek ma dużo do powiedzenia Panu Bogu, nie zdoła złożyć ani jednego pacierza... i modli się długo najcichszym milczeniem...

A jako Ojciec nasz w Niebie najlepiej taką bez słów zrozumie modlitwę, tak i bliscy sobie między ludźmi często właśnie milczeniem żegnają się najczulej, najserdeczniej, lubo w bolesnej rozstania godzinie wyznać sobie nawzajem mieli tyle... i właśnie bez słów dopiero zrozumieli — czego nie umieli by sobie wytłumaczyć najwymowniejszymi ustami...

Jakże chętnie o tej chwili uciszyłbym się z wami i słuchał kojącej, acz tak niezgłębionej, niepojętej głuszy leśnej puszczy, którą znał i rozumiał lepiej od nas, stary jej gospodarz, odpoczywający już w swej białej trumnie dębowej...

Tyle by wam przecie powiedziała cisza wieczorna przy tych marach, żeby nie potrzeba było słów, jak ich nie miały owe pieśni tęsknoty, które z pod tego daszka w narożniku leśnego domku w ciągu lat płynęły na skrzydłach żalu nad bezbrzeżnie smętnymi łąkami, kędyś w podniebny szlak, okiem niedojrzany... a słowem trafiały do serc...

Jeżeli zaś ciszę wymowną przerywam swoim słowem, to jeno dlatego, że powiedzieć wam muszę, czego nie usłyszeliście w echu rogu gospodarza leśnej kniei...

Patrzcie... jak wietrzyk kołysze czarnym baldachimem nad jego siwą głową... To ukochane sosny i modrzewie szeptem tajemniczym śpiewają mu kołysankę na sen wieczny... To powiewa chorągiew pana leśnego...

Ale czy nie widzicie tego wybladłego proporca, co się u jego stóp chwieje, szeleszcząc na wietrze...

To także jego sztandar, ta błękitna wstęga, wiążąca kwiaty... jego niegdyś sztandar...

Srebrne wyszycia wyobrażają godła wojskowe... jego przed wielu laty godła ukochane... pół wieku temu...

Są tu między wami starsi, którzy przypominają sobie pogrzeb kapitana Zygmunta Mola. Pamiętacie... jako rolnikowi daliśmy wtedy rezydentowi liliszkowskiemu do trumny sierp w wianku z kłosów żytnich, złocących się przy równiance krwawych maków.

Ułańskiego pałasza nie zabrał ze sobą wówczas weteran spod Stoczka do grobu... Jego broń żołnierska rdzewieje pod daszkiem dzwonnicy na skraju boru...

W mogile zaś na piersi Zygmunta w proch dawno się rozsypała jedyna jego w trumnie odznaka wojskowa: biała wstęga, na której taki sam haft, jak na tej tutaj błękitnej, przypominał pochylone nad bębniami sztandary z orłami i strzelby z bagnetami obok pik z chorągiewkami, a szable na krzyż złożone nad czarną paszczą działową...

W proch już się rozsypała owa wstęga biała, jak ta błękitna zacznie się od jutra rozpadać w ziemi mogilnej...

Szlochanie słyszę między wami... niewieście łkanie... To płacze wdowa, która trzydzieści lat temu kładła w grób weterana przepasanego wstęgą, od kul podziurawioną w boju... i płacze sierota, którą boli myśl okrutna, że musi drogie ciało ojcowe oddać zimnej ziemi na zagładę bezlitosną, by zeń z wiekiem nie zostało się nic więcej nad garść popiołu... jako z najśliczniejszej wstęgi srebrem haftowanej...

I tak się miesza wśród was ten płacz po człowieku, z żalem za wstęgą barwną, co furczała nad polem bitwy wśród szczęku pałaszy, gdy grzmiały armaty za plecami chwackich ułanów w bajecznie kolorowych mundurach z rabatami...

To wam w piersi łka... Płacze w was żal za chorągiewką na lancy ułańskiej...

Oto, drodzy moi, o czym z wami mówić muszę, zanim się zamknie ta trumna... Wysłuchajcie cierpliwie... a powiem wam naprzód, kogo ona kryje... kto się krył przed światem w panu leśnym... i dlaczego nie wystarczało dać mu do trumny pod głowę wieniec z liści dębowych... dlaczego pójdzie z nim do grobu wstęga z godłami żołnierskimi... Powiem wam zaraz, moi kochani, historię tej starej wstęgi... i tej rogatywki granatowej z białym barankiem, którą widzicie na nieboszczyka piersi zastygłej... Posłuchajcie...

\* \* \*

W ciszy wieczornej padały z ganeczku leśniczówki słowa pustelnika, których słuchano w skupieniu i z powagą, acz z ogromnym zaciekawieniem, wszyscy bowiem, z wyjątkiem zaledwie kilku osób, znających już od paru dni tajemnicę, dowiadywali się dopiero w tej chwili, że znaleźli się na pogrzebie Jana Króla, nie Bogori-Kwaszewskiego. Gdy stary Żmudzin opowiedział licznemu zgromadzeniu żałobnych gości dzieje dzieciństwa i młodości swego przyjaciela, wtajemniczył ich z kolei w sprawę funduszków po dawnym dziedzicu Poręby, użytych na cele „Białego Orła”... Wreszcie zapytał:

— Powiedzcież wy teraz, jak wam się zdaje, czy ojciec Bolka mógł spokojnie stanąć teraz na tamtym świecie oko w oko przed swoim dobroczyńcą, który dając mu w Paryżu cały swój znaczny majątek, tak bardzo przykazywał, by tych pieniędzy tylko dobrze użył...

A na to szmer powstał głośny wśród zgromadzonych, którzy już Bolka widzieli w najgórniejszym locie: zewsząd zgodnie wołano, że jego ojciec nie mógł lepiej użyć majątku dziedziców Poręby Kwaszewskiej, jak właśnie na „Białego Orła”.

— Uprzytomnijcie sobie — rzekł wtedy pustelnik — że te ogromne fundusze złożył do rąk swego wychowanka żołnierz z krwi i kości, wybitny uczestnik obu powstań. Pomnijcie, że spadkobierca długo wyglądał chwili, kiedy przyjdzie mu dobrze użyć depozytu na cele również strategiczne a tajemne... Widzicie zatem, jak zupełnie sprzeniewierzył się swoim ideałom, tak przecież gorliwie wpajającym mu w duszę od lat chłopięcych przez wychowawcę i dobroczyńcę...



Oto przed wami stoi jedyny winowajca, który przedtem z Zygmunta Mola, a później z Jana Króla wypruł żyłkę żołnierską... Przyznaję się wam dziś nad otwartą trumną młodszego przyjaciela, zem to ja sam tego dokonał...

I właśnie zanim się nad nią zamknie wieko na wieki, chcę wam wyjawić, dlaczego tak uczyniłem. Ale ponieważ wy o mnie, cichym pustelniku leśnym, wiecie nie więcej, niż wiedzieliście do tej chwili o „panu leśnym”, przeto byście w słowach moich ważnych nie słyszeli słów klechy i dlatego nie tłumaczyli ich sobie tendencyjnie, muszę wam przede wszystkim wyznać, kim znowu ja byłem wprzód, nim w pustelni swojej nieopodal waszych domów osiadłem tu w ciemnym borze... pół wieku temu... A wszak to pół tylko życia mojego... Tak, dzieci kochane, ja już cały wiek przeżyłem... Więc wam winienem wyjawić dzieje pierwszej życia połowy... Zechciejcież i tego jeszcze posłuchać... nie bez ważnego celu...

Za Żmudzina słusznie mnie tu macie. Ale na kochanej Żmudzi stała tylko moja kołyska w starym dworku rodziców ojca, nigdy zaś poza dzieciństwem już nogą nie stanąłem na żmudzkich ziemi i nie widziałem domku rodzinnego. Kiedy w nim karmiła mnie krwią serdeczną matka Mazurka, nie było nad nią kolebką ojca, którym rzadko i na krótko tylko cieszyły się w domu matczyne oczy, bo w zaciętym mruku żmudzkim grała krew żołnierska i z wojny na wojnę pędziła go bez końca.

Gdzie też nie był ten wiarus... W jego oczach pod Maciejowicami Naczelnik ranny padał z konia... On był jednym z tych legionistów Dąbrowskiego, co śpiewali daremnie marzenia o marszu „z ziemi włoskiej do polskiej”... Ale już pod Raszynem świadkiem był, jak poległ Godebski... I odtąd walczył ojciec wszędzie u boku księcia Józefa... Kiedy się raz w domu z ran wylizywał dłużej, a żona i córki cieszyły się myślą, że może stale odpocznie, nagle zerwał się na koń i pod orły złote boga wojny poleciał pod Smoleńsk, po krzyż legii z ręki Napoleona. Pod Możajskiem trochę krwi mu z żył Kutuzow utoczył, ale zacięty Żmudzin ani z raną z konia nie zsiadł...

W dniu moich narodzin już szedł na Moskwę... Ale do domu ani znad Berezyny w łachmanach nie powrócił... Syna jedynaka pierwszy raz dopiero zobaczył po upadku Napoleona, kiedy z ciałem ukochanego swego wodza a bohatera z pod Lipska, wyłowionym z nurtów Elstery, przyszedł wraz z towarzyszami broni do Warszawy. Tam już matka moja, po stracie obu córeczek, mieszkała ze mną wtedy w domu swych rodziców. Tam oczyma chłopięcymi przypatrywałem się ojcu potem nieraz, gdy po Saskim Placu, na gniadym koniu przelatywał przed frontem swego oddziału, w prześlicznym mundurze, podczas przeglądów wojska przez Konstantego... Policzcie... ile to lat temu... A ja dziś jeszcze widzę to wzrokiem wspomnień własnych z dzieciństwa — jak wy to widzicie na malowanym obrazie...

Mówiono mi niedawno, że gazety wspomniały o śmierci ostatniego i już od dawna jedyne go z weteranów wojny z przed osiemdziesięciu laty. Umierając, był on ode mnie starszym — ten ostatni. Słuchajcie... kiedy oczy przymknę, to mi tak

żywo staje w pamięci ten wieczór dwudziestego dziewiątego listopada w Warszawie, jak gdyby to niedawno... chociaż byłem młodzieniaszkiem wtedy, gołowasy jeszcze...

Zdaje mi się, że słyszę głos oficerów, którzy z dobytymi pałaszami wpadli do teatru, wołając: „do broni!” Za chwilę znalazłem się na ulicy z kolegami, a wkrótce pod arsenałem, gdzie broń rozdawano ochotnikom... I ja nim zostałem. Ojciec w bojach osiwiwały poszedł w pole ze swym pułkiem, gdy ja całą wojnę przetrwałem w Warszawie. Snują mi się przed oczyma postacie najlepiej zapamiętane: widzę Niemcewicza, Lelewela, Dwernickiego... Dyktator Chłopicki wyrasta w moich wspomnieniach żywcem jak mocarz prawdziwy... Sejm pamiętam... i wrażenie złych wieści spod Ostrołęki...

Ojciec z Litwy wrócił pod Dembińskim do Warszawy i tu trafił na pogrzeb żony. Odtąd już się z nim nie rozłączałem. Znaleźliśmy się obaj na Woli, kiedy na nią nacierał Paskiewicz. Słuchajcie... W moich oczach ojciec poległ u boku Sowińskiego. We własne ramiona pochwyciłem padającego trupem rodzica i na własnych rękach zaniósłem go potem do mogiły.

Nie skończyłem wtedy jeszcze lat dziewiętnastu.

Nazajutrz z tysiącem walecznych opuszczałem Warszawę. Ale mnie wtedy jeszcze nie opuścił duch rewolucyjny. Tułałem się z rozbitkami polskiej armii po Galicji, gdy Zaliwski podsunął nam zuchwałą myśl prowadzenia partyzantki. Przyjęliśmy ją z zapalem. I niebawem pospołu z innymi spiskowcami znalazłem się za murami straszego więzienia w Kufsztajnie.

Nawet „Czarna Księża” Czaplickiego nie powiedziałaaby wam całej okropności o torturach, jakimi męczono nas naówczas w więzieniach austriackich. Trudno było wyjść z nich żywcem. A jednak przetrwałem w nich lat kilka i wyszedłem — gotów od razu rzucić się na nowo w wir spisków. Bawiłem trochę na emigracji w Paryżu, ale rychło jak z pod ziemi wyrosłem znowu w Galicji, w tajemniczej postaci emisariusza. Długo udawała się moja agitacja. Ale kiedy mnie raz w ręce dostały szpiegi austriackie, dostawiono mnie do Lwowa, a po barbarzyńskich procesach ledwie żywego wywieziono aż na Morawy, by na długo wtrącić do najokrutniejszych, jakie tylko podówczas istniały, kazamat Grajgóry. Patrzałem, jak od tych tortur średniowiecznych marnieli i marli, lub w obłąkanie popadali towarzysze mojego męczeństwa, a sam... nawet się nie zdradziłem, że jestem więziony za kogo innego... i żyłem nadzieją wolności.

Kiedy tak lata jednak mijały bez odmiany, zacząłem się łamać na duchu, zwłaszcza, że i zdrowie w ciemnych norach wilgotnych w głębokim podziemiu nadpsuło się trochę. Na szczęście pokrzepił mnie mocą wiary towarzysz niedoli, człowiek jeszcze wtedy świecki, w którym się jednak w kaźni Szpilbergu zrodziła myśl przywdziania szat kapłańskich. Był to Albin Dunajewski, który potem jako książe — biskup krakowski, a brat sławnego ministra, umarł w purpurze kardynalskiej. Wiele temu młodemu więźniowi stanu zawdzięczałem w swej niedoli. W zupełnym spokoju ducha wytrzymałem do końca w murach brneńskiej Grajgóry.

Wypuszczony niespodziewanie, na początku pamiętnej „wiosny narodów”, umknąłem co żywo za granicę i w Berlinie trafiłem na chwilę, gdy spiskowców polskich z więzień Moabitu uwolnionych lud pruski witał z entuzjazmem na ulicach swej stolicy, widziałem jak Libelta i Mierosławskiego nosili Niemcy na rękach, a król się kłaniał ofiarom barykad... I wiecie, dokąd mnie zawiódł wtedy duch-rewolucjonista, który siedział we mnie pomimo tortur austriackich... Znalazłem się w obozie Mierosławskiego pod Miłosławiem. Walczyłem z bronią w rękę przeciwko wojskom pruskim i pierwszy raz w życiu doznałem wtedy wrażeń upojenia zwycięstwem żołnierskim.

To było też po raz ostatni.

Teraz musiałem kraj opuścić i uchodzić ponownie na emigrację. Przybywszy do Paryża, powróciłem do dawnego swego mieszkania, z którego przed kilkoma laty, wyjeżdżając nagle do Galicji jako emisariusz, nie zabrałem nawet swoich rzeczy. Przechowała mi je gospodyni w poszanowaniu.

A miałem tam kilka pamiątek bardzo drogich. Był tam krzyż czarny drewniany, ręką chłopca żmudzkiego zrobiony w mojej wsi rodzinnej, gdy mnie jeszcze nie było na świecie. Zawiesiła go matka moja na piersi męża, kiedy z Poniatowskim odchodził na wojnę. Zdjąłem go z martwej szyi ojca na okopach Woli, a nie był wtedy czarny, lecz cały krwią czerwoną ociekał... Na zawsze doń przyschła... Zabrałem go na swoje tułactwo, lecz naówczas, w tajnej misji z Paryża wyjeżdżając, musiałem go zostawić... Brakło mi go dotkliwie potem w kazamatach Grajgóry. To też ze łzą w oku odzyskałem tę pamiątkę.

Były tam wraz z nią i drugie. Była miniatura Mickiewicza, w kościanej ramce w dębowe liście rzeźbionej, robota bardzo drogiej memu sercu osoby, którą wkrótce po moim powrocie nad Sekwanę śmierć mi zabrała... Była tam wreszcie w moich rzeczach książka, do której wielką zawsze przykładałem wagę: „Księgi Pielgrzymstwa Polskiego” z własnoręczną dedykacją autorską z czasów, gdy w rodzinie emigracji paryskiej nader bliskie węzły łączyły mnie z wieszczem.

Nic się z tych pamiątek nie uroniło. Zastałem je po latach nieobecności na dawnym miejscu nad łóżkiem. Tylko pokój mój zajmował nowy mieszkaniec, ale rodak — i to na kilka dni przede mną do Paryża przybyły również jak ja uczestnik rewolucji poznańskiej. Poznaliśmy się dopiero tutaj i rychło, mimo że był ode mnie znacznie młodszy, zaprzyjaźnili serdecznie. Był to Zygmunt Szczęsny Feliński.

Wzajemnie budziłyśmy w sobie zapał religijny, porwani powiewem mistycyzmu, który nas ogarniał zewsząd w ówczesnym życiu naszego pielgrzymstwa nad Sekwaną. Zresztą umacniał nas w tym sam Mickiewicz, który po kilkakroć powtarzał nam, że „to tylko dzieło coś warte, które ludzi prowadzi do Boga”... Coraz mistycznie usposobieni pod wpływem wieszczęj poezji i żywo rozpowszechnionej idei mesjanizmu polskiego, zapragnęliśmy i my obaj prowadzić ludzi do Boga i postanowiliśmy całe życie przekuć na takie „coś warte dzieło”...

Razem wróciliśmy z wychodźstwa i razem przywdzialiśmy suknie kapłańskie. Los nas rozdzielił na samym wstępie do stanu duchownego. Oto policja przychwyciła mnie w Warszawie w świeckim przebraniu na tajnej naradzie spiskowców... Dostałem się do cytadeli. Żandarmi wzięli mnie za poszukiwanego imiennika mojego, nieznanego mi wcale rzemieślnika, który zgładził dwóch szpiegów. Człowiek ten pono inaczej się nazywał, lecz dla zmylenia pogoni, podawał się za Kazimierza Gajtysa. Ja milczałem, ani się nie przyznając, ani nie zaprzeczając.

Wywieziono mnie na Sybir...

Przed towarzyszami niedoli w katordze nie zdradzałem się z tym, że jestem księdzem, ani nikogo nie wtajemniczałem w sprawę owej omyłki żandarmów warszawskich. Ale po pewnym czasie sam rozmyślając nad nią, odważyłem się spróbować, czy nie umożliwi mi ona powrotu do kraju, o ile uda mi się ucieczka. W straży nie budziłem podejrzeń swoim postępowaniem, więc skorzystałem z pierwszej sposobności i zbiegłem z katorgi.

Wybrałem się z gołymi rękami w pieszą tułaczą wędrówkę poprzez lodowate stopy do dalekiej ojczyzny. Wlokłem się bez kęsa chleba dniami i nocami... nie mając się gdzie schronić... Dech zamarzał mi w piersi w tej drodze bez kresu... przeraźliwie białej, zimnej i pustej... a ja na pokrzepienie ducha wspominałem sobie co trochę inne na pamięć umiane ustępy z „Dziadów” — i nie upadałem...

Właśnie walczyłem z wściekłą zamiecią. Bywały chwile, że mi się zdawać musiało, iż śnieg zawieje mnie w drodze zupełnie i zagrzebie na wieki wśród nieznanych szlaków dalekiej Północy... A jednak tak się zająłem odświeżaniem sobie w pamięci sceny „widzenia księdza Piotra”, że wreszcie nie wiedziałem, kiedy zamieć ustała.

Ukoilo się w powietrzu i w głębi mej duszy. Głodem i mrozem wycieńczony już strasznie, posuwałem się naprzód, jakby snujący się cicho cień wśród niezmierzonej pustyni śniegów sybirskich... marząc o Polsce...

Wtem zdała przed sobą zoczyłem cień drugi, ślaniający się po białym, gwiazdkami wyiskrzonym kobiercu rozległym. Szedł ku mnie prosto. Przestrzeń dzieliła nas wielka na tym pustkowiu, więc starałem się jeno rozpoznać zdała po odzieży, z kim mam się spotkać. Wzrok wyteżałem, jak mogłem, a lubo zbliżyliśmy się do siebie, nie zdołałem żadną miarą rozróżnić sukni. Więc już o kilka kroków od niego podniosłem naraz oczy, żeby mu w twarz spojrzeć...

Gdybym to umiał słowami wypowiedzieć, czegom doznał w owej chwili pośrodku śnieżnego stepu...

W twarzy człowieka, który szedł na moje spotkanie, poznałem własnego ojca... tego ojca drogiego, który krwią zalany padł trupem w moje ramiona na szańcach Woli i ćwierć wieku przespał już w mogile poległych...

— Synu — zawołał, wyciągając ku mnie jedną rękę, a drugą podał mi węzełek. — Przynoszę wszystko, czego ci brak w podróży: masz tu chleb i miód, masz płaszcz i kij pielgrzymi... a nade wszystko znajdziesz tu drogowskaz wieczysty...

Zdumiony zajrzałem w głąb drobnego zawiniątka. Były w nim moje najdroższe pamiątki, które w domu zostały, gdy mnie wzięto do cytadeli i potem na Sybir wywieziono: czarne godło męki Zbawiciela ludzkości, wizerunek wieszcz-proroka narodowego, Pismo Święte i książka Mickiewicza.

Jeszcze oczom wierzyć nie mogłem. Ale kiedy zgrabiałymi z zimna palcami ująłem księgę Ewangelii i spod odchylonej okładki zobaczyłem pismo przyjaciela Felińskiego, który mi ją podarował, zrozumiałem, że nie śnię. Jednocześnie zaś straciłem uczucie głodu i zimna.

Wtedy ojciec ujął mnie za ramię, mówiąc: „Nie ustawaj w drodze...” Ale kiedy iść chciałem dalej przed siebie jak wprzód, zawrócił mnie, wskazując, że nie tędy droga do Polski. Okazało się, że śnieżycą zawiany w stepie, błędziłem po manowcach... Ledwie ruszyliśmy dalej społem, pyta mnie ojciec:

— Pamiętasz ty szturm na Wolę?

— Wszak broniliśmy jej razem...

— Aleśmy jej nie obronili, mój synu, bo na reduty słaliśmy raz za razem tylko miecze i kule, zamiast bronić okopów samym duchem... Oto dlaczego wzięto Warszawę...

— Ojcze — krzyknąłem — ty mnie to mówisz, żołnierzu księcia Józefa... miecz potępiasz ty, któryś z Kościuszką i Chłopickim chodził bronić Orła Białego?

— Duchem, mój synu... białym orłem duchem zwyciężysz wszędzie i zawsze... gdy miecz, choćby w najświętszej sprawie podniesiony, pozostanie nożem Kainowym..!

Słyszając takie słowa z ust człowieka, który całe życie do ostatniego tchnienia strawił na bojach, zacząłem sobie włosy drzeć z głowy, wołając z rozpaczą:

— Czy podobna, by wszyscy trwali w tym błędzie...?

Na to mi zaś ojciec rzekł z dziwnie słodkim spokojem, a cichym głosem anielskiej dobroci:

— Powiedz, zali mógłby się mylić, kto już twarzą w twarz obcuje z samym Chrystusem...

Z takim słowem zniknął, zostawiając mi w ręku węzełek z pamiątkami pielgrzymimi, ja zaś z nimi już nierozłącznie szedłem do Polski dalekiej przez zawiane zimnym śniegiem stepy okrutnej pustyni Sybiru.

\* \* \*

Zamilkł pustelnik na chwilę.

Wsparty oburącz o ganek, odetchnął głęboko i okiem od trumny oderwanym, powiódł po lesie, w którym wiatr coraz mocniej hukał, targając czupryny drzewom starym, a młode gnąc w pokłonach przed „panem leśnym” na pożegnanie.

Dym z pochodni smolnych w czterech rogach przy marach ukwieconych strzelający w niebo, kłębił się co chwila i potargany wiatrem rozpierzchał, a

blaski żółte, bijące od płomieni na szczytach słupów, drżały coraz bardziej i rzucały cienie dziwaczne na zasłuchaną w słowa pustelnika gromadkę.

Wszyscy je teraz rozważali w głębokim zamyśleniu, gdy wtem, wraz z uciszeniem się wiatru, rozległ się od nowa z ganku głos mocny a dziwnie mile dźwięczny:

— Wiecie teraz, dlaczego z pod samego serca wypruwałem przyjaciółom żyłkę żołnierską...

Wiecie teraz, dlaczego starych dział konfederackich, w lochu tajemnym pod basztą dworską chowanych na godzinę potrzeby narodowej, nie dałem posłać na posiłek do obozu powstańców...

Dlaczego spiż morderczy przetopić poradziłem na dzwony, ból kojące pieśnią nieśmiertelną ku czci Boga Miłości...

I wiecie, dlaczego majątek po dziedzicach Poręby, wbrew ideałom ich rodu, nie poszedł już na cele, na które użyliby go choćby i dziś, gdyby żyli — Bogoria-Kwaszewscy...

Jak dziecko płakał kapitan Mol, ten nieustraszony wiarus spod Stoczka, Grochowa, gdy nadeszła chwila wyniesienia z domu broni żołnierskiej, by ją na dzwonnicy zawiesić pod borem na pastwę rdzy...

A spytajcie ścian pustelni, co świadkiem były moich długich rozmów z „panem leśnym”...

Gdybyście widzieli ten żal straszny, jaki tam miotał tym wychowankiem majora Bogorii, że ma się rozstać na zawsze z ukochaną myślą, którą kołysały duszę jego od kolebki wszystkie najmilsze piosenki; że ma się rozstać na zawsze z tą ukochaną myślą, którą mu na każdym kroku przez całe życie przypominały najdroższe po ścianach domu obrazki, w której go umacniały najświętsze na półkach książki; że ma na zawsze rozstać się już z tą ukochaną myślą, którą mu z ram występujące przypominały portrety, przestrzegając surowo, by się jej nigdy nie wyparł, błagalnym głosem zaklinając, by w niej wytrwał aż do końca, z nadzieją — choćby przeciwko samej nadziei...

O, długo pasował się z żalem...

I popatrzcie... z tego bolesnego wyrzeczenia się powstał „Biały Orzeł” jego syna...

A dawny partyzant spod Kobylanki, spod Miechowa, spotkawszy się z moim ojcem tam, gdzie się już twarzą w twarz obcuje z samym Chrystusem, raduje się górnym lotem tego białego ptaka, jak Zygmunt radować się tam musi pieśnią dzwonnów z dział przelanych...

Słuchajcie. Oto stawiam wam przed oczy żołnierzy z krwi i kości, dla których wojenka stała się drugą naturą, powstańców urodzonych, dla których obóz partyzancki w lesie był marzeniem całego życia, rewolucjonistów wieczystych, których nie odmienił nie tylko suchy chleb wygnania, łzami oblewany z tęsknoty za straconą Ojczyzną, ale odmienić nie zdołały nawet tortury lochów więziennych...

Jakże ciężko było takim ludziom rozstawać się na zawsze z ową myślą, co się stała treścią ich życia..

A widzicie przecie, że ją pożegnali nawet oni, gdy się im powiedziało, że kto za Chrystusem idzie, nie może pod żadną postacią nosić noża bratobójczego, albowiem miłość prawdziwa nie zna krwawej ofiary, choćby w imię najświętszych ołtarzy...

O ileż łatwiej będzie wyrzec się myśli owej na zawsze tym spomiedzy was, którzyście sami nie nasiąkli, jak my, obozowym życiem powstańców...

Dzieci kochane... Dobrze ja czuję, jak wam żal pożegnać na wieki wszystko, z czego najdumniejsi byli nasi dziadowie...

Czyliż wam jednak każę płwać na groby bohaterów narodowych, bluźnić świętej przeszłości naszej?

Na kolana padajcie przed każdym z dziadów, którzy ojczyzny bronili jakkolwiek, boć oni ją kochali!...

Całujcie rękę ojcową, która broń podniosła na osłonę matki-ziemi, całujcie ze czcią i wdzięcznością, bo jeśli krew przelała, to li ze świętej miłości ojczyzny, bo jeśli na cudze życie dla jej szczęścia godziła, toć za to własne oddawała w ofierze...

Miewaliśmy między bohaterami swymi mężów, których życie było niby świętych, a serce jako u aniołów. A jednak i tacy ludzie, gdy ich zabolą wielka krzywda matki, za miecz chwytali i naród pod swą chorągiew wołali, bo im się zdawało, że w obronie największych świętości zhańbionych godzi się iść upomnieć o sprawiedliwość, a nie można inaczej, jak z mieczem przeciwko krzywdzicielom.

Błogosławiona niechaj będzie po wszystkim czas pamięć tych obrońców dobrej sprawy... i tych, co do zwycięstw... i tamtych, co nawet do klęsk wiedli... albowiem dobra pragnęli, a ponosić się dawali wielkiej miłości... Błogosławione ich imię, mimo że mieczem wojowali, przelewali krew...

Bo nie jest grzechem — nie wiedzieć!

Bo zasługą jest — wierzyć!

Oni zaś wierzyli gorąco w prawość swej słusznej sprawy, a nie wiedzieli, że miecz, choćby był w ręku skrzywdzonych bronią sprawiedliwości, pozostanie narzędziem morderczym; a czyż może krew przelewać prawdziwy wyznawca Boga miłości?

Oni tego nie wiedzieli — a nie jest grzechem — nie wiedzieć.

Aliści odkąd mnie objawiono, czyliż mogłem, wiedząc już, co jest przeciwko Bogu — błdzić nadal...?

Wiecie, com, powróciwszy z Sybiru, zastał z domku, w którym rzeczy moje zostały, a między niemi owe święte pamiątki pielgrzymie...

Garść popiołu.

Pożar wielki nocą strawił do szczętu wszystko. Nic nie ocalało. I tylko mnie samego daremnie szukano w zgliszczach, bo nie wiedziano, że przepadłem za murami cytadeli.

A dziś, po kilkudziesięciu latach, pójdźcie do izby mej pustelni. Znajdziecie tam nawet nie zwęglone, pożoga nietknięte, pamiątki pielgrzymie: krzyż Zbawiciela i wizerunek Proroka Narodowego, Pismo Święte i książkę Mickiewicza...

Wszystko znajdziecie, co mi duch mego ojca na dalszą życia pielgrzymkę dał w węzłku podróznym, tam, na manowcach śniegiem zawianych dalekiego stepu wieczystej rozpaczy...

Kiedym w łachmanach żebraczych, a z tym zawiniątkiem w ręku, przyszedł wprost z Sybiru do Felińskiego, mój dobry przyjaciel i najlepszy powiernik nie umiał uwierzyć w to, co mi tam objawiono.

Otoczył mnie opieką i postarał się sam, by mnie tutaj osadzić na liliszkowskiej plebanii, ale był do końca głuchym na moje stąd listy, lubo zaklinałem go, gdy został arcybiskupem, by skorzystał ze swego wpływu. Nie mógł snadź uwierzyć, podobnie jak drugi dostojnik kościelny, a dawny towarzysz mój więzienia stanu, Dunajewski, którego później o to błagałem.

Jedyne to były kroki moje poza cichą pustelnię leśną, z której, jak wiecie, nie wydaląłem się przez pół wieku, w swoim kółku tylko działając...

Zygmunt Mocny uwierzył. I Jan Król uwierzył.

A widać, że czas nie nadszedł na to, by z siewu plon się rodził, kiedy mi przyszło tak długo w samotni wyglądać godziny, w której wam mogłem powierzyć ojcowe objawienie.

Drogie dzieci moje... Gdybym wiedział, że mi dane jeszcze drugie sto lat życia i same w nim szczęście — poświęciłbym to wszystko bez wahania, gotów dziś żywcem lec w trumnie, co ma w grób zabrać zwłoki przyjaciela, byle móc tą ofiarą na społeczny pożytek wykrzesać w was wiarę w prawdę czystych słów moich!

Tamci ogarnąć ich nie umieli, mimo że najbliżej stali ołtarza.

Uwierzili w nie zaś ci właśnie, którym to było najtrudniej, bo uwierzywszy, musieli dać sobie za życia wydrzeć z piersi kawał serca.

Wam za to, mówię, łatwiej pójść za mną, bo to wszystko, co tak ich okrutnie bolało, gdy je na pastwę rdzy oddawali, a do czego wprzód rwali się całą duszą i czym się karmili w życiu, czym oczy poili z rozkoszą, dotykając się tego jeszcze własnymi rękami — to już dla was jest tylko ślicznym obrazkiem.

Więc kiedy w dzień świąteczny zapadnie szara godzina, pozwólcie, niech wam jeszcze stary zegar kurantowy gra bohaterskiego poloneza z dawną piosnką mazurkową... ukazując pod kloszem cwałującego ułana...

Z przymknionymi oczyma ujrzycie w pomroce wieków cienie husarzy skrzydlatych, lecących po stepie z szumem wichru...

Niech lecą i nikną w obłoku kurzawy...

A gdy ją przysłonią karmazyny, amaranty, z których blisko wykwitnie bajecznie kolorowe widmo ułana... zaklinam was... nie wskrzeszajcie cudnej pod kloszem antycznego zegara figurki...



Boć ten obrazek cacany, chociaż się do niego śmieją naszych dziewcząt oczy,  
zawsze malowany bywa krwią!

Oderwijcie odeń oczy...

Podnieście wzrok w górę, kędy pod niebem w jasności buja Biały Orzeł.

Zdawało wam się długo, że ten ptak śnieżnopióry ma jak czarne sępy —  
szpony i dziób krwiożerczy...

Patrzcie, jaki biały, przezzystych skrzydeł nigdy w błocie nie zaszargał, we  
krwi się nie unurzał, a lotu górnego ani razu nie zniżył...

Samotny on jeszcze między czarnym ptactwem, ale jego dzień nad odludne  
szczyty tatrzańskie dopiero wschodzi...

W niebosiężności jego lotów przezzystych nikt mu nie dorówna...

Albowiem wszystkim przodować będzie ten właśnie, kto pierwszy szponów  
się wyzbędzie, a uwierzy, iż do zwycięstw trwałych, wieczystych, zawiedzie  
jedynie orli lot nieśmiertelnego Ducha...

Więc znad kurhanów skrzydlatych husarzy w zbroi pancernej, znad mogił  
ułanów bajecznie kolorowych, znad poboju dawnych, pługiem chłopskim  
przeoranych, zerwie się z męki ofiarnej i szczytnym lotem polskiego geniusza w  
niebo uleci, dnia trzeciego, zwycięzcą bez szponów — nieśmiertelny Biały  
Orzeł...

## XXIV.

Przez całą noc przewalał się wiatr mocny po kniei, napełniając ją wrzawą,  
lecz chmur na niebo nie napędził. Pogoda wytrwała do końca pogrzebu „pana  
leśnego”.

Skoro świt, zdjęto trumnę z podniesienia przed leśniczówką.

Wtedy Hanka padła twarzą na twarz ojcową i na długo do ciała martwego  
przywarta serdecznie, całowała je z płaczem po raz ostatni, wstrząsana myślą  
okrutną, że już ono do domu nie powróci nigdy... nigdy...

Kiedy po chwili oderwano od zimnych zwłok sierotę, spostrzeżono, że  
zgnieciona przez nią i poruszona gwałtownie na piersi Jana Króla, rozpadła się  
granatowa z białym barankiem rogatywka pokrwawiona, w której w powstaniu  
poległ Janek Bogoria-Kwaszewski, a która trzymała się dobrze, dopóki  
przechowywano ją latami pod szkłem w domu.

Teraz rozsypała się, siejąc na piersi nieboszczyka proch miałki z grudkami  
ziemi mogilnej, zabranej przez zeń pół wieku temu z rodzinnej Poręby.

Dymsza „kochaneńki” osłonił starannie drogie relikwie świeżą wiązką liści  
dębowych, poprawił jeszcze kokardę błękitną, by końce wstęgi z haftowanymi  
godłami zwisały równo, a wtedy wzięto trumnę na ramiona, nie nakrywając jej  
wiekiem, które inni, wypełniwszy kwiatami, na marach zielonych pozostałymi,  
nieś postanowili przodem pochodu.

Wykrecono trumnę twarzą na leśniczówkę, a przystanąwszy na chwilę przed narożnym ganeczkiem, ruszono w głąb lasu.

Nieliczny orszak towarzyszy „pana leśnego”, z drogim ciężarem na ramionach własnych, zniknął na jedynej drodze przerywanej knieją, w której o tej wczesnej przed wschodem słońca godzinie było jeszcze prawie mroczno.

Cisza panowała głęboka w głuszy leśnej.

Ptactwo ledwie na gniazdach zaczynało się odzywać pobudzone.

Tylko górą las szumiał pieśń potężną, wichrowymi skrzydły wygrywaną na niebotycznych drzew koronach.

Gromadka ludzka posuwała się powoli drogą wyboistą.

Nikt nie śmiał słowem spłoszyć ducha tej ciszy uroczystej, który milczenie nakazywał ustom.

A wysoko nad odkrytymi głowami pielgrzymów smutnych płynęła spokojnie biała trumna dębowa, szeleszcząca tajemniczo szeptem schnących liści wieńców i wypłowiałej wstęgi błękitnej...

Na wznak na swym posłaniu ostatnim leżący „pan leśny”, z twarzą zwróconą na rąbek nieba, widny nad drogą w obramieniu ciemnej strzechy leśnej, spoglądał z góry na znajome w kniei zakątki...

A na widok zbliżającego się gospodarza, drzewa wszelakie po obu stronach szerszej wyręby przy drodze, kędy wichur wpadał, pochód żałobny wyprzedzając, zginały się w pas, pochylając dumne czoła na pożegnanie dobrego pana...

Tu i owdzie zaś z zapadłego zakątka lasu zrywało się z nagłą niby szlochaniem serdeczne w zaroślach, łkanie żalodne... Ale się zaraz ukajało, zamieniając w spokojny szmer modlitewny drżących liści...

I tylko górą wiatr zawodził bez końca, kołysząc smętnie dachem zielonym nad leśną puszcza, po której już nigdy tłuc się nie miały echa grania rogu Jana Króla.

Rozwidniło się dawno, a słońce wyzłacało coraz głębiej rąbki olbrzymiej wiechy nad knieją rozpostartej. Ptactwo mieszało swoje pienia poranne z hymnem lasów.

Ludzie tylko milczeli po dawnemu, wiodąc długą drogą „pana leśnego” poprzez jego gospodarstwo.

Toteż się zdawało, że w onej wielkiej ciszy dokoła trumny nic się nie odmieniało, że las milczy, jak jego gospodarz...

A „pan leśny” ciągle żegnał się z lasem i las z nim się żegnał...

Kiedy zaś ustały drzewa liściaste i orszak pogrzebowy wszedł w bór samego igliwia wiecznie zielonego, spokój tak uroczysty otoczył trumnę, że się zdawało, iż czerwone pnie sosen chmurosiężnych skamieniały nagle i jak kolumny marmurowe dźwigają na swych czołach wyniosłych wielką harfę czarną, żałobną, z szeroko pod niebem rozpiętymi strunami, o które trącają skrzydła białe wichrami wysoko gnanego między obłokami, potężnego orła archaniola, a harfa wygrywa chorał mistyczny.

Przy takiej pieśni z pod nieba stanęli po kilku godzinach pielgrzymki, przed kaplicą w pustelni.

Tutaj już oczekiwali wszyscy uczestnicy pogrzebu, którzy nie odważyli się na kilkumilowe kołowanie po lasach, byle je obejść wszystkie z trumną „pana leśnego” na ramionach garstki jego najwierniejszych, a wiekiem niewycieńczonych druhów.

Kiedy w progu kaplicy ustawiono trumnę niezamkniętą, z której twarz błada w aureoli siwych włosów, jak gdyby żywa, a jeno w zatopieniu się w modlitwie skamieniała, wpatrzona była w Chrystusa na ołtarzu wyciągającego ramiona nad osrebrzoną głową pustelnika, rozległy się po odwiecznym chramie modrzewiowym dźwięki, uroczyste niby psalm Dawidowy.

Zdawało się, że to z głębi duszy zbiorowej rozlewną falą ech gęźby dzwonów z organami, płynie wielki hymn wiary...

To Jadwisia Starowska spod subtelnych klawiszy staroświeckiego klawikordu z pałacu Kierdwojciów w Rarogach, wydobywała wszystkie czary nastroju z Szopenowskiego Preludium C-moll.

Głębokie akordy pod jej sprawnymi palcami zrazu grzmiały mocno, po czym w ciche słowa pacierza przeszły i zmiły na kilka oddechów — by się zaraz w całej osnowie powtórzyć najcichszym, na jaki zdobyć się mogły struny przytłumione, szmerem ech mistycznych modlitwy bez słów...

Kiedy się msza skończyła, Jadwisia raz jeszcze zasiadła przed poźółką klawiaturą, a wtedy archaiczny instrument rozjęczał się Marszem Żałobnym. W ciszy wielkiej dzwoniły łzy serdeczne po strunach, z których wyrwały się skargi żałosne i tłukły się po starych ścianach, o strop niski rozbijały... i na porębę dokoła kaplicy w pustelni wybiegały, by targać za struny serc ludzkich... i gubić się w igielkach sosen i świerków...

A kiedy spod klawiszy zaśpiewało rzewnie „trio”, podniesiono z progu trumnę i ustawiono ją na środku polanki przed wejściem do kaplicy.

Powoli wyszli wszyscy ze środka i mieszały się z tłumem gęstym, otaczającym pustelnię.

Po kolei jedni za drugimi zbliżali się teraz do trumny, przy boleśnie smętnych dźwiękach Marsza zgłębi kaplicy, w milczeniu nachylali się nad zwłokami i ostatnim spojrzeniem przeciągiem żegnali „pana leśnego”, który spod mnóstwa kwiatów i liści patrzył też na nich wymownie, acz niemo, spoza spuszczonej na sen wieczny powiek utrudzonych...

A kiedy już tak wszyscy przeszli mimo niego, a dźwięki żałobne zamilkły w głębi kaplicy, nakryto trumnę wiekiem białym, poza którym zniknęła na zawsze smętna a pogodna, bolesna a śmiejąca się łagodnie srebrnym wąsem, piękna twarz „pana leśnego”...

I tylko dwa końce srebrną frędzlą obszyte spłowiałej wstęgi błękitnej zwisły spod przymkniętego wieka, ukazując haftowane przed osiemdziesięciu laty, skrzyżowane nad bębnami pałasze i bagnety oraz pochylone nad nimi sztandary z białym orłem...

Słońce było już dość wysoko, gdy tłumny pochód, wysypawszy się z ciemnego boru na wielką polanę, mijał dzwonnice.

Wszyscy podnosili wzrok na stare ryngrafy wiary i nadziei, nad którymi wysoko pod daszkiem rdza żarła stal pałaszy i strzelb żołnierskich...

A spojrzenie poważnych przechodniów, przesuając się po szerniałej i jak sito już podziurawionej ładownicy, która niegdyś lśniła i błyszczała jak zwierciadło, powracały na chwiejące się u stóp niesionej trumny końce wstęgi-proporca ze srebrnym haftem, w ślad zaś za oczyma myśli wpijały się w jedwab błękitny, wyobrażając sobie, w co się on rychło przemieni...

Tymczasem nad głowami korowodu grały już dzwony rozkołysane na szczycie wieży dębowej.

Wiatr porywał ich echo i poprzez bezkresne i puste a smętne łąki melancholijnej ziemi inflanckiej niósł pieśń żalu i tęsknoty daleko hen... hen... nad Wisłę, gdzie w dawnej Porębie Kwaszewskiej kołysała się niegdyś chłopska kołębka Jana Króla.

A babcia Molowa, trzęsąc swą piękną głową zza firaneczek mlecznych loczków, ocierała z łez oczy, wybladłe jako jej droga wstęga błękitna, w którą utkwiała wzrok w drodze... i szeptem pytała się własnych myśli:

— Kiedy też nad daleką Wisłę dosłyszczą głos samotny pustelnika Kazimierza...

\* \* \*

Białe brzozy płaczące z rozpuszczonymi na wiatr welonami bladej zieleni wiosennej, szeptały właśnie swoje nad mogiłkami pacierze, gdy cmentarzyk liliszkowski jął się zaludniać, a nad ponuro rozwartym grobem przysiadła na kopcu wygrzebanej ziemi, spuszczone z ramion męskich, świeża trumna z niepomalowanej dębiny.

Obrzędy kościelne trwały krótko, a kiedy się skończyły, nastąpiła cisza tak wielka, że nawet szmeru gałązek brzozowych nie było słycać nad głowami.

Wiatr, który z każdą chwilą zmniejszał się już od pewnego czasu, teraz uspokoił się całkiem.

Z pogodnego błękitu słońce zalewało złotą jasnością cmentarz i pola wokoło orne, bujnie już zazielenione.

Wtedy wśród ciszy nad otwartą mogiłą — zanim w niej zniknąć miała na wieki, wstęgą żołnierską ozdobiona, trumna Jana Króla — pleban ukląkł, a gdy w ślad za nim, jako łan zbóż na wietrze pochylony naraz, ugięli wszyscy kolana, rozległ się donośny głos pustelnika, który był jakoby ostatnim nad grobem „pana leśnego” podzwonnym:

— Ojczy nasz, który jesteś w Niebie, święć się imię Twoje...

Wysłuchaj, Panie, pielgrzymów, którzy na stepie tęsknoty obracając oczy ku dalekiej ojczyźnie, wsłuchują się w szumy wiatrów pod chmurami, zali w nich nie dosłyszczą lotu białych orłów...

Oto jako chleba powszedniego, błagamy Cię, Ojcze, dla dzieci naszych: daj Ty im skrzydła białe i daj orle loty...

A jakoś nam posłał proroki Swoje na wieki naszej pielgrzymki, oświeć nas, Panie, byśmy wiedzieli, jak czytać ich księgi, by słów ważnych nie tłumaczyć sobie na opak...

A jakoś wodzom naszym zwycięstwo dawał naówczas, gdy nie po myśli Twojej walczyli mieczem, użyż nam najwyższej mocy ducha, byśmy pod jego wodzą chadzać mogli do zwycięstw bez zbroi...

Bo my dziś rozproszeni po stepach tęsknoty, wierzymy, Panie, że nam zesłesz legion białych orłów, co w nowych gniazdach na szczytach tatrzańskich zrodzone, zawiodą nas nie przez doliny łez i krwi, lecz górnym szlakiem podniebnym nieśmiertelnego ducha — do utraconej ojczyzny...

## XXV.

W leśniczówce, do której nie wniósł się jeszcze pan Dymsza, zarządzający teraz z woli nowej dziedziczki rozległymi lasami w majątku lilizkowskim, świeciło się już w oknach, przed chwilą bowiem powrócił Bolko z dworskich oficyn do domu, gdy naraz zaterkotał wózek najemny, z dalekiej a najbliższej stacji kolejowej przywożący zazwyczaj niezapowiedzianych gości. Psiarnia obskoczyła bryczkę, gdy konie przystanęły u wrót obejścia.

Za chwilę Marcinek, odganiając psy na wszystkie strony, wprowadził do pokoju obcego mężczyznę.

Hanka zaraz się usunęła, zostawiając brata sam na sam z nieznanym gościem.

Ale już po niedługiej rozmowie przy drzwiach zamkniętych, przybysz zabierał się do odjazdu z powrotem, by nie chybić do najbliższego pociągu. Od drzwi jednak jeszcze się wracał raz za razem, powtarzając Bolkowi:

— Radzę panu, namyśleć się lepiej... bo moje propozycje są świetne...

— Powtarzam panu — odpierał jego natarczywość Bolko — że słyszałem już świetniejsze, a jednak nie zastanawiałem się nad nimi ani na chwilę... Zresztą powiem panu po prostu, że z podobną poufną misją jak pana dzisiaj, przysyłano już do mnie z dwóch stron przeciwnych... I obaj poprzednicy pańscy usłyszeli ode mnie to samo, że na cele militarne nie oddam „Białego Orła” za żadną cenę...

— My panu jednakże dajemy warunki tak wyjątkowe...

— Kiedy pan nie chce zrozumieć, że tu nie idzie o różnice materialne... tylko o zasadę...

— Przepraszam pana... kiedy przyjmując nasze warunki, mógłby pan pozostać nawet w zgodzie ze swymi przekonaniem narodowymi...

— Daremnie czas tracimy na rozprawy... Zapóźni się pan na kolej.. W każdym razie... dziękuję panu za odwiedzin... bo są dla mnie wskazówką, że wobec istnej nagonki, jaką urządono na mnie ze wszystkich stron, los moich

wynalazków i odkryć, które doprowadziły do powstania idealnego latawca... znalazł się w niebezpieczeństwie...

Co mówiąc, podszedł Bolko Król do szafy, a otwórzszy drzwi, wyniósł z niej szkatułkę ogniotrwałą, którą położył na stoliku obok zapalanej świecy, przygotowanej właśnie do wyprowadzenia gościa.

Wyciągając z kieszeni sekretny kluczyk, zwrócił się do zaciekawionego przybysza:

— Zanadto was kłuje w oczy mój cudowny latawiec... Za kilka dni zniknie jednak nawet z tego pustkowia, skoro i tutaj trafiliście, by go prześladować... Usunie się wam z oczu i w bezpieczniejszym schronieniu czekać będzie cierpliwie, dopóki czas na niego nie przyjdzie...

W tej chwili po wciśnięciu w otworek kluczyka, wieko szkatułki odskoczyło z trzaskiem.

Gościowi aż oczy na wierzch wylazły z wielkiej ciekawości.

— Nic by wam z tego nie przyszło, gdybyście w swoje ręce dostali mojego orła. Zagadki nie rozwiązalibyście na podstawie samego aparatu. Cała tajemnica moja mieści się tu...

Przy tych słowach Bolko Król wyjął ze szkatułki plik papierów, między którymi widać było obok arkusików gęsto zapisanych, liczne plany, rysunki i obliczenia.

— Tutaj, panie, mieści się cała tajemnica „Białego Orła”... Niechże pan powie z łaski swojej tym, którzy cię tu przysłali... i tym także, którzy pana tu już uprzedzili, zechciej powiedzieć, że dałem ci słowo honoru, iż gdyby te papiery uległy zniszczeniu, wówczas nikt nie zdoła stworzyć „Białego Orła”... chyba że ze mnie samego pókim żyw... wydrzeć potrafi tajemnicę, która wtedy mieścić się będzie tylko tutaj — i wskazał palcem na własne czoło — po czym dodał: — jak teraz mieści się tutaj, powtarzam panu pod słowem, że tylko tutaj...

Co mówiąc, wskazał znowu papiery, które wszystkie zwinął w rulon spory i wcisnął do piersiowej kieszeni swego ubrania.

— Spóźni się pan na kolej — rzekł nagle, głos zmieniając i świecę wzięwszy ze stolika, drzwi przed gościem otwierał, wyprowadzając go ze światłem.

Wyszli tak na podwórko, gdzie młody gospodarz krzyknął na Marcinka, by psy trzymał i podał mu świecę płonąca.

Wtedy nagle wyciągnął Bolko Król z zanadrza rulon papierów, rozwinął je i śpiesznie arkusz po arkuszu przytykał do płomienia świecy.

Psy wybuchły głośnie wrzawą, zagłuszając słowa gościa zdumionego.

A tymczasem twórca „Białego Orła” palił kartki zapisanego papieru jedną po drugiej pośpiesznie, lecz z rozwagą, pilnując by się każdy kawałek spopielił doszczętnie.

— Powtórz pan im, proszę, co ode mnie słyszałeś pod słowem honoru — wołał do wsiadającego na wózek gościa, tak głośno, by psiarnię przekrzyknąć — tajemnica moja we mnie!

## XXVI.

Rzęsisty deszcz wiosenny, do którego już dawno wzdychały wiśnie w sadach, dzwonił po szybach mieszkania Starowolskich w oficynie lilizkowskiego dworu. Przez ściany dolatywały chwilami z góry cichutkie dźwięki fortepianu z pokoiku babci Molowej, która zostawszy sama ze swymi myślami, odświeżała sobie po kolei w pamięci ulubione melodie starszej daty. Pan Leszek pojechał konno na folwarki, a żona krzątała się pilnie pomiędzy czeladzią. Toteż w całym mieszkaniu pusto było i cicho.

Tylko w pokoju Jadwisi słychać było głos Bolka. Siedzieli oboje naprzeciw zamkniętych drzwi szklanych werandy, po których jak łyzy serdeczne, niepowstrzymywane, spływały strugi deszczowej wody, ukazując głęboki sad, a w nim, nad szmaragdowym, w nieskończoną dal wydłużonym szpalerem niskich agrestów — martwe i na tle zieleni do widm upiorowych podobne, szeregi upiornie białych drzew, powyginanych już od ziemi w kształty fantastyczne i poplątanych z sobą nie tylko u góry siecią pokręconych gałązek, lecz i z dołu grubymi konarami trzymających się nawzajem w silnych a zimnych uściskach...

Wisia, cała w słuch zamieniona i w myśli przepastnie głębokie zatopiona, słuchała w milczeniu opowiadania Bolka. Godziny mijały, przytłumione dźwięki staroświeckiego fortepianu zamilkły, dzwonienie deszczu po szybach stawało się coraz spokojniejsze, coraz cichsze — a głos Bolka rozlegał się jeszcze jednak... Na koniec opowiadanie jego zaczęło się toczyć jakby szybszym tętnem... Słowa jego nabierały jakby innej barwy dźwięku. Czarne oczy jedynej słuchaczki wpiły się w jego usta i zawisły na nich... A on mówił i mówił... z każdą chwilą bardziej tajemniczo...

\* \* \*

...I nagle na pierś moją rzuciła się Wanda namiętnie, ramionami oplotła mi szyję i całować mnie jęła po twarzy miłośnie, jak całowała w on wieczór pierwszy, gdy orłem zleciał nad stos płonący na szczycie wielkiego popielnika Lechii...

Po czym znienacka od ust mych oderwawszy się, otworzyła drzwiczki kajuty powietrznego statku i w mgnieniu oka z pod obłoków runęła w przepaść bezdenną fal oceanu...

Wiatr przymknął z powrotem drzwiczki i wewnątrz „Białego Orła” nastąpiła cisza wielka.

Obejrzałem się poza siebie. Tysiące orłów białych skrzydlatym hucem otaczało mnie wśród bezmiernego pustkowiecia na zawrotnej wyżynie nad oceanem... Siedziałem bez ruchu, a statek mój płynął równo, spokojnie w dal przed siebie, wiodąc za sobą całe wojsko ptaków olbrzymich.

Zasłuchany w szum tajemniczy, czułem, że już same duchy, mocne, potężne duchy orłów Lechii lecą za mną do Polski...

\* \* \*

Kiedy Bolko zamilkł, skończywszy długie swe opowiadanie, przez kilka minut panowało milczenie. Wreszcie budząc się z zamyślenia, szepnęła Jadwisia:

— Więc zawsze potrzebna ofiara Wandy... Więc zawsze serce samolubne złożyć trzeba na ołtarzu szczytniejszej miłości...

— Czy trzeba, pytasz — rzekł Bolko, podchodząc do niej.

— Nie pytam, mój drogi... Bywały wszak już Jadwigi, co w ślady Wandy chodziły z ochotnym poświęceniem...

Młody człowiek, opuściwszy piękną głowę na piersi, ujął panienkę za obie ręce, gdy ona szepnęła:

— Prawda, Bolku, żeby mnie pod obłoki nie uniósł twój „Biały Orzeł”, gdyby na mnie ciążyło osobiste szczęście... Rozporządzaj, proszę, moimi Liliszkami... Są od tej chwili własnością publiczną...

Męskie ramię radośnie objęło śliczną kibić panienki, a usta przywarły do bujnych włosów popielatych, które mu się po piersi rozsypały.

Za chwilę później już oboje układali szczerogłowo plany szerokie wielkiej fundacji narodowej, na jaką pozwalał ogromny majątek liliszkowski. Jego dziedziczka niemal kilkodniowa, zgodziła się najchętniej na myśl swego narzeczonego, żeby olbrzymi a pustką stojący dwór zamienić na dom dla pisarzy-artystów, którym brak schronienia dla spokojnej pracy twórczej. Tu, w ciszy na melancholijnym pustkowiu, zdała od zgiełku miast, znajdują na pewien czas bez potrzeby zarobkowania, wszystko, czego im brak dla stworzenia dzieła ducha. A Hanka wraz z rodzicami Jadwisi czuwać będzie nad ich wygodami i troszczyć się o ich potrzeby — i donosić Bolkowi, jak się czują w ustroniu, z którego w świat daleki wyleciał „Biały Orzeł”.

\* \* \*

W parę dni później, przed dzwonnica pod czarną ścianą boru, modliła się na klęczkach gromadka rodziny liliszkowskiej przed ryngrafami z wizerunkiem Częstochowskiej i Ostrobramskiej. A kiedy wszyscy wstali, Bolko i Wisia żegnali się z każdym uściskiem serdecznym, poczym zbliżyli się do bielejącego na murawie polany olbrzymiego latawca. Gdy się drzwiczki otwarły, ujrzano wewnątrz kajuty przystrojone w zielone gałązki mirtu z pokoju babci Molowej i wiązanek konwalii o śnieżnych dzwoneczkach niepokalanej białości i świeżości leśnej.

Za chwilę statek powietrzny oderwał się od ziemi, unosząc w swej kajucie Bolka z Wisienką. Orzeł srebrnopióry wzbił się nad bezkresnym pustkowiem melancholijnej ziemi inflanckiej, tracąc z oczu gromadkę ludzką pod dzwonnica. Długo jednak z okna widziała Jadwisia wysuniętą naprzód, obok skomlącej Mary i szczekającego Biesa, postać pustelnika z podniesioną ręką, która niejako powtarzała im z daleka:



— Błogosław, Boże, orłom białym, co lecą w niebo wiecznego pokoju... kędy miłość nie zna złości, a nienawiściom przebacza...

A kiedy wreszcie Wisia zwróciła się do Bolka, ten jej szepnął cicho:

— Pamiętasz, żoneczko, przysięgę moją z lat młodocianych, że moją nie zostaniesz, dopóki nie powiedzie mi się ostatecznie zbudować latawca, na którym bezpiecznie moglibyśmy oboje ulecieć z ziemi pod niebo... ku słońcu...

\* \* \*

Mroki nocy pierzchły z hal, po których krzątali się ochoczo pobudzeni chłopci-górale, a szczyty tatrzańskie kąpały się w blaskach złocistych wschodu słońca, gdy nad skałami z granitów potężnych zjawił się „Biały Orzeł”. Ludzie oczy przecierali zdumieni na widok srebrnych piór ptaka-olbrzyna. A on krążył długo nad niebosiężnymi skałami, szukając miejsca, najdalszego od dolin krwi i łez padołu, na nowe gniazdo, z którego by nad Polskę wylatać miały — bez szponów już zrodzone, białe orły...

## KONIEC

**Pisałem r. 1910 w Warszawie, splatając z własnych myśli i uczuć wieniec na najdroższe mogiły.**